



JOHAN THEORIN

ŚWIĘTY PSYCHOL

*Opowieść o mroku kryjącym się
w każdym człowieku, o miłości
niemożliwej i przyjaźni zrodzonej
z bezbronności.*

Johanna Bisterska, „VLT”



Johan Theorin

Święty Psychol

Przełożyła Barbara Matusiak



Wołowiec 2013

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż jednorazowe pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału szwedzkiego SANKTA PSYKO

Projekt okładki PIOTR BUKOWSKI

Fotografia na okładce © by JAMES ELLERKER / GALERIES / CORBIS / FOTOCHANNELS

Fotografia Autora © by CATO LEIN

Copyright © by JOHAN THEORIN, 2011

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO CZARNE, 2013

Copyright © for the Polish translation by BARBARA MATUSIAK, 2013

Redakcja MAGDALENA KĘDZIERSKA-ZAPOROWSKA / D2D.PL

Korekta ALICJA LISTWAN / D2D.PL, ZUZANNA SZATANIK / D2D.PL

Projekt typograficzny, redakcja techniczna i skład ROBERT OLEŚ / D2D.PL

ISBN 978-83-7536-644-0

Skład wersji elektronicznej: MAGDALENA WOJTAS / [VIRTUALO SP. Z O.O.](http://VIRTUALO.SP.ZO.O)

Spis treści

Dedykacja

Podziękowania

CZEŚĆ 1 Procedury

1

2

3

Ryś

4

5

6

Ryś

7

8

9

Ryś

10

11

12

Ryś

13

14

15

Ryś

16

17

18

Ryś

19

20

21

Ryś

22

23

24

Ryś

25

26

Kapedim

Ryś

27

28

29

Kapedim

30

Ryś

31

32

CZEŚĆ 2 Rytuały

Ryś

33

Kapedim

[34](#)

[35](#)

[Kapedim](#)

[Ryś](#)

[36](#)

[37](#)

[Kapedim](#)

[38](#)

[Ryś](#)

[39](#)

[40](#)

[Ryś](#)

[41](#)

[Kapedim](#)

[Ryś](#)

[42](#)

[43](#)

[Kapedim](#)

[Ryś](#)

[44](#)

[Kapedim](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[Kapedim](#)

[49](#)

[50](#)

[Kapedim](#)

[51](#)

[52](#)

[53](#)

[54](#)

[55](#)

[56](#)

[Przypisy](#)

Dla Klary

Podziękowania dla Kajsy Asklöf, Rogera Barretta, Katariny Ehnmark Lundquist, Ann Heberlein, Rikarda Hedlunda, Kari Jacobsen, Cherstin Juhlin, Andersa Parsmo, Ann Rule, Åsy Selling i Bengta Witte, którzy bezpośrednio lub pośrednio pomogli przy tworzeniu niniejszej powieści.

Kochany Ivanie!

Czy można napisać list miłosny do osoby, której nigdy się nie spotkało? Postanowiłam spróbować. Widziałam Cię tylko na zdjęciach w gazetach, pod okropnymi, krzyżącymi tytułami. Na czarno-białych fotografiach, które prasa publikuje, by pokazać wszystkim Ivana Rössela, czy też szalonego dzieciobójcę, jak również Cię nazywają.

Zdjęcia są wymowne, ale i krzywdzące, a mimo to często się im przyglądam. W Twoim spojrzeniu jest coś niezwykłego, jest spokojne i mądre, a jednocześnie tak przenikliwe. Wydajesz się widzieć świat taki, jaki jest. Mam wrażenie, że patrzysz wprost na mnie i wszystko o mnie wiesz. Chciałabym, abyś mógł mnie zobaczyć również w rzeczywistości. Tak bardzo pragnę Cię spotkać.

Samotność to straszna rzecz, a ja niestety od lat otrzymuję własną jej dawkę. Przypuszczam, że Ty także czasami czujesz się samotny, zamknięty w pokoju za murami szpitala. W ciszy, późną nocą, kiedy cały świat śpi... Samotność tak łatwo może człowieka wessać, by na koniec go udusić.

Przesyłam Ci moją fotografię, zrobioną w pewien ciepły, słoneczny dzień ubiegłego lata. Jak widzisz, mam jasne włosy, ale lubię ciemne ubrania. Mam nadzieję, że zechcesz spojrzeć na mnie tak, jak ja patrzyłam na Twoje zdjęcia.

To tyle na dziś, ale chętnie napiszę do Ciebie ponownie. Mam nadzieję, że list dotrze do Ciebie, na drugą stronę muru. Bardzo chciałabym otrzymać od Ciebie odpowiedź.

Czy jest coś, co mogłabym dla Ciebie zrobić?

Zrobię wszystko, Ivanie.

Wszystko.

Procedury

Yet everyone begins in the same place; how is it that most go along without difficulty but a few lose their way?

John Barth, *Lost in the Funhouse*

Ale przecież wszyscy zaczynają od tego samego miejsca; jak to się dzieje, że większość bez trudu posuwa się naprzód, podczas gdy niektórzy gubią drogę?

John Barth, *Zagubiony w labiryncie śmiechu*, przeł. Monika Adamczyk-Garbowska

UWAGA! DZIECI! – niebieską tablicę ostrzegawczą Jan widzi przez boczną szybę taksówki. Poniżej dodano apel: ZWOLNIJ!

– Cholerne bachory! – krzyczy kierowca.

Jana aż rzuca do przodu. Taksówka skręciła i zahamowała przed trójkołowym rowerkiem. Jakieś dziecko zostawiło go niemal na środku ulicy.

Znajdują się w dzielnicy domów jednorodzinnych w mieście Valla. Jan widzi drewniane płoty przed białymi domami z cegły. Wokół jest jednak pusto, mimo pozostawionego rowerka. Tu nie ma dzieci, na które trzeba uważać.

Być może wszystkie są w domach, myśli Jan. Zamknięte.

Obserwuje twarz kierowcy we wstecznym lusterku. Wygląda, jakby zbliżał się do emerytury, ma pomarszczone czoło, białą brodę jak Święty Mikołaj i zmęczone spojrzenie.

Jan jest przyzwyczajony do zmęczonych spojrzeń, wszędzie je widzi.

Taksówkarz, zanim zaklął i zahamował, właściwie nie powiedział ani słowa, ale gdy znowu rusza, zadaje nagle pytanie:

– Szpital Świętej Patrycji... Pracuje pan tam?

Jan kręci głową.

– Nie. Jeszcze nie.

– Ach tak? A więc szuka pan pracy?

– Tak.

– Aha – odpowiada kierowca.

Jan milczy, opuszcza wzrok. Nie chce zbyt wiele o sobie opowiadać, a nie wie, co może mówić o szpitalu.

Taksówkarz ciągnie dalej:

– Pewnie pan wie, że jest też inna nazwa tego miejsca?

Jan podnosi wzrok.

– Nie. Jaka?

Taksówkarz uśmiecha się pod nosem, patrząc przed siebie ponad kierownicą.

– Na pewno tam panu powiedzą.

Jan spogląda przez boczną szybę na rzędy domów i myśli o mężczyźnie, którego wkrótce spotka.

Doktor Patrik Högsmed, ordynator. Jego nazwisko widniało pod ogłoszeniem o pracę, które Jan znalazł w polowie czerwca:

POSZUKUJEMY WYCHOWAWCY PRZEDSZKOLNEGO

na zastępstwo w placówce Polana

Tekst umieszczony poniżej nagłówka przypominał wiele innych, które czytał:

Poszukujemy wychowawcy przedszkolnego, najlepiej mężczyzny w młodym wieku, ponieważ

dbamy o różnorodność wśród naszego personelu.

Szukamy osoby pewnej siebie, otwartej i szczerzej, która potrafi prowadzić pomysłowe zabawy i jest uzdolniona muzycznie. Przedszkole otoczone jest zielenią, więc często organizujemy wycieczki na łono natury.

Nasi pracownicy dbają o miłą atmosferę, pilnując, by nie wystąpiły żadne przypadki poniżania lub dyskryminacji.

Opis w dużej mierze pasował do Jana. Był młodym mężczyzną, z wykształcenia wychowawcą przedszkolnym, lubił gry i zabawy, a gdy był nastolatkiem, grał trochę na perkusji – najczęściej w samotności.

Z powodów osobistych nie lubił też poniżania.

Ale czy był otwarty i szczerzy? To zależy. W każdym razie sprawiał takie wrażenie.

Adres osoby, z którą należało się skontaktować, sprawił, że Jan zainteresował się ogłoszeniem. Osobą tą był Patrik Högsmed, a adres brzmiał: Recepcja, Regionalna Klinika Sądowo-Psychiatryczna Świętej Patrycji w mieście Valla.

Jan zawsze miał trudności z zareklamowaniem samego siebie, ale ogłoszenie dręczyło go tak długo, leżąc na kuchennym stole, że w końcu zadzwonił pod numer podany pod nazwiskiem ordynatora.

– Högsmed – odezwał się niski męski głos.

– Doktor Högsmed?

– Tak?

– Nazywam się Jan Hauger i dzwonię w związku z ogłoszeniem.

– Jakim ogłoszeniem?

– Chodzi o posadę wychowawcy przedszkolnego. Od początku września?

Na chwilę w słuchawce zapadła cisza, po czym Högsmed odpowiedział:

– Ach, to...

Lekarz sprawiał wrażenie roztargnionego, jednak po chwili cicho zadał pytanie:

– Dlaczego interesuje pana ta posada?

– Bo... – Jan nie mógł wyznać prawdy. Od razu zaczął kłamać, a raczej nie ujawnił wszystkiego. – Jestem ciekaw – powiedział tylko.

– Ciekaw? – powtórzył Högsmed.

– Tak, ciekaw zarówno miejsca pracy, jak i miasta. Do tej pory pracowałem w przedszkolach w dużych miastach. Chciałbym przenieść się do mniejszej miejscowości i poznać przedszkole tam funkcjonujące.

– Rozumiem – odparł Högsmed. – Nasza placówka jest oczywiście dość szczególna, gdyż rodzice dzieci są pacjentami...

Kontynuował swój wykład o tym, dlaczego szpital Świętej Patrycji w ogóle prowadzi przedszkole:

– Otworzyliśmy je przed kilkoma laty właściwie eksperymentalnie... Naszym głównym celem jest zbadanie, jak bardzo relacje z rodzicami wpływają na rozwój dzieci. Czy staną się jednostkami dojrzałymi społecznie. Zarówno stałe, jak i tymczasowe domy dziecka mają swoje wady. Tu, w Świętej Patrycji, wierzymy w moc regularnych spotkań dziecka z biolo-

gicznymi matką lub ojcem, mimo szczególnych okoliczności. Dla rodziców kontakt z dziećmi jest, rzecz jasna, częścią terapii. – Doktor zrobił pauzę, po czym dodał: – Bo to właśnie jest zadaniem kliniki: terapia. My nie wymierzamy kary, nie ma dla nas znaczenia, co zrobili nasi pacjenci.

Jan słuchał uważnie. Uderzyło go to, że doktor nie użył słowa „wyleczyć”. Högsmed zakończył szybkim pytaniem:

– Jak się to panu podoba?

Jan uznał, że oferta jest interesująca, więc wysłał zgłoszenie, dołączając życiorys. Na początku sierpnia Högsmed oddzwonił – Jan przeszedł do kolejnego etapu rekrutacji, więc lekarz chciał się z nim spotkać. Ustalili termin wizyty Jana w szpitalu, po czym Högsmed powiedział:

– Panie Janie, mam jeszcze dwie prośby.

– Tak?

– Proszę wziąć ze sobą jakiś dokument tożsamości, prawo jazdy lub paszport, abyśmy mieli pewność, kim pan jest.

– Ależ oczywiście.

– I ostatnia sprawa. Proszę nie zabierać żadnych ostrych przedmiotów. W przeciwnym razie nie zostanie pan wpuszczony.

– Ostre przedmiotów?

– Tak, z metalu, to znaczy... żadnych noży.

Jan – bez ostrych przedmiotów – przyjechał pociągiem do Valli o pierwszej po południu, na pół godziny przed rozmową. Kontrolował czas, ale w dalszym ciągu był dość spokojny. Nie miał przed sobą góry, na którą miały się wspinać, a jedynie spotkanie w sprawie pracy.

Był słoneczny wtorek na początku września. Ulice wokół stacji wyglądały na opustoszałe. Nigdy wcześniej nie był w Valli, a kiedy wkroczył na rynek, uzmysłowił sobie, że nikt nie wie, gdzie się teraz znajduje. Nikt. Czekał na niego co prawda ordynator w Świętej Patrycji, ale dla doktora Högsmeda Jan był tylko nazwiskiem i życiorysem.

Czy był gotów? Oczywiście. Poprawił rękawy marynarki i przecesał dłonią jasną grzywkę, po czym ruszył w kierunku postoiu taksówek. Stał tam tylko jeden samochód.

– Szpital Świętej Patrycji. Wie pan, gdzie to jest?

– Jasne.

Kierowca z wyglądu przypominał Świętego Mikołaja, choć nie sprawiał wrażenia dobrodusznego. Zwinął gazetę i uruchomił silnik. Kiedy Jan usadowił się na tylnym siedzeniu, ich oczy na ułamek sekundy spotkały się w lusterku, jakby Święty Mikołaj sprawdzał, czy jego pasażer jest zdrowy.

Jan chciał z początku zapytać kierowcę, czy wie, jakiego rodzaju placówką jest Święta Patrycja, ale w końcu uznał, że taksówkarz musi znać to miejsce.

Wyjechali z rynku ulicą biegnącą wzdłuż torów kolejowych, po czym skręcili i przejechali przez krótki tunel pod torowiskiem. Po jego drugiej stronie stało kilka dużych brązowych budynków z cegły, z fasadami ze stali i szkła, przypominających jakiś ośrodek zdrowia. Jan za-

uważył dwie duże karetki zaparkowane przed szerokim wejściem.

– Czy to Święta Patrycja?

Święty Mikołaj zaprzeczył, kręcąc głową.

– Nie, tutaj trafiają ludzie chorzy na ciele, a nie na głowę... To szpital rejonowy.

Słońce wciąż świeciło, na niebie nie było ani jednej chmury. Za szpitalem skręcili w lewo i podążali dalej w górę stromego wzniesienia, po czym wjechali w osiedle domów jednorodzinnych, gdzie stała tablica ostrzegawcza.

UWAGA! DZIECI!

*

Jan rozmyśla o wszystkich dzieciach, którymi zajmował się przez lata. Żadne nie było jego własne – zatrudniano go, aby się nimi opiekował. Na swój sposób jednak stawały się jego dziećmi i zawsze ciężko było mu się z nimi rozstać, kiedy kończył się okres zastępstwa. Przy pożegnaniu często płakały. On także płakał, czasami.

Nagle spostrzega jakieś dzieci między willami – przy jednym z garaży czterech chłopców w wieku około dwunastu lat gra w hokeja.

Chociaż, czy dwunastolatki naprawdę są jeszcze dziećmi? Kiedy przestaje się być dzieckiem?

Jan opiera się wygodnie, odsuwając od siebie wszelkie skomplikowane pytania. Teraz musi się skoncentrować nad prostymi odpowiedziami. Rozmowy w sprawie pracy są trudne, jeśli ma się coś do ukrycia – a kto nie ma? Wszyscy chowają swoje małe tajemnice, o których nie chcą mówić. Jan również. Dzisiaj jednak nie mogą wyjść na jaw.

Högsmed jest psychiatrą, pamiętaj.

Taksówka opuszcza osiedle willowe i jedzie dalej przez tereny, na których stoją niskie domy szeregowo. Gdy się kończą, krajobraz otwiera się na wielką łąkę. Za nią widać olbrzymi betonowy mur, wysoki na co najmniej pięć metrów, pomalowany na zielono. Nad nim biegną cienkie linie mocno napiętego drutu kolczastego.

Brakuje tylko wysokich wież z uzbrojonymi wartownikami.

Za murem wznosi się wielki szary budynek, przywodzący na myśl zamek obronny. Jan widzi tylko najwyższą jego część z rzędami wąskich okien poniżej pokrytego dachówką dachu. W wielu oknach widać kraty.

A więc tam siedzą, za kratami – myśli Jan – najniebezpieczniejsi z niebezpiecznych. Ci, którzy nie mogą wolno chodzić po ulicach... I ty też się tam wybierasz.

W klatce piersiowej czuje przyspieszone bicie serca. Myśli o Alice Rami, która być może patrzy na niego zza którejs kraty.

Spokojnie, tylko spokojnie.

Jan jest godnym zaufania, uśmiechniętym miłym człowiekiem i naprawdę kocha dzieci. Doktor Högsmed to zauważy.

W betonowym murze widnieje szeroka stalowa brama, przed którą stoi znak zakazu zatrzymywania się, więc taksówka staje wcześniej, na placu do zawracania. Jan jest na miejscu. Taksometr pokazuje kwotę dziewięćdziesięciu sześciu koron. Wręcza kierowcy banknot

stukoronowy.

– Reszty nie trzeba.

– Mhm...

Święty Mikołaj wydaje się rozczarowany napiwkami. Cztery korony nie wystarczą na żaden prezent dla dzieci. Nie wysiada z samochodu, aby otworzyć drzwi. Jan musi wysiąść sam.

– Powodzenia na rozmowie – mówi kierowca, wręczając rachunek przez uchylone okno.

Jan kiwa głową i poprawia marynarkę.

– Zna pan kogoś, kto tu pracuje?

– Nie – odpowiada Mikołaj. – Ale większość tu zatrudnionych nie chwali się tym... Dzięki temu unikają pytań na temat przetrzymywanych tu osób.

Jan zauważył, że otworzyły się mniejsze drzwi, znajdujące się obok szerokiej bramy. Stoi tam ktoś i na niego czeka. Mężczyzna koło czterdziestki z gęstymi brązowymi włosami i w okrągłych okularach. Z daleka przypomina nieco Johna Lennona.

Lennona zastrzelił Mark Chapman, myśli Jan. Dlaczego o nim pamięta? Ponieważ dzięki popełnionemu pewnej nocy morderstwu Chapman stał się sławny.

Jakie inne sławy poza Rami zamknięte są w Świętej Patrycji?

Zapomnij o tym, podpowiada wewnętrzny głos. I nie myśl o Rysiu. Skoncentruj się na rozmowie.

Mężczyzna przy murze nie ma na sobie białego kitla, lecz czarne spodnie i brązową marynarkę. Mimo to nie ulega wątpliwości, kim jest.

Doktor Högsmed poprawia okulary, obserwując Jana. Oględziny już się zaczęły. Jan po raz ostatni spogląda na taksówkarza.

– Może pan teraz zdradzić nazwę?

– Jaką nazwę?

Jan ruchem głowy wskazuje betonowy mur.

– Nazwę szpitala... Jak nazywają go ludzie?

Z początku kierowca nic nie mówi, uśmiecha się jedynie, zadowolony z ciekawości Jana.

– Święty Psychol – odpowiada.

– Jak?

Taksówkarz kiwa w stronę muru.

– Niech pan pozdrowi Ivana Rössela... Podobno tu siedzi.

Podnosi szybę i odjeżdża.

Nie, to nie zwykły drut kolczasty wieńczy mur wokół szpitala Świętej Patrycji. Jan zauważył to, gdy już zbliżył się do niego, by podać rękę doktorowi Högsmedowi. To przewody elektryczne. Tworzą ogrodzenie pod napięciem, wysokie niemal na metr, upstrzone diodami, które migają na czerwono przy każdym słupie.

– Witam. – Högsmed patrzy na niego zza grubych okularów. – Trudno było tu trafić?

– Ależ skąd...

Betonowy mur i przewody elektryczne przypominają Janowi palisadę – jak na wybiegu dla tygrysów – jednak na prawo od bramy zauważa mały ślad codzienności: stojak na rowery. W rzędzie stoją rowery męskie i damskie, wyposażone w koszyki i światełka odblaskowe. Jeden z nich na bagażniku ma zamontowane siodelko dla dziecka.

Stalowe drzwi wydają cichy trzask w chwili, gdy niewidzialne ręce przesuwają je w bok.

– Pan przodem, Janie.

– Dziękuję.

Wejście przez szpitalną bramę jest niczym stawianie pierwszych kroków w głąb czarnej jak węgiel jaskini. Obcy, nieznaną świat.

Brama zamyka się za nimi. Pierwszą rzeczą, jaką Jan zauważa po drugiej stronie muru, jest długa biała kamera, której obiektyw skierowany jest wprost na niego. Urządzenie, ciche i nieruchome, przykręcono na słupie obok bramy.

Następnie Jan widzi jeszcze jedną kamerę na innym słupie, nieco bliżej szpitala, i jeszcze więcej na samym budynku. UWAGA! OBIEKT MONITOROWANY! – ostrzega żółta tablica obok drogi.

Mijają parking, gdzie stoją kolejne tablice: ZAREZERWOWANE DLA KARETEK i dalej: ZAREZERWOWANE DLA POLICJI.

Tutaj, po drugiej stronie muru, Jan może zobaczyć całą jasnoszarą fasadę szpitala. Budynek ma pięć pięter, a na każdym z nich długie rzędy wąskich okien. Wokół okien na najniższych piętrach pnie się bluszcz, przypominający wielkie wijące się robaki.

Jan czuje się ściśnięty, uwięziony między murem a szpitalem. Idzie niepewnie za doktorem, który prowadzi dalej, stawiając szybkie kroki.

Chodnik kończy się przy stalowych drzwiach. Są zamknięte, ale ordynator przykłada swą kartę magnetyczną i macha do najbliższej kamery. Po chwili w zamku słychać kliknięcie. Wchodzi do niewielkiego pomieszczenia, w którym mieści się oszklona recepcja i wisi kolejna kamera. Wewnątrz unosi się zapach mydła i wilgotnego kamienia – ktoś niedawno umył podłogę. W recepcji za ciemną szybą siedzi barczysty cień. Szpitalny strażnik. Jan zastanawia się, czy jest uzbrojony.

Myśl o przemocy i broni sprawia, że zaczyna nasłuchiwać głosów pacjentów, ale prawdopodobnie są za daleko. Zamknięci za stalowymi drzwiami i grubymi ścianami. Zresztą, dlaczego miałby ich słyszeć? Raczej nie wrzeszczą, nie śmieją się ani nie walą w kraty blaszanymi kubkami. Prawda? Ich świat to raczej ciche pokoje i puste korytarze.

Doktor zadał pytanie. Jan odwrócił głowę.

– Słucham?

– Dokumenty – powtarza Högsmed. – Ma je pan ze sobą?

– Oczywiście... Już.

Jan wkłada dłoń do kieszeni, po czym podaje swój paszport.

– Proszę go zatrzymać – mówi doktor Högsmed. – Niech pan tylko otworzy go na stronie z danymi osobowymi i przytrzyma przed tą kamerą.

Jan unosi paszport. Słychać kliknięcie kamery. Został zarejestrowany.

– Dobrze. Teraz jeszcze tylko spojrzenie do pańskiej torby.

Jan musi otworzyć torbę i w obecności strażnika oraz doktora wyjąć jej zawartość: paczkę chusteczek, kurtkę przeciwdeszczową i zwiniętą gazetę „Göteborgs-Posten”...

– No to gotowe.

Doktor macha ręką do strażnika za szybą, po czym prowadzi Jana pod dużym stalowym łukiem – wyglądającym jak wykrywacz metalu – i dalej, ku następnym drzwiom, które musi otworzyć.

Jan ma wrażenie, że im bardziej posuwają się w głąb szpitala, tym robi się chłodniej. Pokonawszy kolejne trzy stalowe wejścia, znajdują się w korytarzu kończącym się prostymi drewnianymi drzwiami. Högsmed je otwiera.

– To tutaj urzęduję.

Jest to zwyczajny gabinet. Przeważa w nim biel. Białe jest właściwie wszystko, od tapet po oprawione dyplomy, wiszące obok półek z książkami. Półki zresztą także są białe, podobnie jak sterty papierów leżące na biurku. W pokoju znajduje się zaledwie jedna prywatna rzecz – jest to stojące na stole zdjęcie, na którym młoda kobieta – uśmiechnięta, choć wyglądająca na zmęczoną – trzyma w ramionach niemowlę.

Dopiero po chwili Jan zauważa coś jeszcze po prawej stronie biurka – zbiór nakryć głowy. Pięć dość wysłużonych sztuk. Niebieska czapka strażnika, biały czepek pielęgniarstwa, czarna biret rektora, zielona czapka myśliwska i czerwona peruka clowna.

Högsmed skinieniem głowy wskazuje na zbiór.

– Proszę wybrać jedno, jeśli pan chce.

– Słucham?

– Zazwyczaj pozwalam swoim nowym pacjentom wybrać jedno z nakryć głowy i założyć – wyjaśnia Högsmed. – Później rozmawiamy, dlaczego ich wybór padł właśnie na tę czapkę i co to może oznaczać... Niech pan zrobi to samo, proszę.

Jan wyciąga rękę w kierunku stołu. Ma ochotę wziąć perukę clowna. Ale co ona symbolizuje? Może lepiej być uczynną pielęgniarzką? Dobrym człowiekiem. Albo rektorem reprezentującym mądrość i wiedzę?

Jego dłoń zaczyna lekko drżeć. W końcu ją opuszcza.

– Chyba jednak zrezygnuję.

– Na pewno?

– Tak... w końcu nie jestem pacjentem.

Högsmed spogląda na Jana z zainteresowaniem.

– Widziałem jednak, że zamierzał pan wybrać clowna... A to interesujące, gdyż clowni często mają tajemnice. Ukrywają różne sprawy za uśmiechniętą maską.

– Naprawdę?

Högsmed potwierdza kiwnięciem głowy.

– Seryjny morderca John Wayne Gacy dorabiał sobie jako clown w Chicago, zanim go złapano. Lubił występować dla dzieci, a seryjni mordercy i gwałciciele sami są w pewnym sensie dziećmi, postrzegają siebie jako pępek świata, nigdy nie dorastają.

Jan nic nie odpowiada, próbuje się uśmiechnąć. Högsmed przygląda mu się przez chwilę, po czym odwraca się, wskazując sosnowe krzesło przy biurku.

– Niech pan usiądzie, Janie.

– Dziękuję, doktorze.

– Oczywiście wiem, że jestem doktorem, ale proszę mówić mi Patrik.

– Dobrze, Patriku.

Jan czuje, że rozmowa nie idzie w dobrym kierunku. Nie chce być na ty z doktorem. Siada na krześle dla gości, rozluźnia ramiona, próbując się odprężyć, po czym rzuca szybkie spojrzenie na ordynatora.

Doktor Högsmed jest bardzo młody jak na szefa całego szpitala. Nie wygląda na wypoczętego, czy ma przekrwione. Kiedy już usiadł przy stole, szybko odchylił się do tyłu na biurowym fotelu, zdjął okulary i zatrzymał wzrok na suficie.

Jan zastanawia się, co właściwie robi Högsmed, aż w końcu zauważa, że lekarz wyciąga buteleczkę z kroplami do oczu. Podnosi ją ku źrenicom i wpuszcza po trzy krople do każdego oka. Później mruga szybko, pozbywając się łez.

– Zapalenie rogówki – wyjaśnia. – Lekarze też chorują, choć czasami się o tym zapomina.

Jan potwierdza skinieniem.

– Czy to poważne?

– Nie bardzo, ale od tygodnia oczy mam suche jak papier. – Pochyla się do przodu, próbując się pozbyć drobnych łez, zanim w końcu z powrotem zakłada okulary. – A więc, Janie, witam... Pewnie już wiesz, jak naszą sądowo-psychiatryczną klinikę ochrzcili ludzie?

– Ochrzcili?

Ordynator pociera prawe oko.

– Jak nazywają szpital w miasteczku... Mówię o przydomku, jaki nadali Świętej Patrycji...

Jan zna tę nazwę od kwadransa – kołatała mu się w głowie, kiedy tu wchodził, razem z nazwiskiem mordercy, Ivana Rössela – rozgląda się jednak dokoła, jakby odpowiedź miała być wypisana na ścianach.

– Nie – kłamie. – Jak ją nazywają?

Högsmed wygląda na zaskoczonego.

– Na pewno wiesz.

– Może... Taksówkarz wspomniał coś po drodze.

– Tak?

– Tak... Chodzi o „Świętego Psychola”?

Ordynator potwierdza szybkim skinieniem, jednak zdaje się rozczarowany odpowiedzią.

– Tak, część ludzi z zewnątrz tak właśnie mówi. Święty Psychol. Nawet ja słyszałem tę nazwę kilka razy, a nie zawsze... – Högsmed powstrzymuje się, pochyla się do przodu kilka centymetrów. – Ale my, pracujący tutaj, tak nie mówimy. Używamy właściwej nazwy: Sąd-

wo-Psychiatryczna Klinika Świętej Patrycji lub po prostu „szpital”, gdy się nam śpieszy... Jeśli otrzymasz tę posadę, chciałbym, abyś także używał jednej z tych nazw.

– Oczywiście – odpowiada Jan, napotyając wzrok Högsmeda. – Mnie też nie podoba się tamto określenie.

– Dobrze. – Ordynator znowu opiera się wygodnie. – Zresztą jeśli dostaniesz pracę, to i tak nie będziesz pracował tutaj, w klinice... Przedszkole prowadzi odrębną działalność.

– Ach tak? – To coś nowego dla Jana. – A więc przedszkole nie znajduje się na terenie kliniki?

– Nie, Polana to oddzielny budynek.

– Ale co robicie z dziećmi?

– Co robimy?

– No tak, gdy mają się dostać tutaj? Chodzi mi o to, w jaki sposób spędzają czas z... z mamą czy tatą.

– Mamy specjalny pokój wizyt. Dzieci przechodzą tam przez łącznik.

– Łącznik?

– Podziemny korytarz – wyjaśnia Högsmed. – I winda.

Po tych słowach podnosi z biurka kilka papierów. Jan je rozpoznaje – to jego podanie o pracę i załącznik do niego – wyciąg z rejestru kryminalnego, zaświadczający, że Jan Hauger nigdy nie był karany za przestępstwa seksualne. Jan już się przyzwyczaił do wnioskowania o takie dokumenty – są wymagane zawsze, gdy ktoś stara się o pracę z dziećmi.

– Co my tu mamy? – Högsmed, mrużąc swe zaczerwienione oczy, zaczyna przeglądać dokumenty. – Twoje CV wygląda naprawdę bardzo dobrze. Przez dwa lata po szkole średniej pracowałeś jako opiekun w Nordbro... Później studia w Uppsali, żeby zostać wychowawcą przedszkolnym, i kilka zastępstw w różnych świetlicach i przedszkolach w Göteborgu, aż w końcu jakiś czas na bezrobociu wiosną i latem.

– Tylko przez miesiąc – odpowiada szybko Jan.

– Ale w ciągu sześciu lat byłeś na dziewięciu różnych zastępstwach – kontynuuje Högsmed. – Zgadza się?

Jan przytakuje bez słowa.

– I do tej pory żadnej stałej pracy?

– Nie – mówi Jan. Po krótkiej pauzie dodaje: – Z różnych powodów... Najczęściej byłem na zastępstwie za kogoś, komu urodziło się dziecko, a takie osoby, rzecz jasna, zawsze wracają na swoje stanowiska.

– Rozumiem. Tym razem także chodzi o zastępstwo – mówi doktor. – Do końca roku, to na pewno.

Jan nie może zignorować zawołowanej aluzji, że jest niezaradny. Ruchem głowy wskazuje swój życiorys.

– Dzieci i rodzice mnie lubili... I zawsze otrzymywałem dobre opinie.

Doktor kiwa głową, czytając dalej dokumenty.

– Widzę, nawet bardzo dobre... Z trzech ostatnich miejsc pracy. Wszystkie cię polecają. – Odkłada papiery i spogląda na Jana. – A inni?

– Inni?

– Jaką opinię mieli inni kierownicy przedszkoli? Czy byli z ciebie niezadowoleni?
– Nie, z całą pewnością nie. Po prostu nie chciałem podawać każdej pozytywnej...
– Oczywiście, rozumiem... – przerywa doktor. – Zbyt wiele pochwał może wydać się podejrzane... Ale czy mogę tam zadzwonić? Do którejś z wcześniejszych świetlic?
Nagle doktor staje się bardziej energiczny, z ciekawości już zdążył położyć dłoń na telefonie.

Jan siedzi, milcząc, z na wpół otwartymi ustami. To przez czapki, podejrzewa – przez to, że odmówił wzięcia udziału w teście psychologicznym Högsmeda. Chce skinieniem głowy wyrazić zgodę, ale kark ma całkiem sztywny.

Tylko nie Ryś, myśli. Dzwon do wszystkich pozostałych, ale nie do przedszkola Ryś.

Ostatecznie udaje mu się poruszyć głową. Kiwa potwierdzająco.

– Nie ma problemu – mówi. – Ale niestety nie mam numerów telefonów.

– To nic... Znajdziemy w sieci.

Högsmed ostatni raz spogląda na listę dawnych pracodawców Jana, po czym wystukuje coś na klawiaturze.

Nazwę jednej z pierwszych świetlic. Ale której? Której? Jan nie jest w stanie tego dojrzeć, a nie chce pochylać się nad biurkiem, by dowiedzieć się, że to Ryś.

Dlaczego w ogóle wpisał tę nazwę w życiorysie?

D z i e w i ę ć l a t t e m u! Jeden jedyny błąd z jednym dzieckiem, przed dziewięćciu laty... Czy wyjdzie to teraz na jaw?

Oddycha spokojnie, lekko opierając opuszki palców o uda. Tylko szaleńcy pod presją zaczynają machać rękoma.

– Świetnie, jest i numer – mruczy pod nosem Högsmed, mrugając przed monitorem. – No to wybieram...

Podnosi słuchawkę i wystukuje sześć cyfr na klawiaturze telefonu, rzucając Janowi krótkie spojrzenie. Jan stara się uśmiechnąć, ale wstrzymuje oddech. Do kogo dzwoni doktor?

Czy w Rysiu pracuje jeszcze ktoś z jego czasów – ktoś, kto wciąż go pamięta? Ktoś, kto pamięta, co wydarzyło się w lesie?

– Halo?

Usłyszawszy odpowiedź, ordynator pochyła się nad biurkiem.

– Mówi Patrik Högsmed, tak... Szukam u państwa kogoś, kto pracował z Janem Hauge-rem. Właśnie tak, H-A-U-G-E-R. Był u was na zastępstwie osiem, dziewięć lat temu.

Osiem, dziewięć lat temu. Jan opuszcza głowę, słysząc te słowa. Doktor dodzwonił się więc do jednej ze świetlic w Nordbro. Albo Słonecznik, albo Ryś. Później Jan opuścił miasto swojego dzieciństwa.

– To było, zanim pani zaczęła pracę, pani Julio? W porządku, a może jest ktoś, kto wówczas pracował... Dobrze, proszę połączyć mnie z kierownikiem. Czekam.

W pokoju zapada cisza. Jest tak cicho, że Jan słyszy zamykające się gdzieś w korytarzu drzwi.

Nina. Jan przypomina sobie nagle, że kierowniczką w Rysiu była Nina Gundotter. Dziwne nazwisko. Nie myślał o Ninie przez wiele lat – wszystkie wspomnienia z Rysia wetknął do butelki, którą głęboko zakopał.

Biały zegar tyka na ścianie, jest piętnaście po drugiej.

– Halo?

Znowu ktoś odebrał. Jan wbija palce w uda. Wstrzymuje oddech, słuchając, jak Högsmed się przedstawia i po raz drugi wyjaśnia, w jakiej sprawie dzwoni. Po chwili lekarz milknie i słucha.

– A więc pamięta pani Jana Haugera? Świetnie... Co może pani o nim powiedzieć?

Cisza, ordynator rzuca w kierunku Jana szybkie spojrzenie i słucha dalej.

– Dziękuję – mówi po chwili. – Już wszystko wiem. Tak, pozdrowię go. Dziękuję, bardzo dziękuję. – Odkłada słuchawkę i odchyła się w fotelu. – Kolejna dobra opinia. – Kiwa głową. – Rozmawiałem z Leną Zetterberg ze świetlicy Słonecznik w Nordbro. Mówiła o tobie tylko dobrze. „Jan Hauger był osobą pozytywnie nastawioną do pracy, odpowiedzialną, lubianą zarówno przez rodziców, jak i dzieci...” Najwyższa ocena.

Jan znowu zaczyna się uśmiechać.

– Pamiętam Lenę – odpowiada. – Dobrze się nam pracowało.

– Świetnie. – Ordynator wstaje, podnosząc z biurka plastikową teczkę. – Chodźmy zatem do naszego pięknego przedszkola... Zapewne wiesz, Janie, że teraz mówimy „przedszkole”?

– Tak.

– Określenie „świetlica” wyszło z mody, podobnie jak „ochronka” – mówi, po czym dodaje: – Podobnie dzieje się oczywiście z określeniami z dziedziny psychiatrii, niektóre w miarę upływu lat przestają być dobrze widziane. Takie słowa, jak histeryk, szalenciec i psychopata nie są już akceptowane. W Świętej Patrycji nie rozmawiamy już nawet o chorych czy zdrowych, lecz mówimy o ludziach funkcjonujących dobrze i tych z dysfunkcjami. – Spogląda wymownie na Jana. – Bo kto z nas zawsze jest zdrowy?

Trudne pytanie, Jan postanawia nie odpowiadać.

– I co właściwie możemy o sobie wiedzieć? – kontynuuje doktor. – Czy gdybyś na koryta-

rze spotkał tutaj jakiegoś mężczyznę, wiedziałbyś, Janie, czy jest zły, czy dobry?

– Nie... Założyłbym raczej, że będzie dla mnie miły.

– Dobrze – mówi lekarz. – Zaufanie do innych świadczy często o wierze w samego siebie.

Jan kiwa głową, idąc za Högsmedem przez szpitalne korytarze. Doktor znowu wyciąga kartę magnetyczną.

– To jest najszybsza droga do przedszkola – informuje Högsmed, otwierając drzwi. – Można iść także przez szpitalną piwnicę, ale tamta trasa jest zagmatwana i nieprzyjemna. Przejdziemy więc z powrotem przez bramę.

Wychodzą ze szpitala tą samą drogą, którą przyszli. Przechodząc obok stanowiska wartownika, Jan spogląda na grubą szybę i pyta cichym głosem:

– Niektórzy pacjenci są chyba niebezpieczni?

– Niebezpieczni?

– Tak, agresywni...

Högsmed wzdycha, jakby myślał o czymś przykrym.

– Tak, ale najbardziej niebezpieczni dla siebie samych. Od czasu do czasu bywają agresywni w stosunku do innych – odpowiada. – W klinice przebywają oczywiście osoby wykazujące skłonności destrukcyjne, wyizolowane ze społeczeństwa, mężczyźni i kobiety, którzy robili, jak by to powiedzieć, złe rzeczy...

– A możecie ich wyleczyć? – pyta Jan.

– „Wyleczyć” to wielkie słowo – odpowiada Högsmed, patrząc na znajdujące się przed nim stalowe drzwi. – My, terapeuci, nie możemy wejść do tego samego ciemnego lasu, w którym zbłądzili nasi pacjenci. Musimy zostać w świetle i próbować wywabić ich do siebie... – Po chwili ciszy kontynuuje: – U przestępców stosujących przemoc możemy zaobserwować pewien wzorzec. Wspólnym mianownikiem ich zachowań są przeróżne traumy z dzieciństwa. Często mieli bardzo trudne relacje z rodzicami lub nie mieli ich wcale. – Otwierając zewnętrzną bramę, doktor spogląda na Jana. – I dlatego prowadzimy ten projekt, Polanę. Celem naszego małego przedszkola jest podtrzymanie tej delikatnej nici łączącej dziecko z przebywającym w klinice rodzicem.

– A drugi rodzic zgadza się na te wizyty?

– Jeśli sam jest zdrowy. I jeśli żyje – mówi doktor, pocierając oczy. – Nie zawsze tak jest... Rzadko mamy tu do czynienia ze stabilnymi rodzinami.

Jan nie pyta o nic więcej.

Po chwili docierają na otwartą, słoneczną przestrzeń. Ordynator mruga, źle znosząc dzienne światło.

– Idź przodem, Janie.

Kierują się w stronę betonowego muru. Jan wcześniej nie zauważył, że nawet w ten jesienny dzień powietrze poza budynkiem wydaje się niezwykle czyste. Suche i świeże.

Brama w murze otwiera się, a Jan wychodzi na zewnątrz. Na zewnątrz, na wolność. Tak właśnie się czuje, idąc ulicą, chociaż, rzecz jasna, mógł opuścić szpital w każdej chwili. Żaden strażnik by go nie zatrzymał.

Stalowa brama zamyka się za nimi.

– Tędy – kieruje Högsmed.

Jan idzie za nim wzdłuż kamiennego muru, obserwując w oddali południowe peryferie miasta. Za szerokim, świeżo zaoranym polem leży kilka kwartałów zabudowanych małymi domami szeregowymi. Zastanawia się, co właściciele tych domów myślą o szpitalu.

Högsmed również spogląda w kierunku tej samej dzielnicy, jakby słyszał myśli Jana.

– Nasi sąsiedzi – oznajmia. – Wcześniej miasto nie było tak rozbudowane jak teraz, a szpital leżał na uboczu. Nigdy jednak nie mieliśmy problemów z jakimikolwiek protestami czy zbieraniem przez mieszkańców podpisów pod apelem o likwidację szpitala, co zdarzało się innym klinikom psychiatrycznym. Myślę, że ludzie wiedzą, że nasza działalność jest bezpieczna... że naszym najwyższym priorytetem jest bezpieczeństwo.

– Czy ktoś kiedyś uciekł?

Jan zdaje sobie sprawę, że zadał prowokacyjne pytanie. Högsmed jednak podnosi kciuk, wskazując, że był jeden taki przypadek.

– Za moich czasów zdarzyło się to raz – odpowiada. – Młody mężczyzna, przestępca seksualny, któremu w rogu parku udało się z suchych gałęzi zbudować chwiejącą się drabinę. Później wdrapał się na ogrodzenie i zniknął. – Högsmed znowu spogląda w kierunku domów i kontynuuje: – Policja złapała go tego samego wieczoru, ale zdążył już nawiązać kontakt z jedną dziewczynką. Siedzieli podobno na ławce w parku i jedli lody. – Doktor podnosi wzrok ku przewodom elektrycznym biegnącym ponad murem, dodając: – Po tym zdarzeniu jeszcze zaostrzyliśmy środki bezpieczeństwa, chociaż nie uważam, że wtedy musiałyby się stać coś groźnego... Czasami uciekinierzy szukają towarzystwa dzieci, aby poczuć się bezpiecznie. W głębi serca sami są jak przerażone dzieci.

Jan nic nie odpowiada. Wychodzi z doktorem na drogę przed murem. Odgadł, że zmierzają do drewnianego pawilonu, położonego na północ od szpitala. Do miejsca zwanego Polaną.

Betonowy mur zakręca przed nim, tworząc łuk na trawniku. Wokół przedszkola postawiony jest jedynie niski płotek. W jego obrębie widać huśtawki, czerwony domek do zabawy i piaskownicę, ale ani jednego dziecka. Prawdopodobnie są w środku.

– Ile jest tu teraz dzieci? – pyta.

– Około dwanaścioro – odpowiada Högsmed. – Troje tu mieszka, z różnych względów. Sześcioro lub siedmioro przebywa tutaj tylko w ciągu dnia. Poza tym mamy jeszcze kilkoro, które przychodzą dość sporadycznie. – Otwiera swą teczkę i wyjmuje kartkę papieru. – A tak przy okazji – dodaje – tu jest kilka reguł odnoszących się do dzieci... Proszę, przeczytaj je od razu.

Jan sięga po dokument. Zatrzymuje się przed bramką prowadzącą do przedszkola i zaczyna czytać:

ZASADY OBOWIĄZUJĄCE PERSONEL

Dzieci w Polanie i pacjenci Kliniki Sądowo-Psychiatrycznej Świętej Patrycji przebywają oddzielnie. Zasada ta obowiązuje przez CAŁĄ DOBĘ, z wyjątkiem indywidualnych godzin odwiedzin u rodziców dziecka.

Personel przedszkola NIE ma wstępu na oddziały szpitala. Pracownicy przedszkola mogą odwiedzać jedynie budynki administracyjne szpitala.

Personel przedszkola odpowiada za eskortowanie dzieci przez łącznik pomiędzy Polaną a oddziałem dla odwiedzających w szpitalu. Dzieci NIE mogą chodzić tam same.

Personelowi pod żadnym pozorem NIE wolno rozmawiać z dzieckiem o odwiedzinach w szpitalu ani zadawać pytań na temat rodziców dziecka. Takie rozmowy mogą być prowadzone wyłącznie przez lekarza lub psychologów dziecięcych.

Personel przedszkola, tak samo jak pracowników szpitala, obowiązuje bezwzględna TAJEMNICA ZAWODOWA, odnosząca się do wszystkiego, co dotyczy Kliniki Sądowo-Psychiatrycznej Świętej Patrycji.

Na samym dole wydrukowano przerywaną linię. Kiedy Jan podnosi wzrok, widzi Högsmeda trzymającego w dłoni długopis. Bierze go i zapisuje swoje nazwisko na linii.

– Dobrze – stwierdza Högsmed. – Jak mówiłem, chciałem pokazać to od razu... Wszystkie przedszkola mają jakiś regulamin. Pewnie jesteś przyzwyczajony, prawda?

– Oczywiście.

Jan jednak raczej nigdy nie spotkał się z którąkolwiek z tych reguł. A rozkaz wydany przez kierownictwo szpitala jest jasny: Nie gadać o Świętym Psycholu.

Żaden problem. Jan zawsze potrafił dochować tajemnicy.

Ryś

Jan rozpoczął pracę w grupie przedszkolnej Ryś jako dwudziestolatek, tego samego gorącego lata, kiedy Alice Rami wydała swój debiutancki album. Czuł, że oba wydarzenia jakoś się ze sobą łączą. Kupił płytę, gdy tylko zauważył ją na wystawie sklepowej, zabrał do domu i puszczał w kółko. Album nosił tytuł *Rami i August*, z tym że August nie był osobą, lecz jej zespołem, składającym się z dwóch facetów grających na basie i bębnach. Cała trójka znajdowała się na zdjęciu – dwaj mężczyźni z czarnymi sterczącymi włosami, a w środku jej anielsko białe loki. Jan przyglądał się fotografii, zastanawiając się, czy któryś z nich był jej chłopakiem.

Następnego dnia kupił tani przenośny odtwarzacz CD, aby móc słuchać Rami, idąc do pracy. Najkrótsza droga prowadziła przez gęsty świerkowy las. Podążając jego ścieżkami, słuchał jej szepczącego głosu:

*Morderstwo jest zawsze samobójstwem.
Zabijam ciebie i samą siebie.
Nienawiść można nazywać miłością,
wtedy wiem, gdzie dla mnie jesteś.*

*Życie może być śmiercią,
a silny może być słabym,
kiedy jagnięta wypełniają pociągi każdego dnia.*

Inne teksty mówiły o władzy, ciemności, medycynie i księżycowym cieniu. Jan słuchał tych piosenek bez przerwy przez całe lato, aż umiał wszystkie na pamięć. Czuł, że Rami śpiewała do niego. Dlaczego nie? Na płycie była nawet piosenka, w której pojawiało się imię Jan.

*

W połowie sierpnia do świetlicy dołączyło wiele nowych dzieci. Jedno z nich było szczególnie: był to chłopiec o jasnych kręconych włosach.

Jan stał przy wejściu do Rysia, kiedy zauważył zbliżającego się chłopca. Właściwie najpierw zobaczył jego mamę. Wydawało mu się, że skądś ją zna. Ktoś sławny, czy też stara znajoma? Może zwrócił uwagę na matkę tylko dlatego, że wyglądała na starszą niż inni rodzice. Miała między trzydzieści pięć a czterdzieści lat, a to było dość dużo jak na kogoś, kto ma dziecko w przedszkolu.

Dopiero po chwili Jan zobaczył chłopca – był drobny i chudy jak patyk, ale na jego twarzy wyróżniały się wielkie niebieskie oczy. Miał około pięciu, sześciu lat. Jego włosy były bardzo jasne, podobnie jak włosy Jana w jego wieku. Ubrany był w ciasną czerwoną kurtkę. Szli z mamą w stronę przedszkola, lecz minęli Rysia – oddział, w którym pracował Jan – i skierowali się ku drzwiom Niedźwiadka.

Jan uznał, że to niedobrana para. Matka wysoka i szczupła, ubrana w jasnobrązową skórzaną kurtkę z futrzanym kołnierzem. Chłopiec zaś tak niski, że zdawał się ledwie sięgać jej

do kolan. Musiał szybko przebierać krótkimi nóżkami, aby nadążyć za długimi krokami mamy.

Ubranie chłopca wyglądało na dość cienkie jak na panujący jesienny chłód. Powinien być ubrany inaczej.

Jan już zdążył otworzyć drzwi Rysia, by wejść do ciepłego pomieszczenia z sześciorgiem dzieci, lecz zatrzymał się, widząc idących matkę z chłopcem. Patrzył na nich. Dziecko wbiło wzrok w ziemię, ale mama obdarzyła Jana szybkim spojrzeniem i bezosobowo skinęła głową. Był dla niej obcą osobą, bezimiennym opiekunem dzieci. Jan także skinął i zatrzymał się na wystarczająco długą chwilę, by zobaczyć, jak wchodzili na pagórek i otworzyli drzwi do sali Niedźwiadka.

Przed tymi drzwiami siedział brunatny niedźwiedź, wycięty z płyty wiórowej. Na drzwiach, które Jan otworzył dzieciom, namalowano żółtego rysia. Dwa leśne drapieżniki. Jan od początku swej pracy w tym miejscu, a więc od lata zeszłego roku, uważał, że te nazwy nie pasują do przedszkola – rysie i niedźwiedzie nie są przecież miłymi zwierzakami.

Chłopiec i mama zniknęli. Jan nie mógł dłużej stać w drzwiach, musiał wracać do pracy. Dołączył do swojej grupy, jednak nie umiał zapomnieć tego krótkiego spotkania.

Listy nazwisk dzieci z poszczególnych grup zapisane były we wspólnym pliku w komputerze, więc zanim Jan udał się do domu w towarzystwie muzyki Rami, wśliznął się do recepcji, aby się dowiedzieć, jak nazywa się nowy chłopiec w Niedźwiadku.

Od razu znalazł nazwisko: William Halevi, syn Rolanda i Emmy Halevich.

Jan długo patrzył na imiona i nazwisko tych trzech osób. Był również adres domowy, ale teraz go nie potrzebował. Wystarczyła wiedza, że mały William będzie przez całą jesień przebywał w sąsiadującym budynku. Niemal za drzwiami.

– Napijesz się kawy, Janie? – pyta Marie-Louise.

– Bardzo chętnie, dziękuję.

– Z mlekiem?

– Nie, dziękuję.

Marie-Louise jest kierowniczką Polany. Ma jakieś pięćdziesiąt–sześćdziesiąt lat, siwe kręcone włosy i głębokie zmarszczki mimiczne wokół oczu – dużo się uśmiecha. Sprawia wrażenie, jakby chciała, żeby każdy człowiek czuł się dobrze w jej towarzystwie, zarówno ten mały, jak i dorosły.

Jan rzeczywiście dobrze się przy niej czuje. Nie pamięta już, jak wyobrażał sobie przedszkole, zanim tu wszedł, ale wewnątrz nie czuje się bliskości betonowego muru, przebiegającego w odległości zaledwie kilkudziesięciu metrów od Polany.

Po pobycie w nagich korytarzach Świętej Patrycji i białym biurze Högsmeda Jan wylądował w tęczowym świetle, gdzie kołyszące się dziecięce rysunki pokrywają wszystkie ściany, gdzie żółte i zielone dziecięce kapcie stoją rzędem w holu, a wielkie skrzynie w sali wypełnione są pluszowymi zwierzątkami i książkami z obrazkami. Powietrze jest ciepłe i trochę ciężkie, jak w każdym pomieszczeniu, w którym dopiero co bawiły się dzieci.

Przez lata Jan był w wielu jasnych i czystych przedszkolach, ale Polana wywołuje u niego poczucie spokoju, od chwili gdy tylko tam wszedł. W tym niewielkim budynku panuje harmonia – jest p r z y t u l n i e.

W przedszkolu jest cicho, ponieważ w oddzielnym pomieszczeniu trwa właśnie poobiednia drzemka dzieci. Dzięki temu cały personel może się zebrać w pokoju wychowawców.

Przy stole oprócz Marie-Louise siedzi trójka jej młodszych współpracowników. Są wśród nich dwie kobiety. Lilian, z upiętymi ciemnorudymi włosami, ma około trzydziestu pięciu lat. W jej oczach da się zauważyć pewien smutek, który próbuje ukryć – dużo mówi, nerwowo się porusza i trochę zbyt głośno śmieje. Hanna o prostych jasnych włosach jest o jakieś dziesięć lat młodsza. Ma na sobie białą bluzkę i różowe dżinsy. Piękne niebieskie oczy. Prawie w ogóle się nie odzywa.

Lilian i Hanna nie są podobne, ale wspólnie oddają się tej samej przyjemności. W połowie przerwy na kawę wychodzą, żeby zapalić na ulicy, przed ogrodzeniem Polany. Przez okno wyglądają na bardzo żyte. Lilian coś szepcze, a Hanna przytakuje.

Kiedy Marie-Louise spogląda ku palaczkom, między jej brwiami pojawia się zmarszczka. Gdy kobiety wracają, kierowniczka znowu się uśmiecha.

Marie-Louise szczególnie często uśmiecha się do czwartej osoby zatrudnionej w świetlicy: do Andreasa. Andreas nie pali, używa tylko snusu, a ze swymi szerokimi ramionami bardziej przypomina robotnika budowlanego niż opiekuna dzieci. Wygląda na pewnego siebie, jakby nic go nie niepokoiło.

Ordynator Högsmed również siedzi przy kuchennym stole. Zaczął od przedstawienia Jana, nazywając go „tym męskim kandydatem”, co pozwala sądzić, że była przynajmniej jeszcze jedna osoba, której kandydaturę rozpatrywano na to stanowisko. Następnie Hög-

smed oddaje głos personelowi.

O czym jednak mogą rozmawiać? Jan właśnie przeczytał zasady obowiązujące pracowników i nie ma zamiaru ich łamać, nie dzisiaj. Nie może więc pytać o szpital Świętej Patrycji, nie może mówić o dzieciach. Zastanawia się nad tematem rozmowy.

– Kim była święta Patrycja? – pyta w końcu.

Doktor spogląda na niego.

– Świętą, rzecz jasna.

– Ale czym się zajmowała? Może wiecie, kiedy żyła?

Zamiast odpowiedzi otrzymuje jedynie milczenie i przeczące ruchy głowami.

– Raczej nie zajmujemy się tutaj świętymi – mówi Högsmed z gorzkim uśmiechem.

Znowu zapada cisza, więc Jan pyta Marie-Louise o godziny pracy.

– W tej chwili placówka działa całą dobę – odpowiada kierowniczka. – Mamy tutaj troje dzieci, które nie mieszkają w domach dziecka, więc przebywają tu także nocą. – Po chwili dodaje: – Czy samodzielne nocne dyżury stanowiłyby dla ciebie problem, Janie?

– Ależ skąd.

W okno obok Jana coś zaczyna stukać. Kiedy odwraca głowę, zauważa, że zaczęło padać. Po chwili o szybę bębnią już wielkie krople. Za nimi wyłaniają się kamienny mur i szpital. Jan patrzy w stronę kliniki do chwili, gdy Lilian pyta:

– Masz rodzinę, Janie?

To nowe pytanie. Czy Lilian jest wielbicieleką życia rodzinnego? Odruchowo lekko się do niej uśmiecha.

– Tak... Mam młodszego brata, który studiuje medycynę w Londynie, i mamę w Nordbro. Nie mam żony... ani własnych dzieci.

– To może dziewczynę? – drąży Lilian.

Jan powoli otwiera usta, lecz Marie-Louise z zatroskaną miną mówi cicho:

– To prywatna sprawa, Lilian.

Jan zauważa, że zarówno Lilian, jak i Hanna nie noszą obrączek. Szybkim ruchem głowy wykonuje przeczący gest. N i e. Może to oznaczać, że jest singlem lub że nie chce odpowiadać.

– A co porabiasz w wolnym czasie? – pytanie zadał tym razem doktor Högsmed.

– To i owo – odpowiada Jan. – Interesuję się muzyką, gram trochę na bębnach... i rysuję.

– A co takiego rysujesz?

Jan zwleka z odpowiedzią – znowu zaczynają wchodzić na zbyt osobiste obszary.

– Pracuję nad komiksem... Taki stary projekt marzeń.

– Aha... Dla jakiejś gazety?

– Nie. Nie jest jeszcze gotowy, właściwie daleko mu do tego.

– Musisz pokazać go dzieciom – wtrąca się Marie-Louise. – Często im czytamy.

Jan potwierdza skinieniem, choć wątpi, że przedszkolaki zechcą czytać komiks o Lękwym. Jest w nim zbyt wiele nienawiści.

Nagle z sypialni dobiega stłumiony krzyk. Marie-Louise nieruchomieje, Andreas odwraca głowę.

– To chyba Matilda – mówi cicho.

– Tak – potwierdza Marie-Louise. – Matilda często śni.

– To przez jej wyobraźnię – dodaje Lilian. – Matilda ciągle fantazjuje.

Jan nie dowiaduje się niczego więcej o żadnym z dzieci. Przy stole znowu zapada cisza. Wszyscy wydają się wyczekiwać kolejnych krzyków z pokoju dzieci, lecz niczego już nie słychać.

Högsmed pociera oczy i spogląda na zegarek.

– No dobrze, Janie, pewnie chcesz wracać do domu?

– Tak... Chyba rzeczywiście już na mnie czas.

Rozumie aluzję – ordynator próbuje się go pozbyć. Lekarz zapewne chce poznać opinie czworga pracowników o męskim kandydacie.

– Odezwę się. Mam twój numer.

Jan zdecydowanym uściskiem dłoni żegna się z każdym po kolei, uprzejmie się uśmiechając.

Jesienne deszczowe chmury przesunęły się dalej.

Wychodząc przez bramkę Polany, Jan nie widzi przy szpitalnym murze żywej duszy. Sama Święta Patrycja wygląda niemal jak żywa – z fasadą pociemniałą od deszczu szpital przypomina kamiennego olbrzyma, pochylającego się nad przedszkolem.

Jan zatrzymuje się przy murze i spogląda ku klinice. Ku wszystkim oknom. Czeka, aż ktoś się tam pojawi – poruszająca się za kratą głowa lub dłoń oparta o szybę. Nic jednak się nie dzieje. Po chwili Jan stwierdza z niepokojem, że może go zauważyć któryś ze strażników i pomyśleć, iż jakiś szalenciec stoi i się gapi. Rusza dalej, rzucając ostatnie spojrzenie w kierunku małego przedszkola.

Mur wokół Świętej Patrycji jest niesamowicie fascynujący, ale musi przestać o nim myśleć. Powinien skoncentrować się na Polanie – na małym domku i śpiących w nim dzieciach.

Przedszkola są jak oazy spokoju i bezpieczeństwa.

Jan naprawdę chce dostać tę posadę, mimo że jego nerwy wciąż są napięte po badaniu u Högsmeda. Po t e ś c i e c z a p k i. A jeszcze bardziej po telefonie do jego dawnego miejsca pracy.

Do tego, co wydarzyło się w Rysiu, na pewno nie dojdzie w Polanie.

Wtedy był młodym, dwudziestoletnim chłopakiem. Nie do końca wiedział, co robi.

Ulewa minęła. Jesienne powietrze w Valli jest chłodne i rześkie. Wracając przez dzielnicę willową, przez tory i dalej w dół ulicami handlowymi, Jan obserwuje miasto leżące w dolinie niczym w rondlu. Pełno tu nastolatków i emerytów. Młodzi stoją przed sklepami, a starsi siedzą na ławkach. Widzi psy na smyczach i małe grupki ptaków zgromadzonych wokół koszy na śmieci, ale bardzo niewiele dzieci.

Następny pociąg do Göteborga odchodzi za godzinę, więc Jan ma mnóstwo czasu, aby spacerować. Po raz pierwszy w trakcie wędrówki przez Vallę zastanawia się, jak się tu mieszka. W tej chwili jest tylko gościem, ale jeśli otrzyma pracę w przedszkolu, będzie musiał się przeprowadzić. Nagle, kiedy idzie ulicą Storgatan, rozbrzmiewa jego telefon. Wieje chłodny wiatr. Jan zatrzymuje się przy ceglanej ścianie i odbiera.

– Jan? – Słyszysz mrukiwy i pozbawiony siły głos: to jego stara matka. Od razu padają pytania: – Co robisz? Jesteś w Göteborgu?

– Nie, byłem... na rozmowie o pracę.

Zawsze z trudem przychodziło mu opowiadanie mamie, czym się zajmował. Było to zbyt osobiste.

– Rozmowa o pracę, to dobrze. Praca jest w mieście?

– Nie, trochę poza.

– No to nie będę przeszkadzać...

– Nie przeszkadzasz, mamu. Nieźle poszło.

– A jak się miewa Alice?

– Dobrze. Pracuje.

– Byłoby miło, gdybyście kiedyś przyjechali. Oboje.

Jan nie odpowiada.

– Może trochę później, jesienią? – sugeruje mama.

Jan nie słyszy w jej głosie krytyki, jedynie ciche oczekiwanie samotnej wdowy.

– Tak, przyjadę na jesieni – odpowiada Jan. – I... I porozmawiam z Alice.

– Świetnie. No to powodzenia. Pamiętaj, że masz być zadowolony także z pracodawcy.

Jan dziękuje pośpiesznie i wyłącza telefon.

A l i c e. Przypadkiem wymienił kiedyś to imię w rozmowie z matką, a ono powoli zaczęło być własnym życiem i stało się dziewczyną syna. Oczywiście w jego życiu nie ma żadnej kobiety. Alice była jedynie senną postacią. Matka chce ją poznać, więc któregoś dnia musi jej opowiedzieć, jak sytuacja wygląda naprawdę.

Spacerując po centrum Valli, widzi wiele ogromnych witryn sklepowych, lecz ani jednego kościoła. Nie ma tu też cmentarzy.

Przy strumieniu znajduje się ładne muzeum regionalne, z małą kawiarenką. Jan wchodzi tam i kupuje kanapkę. Siada przy oknie i obserwuje dworzec autobusowy.

Nie zna w Valli ani jednej osoby – nie wie, czy go to przeraża, czy też daje poczucie wolności. Zaletą takiej sytuacji jest to, że jako obcy może zacząć całkiem nowe życie i wybierać, o których szczegółach chce opowiedzieć, jeśli ktoś zapyta, skąd pochodzi. Im mniej opowie-

dzi, tym lepiej. Nie musi właściwie nic mówić o swym wcześniejszym życiu. Ani o Alice Rami.
A przecież to właśnie uwielbienie dla niej sprawia, że tu siedzi.

Pierwszy raz o szpitalu Świętej Patrycji usłyszał na początku czerwca, kiedy kończyło się jego ostatnie zastępstwo w przedszkolu w Göteborgu. To był całkiem wesoły wieczór, Jan czuł się niemal zadowolony.

Jak zwykle był jedynym mężczyzną w kobiecym gronie. Koleżanki z przedszkola zaprosiły go do restauracji, aby podziękować za przepracowany razem czas, a on przyjął propozycję. Po kolacji zrobił coś niezwykłego – zaprosił wszystkie do swojego małego mieszkania na Johannebergu. Do wynajętej ciasnej kawalerki.

Na co mógłby je zaprosić? Sam prawie nie pijał alkoholu, ledwie znosił jego smak.

– Chyba mam w domu trochę chipsów, jeśli zechcecie wpaść.

Pięć koleżanek przyjęło zaproszenie, lecz Jan zaczął go żałować już na schodach. Kiedy otwierał drzwi, powiedział:

– Przepraszam za bałagan...

– Nic nie szkodzi! – wołały lekko wstawione kobiety, chichocząc.

Jan wpuścił je do środka.

Jego dziennik leżał schowany w szufladzie biurka razem z komiksem o Lękliwym. Niczego więcej nie miał do ukrycia, z wyjątkiem zdjęć Rami. Gdyby wcześniej wiedział o odwiedzinach, je również by schował. Gdy kobiety weszły do mieszkania, oczywiście zauważyły oprawioną okładkę płyty w przedpokoju, afisz koncertowy w kuchni oraz wielki plakat, który był dodatkiem do pewnego pisma muzycznego sprzed niemal dziesięciu lat, przyczepiony szpilkami na ścianie obok półki z książkami.

Było to czarno-białe zdjęcie Rami, stojącej w rozkroku na małej scenie, z gitarą w ręku. Jej sterczące włosy oświetlone były przez reflektory. Zza piosenkarki jak rozmyte duchy wyłaniał się pozostali członkowie zespołu. Dwudziestolatka mrużyła oczy w świetle i wyglądała, jakby mruczała coś do mikrofonu. Ponieważ było to jedyne zdjęcie idolki, które znalazł, nie pozbył się go przez te wszystkie lata.

Jedna z przedszkolank, starsza od Jana o kilka lat, zatrzymała się przy plakacie.

– Rami? – zapytała. – Lubisz ją?

– Pewnie – odparł Jan. – To znaczy jej muzykę... Słyszałaś, jak śpiewa?

Koleżanka przytaknęła, wciąż patrząc na Rami.

– Słuchałam jej, kiedy wyszła pierwsza płyta, ale to było dość dawno. Chyba nie wydała żadnego kolejnego albumu, prawda?

– Nie – odrzekł cicho Jan.

– A teraz, zdaje się, jest na jakiejś kuracji – dodała dziewczyna.

Jan spojrział na nią. Nidy wcześniej o tym nie słyszał.

– Na kuracji? W szpitalu?

– Tak... Zamknęli ją w jakimś szpitalu psychiatrycznym. W klinice Świętego Patryka, tu, na zachodnim wybrzeżu.

Jan wstrzymał oddech. Alice Rami w szpitalu? Spróbował to sobie wyobrazić. Udało mu się.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał.

Koleżanka wzruszyła ramionami.

– Gdzieś o tym słyszałam kilka lat temu, nie pamiętam dokładnie... To były tylko plotki.

– Wiesz, dlaczego... dlaczego tam wylądowała?

– Nie mam pojęcia – odparła dziewczyna. – Ale pewnie musiała zrobić coś szurniętego.

Jan skinął bez słowa.

Klinika Świętego Patryka. Miał ochotę zadać koleżance więcej pytań o Rami, ale nie chciał, by pomyślała, że to jego obsesja. Przez lata wchodził od czasu do czasu na różne fora internetowe w poszukiwaniu wieści o Rami, ale nigdy na nic się nie natknął. To była jak dotychczas najbardziej konkretna wskazówka.

Później już nic się nie wydarzyło, poza tym że lato mijało, a Jan żył dalej jako bezrobotny. Przez wiele tygodni przeglądał ogłoszenia w Göteborgs-Posten dotyczące pracy w przedszkolach – znalazł kilka.

Na początku lipca pojawiło się ogłoszenie z przedszkola Polana. Przypominało wszystkie pozostałe, a powodem, dla którego Jan je wyciął, był adres autora oferty, ordynatora Högsmeda – recepcja Regionalnej Kliniki Sądowo-Psychiatrycznej Świętej Patrycji w mieście Vala, niespełna godzinę jazdy pociągiem z Göteborga.

Jan czytał ogłoszenie raz za razem.

Przedszkole w klinice sądowo-psychiatrycznej?

Ale po co?

Wtedy przypomniał sobie informację, że Alice Rami siedzi w klinice Świętego Patryka na zachodnim wybrzeżu. Święty Patryk mógł być przekreśloną wersją świętej Patrycji.

W tym momencie usiadł i zadzwonił do doktora Högsmeda.

Jan szukał pracy w kilkunastu różnych przedszkolach w Göteborgu i poza miastem przez całą wiosnę i lato, ale nie dostał żadnej propozycji. Nic nie stało na przeszkodzie, by spróbować raz jeszcze.

W czwartkowy poranek telefon dzwoni kwadrans po ósmej, kiedy Jan jeszcze leży w łóżku. Zwleka się, podnosi słuchawkę, w której słyszy męski głos:

– Dzień dobry! Mówi Patrik Högsmed z kliniki Świętej Patrycji. Obudziłem cię? – głos doktora jest pełen wigoru.

– Nie, nic się nie stało.

On sam wydaje dźwięki jeszcze nieco zachrypnięte i niemrawe. Spał twardo i miał dziwne sny. Czy pojawiła się w nich Alice Rami? Była tam jakaś kobieta, która stała na scenie, ubrana w ciemne futro, po czym weszła do dużej skrzyni...

Ordynator wyrywa go z zamyślenia:

– Chciałem tylko powiedzieć, że wczoraj z pracownikami Polany rozmawialiśmy o tobie... Była to bardzo owocna dyskusja. Później wróciłem do gabinetu i sam się trochę zastanawiałem. Rozmawiałem też z kierownictwem kliniki. Podjęliśmy decyzję.

– Tak?

– Mówiąc wprost: czy możesz przyjechać, aby ustalić warunki zatrudnienia jak najszybciej? I rozpocząć pracę w następny poniedziałek?

Życie tak szybko może się odmienić. Trzy dni później Jan znowu jest w Valli, mieście, które będzie jego nowym domem. Domu oczywiście jeszcze nie ma, więc tego popołudnia stoi, zaglądając do ciasnego korytarza, pełnego mebli i kartonów. Ogląda mieszkanie w jednym z dużych bloków czynszowych, na północ od centrum Valli i na zachód od Świętej Patrycji.

Siwowłosa staruszka w szarym swetrze przedziera się między stertami kartonów – jest tak niska, że pudła zdają się nad nią pochylać.

– Mieszkają tu głównie starsi lokatorzy – oznajmia kobieta. – Nie ma prawie żadnej rodziny z dziećmi... więc jest cisza i spokój.

– To dobrze – mówi Jan, wchodząc dalej do mieszkania.

– Opłaty w sumie wynoszą cztery tysiące sto – mówi staruszka, zerkając na Jana, jakby lekko zawstydzona. – Praktycznie nic nie dodałam do czynszu, więc nie ma się co targować... Poza tym dostaje się mieszkanie w pełni umeblowane.

– W porządku.

W pełni umeblowane? Jan nigdy nie widział tylu gratów w jednym miejscu. Wzdłuż ścian jedne na drugich stoją krzesła, szafy i sekretarzyki. Lokal bardziej przypomina magazyn z meblami niż mieszkanie. Na swój sposób j e s t to magazyn. Meble i skrzynie należą do syna kobiety, który w tej chwili mieszka w Sundsvall.

Jan otwiera spiżarnię w kuchni i na półkach widzi rzędy butelek po alkoholu. Rum, wódka, koniak i różne likiery. Wszystkie opróżnione.

– To nie moje – kobieta szybko reaguje na ten widok. – Zostały po poprzednich lokatorach.

Jan zamyka drzwi.

– Jest tu jakiś strych?

– Stoją tam rowery wnuczków – odpowiada staruszka. – Czyli jest pan zainteresowany

mieszkaniami?

– Tak. Trochę.

Wcześniej sprawdził pośrednictwo nieruchomości w Valli – w tym miesiącu nie mieli żadnych wolnych mieszkań, a czas oczekiwania na jakiś przydział to minimum pół roku. Pod rubryką DO WYNAJĘCIA w lokalnej gazecie było jedynie to trzypokojowe umeblowane mieszkanie.

– Biorę – mówi Jan.

*

Tego samego dnia po lunchu wsiada w powrotny pociąg do Göteborga. Odbiera swoje stare volvo z warsztatu i kupuje kilka kartonów. W weekend pakuje własne meble na przyczepę i odwozi je na wysypisko. Jan dobiega trzydziestki, ale nie posiada zbyt wielu rzeczy, a takich, do których jest przywiązany, nie ma prawie wcale. W nieposiadaniu jest swego rodzaju wolność.

Wprowadza się więc do trzech pokoiów, przekładając w inne miejsce możliwie jak najwięcej z kartonów właścicielki. Próbuje schować wszystkie śmieci w garderobach i za kanapą. Teraz ma coś, co przypomina dom.

Przywiózł ze sobą także stół kreślarski oraz niemal dwustustronicowy komiks o bohaterze, którego nazywa Łęklwym. Zajmuje się nim od piętnastu lat, ale obiecuje sobie, że tutaj, w Valli, zakończy pracę. Finałową sceną będzie oczywiście ostateczna bitwa między Łęklwym a jego wrogami, Bandą Czterech.

Poniedziałek 19 września jest pięknym jesiennym dniem. Słońce oświetla drzewa i ulice oraz wielki betonowy mur wokół Świętej Patrycji. O godzinie ósmej piętnaście Jan po raz drugi w życiu przekracza go i melduje się u ordynatora, który czeka na niego przy budce wartowniczej w recepcji.

Högsmed ściska mu dłoń. Jego oczy są już zdrowe i nie łzawią.

– Gratuluję posady, Janie.

– Dziękuję, dokt... Patriku... Dziękuję za zaufanie.

– Tu nie chodzi o zaufanie. Byłeś najlepszym kandydatem.

Po przejściu przez wszystkie drzwi spotykają się z dyrektorem personalnym, a Jan składa swój podpis na różnych dokumentach. Teraz jest już członkiem personelu szpitala.

– A więc gotowe – stwierdza Högsmed. – Udamy się zatem do twojego nowego miejsca pracy?

– Chętnie.

Wychodzą za mur, idą ulicą wzdłuż niego, ale Jan nie może się powstrzymać, aby nie patrzeć w bok. W stronę Patrycji. Högsmed przeprowadza mały wykład:

– Placówka funkcjonuje od końca XIX wieku. Na początku była ośrodkiem dla tak zwanych niedorozwiniętych, po czym przekształciła się w szpital psychiatryczny, w którym regularnie stosowano lobotomie i przymusową sterylizację... Oczywiście od tamtych czasów wiele się zmieniło. Szpital zreformowano.

Jan kiwa głową, a gdy oddalają się od muru, znowu może zobaczyć kraty w oknach. Myśli

o Rami, a następnie o nazwisku wymienionym przez taksówkarza: Ivan Rössel, seryjny morderca.

– Czy pacjenci przebywają tylko na wyższych piętrach? – pyta. – Czy może są rozproszeni? Högsmed unosi dłoń, aby mu przerwać.

– Nigdy nie rozmawiamy o pacjentach.

– Rozumiem – odpowiada szybko Jan. – Nie chcę dowiedzieć się niczego o konkretnej osobie... Zastanawiam się tylko, ilu ich jest.

– Około setki. – Ordynator idzie dalej, milcząc przez chwilę, po czym kontynuuje nieco łagodniejszym głosem: – Wiem, że interesuje cię działalność Świętej Patrycji... To zwykła ludzka reakcja. Niewiele osób kiedykolwiek znalazło się w pobliżu kliniki psychiatrycznej.

Jan milczy.

– O naszej działalności mogę powiedzieć jedno – podejmuje doktor. – To mianowicie, że jest ona znacznie mniej dramatyczna, niż ludzie sądzą. To jest *business as usual*¹, niemal przez cały czas. Większość pacjentów szpitala cierpi na różne zaburzenia psychiczne, spotykamy się z traumami i zespołem natręctw. Z tych powodów tutaj przebywają. Ale – Högsmed unosi palec – nie oznacza to, że klinika jest pełna wrzeszczących wariatów. Pacjenci są zazwyczaj spokojni i kontaktowi. Wiedzą, dlaczego się tu znaleźli, i są... niemal za to wdzięczni. Nawet do głowy im nie przyjdzie, żeby uciekać. – Po chwili dodaje: – Nie wszyscy, ale większość. – Otworzywszy małą furtkę prowadzącą do przedszkola, kontynuuje: – Mogę powiedzieć jeszcze jedną rzecz o pacjentach: część z nich miała różne nałogi, dlatego na oddziałach obowiązuje ostry zakaz dotyczący medykamentów.

– Nie można stosować żadnych leków?

– Stosuje się leki, ale tylko te zalecone przez lekarzy. Pacjenci nie mogą sami ich sobie dawkować... Wprowadziliśmy także ograniczenia w kwestii telefonowania i oglądania telewizji.

– Czy zakazy dotyczą wszelkich aktywności?

– Absolutnie nie – odpowiada doktor, kiedy przekraczają próg przedszkola. – Papier, ołówki i długopisy są dostępne bez ograniczeń dla tych, którzy chcą pisać i rysować. Poza tym jest radio, mnóstwo książek. I dużo muzyki.

Jan od razu myśli o Rami i jej gitarze. Doktor ciągnie dalej:

– Zachęcamy jeszcze do jednego, jeśli pacjenci są rodzicami: do regularnego przebywania z dziećmi... Zarówno pacjenci, jak i ich dzieci potrzebują poczucia bezpieczeństwa, ustalonych zasad. We wcześniejszym życiu często im tego brakowało. – Otwierając drzwi przedszkola, ordynator po raz ostatni unosi palec wskazujący. – Odpowiednio ustalone reguły są w życiu decydujące. Wasza praca tutaj jest więc niezwykle ważna.

Jan przytakuje. Ważna praca i ustalone reguły...

Przez otwarte drzwi słychać wesołe okrzyki i śmiech. Jan wchodzi do środka, stawiając długie kroki.

Czuje się dobrze, jest spokojny. Zawsze tak się czuje, gdy ma się spotkać z dziećmi.

Ryś

Jan miał mieszkanie kilka kilometrów od świetlicy Ryś, na zachód od centrum Nordbro. Między jego osiedlem bloków a przedszkolem rozciągał się duży obszar zieleni – hektary świerkowego lasu, kryjącego skaliste pagórki wznoszące się nad jeziorem, przy którym gromadziło się okoliczne ptactwo. Całość tworzyła iluzję odległej, dzikiej krainy.

Do pracy najczęściej jeździł rowerem, ale gdy miał więcej czasu, szedł przez las. Także w wolnych chwilach spacerował po okolicy. Poznawał leśne dróżki, z których czasami zbierał, aby wejść na wzniesienie i z góry popatrzeć na jezioro i ptaki.

Pewnego dnia, idąc rano do pracy, odkrył stary bunkier.

Był wmurowany w zboczne pagórka, obmywane przez wody jeziora. Nie prowadziła tam żadna ścieżka, więc jesienią budowlę bardzo trudno było zauważyć – bunkier przypominał bowiem wielki kopiec, przykryty gałązkami, igliwem i pożółkłymi liśćmi klonu. Zardzewiałe, na wół otwarte drzwi zapraszały jednak na górę. To one zachęciły Jana do zatrzęsienia się w tym miejscu i wspięcia po zboczu, by zobaczyć bunkier z bliska.

Zajrzał przez otwór do wnętrza, gdzie było ciemno choć oko wykol. Ściany zdawały się Janowi grube na kilkadziesiąt centymetrów. Betonowa posadzka wyglądała na suchą, więc niczym grotolaz postanowił wejść do środka na czworakach.

Pomieszczenie było większe, niż można by sądzić na podstawie widocznego z zewnątrz muru, ponieważ zostało częściowo wykute w skale.

Ktoś tu przebywał i dobrze się bawił, ale musiało to być dość dawno temu. W kącie leżały pożółkłe gazety i kilka puszek po piwie. Poza tym bunkier wydawał się pusty. Jan zauważył dwa okna, chociaż właściwie były to jedynie wąskie otwory pod sufitem, prawie zupełnie zasypane liśćmi i ziemią. Domyślał się, że bunkier używany był przez wojsko jako punkt obserwacyjny. Wspomnienie z czasów zimnej wojny.

Wydostał się z powrotem na zewnątrz i stanął na zboczu. Nasłuchiwał. Drzewa szumiąły delikatnie. Nie było widać żadnych innych leśnych wędrowców.

Poniżej bunkra dostrzegł wyrównany żwirowy nasyp, pokryty częściowo trawą i gałązkami. Nie widział na nim szyn, ale być może była to pozostałość po starych torach kolejowych. Mogły być używane do budowy tego obiektu.

Jan zszedł na nasyp i ruszył na południe. Żwirowa droga prowadziła w wąską szczelinę pomiędzy olbrzymimi skalnymi blokami. Szczelina kończyła się przy zardzewiałej furtce. Była zamknięta, ale Janowi udało się ją pchnąć. Wyszedł spomiędzy skał i ruszył dalej łagodnym zboczem, aż w końcu dotarł na szczyt.

Stąd znowu zobaczył wodę ptasiego jeziora, oddalonego o kilkaset metrów stąd. Nagle wszystko skojarzył. Dzieci z Rysia były tutaj na wycieczce w lecie, dokładnie w tym czasie, kiedy on rozpoczynał swoje zastępstwo. Na pewno znowu się tu wybiorą.

Zatrzymał się i zaczął rozmyślać.

Świerkowy las był gęsty, ale Jan odnalazł ścieżkę. Szedł nią kilkaset metrów, aż ujrzał chodnik przy przedszkolu oraz zielony płot wokół podwórka, na którym bawiły się już ranne ptaszki z Rysia i Niedźwiadka. Zobaczył małego Williama Halewiego, siedzącego na szczycie

wieży wspinaczkowej i unoszącego ramiona, aby pokazać wszystkim, że wcale nie musi się trzymać.

William był odważnym chłopcem. Jan obserwował go, gdy dzieci z różnych grup bawiły się wspólnie – mimo że chłopiec był mały i delikatny, zawsze wspinał się najwyżej i biegał najszybciej.

Jan spojrzął na Williama i pomyślał o bunkrze w lesie.

I tak to się zaczęło – nie jako gotowy plan, aby zwabić dziecko do lasu, ale raczej jako pomysł na zabawę, na spędzenie czasu. Pomysł, który Jan zachował dla siebie.

– Tutaj jest grafik – mówi Marie-Louise, wskazując palcem drzwi lodówki. – Musimy się trzymać tych godzin. Codziennie. Czasami zostawiamy jedno dziecko w szpitalu, odbierając jednocześnie inne.

Jan spogląda na kartkę. Widnieje na niej kolumna imion, z dopisanymi datami i godzinami wizyt w nadchodzącym tygodniu.

Na samej górze zapisano: „Leo, poniedziałek 11–12”. I dalej: „Matilda, poniedziałek 14–15” oraz „Mira i Tobias, poniedziałek 15–16”.

Teraz jest dopiero za piętnaście dziewiąta.

– Odprowadzamy je – wyjaśnia Marie-Louise – i przyprowadzamy z powrotem. Zdarzają się przypadki szczególne, kiedy drugi rodzic przyjeżdża w odwiedzin... Wówczas idą tam razem.

Jan kiwa głową. D r u g i r o d z i c. Chodzi o żyjących na wolności mamę lub tatę. O tych, którzy nie siedzą w zamknięciu.

Spotkał już wielu z nich, kiedy zaglądali do szatni i zostawiali dzieci, które nie mieszkają w Polanie. Ale czy są to rodzice biologiczni, czy zastępczy? Jan nie może oczywiście o to zapytać. Byli to schludnie ubrani mężczyźni i kobiety powyżej trzydziestki. Niektórzy wyglądali nawet na emerytów.

Stojąc z Marie-Louise w szatni, wita przedszkolaków, jednego po drugim. Wszystkie dzieci, które ten dzień mają spędzić w Polanie. Jest ich jedenaścioro.

Jan z doświadczenia wie, że moment pożegnania z rodzicami czasem wywołuje u pozostawianych w przedszkolu maluchów rozpacz i łzy. Rodzice bywają wtedy przesadnie gadatliwi, aby ukryć niepokój lub wstyd, że opuszczają swe dzieci. Tutaj, w Polanie, rodzice są wyciszeni, jakby czymś przytłoczeni. Być może to przez betonowy mur – cień Świętej Patrycji pada tu na wszystkich.

A dzieci? W większości wyglądają na zawstydzone. Uśmiechają się i szepczą, wpatrując się z zainteresowaniem w nową osobę, która stoi obok ich wychowawczynie. Zastanawiają się, kim jest. Przez wszystkie lata swej pracy Jan spotykał niemal wyłącznie ciekawe świata maluchy o żywym spojrzeniu. Dzieci wyglądają na zubożnięte tylko wtedy, gdy są poważnie chore. W odróżnieniu od dorosłych, nigdy nie potrafią ukryć, jak się czują.

– Niestety ominęło cię dzisiaj nasze zebranie motywacyjne – mówi Marie-Louise, oprowadzając Jana po kolejnych pomieszczeniach w Polanie.

– A co to takiego?

– To poniedziałkowa chwila dla personelu. Po prostu sobie siadamy i przez piętnaście minut opowiadamy o tym, jak się czujemy. – Uśmiecha się do niego. – Będziesz miał okazję spróbować tego w następnym poniedziałek.

Jan bez słowa kiwa głową. Nie ma ochoty zastanawiać się nad własnym samopoczuciem.

– Dobrze – odzywa się Marie-Louise. – Chciałbyś pewnie zacząć pracę?

– Chętnie.

– Świetnie. – Uśmiecha się. – Pomyślałam, że zorganizujemy teraz chwilę z książką.

Jan dostępuje zaszczytu wyboru lektury spośród tych leżących w skrzyniach w pokoju zabaw. Mniej więcej ze środka sterty wyciąga cienką książeczkę: *Emil i waza na zupę*.

– Czas poczytać!

Jan siada na krześle przy ścianie w pokoju zabaw, a dzieci przerywają swe zajęcia i usadawiają się na małych stołeczkach w nierównym półkołu. Bardzo interesuje je nowa osoba, ale w dalszym ciągu przyjmują postawę wyczekiwania. Jan je rozumie.

– Jestem gotowy. Pamiętajcie, jak mam na imię?

Nikt nie odpowiada.

– Czy ktoś pamięta?

Dzieci wpatrują się w niego bez słowa.

– Jan – szepcze w końcu dziewczynka z zaledwie jednym przednim zębem.

Siedzi nieco bliżej niego niż pozostali. Matilda – chyba tak ma na imię? Wygląda na pięć lat, na głowie ma równy przedziałek, a włosy splecione w jasne warkoczki.

– Właśnie tak, nazywam się Jan Hauger. – Podnosi książkę. – A to jest Emil... Emil z Lönebergi. Znaćcie go?

Kilkoro dzieci potakuje głowami. Udało się nawiązać kontakt.

– Słuchałyście książeczki o tym, jak Emil wetknął głowę do wazy i nie mógł jej wyjąć?

– Taaak...

– Słuchałyście jej wiele razy?

– Taaak!

– To może nie chcecie słuchać jej znowu?

– Chcemy! – woła chór dziecięcych głosów.

Jan uśmiecha się do podopiecznych. Wszelkie zmartwienia znikają, kiedy człowiek widzi spojrzenie dziecka. Dziecięce oczy przyjmują całą światłość świata i emanują nią.

Jan otwiera książkę i zaczyna czytać.

Mija przedpołudnie. Plan odgrywa ważną rolę w przedszkolu. Marie-Louise sprawia wrażenie, jakby chciała, by stałych punktów dnia było jak najwięcej. Tego zresztą pragnę także dzieci. Po czytaniu na głos zaplanowana jest zabawa na dworze. Dzieci zakładają kurtki oraz buty i wychodzą na podwórko otoczone metrowej wysokości płotem. Prawie połowa grupy chce się bawić w berka – Jan ma być tym, który łapie. W tym momencie znikają ostatnie ślady nieśmiałości. Dzieciaki krzyczą ze strachu i radości, kiedy nowy opiekun biega za nimi wokół piaskownicy i magazynku. Przedszkolne podwórko nie jest duże, ale bardzo zielone. Jesień jest w tym roku ciepła, więc trawa i liście na krzewach jeszcze nie pożółkły. Poza tym na podwórzu nie ma asfaltu, jest tylko trochę żwiru.

Jan może teraz zobaczyć teren szpitala z nowej perspektywy. Tutaj, na tyłach Świętej Patrycji, nie ma muru, a tylko wysoka na pięć metrów siatka, zwieńczona siecią przewodów elektrycznych.

– Goń mnie! Goń mnie!

Jan nie przerywa zabawy. Unosi ramiona jak prawdziwy potwór i ściga wszystkie dzieci, które się tego domagają. Gdy chowają się za domkiem na placu zabaw, on chodzi wkóło,

udając, że nie może ich znaleźć, aż w końcu nagle się odwraca, wygląda zza rogu i krzyczy jak troll: „U-huuu!”.

Wszyscy świetnie się bawią. Jan czuje się na podwórku tak dobrze jak w pokoju zabaw. Nagle odwraca głowę w stronę szpitalnego ogrodzenia i widzi, że zza niego ktoś przygląda się całej sytuacji.

Jan staje jak wryty, uśmiech znika z jego twarzy.

Za ogrodzeniem Świętej Patrycji stoi wysoka i chuda starsza kobieta, ubrana w czarny płaszcz. Wystają spod niego szczupłe białe nogi. W jednej dłoni trzyma grabie, a u jej stóp leży sterta liści. Druga dłoń mocno ściska stalowe oka siatki.

Kobieta wpatruje się w Jana. Jej twarz jest blada, lecz spojrzenie ma niemal tak ciemne jak strój – przygnębione czy pełne nienawiści? Nie sposób tego dostrzec.

– Janie!

Mężczyzna wzdyga się i odwraca głowę – to Marie-Louise woła go przez otwarte okno przedszkola.

– Tak?

– Niedługo zostawiamy Leo... Pomyślałam, że mógłbyś mi towarzyszyć i zobaczyć, co robimy. Chcesz?

– Tak... Oczywiście.

Jan potwierdza skinieniem. Marie-Louise zamyka okno, a on znowu spogląda w stronę szpitala. Za ogrodzeniem nie ma już nikogo. Została tylko sterta liści.

Kolejne stałe punkty dnia. Dzieci wracają z podwórka, zdejmują buty i wchodzi do pokoju, aby zająć się zabawkami i gram. Jana zawsze fascynowało to, jak małe dzieci potrafią być zdyscyplinowane, kiedy tylko wiedzą, co mają robić.

Gdy maluchy już na dobre zajęte są zabawą, Marie-Louise spogląda na zegarek.

– Czas na przekazanie...

Z jednej z szafek w kuchni wyciąga kartę magnetyczną i prowadzi Jana do szatni.

– Leo! – woła. – Chodź!

Obok haczyków, na których wiszą wierzchnie ubrania dzieci, znajdują się białe drzwi. Jan do tej pory nie zwrócił na nie uwagi, więc nie zastanawiał się, dokąd prowadzą.

Marie-Louise przykładą do czytnika kartę i wstukuje czterocyfrowy kod: trzydzieści jeden, zero, siedem.

– Moja data urodzin – wyjaśnia Marie-Louise. – Trzydziesty pierwszy lipca.

Za drzwiami Jan dostrzega strome betonowe schody. Marie-Louise zapala światło, odwraca się i z uśmiechem wyciąga dłoń.

– No, Leo... Teraz pójdziemy do tatusia!

Leo nie uczestniczył w zabawie na podwórku. Ma niespełna pięć lat, ubrany jest w niebieskie ogrodniczki. Jest drobny i ma chude nogi. Chwyta Marie-Louise za rękę i schodzi z nią po schodach, krok za krokiem. Jan cicho rusza za nimi.

– Możesz zamknąć drzwi, Janie.

Jan wykonuje polecenie, ucinając tym samym radosne śmiechy i krzyki dobiegające z przedszkola. Zalega cisza jak w grobie. Wydaje się, że ściany po obu stronach schodów zro-

biono z tego samego materiału co mur – tłumią wszelkie dźwięki.

Leo idzie małymi kroczkami w dół schodów, obok Marie-Louise. Ona także się nie odzywa, w powietrzu wyraźnie wyczuwa się powagę.

Po pokonaniu dwudziestu schodów docierają do piwnicy, do podziemnego przejścia z betonową podłogą, pokrytą cienkim niebieskim dywanem. Ktoś poświęcił trochę czasu, próbując nadać przejściu przyjazny wygląd – ściany zostały pomalowane na słoneczny żółty kolor i udekorowane kolorowymi obrazkami.

Jan zauważa, że rysunki wykonano tuszem. On nie mógłby ich narysować – są zbyt radośne. Uśmiechnięte szczury kąpiące się w basenie, słonie palące wielkie fajki i morsy grające w tenisa.

Zwierzęta wyglądają, jakby tu na dole zablądziły.

– I już! – mówi nagle Marie-Louise, zatrzymując się. – Jesteśmy na miejscu, Leo!

Przeszli około pięćdziesięciu metrów i są głęboko pod ziemią, prawdopodobnie poniżej szpitala. Po prawej stronie znajdują się pomalowane na biało drzwi do windy z wąską szybką. Jan zauważa, że piwniczne przejście nie kończy się jednak w tym miejscu. Korytarz ciągnie się dalej prosto przez jakieś osiem, dziesięć metrów, po czym nagle skręca w prawo.

Marie-Louise otwiera drzwi windy przed Leo, który wchodzi do niej niepewnie.

Jan także robi krok w przód, lecz jego szefowa wstrzymuje go ruchem głowy.

– Leo chce jechać sam – wyjaśnia. – Dzieci mogą to robić, jeśli chcą.

Jan kiwa głową. Jest nieco spięty. Mimo wszystko miał nadzieję, że będzie mógł wejść do pokoju odwiedzin.

– Czasami jednak wjeżdżamy z dziećmi?

– Ależ tak – odpowiada Marie-Louise. – Trzeba o tym decydować indywidualnie, wspólnie z dzieckiem.

Przez otwarte krótką chwilę drzwi Jan widzi wewnątrz windy – małe stalowe pomieszczenie i dwa przyciski z napisami DO GÓRY i NA DÓŁ, mieszczące się obok kolejnego czytnika kart magnetycznych i czerwonego guzika alarmowego. Kamery? Nie zauważa żadnej – ani na ścianach, ani pod sufitem.

Marie-Louise wchodzi do windy, przykładając kartę do czytnika i wciska przycisk DO GÓRY.

– Cześć, Leo! – woła, zamykając drzwi. – Do zobaczenia wkrótce!

Jej głos brzmi jeszcze bardziej dziarsko niż zazwyczaj, jakby próbowała odpędzić nagły niepokój.

Jan dostrzega małą twarz Leo, wyglądającego przez wąskie okienko. Słyszą lekki trzask i winda rusza w górę.

– No to tyle, wracamy – oznajmia Marie-Louise. Po chwili spokojniejszym już głosem dodaje: – Leo trzeba odebrać za godzinę... Może zrobisz to sam, Janie?

– Chętnie.

– Dobrze. – Marie-Louise uśmiecha się do niego. – Ustawię w kuchni mały budzik, żebyś słyszał, kiedy przyjdzie pora... Pracownicy szpitala odsyłają dzieci bez opieki, dokładnie o ustalonej godzinie, dlatego tak ważne jest, abyśmy wtedy na nie czekali.

Idą więc z powrotem podziemnymi schodami, otwierają drzwi i znów znajdują się w szatni. Marie-Louise układa dłonie wokół ust w trąbkę i woła:

– Pora na owoce, wszyscy!

Niektóre dzieci krzywią się na dźwięk słowa „owoc”, lecz większość przybiega natychmiast. Przepychają się, chcąc dotrzeć przed innymi. Walka, zawsze walka.

Wszystko jest takie, jakie zazwyczaj bywa w przedszkolach.

Jan jednak raz po raz zerka na tykającą wskazówkę zegara na ścianie. Nie może powstrzymać myśli o małym Leo, samotnym w towarzystwie swego więzionego taty.

W Polanie nie ma kamer, co oczywiście bardzo się Janowi podoba. Nie zauważa też żadnych telewizorów.

– Telewizor? Nie, w przedszkolu mamy tylko radio – wyjaśnia z powagą Marie-Louise. – Jeśli zorganizowalibyśmy telewizor, zapewne w niedługim czasie pojawiłaby się cała masa kreskówek, które dzieci chciałyby oglądać, a dzieci pasywne stają się dziećmi nieszczęśliwymi.

W pokoju zabaw dzieciaki dokazują na całego. Ułożyły na podłodze grube materace i bawią się w rozbitków na tratwach. Jan dołącza do zabawy. Czuje się tu dobrze, zwłaszcza po wizycie w piwnicy.

Jan widzi wiszącą na ścianie tablicę, zapisaną ozdobnym pismem Marie-Louise. Dzieci nie potrafią rzecz jasna jeszcze czytać, a jednak tablica wydaje się skierowana właśnie do nich:

W Polanie

...zawsze mówimy komuś dorosłemu, dokąd idziemy.

...w s z y s c y uczestniczymy w rozmowie lub zabawie.

...nigdy nie mówimy źle o innej osobie.

...nigdy nie uczestniczymy w bójkach i się nie kłócimy.

...nigdy nie bawimy się bronią.

Lilian także bawi się z dziećmi, razem z nimi przeskakując z materaca na materac, aby uciec przed rekinami w morzu. Ona także z wielką ochotą uczestniczy w zabawach z podopiecznymi, od czasu do czasu Jan dostrzega jednak cień smutku przebiegający przez jej twarz, kiedy patrzy na dzieci.

W końcu oboje łądają na jednym materacu. Jan zamierza zapytać, czy wszystko u niej w porządku, lecz Lilian jest szybsza i sama zadaje pytanie:

– Podoba ci się tu, Janie?

Pyta w taki sposób, jakby rzeczywiście się o niego troszczyła.

– Masz na myśli Vallę? – Jan musi się zastanowić nad odpowiedzią. – Tak, choć dopiero co się wprowadziłem. Ale raczej jest w porządku... Ładna okolica.

– Co porabiasz wieczorami?

– Niezbyt wiele... Słucham trochę muzyki.

– Nie masz tu żadnych przyjaciół?

– Nie, jeszcze nie.

– No to wpadnij do Baru u Billa – ciągnie Lilian. – To na wybrzeżu, mają tam dobrą kapele...

– Bar u Billa?

– Ciągle tam przesiaduję – mówi Lilian. – Bywają tam też pracownicy Świętej Patrycji. U Billa możesz poznać tylu nowych ludzi, ilu tylko zechcesz.

Czyżby miał zacząć chodzić po knajpach i stać się towarzyski? Nigdy wcześniej tego nie

robił, ale dlaczego nie?

– Może zajrzę – odpowiada.

Kontynuują zabawę z dziećmi rozbitkami do chwili, kiedy Jan słyszy dzwonek budzika w kuchni. Czekal na niego.

Bierze kartę magnetyczną, otwiera drzwi prowadzące do piwnicy i schodzi do podziemia. Nic się tu nie porusza. Obrazy wciąż wiszą na ścianach w równych rzędach.

Dochodzi dwunasta, a okienko windy nadal jest ciemne – jeszcze nie wysłano Leo windą na dół.

Winda zatrzymuje się.

Wjedź na górę, przebiega mu przez głowę myśl. Wjedź i rozejrzyj się po Świętej Patrycji.

Przez chwilę stoi jednak nieruchomo z kartą magnetyczną w dłoni, czekając przy windzie, aż w końcu spogląda w stronę końca piwnicznego przejścia, w kierunku ostrego zakrętu w prawo. Ciekawi go, co też kryje się tam, za rogiem. Czyżby inna droga prowadząca do szpitala?

Winda z Leo wciąż nie zjechała na dół, więc Jan, posuwając się powoli do przodu, oddala się od drzwi. Tylko rzuci okiem, aby sprawdzić, dokąd prowadzi podziemny chodnik.

Korytarz zakręca i biegnie jeszcze kilka metrów dalej, aby zakończyć się przy masywnych stalowych drzwiach. Są starannie zamknięte za pomocą długiej żelaznej sztaby. Na białej tabliczce obok drzwi Jan odczytuje napis: SCHRON. A poniżej następujący tekst: TE DRZWI MUSZĄ BYĆ ZAMKNIĘTE!

Schrony – Jan je zna. Są jak bunkry pod ziemią.

W głowie pojawia się mu obraz małego Williama, ale szybko go wymazuje, sięgając dłonią w kierunku sztaby.

Rusza się. Drzwi można otworzyć.

W tej jednak chwili słyszy delikatny trzask w korytarzu za nim. To drzwi windy. Jan szybko puszcza sztabę i wraca.

Leo został wysłany na dół przez łącznik. Chłopiec próbuje pchnąć ciężkie drzwi, lecz nie udaje mu się ich otworzyć, więc Jan mu pomaga.

– Wszystko dobrze, Leo?

Leo przytakuje w milczeniu. Jan bierze go za rękę, ruszając w stronę Polany.

– Nadchodzi chyba pora śpiewu... Lubisz śpiewać, Leo?

– Mhm.

Być może to tylko złudzenie, ale Janowi wydaje się, że Leo jest spokojniejszy po wizycie w szpitalu. Poza tym wygląda dokładnie tak, jak wcześniej, zanim zobaczył się z ojcem. Na jego ciele nie widać żadnych krwawiących zadrapań ani podartych ubrań. Oczywiście, że nie – dlaczego miałyby je mieć?

Są już przy schodach prowadzących do przedszkola. Jan wyjmuje kartę magnetyczną, jednak przed przyłożeniem jej do czytnika raz jeszcze zerka na Leo i postanawia zadać pytanie:

– Fajnie było spotkać się z tatą?

– Mhm.

– Co robiliście?

– Rozmawialiśmy – odpowiada Leo. Milknie, po czym dodaje: – Tato strasznie dużo mówi.

Cały czas.

– Naprawdę?

Leo kiwa głową i zaczyna wchodzić po schodach.

– Mówi, że wszyscy go nienawidzą.

W pierwszym tygodniu Jan pracuje codziennie od ósmej do siedemnastej. Każdego wieczoru wraca do swego cichego mieszkania. Jest przyzwyczajony, zawsze przychodził do cichych mieszkań. To jednak nie należy do niego. Nie czuje się w nim jak w domu.

Czasami wieczorem siada przy stole kreślarskim, aby kontynuować pracę nad walką Lękliwego z Bandą Czterech, ale gdy jest zmęczony, łąduje przed telewizorem.

W ciągu dnia uczy się imion przedszkolaków, jednego po drugim. Leo, Matilda, Mira, Fanny, Katinka i tak dalej. Zapamiętuje, które dzieci są gadatliwe, a które ciche, które złością się, kiedy upadną, a które płaczą, gdy ktoś je popchnie. Które pytają, a które słuchają.

Dzieci mają tyle energii. Jeśli tylko nie muszą siedzieć w spokoju podczas zajęć, zawsze są w ruchu, zawsze dokądś pędzą. Czołgają się, biegają, skaczą. Na podwórku grzebią w piaskownicy, wspinają się, huśtają i chcą we wszystkim uczestniczyć. „Ja! Ja też!”

Dzieci walczą o miejsce i uwagę dorosłych. Jan jednak zauważa, że żadne nie jest wykluczane z zabawy, grupa nikogo nie odpycha, nikt nie czuje się samotny, co jemu samemu często się zdarzało.

Grupa przedszkolaków w Polanie wydaje się zgrana. Łatwo zapomnieć o bliskości Świętej Patrycji – aż do chwili, gdy w kuchni rozbrzmiewa budzik, dając znak, że kogoś trzeba odprowadzić lub odebrać przy windzie pod szpitalem. Wyprawy do podziemnego korytarza z czasem także stają się zwykłym punktem dnia – nawet jeśli Jan nieco uważniej przygląda się Leo, który prawdopodobnie ma ojca paranoika.

W środowe przedpołudnie wszystkie dzieci idą na wycieczkę do lasu, rozciągającego się za terenem szpitala. Na kurtki zakładają żółte odbłaskowe kamizelki i w szeregu wychodzą przez furtkę. W wielu przedszkolach dzieci chwytają się pętelek zawiązanych na sznurze, tutaj jednak stosowana jest dawna metoda: maluchy trzymają się za ręce, idąc dwójkami.

Wycieczki do lasu wywołują w Janie zawsze lekkie napięcie. Mimo to idzie razem z Marie-Louise i Andreasem wśród rozłożystych paproci porastających teren za przedszkolem. Tu na małej ścieżce znajdują się możliwie najbliższej Świętej Patrycji – ogrodzenie oddalone jest zaledwie o jakieś dziesięć metrów.

Marie-Louise pochyła się ku Janowi:

– Musimy pilnować, aby dzieci nie zbliżyły się za bardzo do płotu.

– Tak? A dlaczego?

Szefowa zdaje się zażenowana.

– Mogą uruchomić alarm... Ci ze Świętej Patrycji zakopali przy płocie mnóstwo elektroniki.

– Elektroniki?

– Tak... Jakieś czujniki ruchu.

Jan spogląda w stronę ogrodzenia. Nie dostrzega żadnych czujników, tylko gęsto posadzone świerki, być może mające zasłonić szpital przed gapiami. Pomiędzy drzewami widzi zwirowe ścieżki i dwa niskie żółte pawilony, wyglądające na zbudowane dość niedawno.

Żadnego ruchu.

Przypomina sobie nagle ubraną na czarno kobietę, którą widział przy płocie w poniedziałek. Jej ciemny wzrok sprawił, że pomyślał o Alice Rami, choć Rami jest w jego wieku, a kobieta w czerni wyglądała na dwa razy starszą.

Przedszkolaki w ogóle nie interesują się ogrodzeniem. Parami biegną w swych grubych kurtkach, trzymając się za ręce i przejmując jedynie tym, co mogą zobaczyć na ścieżce tuż przed sobą: mrowkami, korzeniami drzew, drobnymi śmieciami i opadającymi liśćmi.

Ich uszu dobiega przytłumiony szum. To szeroki strumień spienionej czarnej wody, który biegnie jak fosa wzdłuż tylnej części terenu szpitalnego, po czym skręca na południe i znika w oddali, ciągnąc się wzdłuż ogrodzenia. Jan zastanawia się, czy ludzi przetrzymywanych w szpitalu uspokaja dźwięk płynącej wody.

Ich oczom ukazuje się mały drewniany mostek. Cała grupa dzieciaków pędzi po nim na drugą stronę. Następnie wchodzi w las, wspinając się na wzniesienie.

– Ojej, patrzcie! – To idąca jako ostatnia mała trzyletnia Fanny, która puściła rękę kolegi i przystanąła, aby przyjrzeć się czemuś na ziemi obok ścieżki. Spogląda na coś, co tam rośnie. Jan także się zatrzymuje, aby zobaczyć to z bliska.

Wśród liści, pod wysokimi drzewami widać coś przypominającego małe różowe paluszki, przebijające się z ziemi.

– O, zobacz... – mówi Jan. – Wydaje mi się, że to jakiś rodzaj grzyba. Chyba gałęziaki, które przypominają małe palce.

– Palce? – powtarza Fanny.

– Nie, to nie są prawdziwe palce.

Fanny wyciąga ostrożnie swą małą dłoń w stronę różowych grzybów, ale Jan ją powstrzymuje.

– Zostaw, Fanny. Niech sobie rosną w spokoju... Poza tym mogą być trujące.

Dziewczynka kiwa głową bez słowa, szybko zapominając o grzybach. Przyśpieszywszy, dogania pozostałych.

Jan patrzy za nią do chwili, gdy dołącza do grupy.

Mimo że tego nie chce, myśli o dzieciach ze świetlicy Ryś. Tak szybko można zgubić dziecko – wystarczy, że ścieżka wejdzie między kilka dużych świerków, które zupełnie zasłonią widok.

Tego dnia jednak nie ma takiego zagrożenia. Grupka dzieci z Polany trzyma się blisko siebie, dęby i brzozy nie rosną tak gęsto jak las świerkowy, a poza tym maluchy mają na sobie kamizelki, wyróżniające się wśród drzew jaskrawożółtym kolorem.

Dzieci nie rozbiegają się po lesie dzięki Marie-Louise, która pokazuje im liście i krzewy, wyjaśniając, jak się nazywają. Każdemu podopiecznemu zadaje pytania. W końcu jednak klaszcze w dłonie.

– A teraz czas wolny! Nie oddalajcie się jednak, musimy mieć was na oku!

Dzieci szybko się rozpierzchają. Felix i Teodor gonią się nawzajem, a Mattias podąży za nimi. Potyka się o korzeń, upada, ale natychmiast się podnosi.

Jan krąży wśród drzew, rozgląda się i cały czas liczy żółte kamizelki, pilnując, aby żadnej nie brakowało. Panuje nad sytuacją.

Wchodząc nieco głębiej w las, słyszy śmiech i dostrzega między drzewami żółte refleksy. Po chwili widzi już wyraźnie Natalie, Josefine, Leo i małego Hugona, wpatrujących się w ścieżkę. Josefine i Leo mają w dłoniach gałązki, którymi trącają coś na ziemi. Widząc Jana, zastygają w bezruchu i uśmiechają się wyraźnie zmieszane. Po chwili Josefine napotyka wzrok Leo i oboje zaczynają chichotać. Nagle wypuszczają z dłoni patyki i uciekają prosto w krzaki, śmiejąc się i wrzeszcząc przeraźliwie.

Jan podchodzi, aby zobaczyć, czym się bawiły.

To coś małego. Przypomina leżące na drodze szarobrazowe materiałowe zawiniątko. Leśna mysz.

Zwierzę leży z otwartym pyszczkiem wśród liści, usiłując złapać oddech. Jedwabiste futerko pokrywają plamy krwi. Jan już wie, że dzieci, bawiąc się, pokuły stworzonko. Choć to nie była zabawa. Raczej sadystyczny rytuał, którego celem jest osiągnięcie poczucia władzy nad życiem i śmiercią.

Jan jest sam, musi coś zrobić. Prawą stopą delikatnie strąca miękkie ciało ze ścieżki, po czym odnajduje duży kanciasty kamień. Chwyta go, unosi obiema dłońmi i celuje.

N i e w o l n o z a b i j a ć, myśli, lecz mimo to mocno rzuca kamieniem. Głaz spada na ciało myszy jak meteoryt.

Gotowe.

Zostawia kamień w gałęziach i wraca do grupy. Wszyscy są na miejscu. Jan widzi, że Leo wciąż się uśmiecha i wygląda na zadowolonego.

Po niemal godzinie spędzonej w lesie cała grupa wraca do przedszkola – przez mostek i dalej wzdłuż ogrodzenia. Kiedy wszystkie dzieci docierają już do przedszkola, zdejmują kurtki i idą umyć ręce. Nadchodzi pora, aby Jan odprowadził Katinę do windy. Dziewczynka jedzie sama do swej mamy. Później jest czas na bajkę. Jan wybiera do przeczytania książeczkę o przygodach Pippi Långstrump. Mała bohaterka dzieli się z przedszkolakami myślą, że ten, kto jest bardzo duży, musi też być bardzo miły.

Po zajęciach Jan prosi Natalie, Josefine, Leo i Hugona, aby zostali jeszcze w pokoju zabaw. Mają usiąść przed nim na podłodze.

– Widziałem, że bawiliście się dzisiaj w lesie – zwraca się do nich ostrożnie.

Dzieci nieśmiało się uśmiechają.

– I zostawiliście coś na ścieżce... Małą myszkę.

Wówczas nagle dociera do nich, o czym Jan mówi i czego chce. Josefine, pokazując palcem, mówi:

– To Leo ją rozdeptał!

– Była chora! – odpowiada Leo. – Leżała na ziemi.

– Wcale nie. Ruszała się! Pełzała!

Jan daje im chwilę na tę kłótnię, po czym mówi:

– Teraz jednak myszka nie żyje. Już się nie rusza.

Dzieci milkną, patrząc na niego. Powoli ciągnie dalej:

– Czy komuś było żal myszki?

Nikt nie odpowiada. Leo gapi się na niego przekornie, reszta wpatruje się w podłogę.

– Kłuliście leśną mysz patykami, aż zaczęła krwawić – mówi cicho Jan. – Czy komukolwiek

z was było jej wtedy żal?

W końcu najmniejszy z grupki kiwa ostrożnie głową.

– Hugo, dobrze... Ktoś jeszcze?

Natalie i Josefina także ostatecznie potwierdzają skinieniem, jedna po drugiej. Tylko Leo nie chce napotkać wzroku Jana. Gapiąc się w podłogę, mruczy coś o tacie i mamie.

Jan pochyla się do przodu.

– Co powiedziałaś, Leo?

Leo jednak nie odpowiada. Jan mógłby go bardziej przycisnąć, może nawet wywołać w nim płacz.

– Tato tak robił mamie.

Czy Leo naprawdę to powiedział? Jan sądzi, że się przesłyszał, i chce prosić chłopca, by powtórzył. Lecz mówi tylko:

– Dobrze, że o tym porozmawialiśmy.

Dzieci rozumieją, że są już wolne. Wstają z podłogi i w podskokach wybiegają z sali.

Patrzy za nimi – czy cokolwiek do nich dotarło? Sam wciąż pamięta reprimendę, którą w wieku ośmiu lat dostał od nauczyciela, kiedy z kolegą Hansem i innymi chłopcami z klasy bawili się w nazistów. Biegali w równym szeregu wokół szkolnego podwórka, wołając „Heil Hitler!” i mając poczucie nadludzkiej siły. *M a s z e r o w a l i w r y t m i e!* W pewnym momencie pojawił się jednak nauczyciel i ich powstrzymał. Wypowiedział jedno słowo, którego nigdy wcześniej nie słyszeli.

– Auschwitz! – zawołał. – Wiecie, co się tam wydarzyło? Wiecie, co naziści robili z dorosłymi i dziećmi w Auschwitz?

Żaden z chłopców nie wiedział, więc nauczyciel opowiadał o bydłych wagonach, o piecach i stertach butów oraz ubrań. Od tamtej pory już nigdy więcej nie bawili się w nazistów.

Jan wychodzi za dziećmi, wkrótce pora śpiewu. Reguły, grafiki – przypuszcza, że na oddziałach Świętej Patrycji jest również wiele zasad. Dzień po dniu wciąż te same czynności. Ustalone godziny, wytarte ślady.

Dzieci same w sobie nie są złe, nawet jeśli zdarza im się męczyć mysz. Jan uważa, że dzieci w głębi serca nie mogą być okrutne, choć sam czasem czuł się w szkole jak ta mała myszka. Kiedy spotykał na korytarzu starszych chłopców, nigdy nie spodziewał się łaski. Nigdy mu jej nie okazano.

Ryś

Tydzień po odkryciu bunkra w lesie Jan zabrał się do jego sprzątanía i urzãdzania.

Był bardzo ostrożny. Mieszkanie opuszczał dopiero po zachodzie słońca. Wędrował wtedy w stronę zbrocza, gdzie znajdował się bunkier. W ciągu dwóch tygodni był tam trzykrotnie ze szczotką i workami na śmieci. Wspiął się po zboczach, po czym wpełzał do schronu, by czyścić betonowe ściany i podłogi. Wszystko trzeba było wyrzucić: kłęby kurzu, pajęczyny, liście, puszkí po piwie, gazety.

W końcu pozostała już tylko pusta przestrzeń. Wtedy wywietrzył pomieszczenie, otwierając szeroko blaszane drzwi, a na koniec w dwóch kątach ustawił odświeżacze powietrza, rozśiewające sztuczny zapach róż.

Był już październik. Za każdym razem, kiedy Jan przychodził pod zbocze, na ziemi leżało coraz to więcej liści. Powoli, ale dokładnie zakrywały róg bunkra, sprawiając, że betonowa ściana zaczęła wyglądać jak część pagórka. Gdy stare żelazne rygle na drzwiach były zamknięte, trudno było zauważyć bunkier.

Najtrudniej było dostarczyć na miejsce nowe wyposażenie tak, aby nikt tego nie zauważył. Zrobił to jednak w ten sam sposób co sprzątanie – w ciemności, późnym wieczorem. Przewodzącą między świerkami drogę do pagórka znał już niemal na pamięć, światło było zbyt słabe.

Materac, mimo że znaleziony w kontenerze na śmieci, wcale brzydko nie pachniał. Kiedy już przetransportował go do lasu, wytrzeptał dokładnie cały kurz. Koce i poduszki kupił w markecie meblowym za miastem. Nim ułożył je na materacu, uprał dwa razy i zerwał wszystkie metki.

Kilka zabawek, które przyniósł w plecaku, pochodziło z paru innych sklepów. Przedmioty nie wyróżniały się niczym szczególnym – wyprodukowane w którejś z azjatyckich fabryk, były podobne do tysiąca innych tego samego typu: dwa samochody, miękkie tygrysek z materiału, kilka książeczek z obrazkami.

Ostatnia rzecz, którą zdobył, była duża i dość ciężka. ROBOMAN – jak napisano na opakowaniu – królował na najwyższej półce wśród wozów strażackich, statków kosmicznych i pistoletów świetlnych. *Remote-controlled! Voice-activated! Record your own messages and watch ROBOMAN move and talk!*²

Był to robot z plastiku, który potrafił poruszać ramionami i stabilnie stać. Jan spojrział na niego, próbując cofnąć się myślami w czasie o piętnaście lat, kiedy sam był pięcioletkiem – z pewnością uznalby wówczas, że nigdy wcześniej nie widział nic równie wspaniałego jak Roboman. Był lepszy niż jakikolwiek pluszowy miś, być może nawet lepszy niż żywy kot lub pies.

Ukradł Robomana. Bezcenna kradzież – alejka w markecie była pusta, szybko wyjął robota i pilota z opakowania, po czym spakował wszystko do plastikowej torby z innego sklepu. Następnie wyszedł prosto przez jedną z kas. Kasjerka nawet na niego nie spojrziała, nie zatrzymał go żaden ochroniarz.

Robot kosztował niemal sześćset koron, ale to nie cena skłoniła Jana do kradzieży. Nie

chciał ryzykować, że kasjerka zapamięta taki dość niezwykły zakup i opowie o nim, zapytana przez policję.

Roboman? Ależ tak, pewien młody mężczyzna kupił jednego. Miał miły, przyjazny wygląd, trochę jak nauczyciel. Tak, myślę, że potrafiłabym go wskazać...

Jan uważa, że czasami przedszkole przypomina zoo.

Zaczyna się to zawsze wtedy, kiedy wszyscy są już zmęczeni. Prowadzonym jest zwykle jedno z dzieci, które wciąż pozostałe. Najczęściej to któryś z chłopców dostaje ataku szału, staje się nagle nadpobudliwy, zaczyna biegać po pokoju zabaw, burząc przy okazji czyjąś budowlę, czy też depreczając jakiś domek z klocków Lego.

W piątkowe popołudnie w Polanie ma miejsce podobna sytuacja. Leo niespodziewanie wpada na pomysł, aby rzucić poduszką w twarz Felixa. Felix odrzuca ją, wrzeszcząc wniebogłosy, a łzy płyną mu po policzkach. Leo także krzyczy. Nagle całą grupę napęłnia nowa energia. Chłopcy rzucają się na siebie lub biją się poduszkami, podczas gdy dziewczynki krzyczą bądź zanoszą się histerycznym płaczem.

– Spokój! – woła Jan.

Nie pomaga. Dzieciaki z niespożytą energią skaczą dookoła, tworząc wrażenie chaosu i sprawiając, że pokój zabaw wydaje się ciasną klatką.

Jan jest tu jedynym dorosłym. Ogarnia go panika, z nerwów ściska mu się żołądek. Próbuje się opanować, oddycha głęboko, stając na środku sali. Następnie podnosi głos jak głoszący kazanie pastor:

– Spokój! Natychmiast!

Większość dzieci wycisza się, słysząc wychowawcę, Leo jednak dalej rozrabia. Oczy ma szeroko otwarte, bez opamiętania bijąc wkoło poduszką. Jan musi podejść i go złapać. Czuje się przy tym jak poskromiciel zwierząt.

– Spokojnie, Leo, spokojnie.

Małe ciało walczy w jego ramionach. Jan trzyma je mocno do chwili, gdy Leo się uspokaja. Zwierzę okielznane, ale on sam czuje się wykończony.

– Niepokoję się trochę o Leo – wyznaje Jan Marie-Louise, stojąc z nią w kuchni i układając zastawę.

– Tak?

– Tyle w nim złości.

Marie-Louise się uśmiecha.

– To energia... Ma w sobie tak wiele energii, że czasami aż z niego kipi.

– Wiesz coś o jego rodzicach? – pyta Jan. – Czy matka żyje? Wydaje mi się, że jego tato...

Marie-Louise kręci jednak głową, wycierając dłonie w ręcznik.

– O tym nie rozmawiamy, Janie... Przecież wiesz.

Wieczorem po pracy Jan ogląda telewizję, siedząc na starej sofie. Próbuje się odprężyć, choć nie jest to proste, bo sąsiad za ścianą dość wcześnie zaczyna świętować nadejście weekendu. Zza ściany dobiegają dźwięki muzyki i brzęk szkła.

Zakończył właśnie pierwszy tydzień pracy w Polanie. Powinien uczcić fakt, że wszystko się udało, ale czuje, że w zasadzie nie ma czego świętować. Czas płynął mu szybko, właściwie

nie było żadnych kłopotów. Dał sobie radę, wydaje się, że dzieci i współpracownicy go polubili.

Jan podłączył już wcześniej sprzęt grający, więc wkłada płytę Rami i podkręca głośność, aby zagłuszyć dźwięki przyjęcia obok. Właśnie na płycie zaczyna się stary przebój, ballada *Twoja tajemna miłość*, którą Rami śpiewa niemal szeptem:

*Tak długo odnawiaj swoje wspomnienia,
aż je ujrzysz.
Tak długo chodź w kółko po strychu,
aż je usłyszysz.*

*Miłość, a może tylko gra?
I tak zawsze będziesz tęsknić
za swą tajemną miłością
jak zagubiona dusza na pustkowiu.*

Piosenka mówi chyba o niemożliwej miłości. Jeśli kiedyś się spotkają, zapyta Rami, czy jego interpretacja jest słuszna.

J e ś l i się spotkają. Najpierw musi się dostać do Świętej Patrycji, może przez piwnicę. Dla tego, kto się odważy, zawsze znajdzie się jakieś wejście.

Odwróciwszy się plecami do ciasnego pokoju, spogląda przez okno.

Na parkingu na tyłach kamienicy nie ma żywej duszy, za to plac jest zastawiony samochodami. Dolicza się jedenastu volvo – w tym jego własny – siedmiu saabów, dwóch toyot i jednego mercedesa. Ludzie wrócili z pracy i spędzają czas z rodzinami. Może siedzą teraz razem w kuchni lub przed telewizorem. A może robią na drutach lub przeglądają swoje zbiory znaczków.

Jan jest samotny.

No tak – użył w myślach tego niebezpiecznego słowa, przyznał się do swej gorszej sytuacji. Jest s a m o t n y, czuje się s a m o t n y.

W Valli nie ma przyjaciół. Takie są fakty. Nie ma nic do roboty.

Właściwie chce tylko siedzieć i słuchać Rami. Ma jednak wciąż kartony do rozpakowania. Zabiera się do przeglądania ich zawartości i znajduje starą książkę z zapiskami i wycinkami z gazet. To jego własny pamiętnik z czasów, kiedy był nastolatkiem. Pisywał go od czasu do czasu. Kolejne wpisy pojawiają się nieraz po miesiącach.

Otwiera pamiętnik, bierze długopis i opisuje wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich tygodni: przeprowadzkę do Valli, samotność, nową pracę i marzenie, że ona zaprowadzi go do Rami.

Na okładce pamiętnika przykleił niegdyś zdjęcie. To stara fotografia z polaroidu – nieco wyblakła, ale wciąż widać na niej jasnowłosego chłopca, który ze zdziwieniem patrzy w górę, leżąc w białej pościeli w szpitalnym łóżku. To on sam w wieku czternastu lat.

W sobotę po lunchu Jan po raz pierwszy schodzi do wspólnej pralni w bloku, gdzie spotyka starszego mężczyznę – siwowłosego sąsiada, z równie siwą brodą, wychodzącego z pomieszczenia, w którym stoją pralki.

Dopiero po chwili Jan orientuje się, że powinien był się odezwać, a nie tylko skinąć głową, kiedy mężczyzna go mijal.

Mężczyzna niesie na ramieniu starą torbę na bieliznę. Gdy Jan rzuca na nią okiem, dostrzega nadrukowane na niej litery: ALNIA IĘTEJ YCJI. Liter jest więcej, ale znikają w zgięciach materiału. Jan kieruje się ku pralkom. Nagle jednak jego mózg formułuje trzy pełne słowa: PRALNIA ŚWIĘTEJ PATRYCJI.

Czy tak mógł wyglądać nadruk? Za późno, aby to sprawdzić – mężczyzna zdążył już wyjść z piwnicy, drzwi się zamknęły. Jan zostaje sam ze swym praniem.

Kiedy wszystkie ubrania są już czyste i suche, wraca do mieszkania i podejmuje próbę zyskania w nim większej przestrzeni. Likwiduje kartony, sprzęta i przestawia meble właścicielki. Po wszystkim zjada kolejną samotną kolację przy kuchennym stole, podczas gdy na zewnątrz zapada zmrok.

A później? Idzie do salonu i włącza stary telewizor. Widzi delfiny płynące pod powierzchnią wody – zdaje się, że to film przyrodniczy. Dowiaduje się, że delfiny wcale nie są tak przyjazne i spokojne, jak sądzi wielu ludzi.

„Delfiny polują w stadzie, zabijając często foki i inne zwierzęta” – mówi lektor.

Po półgodzinie Jan wyłącza telewizor. Zalega cisza – ale nie całkowita. Gdzieś w bloku ktoś znowu urządza przyjęcie. Słychać dudniącą muzykę, mocne uderzenie w zewnętrzne drzwi, głośne śmiechy i rozmowy.

Jan zastanawia się, czy nie wrócić do rysowania komiksu o Łękliwym, aby dotrzeć do zakończenia. Wkrótce jego bohater musi zwyciężyć Bandę Czterech. Unicestwić ją.

Impreza u sąsiadów się rozkręca, śmiechy są coraz głośniejsze. W końcu Jan włącza muzykę, aby zagłuszyć prywatkę, i spogląda przez okno.

Powinienem znaleźć sobie jakieś hobby, myśli. Albo zapisać się na kurs wieczorowy.

Tylko co chciałby robić? Uczyć się francuskiego? Grać na ukulele?

Nie. Wreszcie wyłącza odtwarzacz, zakłada czarną marynarkę, aby wyglądać bardziej dojrzałe, i wychodzi.

Idąc w chłodzie, zauważa, że zaświecono już uliczne latarnie. Jest piętnaście po ósmej. Na zewnątrz słychać jeszcze więcej muzyki, odbijającej się echem między domami. Dla wszystkich, którzy mają przyjaciół, zaczął się wieczór przyjęć.

„Wpadnij do Baru u Billa”, powiedziała wtedy Lilian. „Ciągłe tam przesiaduję”.

Podążając chodnikiem, kieruje się w dół, w stronę centrum. Chce poznać swe nowe miasto, ale niezbyt wiele można tu zobaczyć. Valla jest miastem średniej wielkości, pozbawioną większych atrakcji. Jan przechodzi obok pizzerii, kościoła zielonoświątkowców, sklepu meblowego. W pizzerii widzi kilkoro nastolatków siedzących przy stoliku i wyglądających tak, jakby

nie mieli żadnych planów na wieczór. Pozostałe lokale są zamknięte, nie świeci się w nich światło.

Po pokonaniu wiaduktu nad autostradą Jan dochodzi niemal do portu. Chętnie poszedłby dalej, na samo nabrzeże, aby poczuć wieczorną bryzę nad ciemnym morzem, jednak obszar portu jest zagrodzony płotem niemal tak wysokim jak mur wokół Świętego Psychola.

Nie, nie Świętego Psychola. Ś w i ę t e j P a t r y c j i.

Musi przestać używać w myślach tego określenia, w przeciwnym razie zdarzy mu się kiedyś wypowiedzieć je na głos.

Za ogrodzeniem jest kilka małych uliczek, które można by nazwać dzielnicą portową, choć nie czuje się tu atmosfery przygody czy romantyzmu. Znajdują się tu tylko niskie budynki przemysłowe, otoczone popękanym asfaltem.

Przed jednym z drewnianych domów, znajdującym się najbliżej miasta, stoi jednak sporo samochodów, a do wnętrza zaprasza wiszący nad wejściem czerwony neon: BAR U BILLA.

Jan zatrzymuje się przed napisem. Chodzenie po barach to żadne hobby, ale nawet najbardziej samotne istoty, jeśli tylko potrafią się zachować, są w nich mile widziane, więc w końcu otwiera ciężkie drewniane drzwi i wchodzi do środka.

Za drzwiami jest ciemno i gorąco. Słychać dudniącą muzykę rockową i przytłumione gło-
sy. Poruszające się cienie, uczucie, że wszystko może się zmienić. Bary są swego rodzaju pokojami zabaw, tylko że dla dorosłych.

Wszystkie grzeczne dzieci już śpią.

Jan rozpina marynarkę, rozglądając się dokoła. Przychodzi mu do głowy wers z piosenki Roxy Music: „*Loneliness is a crowded room*”³. Nie pamięta, kiedy ostatnio sam wszedł do baru. Uczucie wyalienowania jest wszechobecne i totalne w takich pomieszczeniach, nawet jeśli przebywające w nich osoby ze sobą rozmawiają i śmieją się z tego samego. Bar u Billa niczym się nie wyróżnia. Jan wie, że ci wszyscy ludzie wokół wcale nie są najlepszymi przyjaciółmi, choć takie sprawiają wrażenie.

Musi precyzyjnie się do baru między ciężkimi ciałami, które nie chcą się przesunąć. Sporo osób zebrało się przed niewielką sceną w głębi lokalu, na której występuje miejscowa kapela rockowa. Przy barze Jan wyciąga banknot.

– Proszę małe piwo!

Klasyczną zagrywką samotnej duszy jest rozmowa z barmanem, ten jednak zdążył już zgarnąć pieniądze Jana w sposób niemal magiczny i ruszyć dalej.

Jan wypija kilka łyków piwa i od razu czuje się nieco mniej samotny. Przecież już ma towarzystwo w postaci kufla. Najlepszy przyjaciel pijącego. Choć on właściwie nigdy nie pije alkoholu, nigdy nie był pijany – czy upije się dzisiaj, aby zobaczyć, co takiego się wydarzy?

N i c. Nie stanie się nic poza tym, że zataczając się, wróci sam do domu, a nazajutrz będzie mu niedobrze. Na swój sposób można podziwiać ludzi, którzy upijają się ot tak, po prostu, nie bacząc na konsekwencje – Jan nigdy tak nie potrafił. On zachowa kontrolę i nigdy nie skończy nieprzytomny w basenie, jak jakaś gwiazda rocka. Lub w psychiatryku jak Rami.

Myśl o niej zachęca go do rozejrzenia się po lokalu i zastanowienia nad obecnymi w nim osobami. Pamięta, co Lilian dodała na temat Baru u Billa: „Bywają tam też pracownicy Świętej Patrycji”. Pewnie strażnicy i pielęgniarze.

Jan wypija jeszcze trochę piwa. W powietrzu wyczuwa zapach perfum i nagle zauważa, że stoi między dwiema mającymi około dwudziestu pięciu lat kobietami. Są wysokie i ładne. Teraz powinien pokazać, że jest dorosły, lecz czuje się jak mały chłopiec.

Kobieta po prawej stronie pachnie różanymi perfumami. Ma długie brązowe włosy, a na sobie czarny sweterek. Pije jakiegoś drinka o cytrynowym kolorze. Ich spojrzenia się spotykają, ale ona szybko odwraca wzrok.

Kobieta po lewej stronie skropiła się perfumami o zapachu mandarynki, a włożyła żółtą koszulkę i błyszczącą złotą marynarkę. Złota dziewczyna. Ma zielone oczy i pije cydr gruszkowy – Jan zerka na nią, a ona odpowiada lekkim uśmiechem. Dlaczego to robi?

Dziewczyna nie odwraca wzroku, więc Jan pochyla się ku niej i przekrzykuje muzykę:

– To mój pierwszy wieczór tutaj!

– Co?! – krzyczy kobieta.

Jan pochyla się jeszcze bliżej.

– Mój pierwszy wieczór!

– Tutaj, u Billa? – odpowiada. – Czy w mieście?

– Jedno i drugie. Przyjechałem kilka dni temu! Nikogo tu nie znam...

– To się szybko zmieni! – krzyczy dziewczyna. – Spodoba ci się tutaj. Spotka cię mnóstwo niespodzianek!

– Tak sądzisz?

– Pewnie, znam się na tym... Powodzenia!

Kobieta szybko się odwraca, by zniknąć w tłumie jak sarna w lesie.

No tak. Krótka rozmowa. Jan jak zwykle miał problem ze swobodną pogawędką z obcą osobą, ale poczuł się lepiej. Ludzie w Barze u Billa są mili.

Nawiązuje kontakty, zachęca go wewnętrzny głos. Zamawia jeszcze jedno piwo i wchodzi w głąb lokalu, oddalając się od muzyki.

Przy stolikach większość krzeseł jest zajęta. Nie ma dla niego miejsca.

Siada przy pustym stole. Popijając piwo, gapi się przed siebie.

Gratulacje, właśnie zaczyna się twoje nowe życie. Oczywiście myślał już tak również wcześniej. Człowiek może zmienić pracę, przenieść się do innego miasta, ale nic się nie zmienia. Tkwi w tym samym ciele, płynie w nim ta sama krew, a w głowie pozostają te same wspomnienia.

– Cześć, Jan!

Stoi przed nim kobieta – podnosi na nią wzrok. Mija chwila, nim ją rozpoznaje. To Lilian z Polany z butelką piwa w dłoni.

W przedszkolu wyglądała na zmęczoną i wykończoną, teraz wstąpiła w nią nowa energia. Ubrana jest w czarny sweterek z dużym dekoltem. Ma umalowane oczy i patrzy błyszczącym, a może jarzącym się wzrokiem – ta butelka pewnie nie jest jej pierwszą tego wieczoru.

– Podoba ci się mój weekendowy tatuaż? – pyta, wskazując na swój policzek.

Jan przysuwa się bliżej i dostrzega, że Lilian coś tam narysowała: czarnego węża wijącego się w kierunku oka.

– Jasne.

– Nic się nie bój... Nie jest jadowity!

Lilian wybuchła nieco zachrypłym śmiechem i bez zaproszenia przysiadła się do stolika.
– A więc znalazłeś najlepsze w mieście miejsce spotkań? – Wypija duży łyk piwa. – Szybko ci się udało.

– To ty mi je podpowiedziałaś – odpowiada Jan. – Jesteś tu sama?

Lilian kręci głową.

– Przychodzi tu z kilkorgiem znajomych, ale poszli do domu, kiedy The Bohemos zaczęli grać. – Ruchem głowy wskazuje grupę rockową obok baru. – Mają wrażliwe uszy.

– Znajomi z pracy? – pyta Jan.

– Znajomi z pracy? A kto miałby to być? – Lilian chichocze i popija swoje piwo. – Może Marie-Louise?

– Ona nigdy tu nie przychodzi?

– Nie, nie Marie-Louise. Ona spędza czas w domu.

– Ma dzieci?

– Nie, tylko męża i psa. No ale ona jest supermamą każdego, nie? Jest mamą wszystkich dzieci, i naszą też. Wspaniała... Myślę, że przez całe życie w jej głowie nie powstała żadna zła myśl.

Jan nie chce się zastanawiać nad myślami innych ludzi.

– A Andreas? – zmienia temat. – Bywa tu?

– Andreas? Niezbyt często. Ma dom i ogród, którymi musi się zająć, i swą małą żonkę. Stare dobre małżeństwo.

– Niektórzy tak mają... – mówi Jan. – Ale Hanna tu przychodzi?

– Czasami. – Lilian wbija wzrok w stół. – Hanna... Z nią najlepiej się dogaduję w pracy, można powiedzieć, że jest moją koleżanką.

Zapada milczenie. Muzyka także ucichła – The Bohemos chyba już skończyli na dziś.

– Czyli Hanna jest w porządku? – pyta Jan.

– Oczywiście – odpowiada szybko Lilian. – Jest miła. Ma tylko dwadzieścia sześć lat... Młoda i trochę zwariowana.

– Jak to „trochę zwariowana”?

– No tak, na różne sposoby – wyjaśnia Lilian. – Hanna może sprawia wrażenie cichej i zdystansowanej, ale ma ciekawe życie prywatne.

– Masz na myśli wielu mężczyzn?

Lilian zaciska usta.

– Nie roznoszę plotek.

– Ale bywa tu czasami? – dopytuje Jan. – W Barze u Billa?

– Czasami przychodzi tu ze mną, ale woli Medina Palace.

– Medina Palace?

– To taki duży klub nocny w Valli. Niemal równie luksusowy jak Święta Patrycja.

– Twoim zdaniem Patrycja jest luksusowa?

– Bez dwóch zdań, to luksusowy hotel.

Jan patrzy na nią pustym wzrokiem, nic nie rozumiejąc. Lilian podejmuje szybko:

– Słuchaj... Każdy pokój w Świętym Psychołu kosztuje cztery tysiące za noc. Cztery kafle! Oczywiście nie płacą ci, co tam mieszkają, tylko my, podatnicy. Lekarze, strażnicy, kamery,

leki... wszystko kosztuje! Pacjenci nie mają pojęcia, jak im tam dobrze.

– I my tam pracujemy... Tuż obok tego luksusowego hotelu...

– Zgadza się – potwierdza Lilian. – Wypijmy za to!

Jan rozmawia z Lilian jeszcze przez jakiś kwadrans, po czym przeciąga się, udając delikatne ziewnięcie.

– Idę do domu.

– Ostatnie piwko? – proponuje Lilian.

Jan zaprzecza ruchem głowy.

– Nie dzisiaj.

Popęłniłby błąd, gdyby teraz zaczął ostro balować. W przyszłym tygodniu mają zwiększyć zakres jego obowiązków. W środę zaczyna nocną zmianę – po raz pierwszy zostanie z dziećmi zupełnie sam.

– Jak się czujesz, Janie? – pyta Marie-Louise. – Może nam o tym opowiesz?

– Oczywiście... Chociaż właściwie nie mam zbyt wiele do opowiadania. Wszystko jest w porządku.

– Tylko tyle? Nie masz problemów z zaaklimatyzowaniem się w grupie?

– Nie. – Jan patrzy na osoby siedzące wokół stołu: na Andreeasa, Hannę i Lilian. – Żadnych problemów.

– Bardzo nas to cieszy.

Poniedziałkowe spotkanie motywacyjne „dla dobrego samopoczucia” organizowane jest dla personelu przedszkola, zanim dzieci zaczną się schodzić. Dla Jana to pierwsze takie spotkanie. Wszyscy patrzą na niego, na nowego. Z trudem przychodzi mu jednoczesne odprężanie się i odpowiadanie na pytania.

– Cięży na mnie duża odpowiedzialność – mówi. – Jestem tego świadomy.

W tej chwili pozostali wychowawcy przestają się mu tak bacznie przyglądać. Kilka minut później spotkanie dobiega końca. Dzięki Bogu.

Tego dnia, przed rozpoczęciem godziny bajek, Jan odkrywa ślad Alice Rami. Jeśli to rzeczywiście ona.

Pomaga mu w tym mała Josefine – jedno z dzieci, które w lesie męczyły mysz. Jan próbuje zapomnieć o tamtym zdarzeniu, podobnie jak o niepokojących słowach Leo na temat swojego ojca. Tego dnia Josefine zachowuje się jednak jak zwykła mała dziewczynka. Kiedy Jan wychodzi, aby przynieść książkę, bawi się lalką w sypialni.

– Cześć, Josefine! – woła na przywitanie. – Jakiej bajeczki chciałabyś dziś posłuchać?

Dziewczynka podnosi wzrok i zwraca się do Jana z prośbą:

– Przeczytaj o stwórczyni zwierząt!

– Jak nazywa się ta bajka? – Jan próbuje odgadnąć, o czym mówi Josefine.

– Stwórczyni zwierząt!

Nigdy o takiej nie słyszał, ale Josefine rusza prosto do dwóch skrzyń z książkami, przegląda je, po czym wyjmuje cienką białą książeczkę wielkości płyty analogowej. Zgadza się. Jan odczytuje tytuł: *Stwórczyni zwierząt*.

– Dobrze. Chyba się nada.

Książka przypomina wszystkie inne, które leżą w skrzyni, choć na okładce brakuje nazwiska autora, a rysunek poniżej tytułu ledwo widać – jest to tylko bledy szkic wykonany ołówkiem, przedstawiający małą wyspę i stojącą na niej smukłą latarnię morską. Rysunek wygląda na wykonany ręcznie. Jan przygląda się książeczce z bliska i dostrzega, że strony ktoś posklejał zwykłą taśmą. Przewraca kartki. Tekst zapisany jest tylko na stronach nieparzystych. Po lewej stronie widnieją rysunki zrobione ołówkiem i podobnie jak na okładce są tak delikatne, że ledwie widoczne.

Książka intryguje Jana. Sam chce przeczytać *Stwórczynię zwierząt*.

– Zbiórka! – woła. – Czas na bajkę!

Dzieci rozsiadają się wygodnie wśród poduszek. Jan siada przed nimi na krześle i unosi książkę.

– Dzisiaj poczytamy o pewnej stwórczyni zwierząt.

– A kto to? – pyta Matilda.

Jan patrzy na Josefine i szuka u niej pomocy, ale dziewczynka milczy.

– Zobaczymy...

Odwraca pierwszą stronę i zaczyna czytać:

Dawno temu żyła stwórczyni zwierząt, która nazywała się Maria Blanker. Maria była bardzo samotna. Przeprowadziła się bowiem na małą wyspę, leżącą daleko na morzu. Była tam latarnia morska, która nigdy się nie świeciła. Maria zamieszkała w chatce z drewna wyrzuconego niegdyś przez morze.

W latarni także ktoś mieszkał. Na skrzynce na listy widniał napis: Pan ZYLIZYLON WIELKI. Każdego wieczoru Maria słyszała ciężkie kroki, odbijające się echem w latarni. Ktoś człapał po schodach to w górę, to w dół na swych wielkich stopach.

Maria chciała zachować się grzecznie i zapukała do latarni zaraz po przybyciu na wyspę, ale cieszyła się, że nikt nie otworzył drzwi.

Jan przerywa. Ma wrażenie, że zna skądś nazwisko Maria Blanker. Ale skąd? Słowo Zylizylon kojarzy mu się z kolei z medycyną. Może to jakiś lek?

Przygląda się rysunkowi. Jest na nim mały domek, za którym w tle majaczy wysoka latarnia morska. Dom jest jasnoszary, jak wyblakłe w słońcu drewno wyrzucone na brzeg. Latarnia jest wąska jak zapalka.

– Dalej! – woła Josefine.

Jan wraca do lektury:

Latarnia nie świeciła, ponieważ statki już jej nie potrzebowały. Teraz wszędzie na morzu zostały wytyczone szlaki, więc statki nigdy nie zbaczały z kursów. Żaden szlak morski nie przebiegał w pobliżu latarni. Maria nigdy nie widywała statków, przez co czuła się jeszcze bardziej samotna.

Na wyspie nie było żadnych zwierząt. Maria przestała lubić ich tworzenie.

Kolejna ilustracja ukazuje wnętrze domku: zimny pokój, w którym stoją jedno krzesło i stół. W pokoju siedzi szczupła kobieta ze sterczącymi włosami i tak szerokimi ustami, że ich kąćki wystają z jej twarzy jak czarne gałęzie.

*

W zamian za to za domem Maria uprawiała ziemniaki i marchew. Piła taminalową herbatę, a na plaży znajdowała piękne kamyczki. Czuła się trochę samotna, ale nie zapukała nigdy więcej do drzwi latarni. Nie chciała spotkać Pana Zylizylona, gdyż jego kroki z każdym dniem rozbrzmiewały na schodach coraz bardziej złowrogo.

Na trzecim rysunku stwórczyni zwierząt, szczupła szara postać, stoi przed zamkniętymi

żelaznymi drzwiami latarni. Dziewczyna jest naszkicowana tak niewyraźnie, że nie sposób odczytać wyrazu jej twarzy. Jest smutna czy może przestraszona?

Nocami Maria śniła o wszystkich zwierzętach, które niegdyś tworzyła, gdy była młoda i radosna. Ludzie lubili przyglądać się, jak je robiła. Klaskali na widok wszystkich stworzeń, wyłaniających się z jej ubrania.

Zwierzęta jednak stawały się coraz większe i dziwniejsze. Ich stwórczyni nie potrafiła nad nimi zapanować. W końcu nie miała już odwagi dalej tworzyć.

Czwarty obrazek jest ciemny. Stwórczyni zwierząt jak szary cień śpi w wąskim łóżku. Ponad nią roją się i krążą wokół siebie inne cienie, wychodzące z czarnego jak węgiel tunelu w ścianie.

Z rysunku emanuje złowrogi nastrój. Jan odwraca stronę i czyta dalej:

Pewnego dnia stało się coś, co nie zdarzyło się nigdy wcześniej. Maria, zbierając kamyki na plaży, zobaczyła nagle tódz na horyzoncie. Zdawała się zbliżać do wyspy, pchana przez fale. Maria zrozumiała, że statek musiał zboczyć z trasy.

Kiedy znalazł się już całkiem blisko, stwórczyni zwierząt zobaczyła, że to prom pełen dzieci. Wszystkie dzieci miały na głowach niebieskie hełmy, a na brzuchach i plecach duże poduszki.

*

– Ja też chcę! – woła Vidar. – Chcę poduszkę na brzuchu!

– Co to horyzont? – pyta Matilda.

– To miejsce, gdzie kończy się ziemia – wyjaśnia Jan. – Odwraca książkę. Ta strona nie jest tak mroczna ja pozostałe, pokazuje więc dzieciom wąską linię narysowaną za promem. Wskazuje palcem: – Tak wygląda horyzont. Chociaż to właściwie tylko złudzenie, że ziemia się kończy, bo przecież jest okrągła jak piłka plażowa. Wiecie to, prawda? Ziemia się nigdy nie kończy, ciągnie się dalej i dalej, aż z powrotem pojawi się za waszymi plecami...

Dzieci patrzą na niego w milczeniu. Jan czuje, że się zaplątał, więc wraca do książki:

W końcu prom dobił do brzegu. Poszycie statku ze zgrzytem otarło się o kamień. Dzieci zeskoczyły na ląd, ale Maria nie miała odwagi im się pokazać. Poszła do swej chatki, zamknęła za sobą drzwi i przygotowała bardzo mocną taminalową herbatę. Jej uszu dobiegały radosne okrzyki, ale nie otworzyła drzwi, tylko piła swą herbatę.

Kolejny rysunek ukazuje stwórczynię zwierząt Marię, jak kuca za zaciągniętymi zasłonami w czworokątne wzory, które przywołują Janowi na myśl kraty w szpitalnych oknach. Do dużego kubka w tęcze barwy wlewa parujący napar. Czym jest jednak taminalowa herbata?

– Halo! – zawołał jasny dziewczęcy głosik. Maria wyjrzała ostrożnie na zewnątrz, ale dziewczynka nie stała za jej drzwiami.

Znajdowała się przy latarni, której drzwi były otwarte.

Po raz pierwszy, odkąd Maria przybyła na wyspę, Pan Zylizylon Wielki otworzył wrota swej ogromnej wieży!

– Halo! Mam na imię Amelia... Jest tam ktoś?

Ilustracja do tego fragmentu ukazuje scenę widzianą przez Marię: małą dziewczynkę w cienkiej sukience, która stoi przed czarną bramą prowadzącą do latarni. Jan zauważa jednak, że coś wyróżnia dziewczynkę spośród pozostałych dzieci. Nie ma ona na głowie ani hełmu, ani poduszek przymocowanych do ciała.

Siedzące przed nim dzieci milczą. W sali panuje atmosfera oczekiwania.

Jan przewraca kolejną kartkę.

Maria widziała przez okno, jak mała Amelia kroczy w górę schodów ku drzwiom do latarni.

– Halo! – powtórzyła.

Następnie zrobiła jeszcze jeden krok, który doprowadził ją już niemal do wnętrza latarni.

Wówczas Maria zrobiła coś, czego nie zdążyła przemyśleć. Uniosła dłoń w stronę okna, zamknęła oczy i szybko stworzyła zwierzę-strażnika.

Jan spodziewa się od dzieci pytań dotyczących zwierzęcia-strażnika – sam nie ma pojęcia, co to takiego – ale wszystkie wciąż siedzą w ciszy. Odwraca więc następną stronę i kontynuuje:

Maria mogła ofiarować zwierzę-strażnika komukolwiek, ale nie wiedziała, jak owo stworzenie będzie wyglądać. Kiedy więc otworzyła oczy, zobaczyła, że Amelię obejmuje coś, co przypomina wielką żabę. Żółtą żabę o długich owłosionych nogach.

– Kopę lat, przyjaciółko! – zawołała żaba.

Zwierzę objęło Amelię i szybko odciągnęło od wejścia do latarni.

Maria odetchnęła. Podeszła, by otworzyć drzwi swego domu w chwili, gdy w wnętrza wieży zaczęła dochodzić odgłos kroków.

– Wejź! – zawołała, wciągając Amelię do swej chaty. Zwierzę pozostało na zewnątrz.

*

Jan przewraca stronę, gotowy do dalszej lektury. Widzi pierwsze zdanie:

Wówczas ich uszu dobiegł głośny wrzask i w końcu z latarni wyszedł Zylizylon Wielki...

Już ma odczytać je na głos, lecz w tym momencie zauważa rysunek ołówkiem, wykonany na kartce po lewej stronie, i zamyka usta.

Ta ilustracja jest wyraźniejsza od pozostałych, wykonana długimi, mocnymi kreskami, a przedstawia Zylizylona Wielkiego w świetle dnia.

Zylizylon to potwór. Jest ogromny i włochaty, a wokół swej grubej szyi ma zapiętą smycz wykonaną z odciętych ludzkich dłoni. Potwór na obrazku unosi ramiona i otwiera wielką paszczę, aby rzucić się na zwierzę-strażnika, które ze strachu kuli się na ziemi.

Dzieci czekają na dalszy ciąg opowieści.

Jan otwiera usta.

– Później... – Jan próbuje coś wymyślić – ...później stwórczyni zwierząt Maria odprowadziła swą nową przyjaciółkę Amelię na prom i wszystkie dzieci odpłynęły z wyspy. A Maria na powrót odzyskała spokój i ciszę.

Milknie i zamyka książkę.

– Koniec bajki!

Josefine jednak protestuje.

– To się tak nie kończy! – krzyczy. – Na końcu potwór zjada...

– Dzisiaj tak się skończyło – przerywa jej Jan. – A teraz pora na owoce.

Dzieci zaczynają wstawać, tylko Josefine wygląda na zawiedzioną. Jan, mocno trzymając *Stwórczynię zwierząt* pod lewą pachą, prawą ręką rozdaje banany. Gdy wszyscy jedzą, wychodzi szybko do szatni, aby schować książkę do swojej torby.

Chce odczytać zakończenie w samotności. To pożyczka, nie kradzież.

*

Wieczorem przegląda *Stwórczynię zwierząt*, skupiając uwagę na słowach Zylizylon i Tamina⁴. Po chwili włącza komputer, aby poszukać ich w sieci. Rzeczywiście znajduje oba – to nazwy antydepresantów.

Później zastanawia się nad nazwiskiem Blanker. Gdzie je słyszał? Wyjmuje jedyną płytę Rami, zatytułowaną *Rami i August*, i czyta tekst wydrukowany na okładce. Tak, dobrze zapamiętał nazwisko. Po informacji o składzie zespołu i o producentach płyty znajduje się dodatkowa linijka:

PODZIĘKOWANIA DLA MOJEJ BABCI KARIN BLANKER.

Nagle *Stwórczyni zwierząt* staje się książką, którą musi czytać po raz drugi, trzeci i kolejny, aż nauczy się opowieści na pamięć. Kładzie ją na kuchennym stole, wpatrując się w pierwszą stronę, by po chwili zerknąć na stojak z przyrządami do rysowania.

A może musi ją nie tylko czytać? Wyciąga dłoń, sięgając po miękki ołówek Faber Castell. Pracuje uzupełniać w książce linie cienkie jak pajęczna nić, sprawiając, że cienie stają się jeszcze ciemniejsze. Idzie mu tak dobrze, że kontynuuje już czarnym tuszem. Powoli ilustracje stają się coraz bardziej wyraźne i pełne szczegółów. Jan nie ingeruje jedynie w twarze, pozostawiając je nieokreślone i zamazane.

Praca zajmuje mu cały wieczór. Kiedy tusz wysechł, nie może się powstrzymać – sięga po swoje akwarele i ostrożnie zaczyna nanosić na rysunki kolory. Niebo nad wyspą staje się lekko niebieskie, a morze – granatowe. Sukienka Marii przybiera białą barwę, podczas gdy żabę maluje na jasnożółto. Pan Zylizylon w dalszym ciągu pozostaje szaro-czarny.

Koło północy Jan ma skończonych dwanaście ilustracji. Rozciąga palce i prostuje plecy. Dobra robota. *Stwórczyni zwierząt* zaczyna przypominać prawdziwą książkę z obrazkami.

W miarę upływu czasu nabiera przekonania, że to Rami stworzyła opowiadanie o Marii i Zylizylonie Wielkim, siedząc w swym pokoju za betonowym murem. Jan pomaga ukończyć jej dzieło, mimo że ona może tego nie chcieć.

Ryś

Schron był już urządzony, jednak wciąż pozostawało wiele spraw do załatwienia.

W połowie października mijały niemal cztery miesiące, odkąd Jan zaczął pracować w świetlicy. W tym czasie zdążył poznać personel zarówno w Rysiu, jak i w Niedźwiadku. Pracowały tam same kobiety, a jedną z nich była Sigrid Jansson. Wiedział, że Sigrid jest wesoła i pełna szalonych pomysłów, ale niestety czasami miewa problem z upilnowaniem dzieci. Często się uśmiechała i była bardzo miła, lecz jej myśli nieraz ulatywały w jakimś nieznanym kierunku. Kiedy Jan stał i rozmawiał z nią na podwórku, zawsze dużo mówiła, ale rzadko spoglądała na dzieci.

W trakcie cotygodniowej odprawy personelu, kiedy już przeanalizowano jadłospis i grafik sprzątanía w przedszkolu, Jan podniósł rękę i zaproponował wycieczkę do lasu – wspólną wyprawę dla dzieci z Rysia i Niedźwiadka. Podał także datę: środa w przyszłym tygodniu, wiedząc, że wówczas pracują on i Sigrid. Spojrzał na nią ponad stołem wzrokiem pełnym oczekiwania.

– Zajmiemy się tym, Sigrid... Razem? Chodzi o przygotowanie prowiantu i spędzenie z dziećmi paru godzin...

Uśmiechnęła się do niego.

– Oczywiście, świetny pomysł!

Liczył, że zareaguje pozytywnie. Kierowniczką także zgodziła się na propozycję.

– Musimy przypilnować, żeby się odpowiednio ubrały – powiedziała, wpisując wycieczkę w grafik na kolejny tydzień.

Jan także się uśmiechnął. Bunkier został posprzątaný i urządzony – niemal wszystko było gotowe, brakowało jedynie prowiantu.

Następnego dnia zobaczył jednak mamę Williama, która przysłała do Niedźwiadka po syna, i coś w nim zadrżało. Choć kobieta nawet na niego nie spojrzała, uznał, że wygląda na zestresowaną i zmęczoną. Problemy w pracy?

Zmęczenie uczyniło ją bardziej ludzką, a cały plan nagle przestał być tylko grą w wyobraźni. Po raz pierwszy Jan się zawahał.

Rzykował swą pracę w Rysiu – chociaż z drugiej strony nie było tu zbyt wiele do stracenia. Przecież to tylko zastępstwo, do którego końca pozostały niecałe dwa miesiące.

Gorsza była myśl, że mógłby skrzywdzić chłopca. Dużo rozmyślał na ten temat w ostatnich dniach przed wycieczką. Wówczas też dokończył przygotowania w lesie: otworzył szeroko blaszane drzwi do bunkra i żelazną furtkę w wąwozie, a wzdłuż stoku umocował strzałki z czerwonego materiału, wytyczając trasę.

W założeniu bunkier miał być jak luksusowy hotel – czysty i przytulny, pełen jedzenia, napojów i zabawek. I mnóstwa słodczy.

– Proszę pana! – dzieci wołają radosnymi głosikami. – Niech pan przyjdzie!

Jan bardzo lubi dzieci w Polanie, one także go akceptują. Wszystko dobrze się układa.

Jego pierwsza wieczorna zmiana zaczyna się o pierwszej, a kończy o dziesiątej w środowy wieczór. Ma poczucie, że to swego rodzaju test przed zbliżającym się nocnym dyżurem, kiedy to będzie musiał zostać w przedszkolu zupełnie sam z trójką dzieci, które teraz mieszkają tu na stałe: z Leo, Matildą i Mirą.

Andreas bawi się z dziećmi na podwórku, gdy Jan do nich dołącza. Tego dnia jest zaledwie sześć stopni. Andreas owinął szyję grubym wełnianym szalikiem w kolorze niebieskim.

– Cześć, Janie!

Stoi z rękoma w kieszeniach spodni, nieruchomy jak skała na jesiennym wietrze.

– Wszystko dobrze? – pyta Jan.

– Tak – odpowiada Andreas. – Większość czasu spędziliśmy na dworze.

Pozwalają dzieciom bawić się jeszcze około kwadransa, po czym wracają do ciepłego wnętrza i wyjmują pojemniki z obiadem przygotowanym w szpitalnej kuchni Świętej Patrycji.

Andreas zostaje w przedszkolu dodatkowe pół godziny, ale Jan nie chce pytać o przyczynę. Czyżby to na polecenie Marie-Louise, która chce mieć na niego oko?

Andreas wychodzi, kiedy słońce wisi już nisko nad horyzontem. W tym momencie za Polaną odpowiada już tylko Jan.

Wszystko będzie w porządku, dobrze zajmie się dziećmi.

Zaczyna od zebrania ich w pokoju zabaw.

– Co chcecie robić?

– Bawić się! – woła Mira.

– A w co?

– W park dla zwierząt! – odpowiada dziewczynka, wyciągając dłoń. – Taki jak tam.

Z początku Jan nie rozumie, ale po chwili orientuje się, że Mira wskazuje na okno i ogrodzenie wznoszące się w oddali.

– To nie jest park dla zwierząt – wyjaśnia jej.

– Właśnie, że jest! – zdecydowanie stwierdza dziewczynka.

Zdaje się, że nie łączy swych wizyt w szpitalu z widzianym z okna ogrodzeniem. Jan nie uświadamia jej tego związku.

Najważniejszymi obowiązkami podczas wieczornego dyżuru są podanie kolacji, dopilnowanie, żeby dzieci umyły zęby, i położenie ich do łóżek. Jan robi więc kanapki z serem dla Matildy, Leo i Miry, wyciąga ich pidżamy i prosi, aby się przebrali. Na zewnątrz jest zupełnie ciemno, zegar pokazuje dziewiętnastą trzydzieści. Dzieci są już dość zmęczone i bez słowa sprzeciwu kładą się, każde do swego łóżeczka w sypialni. Jan czyta im ostatnią bajkę, opowiadającą o hipopotamie, który zamienia się rolami z jednym tatą i musi się zająć małą dziewczynką. Po skończeniu czytania wstaje.

– Dobranoc... Do zobaczenia jutro.

Kiedy gasi światło, z pokoju dobiegają go ciche śmiechy. Zatrzymuje się, zastanawiając się, czy powinien zwrócić dzieciom uwagę, lecz chichot za chwilę cichnie.

Do obowiązków Jana należy też przewietrzenie przedszkola. O ósmej zamyka ostrożnie drzwi do sypialni dzieci, po czym otwiera na oścież wszystkie okna. Pozwala zimnemu powietrzu wtargnąć do wnętrza.

Jan słyszy muzykę dochodzącą z ciemności na zewnątrz. Nie są to jednak dudniące basy z jakiejś okolicznej imprezy, lecz spokojne i nieco melancholijne tony starego szwedzkiego przeboju. Dochodzą przez okna na tyłach przedszkola. Kiedy wygląda przez jedno z nich, widzi w ciemnościach jarzący się punkt przed budynkiem Świętej Patrycji. Punkt porusza się w górę i w dół – ktoś stoi, paląc papierosa i słuchając muzyki na placu przed szpitalem.

Pacjenci nie są wrzeszczącymi szaleńcami – powiedział mu doktor Högsmed. Przeważnie są spokojni i kontaktowi.

Czy palacz jest pacjentem, czy opiekunem? Nie widać tego w ciemności.

Jan zamyka okna. Co ma teraz robić? Udaje się do pokoju zabaw, aby przeszkukać skrzynie z książkami. Josefine wyjęła *Stwórczynię zwierząt* ze środka skrzyni po lewej stronie. Jan klęka teraz właśnie przy niej.

Stwórczyni zwierząt dała mu zajęcie. Dzisiaj dokończył rysowanie kolejnych trzech stron. Kiedy całość będzie gotowa, odłoży książkę z powrotem do skrzyni. Zastanawia się, czy są tam inne ręcznie wykonane bajki.

Bez pośpiechu przekłada książki o Pippi, baśnie braci Grimm. W końcu w głębi skrzyni znajduje więcej cienkich książeczek, wyglądających na wykonane ręcznie, na których nie zapisano nazwiska autora. Jan wyjmuje trzy egzemplarze i odczytuje tytuły: *Sto dłoni księżniczki*, *Choroba czarownicy* i *Viveca w kamiennym domu*.

Powoli kartkuje książeczki, jedną po drugiej. One także zostały napisane odręcznie, a ilustracje wykonano ołówkiem. Wszystkie trzy, tak jak *Stwórczyni zwierząt*, wydają się smutnymi bajkami o samotnych ludziach. *Sto dłoni księżniczki* opowiada o księżniczce Blance, której zamki pochłonęły trzęsawiska. Blanka uszła z życiem, chowając się w wysokiej wieży, ale może teraz rządzić tylko ludzkimi dłońmi – zmusza je do robienia dla niej różnych rzeczy.

Główną bohaterką *Choroby czarownicy* jest schorowana wiedźma, tkwiąca w swej chatce w głębi lasu i niemogąca już czarować.

Viveca w kamiennym domu opowiada z kolei historię starej kobiety, która budzi się sama w wielkim zakurzonym domu i nie potrafi sobie przypomnieć, jak się w nim znalazła.

Jan zamyka książki i chowa je do plecaka.

Godzinę później do przedszkola wchodzi Marie-Louise.

– Cześć, Janie! – Ma na sobie wełnianą czapkę i szalik. Jej policzki są mocno czerwone. – Musiałam wyciągnąć dziś wieczorem swoją zimową czapkę! Kiedy słońce zachodzi, na zewnątrz robi się strasznie zimno.

Marie-Louise ma ze sobą mały plecak. Przechodząc do pokoju wychowawców, wyciąga robotkę ręczną i książkę zatytułowaną *Jak rozwijać swoją kreatywność*. W końcu z uśmiechem zwraca się do Jana:

– No to już cię zmieniam. Możesz iść do domu i się położyć.

Jan widzi, jak jego szefowa wyjmuje z plecaka czarną aksamitną opaskę na oczy.

– Będziesz tu spała? – pyta.

– Oczywiście – odpowiada szybko Marie-Louise. – Można spać na nocnym dyżurze, to nic złego... Nie wolno tylko wkładać zatyczek do uszu. Musisz się obudzić, jeśli coś by się działo.

Jan, milcząc, zastanawia się, co mogłoby się dziać, ale Marie-Louise ciągnie dalej:

– Czasami dzieci się budzą i mogą potrzebować przytulenia, jeśli śniło im się coś strasznego. Nic gorszego nigdy się nie wydarza, a i to niezbyt często.

– Rozumiem... Do której zazwyczaj śpią?

– Niektóre to nieźle śpiochy... Ja przeważnie na dyżurze wstaję o wpół do siódmej, a budzę je pół godziny później. Potem jedzą śniadanie, po którym nocna zmiana się kończy.

Jan wychodzi, zostawiając Marie-Louise i pogrążone we śnie dzieci. Na ulicy rzuca szybkie spojrzenie w prawo. Święta Patrycja przypomina wielki ciemny hangar za murem.

Nagle przystaje. Przed nim ktoś stoi i wyczekuje. Jest to ciemna wysoka postać – mężczyzna w czarnym płaszczu, stojący zupełnie nieruchomo pod jednym z dębów, między rowem a chodnikiem. Światło ulicznych latarni ledwo go sięga. Jan widzi niewyraźną bladą twarz. Wpatrują się w siebie. W końcu mężczyzna się porusza – unosi jakąś cienką linkę trzymaną w dłoni.

Jan dostrzega, że to smycz.

W tym momencie zza dębu przydreptuje pies. Biały pudel. Mężczyzna schyla się, wyjmując małą foliową torebkę i dokładnie zbiera wszystko, co pudel zostawił po sobie na ziemi. Pan i jego pies ruszają dalej na swój spacer.

Jan cicho wypuszcza powietrze.

Weź się w garść, myśli i także zaczyna iść. Tu na ulicach nie ma szaleńców, to tylko właściciele psów.

Autobusy do centrum o tej porze już nie jeżdżą. Powietrze jest jednak tak świeże, że Jan z przyjemnością idzie piechotą. Spacer do jego dzielnicy zajmuje tylko około piętnastu minut.

Zbliżając się do kamienicy, widzi, że w większości okien nie świecą się światła.

Mój dom, przychodzi mu do głowy myśl, chociaż tak naprawdę wcale tego nie czuje. To długi proces.

Widzi, że ktoś stoi na balkonie dwa piętra poniżej jego mieszkania i pali fajkę. To siwowłosej mężczyzna, być może ten, który chodził po piwnicy z wytartą torbą z pralni Świętego Psychola.

Mężczyzna zaciąga się fajką. Wydmuchując w ciemność duże białe kłęby dymu, zdaje się zatopiony w myślach. Jan zatrzymuje się i unosi dłoń.

– Dobry wieczór.

Mężczyzna kiwa głową. Kaszląc, wypuszcza z ust chmurę dymu.

– Dobry – odpowiada krótko.

Jan rusza dalej w kierunku wejścia. Na drugim piętrze zatrzymuje się na moment. Na drzwiach po prawej stronie odczytuje nazwisko: V. LEGÉN.

Aha. Przynajmniej wie, jak nazywa się palacz fajki i pod którym numerem mieszka.

Jan idzie dalej po schodach, do własnego ciemnego mieszkania, ale nie zostaje tam długo.

Szybko stawia w korytarzu plecak z książeczkami, przebiera się w marynarkę i z powrotem wychodzi w noc.

Pójdzie do Baru u Billa, tylko na chwilę. Może spróbuje zostać tam stałym gościem – czyli kimś, kim nigdy nie był. Nigdzie.

– Wasze zdrowie! – woła Lilian, wznosząc swą szklankę.

– Zdrowie – odpowiada cicho Jan.

– Zdrowie – odzywa się Hanna, jeszcze ciszej.

Lilian pije najwięcej, opróżnia szklankę do połowy.

– Podoba ci się u Billa? – pyta.

– Tak.

– A co ci się tu podoba?

– Taaak... muzyka.

Rozmawiają głośno – prawie tak, jakby mówili do dzieci w przedszkolu – żeby przekrzywić lokalną kapelę grającą przy barze. The Bohemos. Grupa składa się z czterech młodych mężczyzn, ubranych w rozpięte skórzane kurtki. Występują na niewielkiej, podwyższonej scenie. Wokalista z jasnymi włosami zaczesanymi do tyłu i związanymi w koński ogon śpiewa chrapliwym barytonem rockowe piosenki. Choć na scenie jest ciasno, zespołowi udaje się wykonać od czasu do czasu kilka krótkich tanecznych kroków. Goście co prawda w przeważającej większości rozmawiają, nie wsłuchując się w muzykę, ale są na tyle hojni, że nagradzają zespół krótkimi oklaskami po każdej piosence.

Jan woli szeptane utwory Rami o samotności i tęsknocie, ale także bije brawo, z grzeczności.

Unosi swój kufel. Tym razem piwo ma w sobie więcej alkoholu, który uderza do głowy szybko jak rakietą. Myśli krążą nieskrępowane.

Miło byloby zostać tutaj stałym gościem, lecz Jan pozbawiony jest większego talentu do zdobywania knajpianych przyjaciół. Zrozumiał to już wcześniej tego wieczoru, kiedy to przeciskał się w kierunku baru i nie spojrzął w oczy choćby jednej osobie. Ciężko przychodzi mu odprężenie się w towarzystwie dorosłych, przy dzieciach jest to o wiele łatwiejsze.

Przynajmniej barman obdarzył go przyjaznym skinieniem, kiedy podszedł do niego i zamówił drugie piwo. Poza tym do jego stolika przysiadły się koleżanki z pracy. Po prostu zjawiły się nagle i z nim usiadły: niebieskooka Hanna i rudowłosa Lilian.

Lilian opróżnia trzecią szklankę i pochyła się nad stołem.

– Sam tu przyszedłeś?

Jan potwierdza skinieniem, myśląc o zacytowaniu Rami: „Jestem zagubioną duszą na lodowej pustyni”, jednak tylko się uśmiecha. Ma nadzieję, że tajemniczo.

– Ojej, znowu pusta. – Lilian patrzy w kierunku baru. – Trzymajcie mi miejsce. Kupię tylko coś do picia.

Szklanki z piwem Jana i Hanny wciąż są w połowie pełne, ale kiedy Lilian wraca, okazuje się, że im także kupiła po kolejnym piwie.

– Wy stawiacie następną kolejkę!

Jan nie chce wypić ani kropli więcej, a mimo to przyjmuje kufel. Siedzą tak przy stoliku, kontynuując rozmowę. Najpierw o The Bohemos, którzy według Lilian są bezapelacyjnie najlepszą kapelą w mieście, nawet jeśli mało kto spoza Baru u Billa o nich słyszał.

– Grę u Billa traktują tylko jako hobby – mówi. – Pracują gdzie indziej...

– Tak, pracują w Patrycji – potwierdza Hanna. – Dwaj z nich.

Lilian rzuca jej szybkie spojrzenie, jakby powiedziała zbyt wiele.

– Naprawdę? – Jan spogląda w stronę grupy z większym zainteresowaniem. – W Patrycji?

– Nie znamy ich – mówi Lilian.

Jan zaczyna czuć się tu tak dobrze, że kupuje nawet następną kolejkę. Później Hanna przynosi jeszcze trzy butelki. Piwo leje się strumieniami, ale Janowi to nie przeszkadza. Ju-tro może się wyspać, zanim pójdzie do przedszkola na nocny dyżur.

Lilian jednak pije więcej niż on i Hanna razem wzięci, a jej głowa zwisa coraz niżej nad stołem. Lecz nagle dziewczyna się prostuje.

– Janie, przystojniaku! – mówi, mrugając zmęczonymi oczami. – Zapytaj, czy wierzę w miłość.

– Słucham?

Lilian powoli kręci głową.

– Nie wierzę w miłość. – Podnosi trzy palce. – To moi faceci... Pierwszy zabrał mi dwa lata, drugi zabrał cztery, a za trzeciego wyszłam za mąż. Skończyło się w zeszłym roku. Te-raz mam więc tylko brata. Jedyne go brata. Miałam dwóch, ale teraz mam już tylko jedne-go...

Hanna pochyla się nad stołem.

– Lilian, idziemy do domu?

Dziewczyna nie odpowiada. Opróżnia szklankę i odstawia ją, wzdychając.

– Okej, idziemy – decyduje się po chwili.

Jan nagle zdaje sobie sprawę, że bar za chwilę zamkną. Muzyka ucichła, The Bohemos opuścili scenę. Stoliki wokół nich pustoszeją.

– Dobrze – zgadza się Jan. – Wychodzimy.

Kiwa głową raz za razem – po raz pierwszy jest naprawdę pijany, czuje to. Stopy same się przesuwają, kiedy wstaje od stołu.

– Jestem zagubioną duszą na lodowej pustyni – mówi, lecz chyba ani Lilian, ani Hanna go nie słyszą.

Kiedy wychodzą na ulicę, ogarnia ich mroźne powietrze. Alkohol uderza Janowi do głowy. Mężczyzna, chwiejąc się, spogląda na zegarek. Dochodzi druga. Późno, okropnie późno. Do-brze, że ma wolne do dziewiątej wieczorem. Może spać do woli.

Lilian rozgląda się wokół siebie i po drugiej stronie ulicy zauważa taksówkę.

– Ta jest moja! – krzyczy ochryplym głosem. – Do zobaczenia!

Chwiejnym krokiem rusza do samochodu, wsiada i szybko znika im z oczu.

Hanna wciąż jest obok.

– Lilian mieszka dość daleko... A ty gdzie mieszkasz, Janie?

– Całkiem blisko. – Podnosi lewą rękę w kierunku wschodnim. – Tam, po drugiej stronie torów.

– No to idziemy – postanawia Hanna.

– Do mnie?

Zaprzecza ruchem głowy.

– Tylko do torów. Pójdę z tobą... Idziemy w tym samym kierunku.

– Oczywiście – odpowiada Jan, próbując nieco wytrzeźwieć.

Idą chodnikiem obok siebie, a po kwadransie docierają do torów biegnących niedaleko centrum miasta.

– Tu się pożegnamy.

Przestrzeń ponad nimi jest czarna, a tory kolejowe – puste.

Jan spogląda na Hannę. Na jej lśniące niebieskie oczy, jasne włosy i zamarzniętą twarz. Jest piękna, ale Jan wie, że nie jest nią zainteresowany – nie w ten sposób. Wciąż jednak gapi się na nią w milczeniu.

– Powiedz o najgorszej rzeczy, jaką kiedykolwiek zrobiłeś.

To Hanna zadaje pytanie j e m u.

– Najgorszej? – Jan patrzy na nią. Zna odpowiedź na jej pytanie. – Muszę się zastanowić... A co takiego ty zrobiłaś?

– Wiele rzeczy – odpowiada Hanna.

– Jasne. Ale wymień jedną.

Wzrusza ramionami.

– Zdrada i zawód sprawiony przyjaciółom... To chyba przeważnie są takie rzeczy?

– Tak?

– No tak – ciągnie Hanna. – Jak miałam dwadzieścia lat, przespałam się z narzeczonym najlepszej przyjaciółki. Dowiedziała się o tym i zerwała zaręczyny... ale ciągle się przyjaźnimy. Coś w tym stylu.

– Coś w tym stylu?

– Wysłałyśmy sobie kartki na święta. – Hanna wzdycha. – Ale to mój problem.

– Co takiego?

– Że sprawiam ludziom zawód. – Mrugając, patrzy na niego. – Zakładam, że inni zawiódą mnie, więc wolę zrobić to pierwsza.

– W porządku... Dzięki za ostrzeżenie.

Jan się uśmiecha, Hanna pozostaje niewzruszona. Przy torach znowu zapada cisza. Dziewczyna jest piękna, ale teraz Jan chce tylko pójść spać. Odwraca głowę, patrząc w stronę bloków, w których mieszka. Wszyscy na pewno śpią, wszyscy dobrzy ludzie. Tak jak zwierzęta, jak drzewa...

– No a ty?

– Co?

Hanna patrzy na niego uważnie.

– Pamiętasz tę najgorszą rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłeś?

– Tak, może...

Co on właściwie zrobił wtedy w Rysiu? Próbuje sobie przypomnieć. Budynki wokół niego wirują, a działanie alkoholu wydaje się jeszcze wzmagać. Nagle słowa same płyną z jego ust:

– Zrobiłem kiedyś coś głupiego... w przedszkolu w moim rodzinnym mieście. W Nordbro.

– Co takiego? Co zrobiłeś?

– Pracowałem tam jako wychowawca. To było moje pierwsze zastępstwo i dałem plamę...

Zgubiłem dziecko.

Jan patrzy w ziemię, wyrównując stopą żwir.

– Zgubiłeś?

– Tak. Zabrałem grupę dzieciaków do lasu. Z jedną koleżanką... Zdecydowanie za dużą grupę. A kiedy wróciliśmy, dzieci było za mało... Jeden chłopiec został w lesie i to był... Częściowo był to mój błąd.

– Kiedy to się stało?

Jan wciąż patrzy w dół. Ryś. Pamięta wszystko. Pamięta, jakie było powietrze w świerkowym lesie, równie zimne jak tego wieczoru.

– Dziewięć lat temu... Niemal dokładnie dziewięć lat. W październiku.

Nie mów już nic więcej, myśli, lecz błękitne oczy Hanny wpatrują się w niego intensywnie.

– Jak nazywał się ten chłopiec?

Jan waha się.

– Nie pamiętam – mówi w końcu.

– Jak to się stało? – dąży Hanna. – Jak się skończyło?

– On... Wszystko dobrze się skończyło. W końcu. – Jan wdycha, po czym dodaje: – Ale rodzice byli zupełni rozbici, załamali się.

Hanna wdycha.

– Idioci... To przecież ich dzieciak uciekł. Najpierw zostawiają swoje oczka w głowie, żądając, żebyśmy my ponosili za nie całą odpowiedzialność. Nie jest tak?

Jan potwierdza skinieniem, żałując już swego wyznania. Po co stoi tu i opowiada o Rysiu? Jest pijany.

– Nie powiesz o tym, co? – mówi do Hanny.

– Chodzi ci o jakiegoś przełożonego?

– Tak albo...

– Ależ skąd. Nie martw się. – Hanna ziewa, patrząc na zegarek. – Muszę iść... Trzeba jutro wcześniej wstać do pracy. – Wspiąwszy się na palce, obejmuje go szybko. Odrobina ciepła w tę noc. – Śpij dobrze. Do zobaczenia w Polanie.

– Do zobaczenia.

Patrzy za nią, jak wychodzi z powrotem na ulicę, by zniknąć po chwili, kierując się w stronę centrum niczym jasnółśosa senna zjawa. Alice Rami jest dla Jana także jak sen – jest równie mglista i niewyraźna jak wiersz lub piosenka. Wszystkie dziewczyny są postaciami ze snu...

Dlaczego opowiedział Hannie o Rysiu?

Powoli zaczyna mu się rozjaśniać w głowie, a wraz z tą jasnością przychodzi żal. Otwierając drzwi, potrząsa głową. Pora na sen, a później praca. Przez dwa tygodnie zachowywał się jak posłuszny pies. Czas na zapłatę: własny nocny dyżur w przedszkolu.

– Tu jest telefon alarmowy – wyjaśnia Marie-Louise, pokazując szarą słuchawkę wiszącą na ścianie pokoju wychowawców, tuż obok szafki Jana. – Wszystko, co musisz zrobić, to podnieść słuchawkę i zaczekać. Aparat zadzwoni automatycznie.

– A do kogo?

– Do stróżówki przy głównym wejściu do szpitala. Pełnią tam dyżury dwadzieścia cztery godziny na dobę, więc zawsze jest ktoś, z kim można porozmawiać. – Uśmiechając się do Jana jakby nieco zmieszana, dodaje: – Dobrze mieć świadomość, że ktoś jeszcze jest w pobliżu w nocy, nawet jeśli wiesz, że sam sobie poradzisz, czyż nie?

– Pewnie.

Jan kiwa głową i prostuje plecy, aby wyglądać na gotowego do wykonania zadania, podczas gdy Marie-Louise nieco nerwowo drapie się po szyi.

– Jeśli coś się stanie, dzwoni do nich bez wahania, chociaż do tej pory nie musieliśmy tego robić... – Szybko odwraca się od telefonu alarmowego, jakby chciała zapomnieć o jego istnieniu. – Masz jakieś pytania?

Jan zaprzecza ruchem głowy. Szefowa wszystkie procedury omówiła dwukrotnie, więc jest dobrze przygotowany. I zupełnie trzeźwy. Kiedy obudził się rano, był jeszcze słaby po nocy spędzonej w Barze u Billa, ale teraz czuje się już dobrze.

Jest piątkowy wieczór drugiego tygodnia jego pracy w przedszkolu, a on ma swój pierwszy nocny dyżur – właściwie to jego pierwsza nocna praca w ogóle. W grafiku nocną zmianę przewidziano od wpół do dziesiątej wieczorem do ósmej w sobotni rano, ale – jak Jan już się dowiedział – nie musi przez cały ten czas czuwać. W pokoju wychowawców czeka kanapa, na której może przespać całą noc. Jego sen musi być jednak czujny, żeby mógł zareagować, kiedy któraś z dzieci będzie potrzebowało pomocy lub pocieszenia.

– Chyba wszystko jest już jasne – stwierdza.

– Dobrze – odpowiada Marie-Louise. – Przyniosłeś sobie własne prześcieradło?

– Tak. Szczoteczkę do zębów też.

Marie-Louise się uśmiecha. Wygląda na zadowoloną. Założyła już płaszcz i wełnianą czapkę. Otwiera drzwi wyjściowe, prowadzące w ciemność na zewnątrz.

– Życzę ci spokojnej i dobrej nocy, Janie. Jutro rano przyjdzie Hanna i cię zmieni. My spotkamy się wieczorem.

Drzwi się zamykają. Jan przekręca klucz w zamku i patrzy na zegarek. Dwadzieścia po dziesiątej. W przedszkolu panuje niczym niezmana cisza.

Idzie do pokoju wychowawców, żeby posłać wąską sofę. Później je w kuchni kanapkę, po czym myje zęby. Są to jednak tylko te czynności, które musi wykonać. Problem polega na tym, że nie jest ani trochę zmęczony.

Co jeszcze może zrobić? Co c h c e zrobić?

Zajrzeć do dzieci.

Cicho uchyla drzwi do pogrążonej w ciemności dziecięcej sypialni i nasłuchuje oddechów podopiecznych. Matilda, Leo i Mira śpią głęboko, każde w swoim łóżku. Głęboko i spokojnie.

Nawet Leo leży zupełnie nieruchomo. Według Marie-Louise normalnie żadne z dzieci nie wstaje wcześniej niż o wpół do siódmej, kiedy się je budzi.

Normalnie. Ale kiedy wszystko jest n o r m a l n e ?

Jan zostawia drzwi lekko uchylone i kieruje się na stołówkę na tyłach przedszkola. Staje przy oknie i patrzy na zewnątrz, nie zapalając światła.

W Świętym Psycholu też pogaszono lampy. Jedyne reflektor podświetla ogrodzenie, ale teren w jego obrębie wypełniają cienie.

Szare cienie na trawie, czarne pod świerkami. Tego wieczoru nikt nie stoi i nie pali papierosa.

Wschodnia, krótsza ściana szpitala wznosi się jakieś czterdzieści lub pięćdziesiąt metrów dalej. Światło świeci się tylko w dwóch z czterech wysokich okien. Źródłem światła są prawdopodobnie białe świetlówki wiszące w korytarzu – identyczne z tymi w piwnicy.

P i w n i c a. Droga wiodąca do szpitala, chociaż także zablokowana. Drzwi na dole są zaryglowane, wejście do piwnicy też jest zamknięte.

Jan przez chwilę myśli o drzwiach. O piwnicznym korytarzu, o łączniku.

Następnie wraca do kuchni i otwiera jedną z szuflad. Leżą tu. Karty magnetyczne. Wyjmuje jedną z nich.

Pamięta kod? Oczywiście, data urodzin Marie-Louise. Odkąd zaczął pracę w przedszkolu, zaprowadził do szpitala i przyprowadził kilkanaścioro dzieci, wbijając przy tym kod przynajmniej dwadzieścia razy. Wstukuje go raz jeszcze. Przeciąga kartę magnetyczną, słyszy trzask zamka.

Otwarte. A więc działa także w nocy.

Strome schody przypominają urwisko lub wejście do jaskini prowadzące wprost w podziemia. Na dole panuje mrok, ale nie jest zupełnie ciemno. W głębi korytarza widać słabe światło.

Światło windy jeżdżącej w górę, do szpitala.

Jan waha się, szybko oglądając się za siebie. W szatni oczywiście nikogo nie ma – przecież zamknął drzwi wyjściowe, kiedy Marie-Louise poszła do domu.

Pochyla się do przodu, wyciąga rękę i zapala światło. Świetlówka rozżarza się, błyskając w podziemnym korytarzu. Teraz już wyraźnie widać strome schody, a poniżej nich dywan, rozłożony na podłodze jak zaproszenie do wejścia do windy. Samych drzwi do windy nie widać, lecz jeśli Jan zszedłby cztery, pięć stopni niżej, zobaczyłby je w oddali.

Jesteś tam, Rami?

Stawia dwa ciche kroki w dół schodów, po czym staje, trzymając się poręczy. Słucha. Nie dochodzi go żaden dźwięk, ani z przodu, ani z tyłu.

Kolejny krok, potem jeszcze trzy szybkie kroki.

Widzi drzwi windy. Światło w okienku oznacza, że winda jest na dole, tu, w piwnicy. Czeka na niego.

Robi następny krok.

Nogi poruszają się jednak coraz bardziej ociężałe. To blokada mentalna. Myśli o dzieciach, o Leo, Matildzie i Mirze – one śpią w przedszkolu, a on za nie odpowiada, tak samo jak odpowiadał za Williama dziewięć lat temu.

To się nie uda. RzUCA ostatnie spojrzenie w stronę łącznika prowadzącego do szpitala, po czym rusza ku schodom wiodącym na górę.

Wraca, zamyka drzwi i sprawdza, czy się zatrzasnęły. Następnie gasi wszystkie światła poza jedną lampką nocną w korytarzu i kładzie się do łóżka. W ciemności zamyka oczy i oddycha głęboko.

Sen nie nadchodzi. Jan nie jest w stanie zasnąć. Teraz, kiedy jest ciemno, wydaje mu się, że przedszkole pełne jest dźwięków. Trzaski, szmery, szepty... Ktoś leży tam w szpitalu i tęskni. Ktoś, kto pragnie, aby go odwiedzić.

Alice Rami.

Jan zaciska powieki, lecz ona patrzy na niego lśniącoymi oczami.

Przyjdź tu, Janie. Chcę na ciebie popatrzeć.

Dopiero gdy budzik stojący obok zaczyna brzęczeć, Jan zauważa, że jednak zasnął. Wyświetlacz pokazuje godzinę szóstą piętnaście. Na zewnątrz wciąż jest ciemno, ale to już rano. Widząc nagie ściany wokół siebie, przypomina sobie, że leży w małym pokoju wychowawców w przedszkolu.

Pora budzić Leo, Matildę i Mirę.

Jego pierwszy nocny dyżur w Polanie dobiega końca, ale czeka go wiele kolejnych – wychodząc z łóżka, wpada nagle na pomysł, w jaki sposób może zejść nocą do piwnicy, a jednocześnie nie musieć martwić się o dzieci.

Kupić elektroniczną nianię.

Ryś

Nadeszło środowe popołudnie, czyli czas na wycieczkę. Kiedy Jan i Sigrid ruszyli w drogę, prowadząc ze sobą siedemnaścioro dzieci, było dwadzieścia pięć po pierwszej. O tej porze roku do zachodu słońca mieli jeszcze przynajmniej cztery godziny, a więc spory zapas czasu. Grupa musiała wrócić najpóźniej o czwartej.

Tego dnia było jedenaście stopni, pochmurnie, ale bezwietrznie. Kiedy zebrali się przy furtce, Jan policzył, że z Niedźwiadka na wycieczkę wyrusza dziesięcioro uczestników, łącznie z Sigrid. Mały William także był w tej grupie. Miał na sobie granatową jesienną kurtkę z białymi odblaskowymi paskami i jaskrawożółtą wełnianą czapkę.

Jan prowadził ośmioro dzieci z Rysia. W całej grupie było dziewięciu chłopców i osiem dziewczynek. Trudno było ich wszystkich policzyć, bo jak to zwykle bywa, zaraz za płotem dzieci już się rozochociły, a kiedy skończył się chodnik i weszli między świerki, zrobił się jeszcze gorszy harmider. Dzieci nieustannie przemieszczały się tam i z powrotem między drzewami, krzyczały, skakały i czepiały się siebie nawzajem. Sprawiały wrażenie, jakby w każdej chwili mogły rozbiec się na wszystkie strony.

Dzieci powinny iść równo, parami, jednak Sigrid, zajęta swoim telefonem komórkowym, zdawała się nie zauważać, jak ruchliwą mają grupę. Jan dostrzegł, że dostała wiadomość zakończoną wieloma wykrzyknikami, pewnie od jakiejś koleżanki.

On także nie wysiłał się, by zaprowadzić porządek.

– Wszyscy do mnie! – krzyczał tylko, przyspieszając tempo.

Dzieci podążały za nim i zaledwie po kwadransie weszli na wzgórze i zagłębili się w las. Świerki rosły coraz gęściej, ścieżka się zwężała.

– Wiesz, gdzie jesteśmy, Janie?

Sigrid właśnie wyłączyła komórkę i chyba po raz pierwszy rozejrzała się po lesie.

– Jasne. – Uśmiechnęła się do niej. – Znam tę okolicę. Idąc dalej, dotrzemy na polanę... Tam możemy się zatrzymać i coś zjeść.

Wszystko się zgadzało. Świerki zniknęły, a oni wkroczyli na dużą okrągłą polanę. Znowu było jasno, dzieci się uspokoiły.

Na prowiant, który ze sobą zabrali, składały się drożdżówki i sok truskawkowy. Dzieci były już trochę zmęczone. Bez trudu udało się je posadzić w długim rzędzie i zachęcić do wspólnego posiłku. Kiedy jednak sok już się skończył, zyskały nową energię. Szybko wstały, zaczęły się przepychać i na siebie krzyczeć.

Jan zerknął na zegarek. Było dwadzieścia po trzeciej. Spojrzał na Sigrid. Poczuł, jak serce łomocze mu coraz szybciej, kiedy zadał jej niewinne pytanie:

– Może jeszcze chwilę się pobawimy?

– Pewnie! – Sigrid wyglądała na zadowoloną.

– Możemy się rozdzielić – zaproponował Jan. – Ty pobawisz się z dziewczynkami, a ja zajmę się chłopakami.

Zgodziła się, a Jan głośno zawołał do chłopców:

– Pora na zabawę!

Zebrał ich wszystkich razem – Williama Halewiego i pozostałą ósemkę.

– No to idziemy!

Niczym bosman na statku przejął dowództwo i ruszył z chłopcami wzdłuż ścieżki, pod górę, głębiej w las.

Są niewielkich rozmiarów, zrobione z plastiku, a przypominają najtańsze walkie-talkie. Elektroniczne nianie. Istnieje wiele różnych modeli. Ten, który Jan trzyma w ręku, nazwany został Angelguard – „anielskim strażnikiem”.

– Ten model rzeczywiście sprzedaje się u nas najlepiej – informuje sprzedawca. – Na angelguarda naprawdę można liczyć. Bateria dziewięciowoltowa wystarcza na wiele tygodni. Urządzenie działa na całkiem innej częstotliwości niż telefony komórkowe czy odbiorniki radiowe. Poza tym ten model ma wbudowaną żarówkę, której z powodzeniem można używać jako latarki.

– Świetnie – stwierdza Jan.

Stoi w sklepie pełnym dziecięcych akcesoriów, ubrań, książek i wózków. Sprzedają tu wszelkiego rodzaju blokady, zamki, alarmy i inne przedmioty mające na celu ochronę maluchów. Poza tym także ergonomiczne łyżeczki, świecące śliniaczki i małe rurki do odciągania dzieciom kataru – Jana jednak interesują tylko elektroniczne nianie.

– Jak duży mają zasięg?

– Nawet trzysta metrów – odpowiada sprzedawca. – W każdych warunkach.

– Także przez stal i beton?

– Oczywiście... Ściany to żaden problem.

Jan kupuje anielskiego strażnika. Młody sprzedawca sądzi zapewne, że to kolejny nadopiekuńczy tato, gdyż mrugając do niego, mówi:

– „Anioły” działają w jedną stronę... To znaczy, że słyszycie dziecko, ale ono nie słyszy was.

– Doskonale – odpowiada Jan.

– Chłopiec czy dziewczynka? – ciągnie sprzedawca.

– I jedno, i drugie... w różnym wieku – odpowiada szybko Jan. – Mam trójkę.

– Mają kłopoty ze snem?

– Nie, zazwyczaj jest spokojnie i cicho, ale człowiek zawsze chce mieć pewność.

– To rozumiem. – Sprzedawca wkłada sprzęt do reklamówki. – Trzysta czterdzieści koron.

Wieczorem Jan jedzie do przedszkola rowerem, wioząc w plecaku zakupionego anioła. Zastanawia się, czy pokazać urządzenie Marie-Louise – może powinien zaprezentować je z takim entuzjazmem jak sprzedawca – tylko że jej pewnie się nie spodoba, podobnie jak telewizory. Przychodzi do pracy dokładnie o wpół do dziesiątej, nie wspomina jednak o zakupie. Wieszka plecak w szafce i przejmując obowiązki.

Tego wieczoru Leo, Matilda i Mira śpią spokojnie, a Marie-Louise nie zostaje zbyt długo. Być może zaczyna już ufać Janowi.

– Czuleś się dzisiaj zmęczony? – pyta.

– Byłem trochę ospały.

– Ale dobrze spałeś w nocy?

– Ależ tak. Dzieci również.

Marie-Louise wychodzi, by zdążyć na autobus za piętnaście dziesiąta, a Jan zamyka za nią drzwi.

Zauważa, że drzwi do piwnicy także są zatrzaśnięte.

Znowu jest sam, sam z dziećmi.

Na krótszej ścianie Świętej Patrycji światło świeci się w dokładnie tych samych dwóch oknach pozbawionych zasłon co wczoraj – Jan ma pewność, że to korytarze, gdzie światel nie gasi się przez całą noc, tak jak nocnej lampki w przedszkolu.

Przerывa wpatrywanie się w szpital. Tego wieczoru jest tyle do zrobienia. W szatni porządkuje buty, słucha w radiu wiadomości sportowych (cicho, aby nie obudzić dzieci), po czym przygotowuje sobie w kuchni dość późną kolację – kanapkę i filiżankę herbaty.

Przez cały czas myśli jednak o swym dzisiejszym wielkim zakupie: o aniele.

Po jedenastej wyjmuje go z plecaka zostawionego w szafce i otwiera drzwi do sypialni dzieci.

Wewnątrz światło jest zgaszone. Maluchy leżą nieruchomo pod swymi kołderkami. Jan wchodzi do pokoju, ostrożnie stawiając kroki. Zatrzymuje się na chwilę w ciemności, by wsłuchać się w ciche dziecięce oddechy. Uspokajający dźwięk.

Włącza nadajnik i wiesz go na haczyku w ścianie, pomiędzy łóżkami Leo i Matildy.

Leo porusza się nieznacznie, mruczy coś cicho, ale wciąż pogrążony jest we śnie.

Jan po cichu wymyka się z pokoju. Na zewnątrz włącza odbiornik. Jego głośnik jest mały i okrągły, nie wydaje żadnego dźwięku. Kiedy Jan przykład a go do ucha, słyszy jedynie słaby szum, który raz słabnie, a raz przybiera na sile, jak małe nocne fale uderzające o piaszczysty brzeg. Prawdopodobnie słyszy oddechy dzieci – ma taką nadzieję.

Z aniołem przy pasku obchodzi pomieszczenia, ścieli łóżko i myje zęby.

Może oczywiście przekonać samego siebie, że anielski strażnik ma pomóc mu w sprawowaniu lepszej opieki nad dziećmi, kiedy sam zaśnie, lecz piętnaście minut przed północą zabiera z kuchni kartę magnetyczną i otwiera drzwi do piwnicy.

Zapala światło nad schodami, spogląda w dół i nagle przypomina sobie kilka wersów napisanych przez Rami:

*Czekam i tęsknię,
Rozbrzmiewa dzwon,
Spojrzenie, odpowiedź, taniec,
Jesteś gdzieś tam...*

Jan robi krok w dół schodów. Zejdzie i tylko trochę się rozejrzy.

Nasłuchuje. Wszędzie panuje cisza – głośniczek urządzenia także milczy.

Ostrożnie schodzi do podziemnego korytarza.

T u n i e m a k a m e r. Marie-Louise powiedziała przecież, że w piwnicy nie zainstalowano monitoringu. Ufa jej.

Jest niewidzialny.

Cień Jana przemyka pod świetlówką, lecz jego samego nie widać.

Kolorowe obrazki przedstawiające zwierzęta wciąż wiszą na ścianach, tylko ten ze szczu-

rami się przekrzywił. Jan szybko poprawia ramę.

Winda czeka na poziomie piwnicy, jakby ktoś wysłał ją tu specjalnie po niego. Jan zatrzymuje się przed drzwiami i przez chwilę się zastanawia. Wystarczy wsiąść, nacisnąć guzik, a winda pojedzie w górę, wprost na korytarz w Świętym Psycholu.

Czy przy windzie na górze mają kamerę? Może tak, może nie. Jeśli nie, można po prostu pojechać na górę, wysiąść i zobaczyć, co się tam dzieje. Udawać, że zabłądził. Albo że jest jednym z pacjentów...

Jan jednak nie otwiera drzwi. Wsłuchuje się w aniola, podkreca głośność, ale urządzenie nadal milczy. Chce szepnąć delikatne „halo” do głośnika.

„Słyszycie dziecko – powiedział sprzedawca – ale ono nie słyszy was”.

Jan przechodzi obok drzwi windy, kierując się korytarzem, potem dalej naprzód. Zakreca za rogiem i dociera do stalowych drzwi, tych szerszych, prowadzących do schronu.

Wyciąga dłoń, odsuwa ciężką sztabę – porusza się. Chwyta ją obiema rękami i ciągnie jeszcze mocniej. Słyszy kliknięcie. Drzwi są otwarte, można je poruszyć. Idzie mu to ciężko, ale w końcu udaje się je uchylić.

W schronie jest zupełnie ciemno. Nie ma tu żadnych okien.

Jan sięga ręką ostrożnie do wnętrza, szukając na oślep włącznika światła. Dotykając po omacku zimnej betonowej ściany, wchodzi do pomieszczenia. W końcu trafia dłonią na włącznik. Na suficie zaczyna migać świetlówka. Jan stoi w jednym końcu długiego pokoju przypominającego szeroki korytarz, długi na jakieś dwanaście–piętnaście metrów. Tutaj trafią pacjenci, jeśli wybuchnie wojna.

Jan robi kolejny krok do przodu.

W tej chwili jednak między betonowymi ścianami rozlega się głośny krzyk:

– Mama-a!

Jan wdryga się. Stłumione wołanie dochodzi z głośnika przy jego pasku – cienki, dziewczęcy głos. Może to Matilda.

Wstrzymuje oddech i nasłuchuje. Jego uszu nie dochodzi żaden kolejny wrzask, jedynie cichy drapiący dźwięk. Skoro dzieci się budzą, nie może dłużej tu zostać.

Trudno mu utrzymać nerwy na wodzy, ale rzuca ostatnie ciekawskie spojrzenie do wnętrza schronu. Na podłodze leży niebieska wykładzina, ściany pomalowane są na biało. Pomieszczenie jest niemal zupełnie puste, na podłodze leży tylko materac i kilka poduszek.

Na drugim końcu schronu, po lewej stronie Jan zauważa jeszcze jedno szerokie stalowe drzwi. Te także są zamknięte. Czy na klucz? Tego nie wie.

Kto za nimi czeka? Alice Rami? Morderca Ivan Rössel?

– Mama-a? – Matilda znowu go woła.

Jan zawraca. Zatrząskuje szybko drzwi do schronu, po czym bez zwłoki rusza z powrotem przez piwniczny korytarz. W tej chwili czuje, że zejście tutaj było błędem. Dwie minuty później po cichu zamyka drzwi prowadzące do piwnic Świętej Patrycji i idzie bezpośrednio do sypialni dzieci.

Otwiera drzwi prowadzące w ciemność i nasłuchuje. Wszędzie znowu panuje cisza.

Skrada się na środek pokoju i czeka kilka minut, lecz żadne z dzieci nawet się nie porusza. Śpią głęboko. Wsłuchuje się w ich oddechy, próbując się uspokoić i oddychać równie powoli

jak one. Nie jest to takie proste.

Powinien pójść w ich ślady i także się położyć.

Jest dziesięć po dwunastej.

P o w i n i e n pójść spać. Jeśli będzie się kładł coraz później, całkiem zaburzy dobowy rytm.

Tylko że właściwie nie chce mu się spać. Rozmyśla.

To taka zabawa w myślach, tak samo zaczynało się z Williamem w świerkowym lesie. Jan zastanawia się teraz, w jaki sposób może niezauważony i bez szkody dla dzieci dostać się do Świętego Psychola.

Jest późna godzina, a atmosfera w Barze u Billa staje się coraz bardziej leniwa. Nocne dyżury w przedszkolu zmieniły Jana w nocnego marką. W tym tygodniu w wolne dni sypiał do dziesiątej, aby później kłaść się spać długo po północy. To dla niego zupełnie nowy rytm dnia i mimo że nie wypija ani kropli alkoholu, nieustannie czuje się zmęczony.

The Bohemos właśnie skończyli grać po całej godzinie jazgotu, a bezalkoholowe piwo Jana prawie się skończyło. Przy stoliku obok siedzi dwóch mężczyzn, dyskutujących energicznie o samoobronie:

– A nóż? – pyta jeden.

– Nóż to co innego – odpowiada drugi. – Nie zdołasz się obronić, jeśli ktoś będzie miał nóż.

– No wiem, ale...

– Mam na myśli, że jeśli wyciągniesz w jego stronę pięść, potnie ci ją.

Pierwszy wybucha śmiechem:

– W takim razie muszę mieć przy sobie miecz.

Jan nie przyłącza się do rozmowy. Kończy swoje piwo. Tego wieczoru nie pojawił się nikt, kogo zna. Ani Lilian, ani Hanna. Nikt. Nie ma tu przyjaciół, więc szykuje się do samotnego wyjścia. Zamierza się położyć, też samotnie.

Nagle na stolik pada cień.

– Cześć.

Jan podnosi wzrok. Przy stoliku zatrzymał się mężczyzna w jego wieku. Zupełnie nieznamy mężczyzna z ciemnymi brwiami i jasnym kucykiem.

Nie, przecież Jan go poznaje – to członek The Bohemos. Wokalista. Zdążył zdjąć skórzaną kurtkę, którą nosił na scenie. Ma na sobie zwykłą białą bawełnianą koszulkę, a na szyi ręcznik. Po długim wieczorze spędzonym w świetle reflektorów ręcznik jest równie mokry od potu jak koszulka.

– Jak leci? – pyta mężczyzna.

Jan niemal traci głos, jednak w końcu otwiera usta i wykrztusza z siebie:

– W porządku.

Wokalista siada przy stoliku. Jego głos po koncercie jest trochę zachrypnięty, ale ciepły i przyjazny. Wyciera czoło ręcznikiem.

– Nie znamy się – kontynuuje. – Wiem... ale to nic nie szkodzi.

– Jasne – odpowiada niepewnie Jan.

– Ale widziałem cię – ciągnie piosenkarz. – A ty mnie?

– Nie... Co masz na myśli?

– Widywałem cię po drugiej stronie ogrodzenia, będąc w mojej drugiej robocie. Zacząłeś ostatnio jeździć do przedszkola rowerem, prawda?

Jan odstawia piwo. Powoli zaczyna rozumieć i automatycznie ścisza głos.

– A więc pracujesz w Świętym... w szpitalu?

Mężczyzna potwierdza skinieniem.

– Nocna straż – mówi.

– Co to takiego?

– Ochrona, nocna zmiana.

Jan czuje, jak po plecach przebiega mu dreszcz i jak puls mu przyspiesza. W głowie kłębią się myśli o podziemnym korytarzu i schronie. Przypuszcza, że sfilmowano go, gdy był tam na dole. Sfilmowano lub zauważono. Spodziewa się, że zaraz wpadnie tu cały zastęp strażników, złapie go za ręce, zrewiduje i przesłucha...

Wokalista zespołu siedzi jednak spokojnie i bez troski, nie przestając się uśmiechać.

– Wiem, że nazywasz się Jan. Jan Hauger.

Jan potwierdza.

– A ty?

– Rettig... Lars Rettig.

– To dosyć osobliwe, że spotykamy się tutaj.

Rettig przecząco kręci głową.

– Wiem, kim jesteś. Chciałem się z tobą spotkać.

– Dlaczego?

– Bo potrzebujemy pomocy.

– W czym?

– Pomocy w pomaganiu zagubionym.

– Zagubionym?

– Pacjentom Świętego Psychola... Chcesz im pomóc poczuć się lepiej?

Jan milczy. Właściwie nie powinien siedzieć tu i rozmawiać ze szpitalnym strażnikiem o jego miejscu pracy – gdzie się podział obowiązek milczenia? Jednocześnie zdołał już nieco się rozluźnić. Lars Rettig nie sprawia wrażenia, że przyszedł tu po niego.

– Być może – odpowiada Jan. – Ale o co właściwie chodzi?

Rettig nie odzywa się przez chwilę, jakby planował przemówienie. Zamiast tego rozgląda się wkoło, pochyla do przodu i zniża głos.

– Z a k a z y. Chodzi o to, że mamy dość zakazów.

– Jacy my? – pyta Jan.

Rettig nie odpowiada. Wstaje.

– Porozmawiamy dłużej kiedy indziej. Odezwę się. – Nachyla się ku Janowi i dodaje: – Pomożesz nam, Janie. Wiem o tym. Widzę to w twoich oczach.

– Co widzisz?

Rettig uśmiecha się.

– Że staniesz w obronie słabych.

Wszystkie przedszkolaki chodzą z maskotkami w objęciach. W Polanie jest dzień pluszowych zwierzątek. Dzieci, które nie mają własnych zabawek, mogą pożyczyć coś z kosza. Ta zasada dotyczy także personelu. Tego dnia w każdym pomieszczeniu znajdują się pluszowe misie, tygrysy i żyrafy z długimi wiotkimi nogami. Mira nosi ze sobą pytona w biało-czerwone paski, a Josefina ma różowego łosia.

Zwierzęta-strażnicy, myśli Jan.

Sam ma przy sobie złotawego rysia. Znalazł go w koszu z zabawkami. Kiedy wszyscy pozostali wybrali swoje zwierzęta, on wyjął rysia. Jest to dość mocno wysłużony ryś, ale przynajmniej nie pachnie brzydtko.

– Jak się nazywa? – pyta Matilda.

– To jest... Lofty. Jest rysiem i pochodzi z lasu... z lasu położonego daleko stąd.

– Dlaczego już tam nie mieszka? – dopytuje Matilda.

– Ponieważ... lubi was, dzieci – odpowiada Jan. – Chciał sprawdzić, jak sobie radzicie...

I chciał się z wami bawić.

Leo trzyma jednookiego kotka, którego ściska tak mocno, że tułów zwierzaka wydłużył się i wygiął.

– Jak nazywa się twoje zwierzątko, Leo?

– Freddie.

– A co to za gatunek?

– Nie wiem, ale niech pan zobaczy tutaj.

Wyciąga swą piąstkę i otwiera ją. Na dłoni leży drugie oko kota – Leo musiał je wyskubać.

Jan spogląda w twarz Leo, zastanawiając się, czy to, co widzi, to niewinność, czy nieszczęście. Nie wie. Wie tylko, że w innych częściach świata dzieci nie noszą przy sobie pluszowych zwierzątek, lecz karabiny.

Jak ma pomóc dzieciom? Jak ma pomóc choćby jednemu, takiemu jak Leo?

„Staniesz w obronie słabych” – powiedział wokalista The Bohemos. Być może to prawda, ale Jan niewiele może uczynić.

Także w ten poniedziałek kilka razy trzeba dzieci zaprowadzić do szpitala i przyprowadzić z powrotem. Jan wie już, jak dzieci reagują na te zakłócenia przedszkolnego porządku dnia. Niektóre, jak Matilda, cieszą się i chichoczą na myśl, że spotkają się z rodzicem. Ich krótkie nóżki szybko dreptają w dół schodów. Inne, jak Fanny i Mattias, zawsze zachowują spokój i w milczeniu udają się do windy.

Są jednak także dzieci, które wyglądają na bardzo spięte, kiedy Jan po nie przychodzi.

Najbardziej niespokojna ze wszystkich wydaje się Josefina, ta sama pięciolatka, która znalazła książkę o stwórczyni zwierząt. Zawsze wygląda na lekko wystraszoną, kiedy Jan ją odbiera.

– Dobrze – odpowiada cicho, gdy Jan pyta, jak się czuje.

Nie wierzy jej. Nie całkiem.

Tego dnia Josefina trzeba odprowadzić do pokoju odwiedzin o drugiej po południu. Kiedy Jan jak zwykle przychodzi po nią do pokoju zabaw pięć minut wcześniej, dziewczynka siedzi i buduje dom z klocków Lego.

– Cześć, Josefino... Pojedziemy windą!

Dziewczynka milczy, nie przerywając budowania domku.

– Josefino! – powtarza Jan. – Chodźmy!

W dalszym ciągu nie patrzy na niego, lecz w milczeniu podnosi jedną nogę, następnie drugą. Bez słowa sprzeciwu idzie z nim w kierunku schodów. Pod pachą niesie swego różowego łosia – rano opowiadała wszystkim, że ma on na imię Ziggy.

Jan patrzy na Josefine i na łosia. Znowu w głowie pojawia się myśl o zwierzętach-strażnikach. Idąc podziemnym korytarzem, zaczyna wypytywać podopieczną:

– Josefino, ta książka o stwórczyni zwierząt... Pamiętasz ją?

Dziewczynka kiwa głową.

– Skąd wiedziałaś, że leży tam w skrzyni z innymi książkami?

– Sama ją tam włożyłam – odpowiada.

– Aha... A więc dostałaś ją od kogoś?

Znowu potwierdza skinieniem.

– Dostałam ich więcej.

– A od kogo?

– Od cioci – mówi.

Dotarli właśnie do windy. Jan się zatrzymuje.

– Czy mam z tobą wjechać, Josefino?

Dziewczynka potwierdza bez słowa. Wsiadają do środka.

– Nie cieszysz się? – pyta, kiedy jadą do góry.

Josefine przecząco kręci głową.

– Z kim masz się spotkać? – draży Jan.

– Z ciocią – odpowiada cicho Josefino.

Z ciocią? Jan przypomina sobie, że Josefino przyprawdzały i odbierały z przedszkola różne osoby. Czasami jakaś kobieta, czasami starszy mężczyzna. Nie wolno mu zadawać pytań o krewnych dziewczynki, mimo to nachyla się nad Josefino i pyta:

– Spotykasz się z mamą, tak?

Josefine potwierdza gestem. Winda zatrzymuje się.

Po raz pierwszy Jan wjechał z dzieckiem do pokoju wizyt. Wychylając się ostrożnie z windy, widzi jasny i czysty pokój. Dostrzega dużą sofę, wyschnięte doniczkowe palmy i stół, na którym leży kilka książek dla dzieci. Wygląda jednak na to, że nie zainstalowano tu kamer.

W pokoju nie ma nikogo. Po jego przeciwnej stronie znajdują się zamknięte drzwi, zabezpieczone kolejnym kodem.

– Chodź, Josefino.

Kiedy Jan przytrzymuje drzwi, dziewczynka stawia ostrożny krok w stronę pokoju. Nagle odwraca się i pyta cicho:

– Może pan zostać?

Jan przecząco kręci głową.

– Nie wolno mi, Josefine... Niestety. Spotkasz się z mamą beze mnie.

Josefine patrzy na niego ze smutkiem, sprawiając, że Jan nie wie, co powiedzieć. W dalszym ciągu pokój pozostaje pusty, a on nadal przytrzymuje dłońią drzwi windy. Nie chce zostawić Josefine samej.

W tej chwili od drzwi po drugiej stronie pokoju dobiega metaliczny dźwięk – drzwi uchylają się i do pomieszczenia wchodzi mężczyzna ubrany w jasnoczerwony strój strażnika. To nie Lars Rettig. Mężczyzna jest młodszy od Rettiga. Niższy i bardziej przysadzisty. Ma krótko ostrzyżone czarne włosy. Wygląda znajomo.

Strażnik z dziennej zmiany? Przypomina Janowi bulteriera, gotowego skoczyć i wgrzyźć się w jakąś oponę – lub czyjaś szyję.

Przy grubym pasku wiszą przymocowane klucze i małe pętelki z białego plastiku. Obok nich znajduje się pojemnik, przypominający niewielki stalowy termos. Czy to kajdanki i gaz łzawiący?

Strażnik stawia trzy szybkie kroki. Jan spina się jak przed mającym nadejść atakiem, niemal się cofa. Ochroniarz jednak zatrzymuje się na środku pokoju. Wpatruje się w Jana.

– Dziękuję panu – mówi krótko.

Jan kiwa głową, ale wciąż się nie rusza. W drzwiach widzi cień. Ktoś czeka kilka metrów za progiem – ktoś, kto nie chce wejść i się pokazać. Jan zdaje sobie sprawę, że to pacjent Świętego Psychola. Czy to mama Josefine?

– Dziękuję – powtarza strażnik. – Teraz to już nasze zadanie, wszystko jest w porządku.

Jego głos brzmi mechanicznie, zupełnie bez emocji.

– To dobrze. – Jan jednak nie uważa, że wszystko jest w porządku. Jego serce wali jak oszalałe, palce mu drżą. Strażnicy i policjanci wywołują w nim nerwowość.

Jest niemal przekonany, że mamą Josefine jest Rami. Że to Rami stoi w korytarzu za strażnikiem, nie więcej niż dziesięć metrów od niego. Jeśli poczeka jeszcze chwilę, będzie mógł ją zobaczyć, porozmawiać z nią. Lecz ochroniarz stawia kolejny długi krok, nieustannie patrząc w stronę windy. Jan nie może zostać. Po raz ostatni spogląda na Josefine, obdarza ją uspokajającym uśmiechem i mówi głośniejszym głosem niż zazwyczaj:

– Niedługo znowu się widzimy, Josefine! Przyjdę po ciebie. Pamiętasz, jak się nazywam? Josefine mruga.

– Jan.

– Tak jest... Jan Hauger.

Wypowiedział swoje nazwisko tak głośno i wyraźnie, że mama Josefine także musiała je usłyszeć. To ważne. W końcu wsiada do windy i zjeżdża z powrotem do przedszkola.

Nogi drżą mu po spotkaniu ze strażnikiem, ale wciąż myśli o Rami.

Czuje, że był tak blisko – wystarczająco blisko, aby w końcu nawiązać z nią kontakt i wyjaśnić, dlaczego w głębi świerkowego lasu z małym Williamem stało się tak, jak się stało.

Ryś

– Pobawimy się w chowanego? – zapytał Jan.

Nadeszła już odpowiednia chwila na tę propozycję. Wraz z dziewięcioma chłopcami znaleźli się poza zasięgiem wzroku Sigrid. Pytanie zabrzmiało niemal jak rozkaz, a chłopcy stojący przed swoim wychowawcą nie zaprotestowali.

– Pan szuka! – zawołał Max.

Jan się zgodził. To oczywiste, że on miał szukać. Wyciągając dłoń w kierunku chłopców, wciąż mówił rozkazującym tonem:

– Rozbiegniecie się pojedynczo. Ja zdecyduję, dokąd macie uciekać. Później się schowacie. I będziecie czekać do chwili, gdy was znajdę lub zawołam, żebyście wyszli. W porządku?

Chłopcy potwierdzili, kiwając głowami, więc zaczął wyznaczać kierunki.

– Max, ty biegniesz tam. – Wskazał chłopcu kilka głązów, leżących jakieś dwadzieścia metrów dalej, a chłopiec popędził w tamtą stronę.

– Nie za daleko! – zawołał za nim Jan, przywołując jednocześnie do siebie kolejnego chłopca. – Paul, ty biegniesz tam...

Wysłał ich w drogę pojedynczo między świerki, ale za każdym razem właściwie w tym samym kierunku.

Na koniec został tylko mały William. Jan podszedł do niego. Nigdy jeszcze nie był tak blisko chłopca. Kucnął, aby mogli patrzeć sobie w oczy.

– Jak masz na imię? – zapytał, jakby nie wiedział.

– William – chłopiec odpowiedział cicho, nieśmiało patrząc w bok. Jan rozmawiał z nim po raz pierwszy. Dla Williama był po prostu kolejnym dorosłym.

– Dobrze, Williamie... – Wyciągnął rękę. – Możesz pójść w tamtą stronę, w dół ścieżki. Widzisz tę czerwoną strzałkę?

William podążył wzrokiem we wskazanym kierunku i zauważył niemal metrowej długości strzałkę z materiału, którą Jan poprzedniego wieczoru przymocował do skały. Chłopiec przytaknął w milczeniu.

– Podążaj za kolejnymi strzałkami, które zobaczysz tam na dole, i ukryj się, kiedy nie będzie już następnej. Tam niżej z pewnością znajdziesz dobrą kryjówkę. Rozumiesz?

William skinął, a Jan położył dłoń na jego głowie.

– To nie będzie ci potrzebne – powiedział, zdejmując mu żółtą czapkę. – Włożymy ci ją do kurtki.

Jan otworzył kieszeń kurtki i udał, że wpycha do niej małą czapeczkę Williama – była to jednak tylko sztuczka. W rzeczywistości ukrył ją w ściśniętej dłoni.

– No to uciekaj!

William odwrócił się i puścił pędem przez las, podobnie jak inni chłopcy, lecz w zupełnie innym kierunku.

Jan wstał i patrzył za nim. William był już przy pierwszej strzałce, po chwili wbiegł w wąwóz, nie wahając się ani przez moment.

W lesie panowała cisza, mimo to Jan czuł się tak, jakby stał w oku cyklonu. Myślał

o wszystkim, co mogło pójść nie tak – jego myśli pogrążyły się w chaosie, obawiał się ryzyka i błędnej oceny sytuacji.

Spokojnie, podpowiadał mu wewnętrzny głos. Postępuj zgodnie z planem.

Słyszał dźwięk bębnow. Bębniły w jego głowie, bębniły bez końca.

Odwrócił się i nabrał powietrza.

– Nie wychodźcie z kryjówek! – zawołał w stronę świerków. – Szukam!

Skłamał. Nie ruszył na poszukiwania chłopców, lecz zawrócił i skierował się ku wąwozowi, gdzie zniknął ostatni z nich.

William.

Przyśpieszył.

Drzwi do klatki schodowej w kamienicy Jana zatraskują się automatycznie codziennie o ósmej wieczorem. Żeby dostać się do środka po tej godzinie, potrzebny jest klucz lub kod.

Dwie godziny wcześniej wrócił do domu z Polany, zjadł kolację, po czym usiadł w kuchni, kładąc przed sobą na stole zabrane z przedszkola książeczki. Zakończył już pracę nad pierwszą z nich, *Stwórczynią zwierząt*. Bajka ma teraz kolorowe ilustracje. Jan zastanawia się, co Rami powiedziałyby na ostateczny rezultat.

Zabiera się do pracy nad kolejną książeczką: *Viveca w kamiennym domu*. Rozmyślając, w jaki sposób wypełnić blade szkice wykonane ołówkiem, czyta jednocześnie tekst:

Dawno, dawno temu pewna staruszka obudziła się wczesnym rankiem. „Co? Co? Co?”, głowiła się, a to dlatego, że leżała w drewnianej trumnie. Była słaba, ale zdołała nieco odsunąć wieko i wyrzeźnić na zewnątrz. Pokój okazał się duży. Ściany i podłoga były z kamienia.

Zawołała w ciemności: „Halo?”, lecz nie doczekała się odpowiedzi.

Pamiętała tylko jedno: Viveca. Miała na imię Viveca.

Jan czyta tekst dwukrotnie, po czym zaczyna wypełniać szkic tuszem. Viveca jest chudą kobietą z wielkimi oczami. Jej głowa wystaje z trumny.

Minęło wiele dni, zanim Viveca poczuła się na tyle silna, by wydostać się z trumny. Ach! Och! Aj! Kiedy w końcu odrzuciła wieko i się podniosła, zobaczyła leżący obok podniszczony kosz dla psa.

Do kosza przyczepiona była tabliczka, na której napisano BLANKER. Na dnie kosza leżał spory kopyczyk szarego pyłu. Obok niego dostrzegła smycz. Kopyczyk kształtem przypominał leżącego psa.

Jan zauważa, że imię Blanker pojawia się także w tej książce, podobnie jak w *Stwórczyni zwierząt*.

Czyta dalej, zaciekawiony historią, a jednocześnie poprawia cienkie linie, narysowane ołówkiem.

W końcu Viveca zdołała opuścić sypialnię i przejść do dużej sali. Tu stały piękne meble, mimo że stare i zakurzone. Na ścianie przy schodach wisiał biały drewniany zegar. Kiedy przyjrzała mu się dokładnie, zauważyła, że wskazówki chodziły nieprawidłowo. Tik, tak. Poruszały się do tyłu.

Viveca ruszyła dalej, do holu, z którego prowadziły drzwi na zewnątrz. Nie dało się ich otworzyć.

W innej sypialni na parterze znalazła dwie kolejne trumny. Stały równo obok siebie, jakby leżeli w nich małżonkowie. Mężczyzna i kobieta? Nie, nie, nie – Viveca nie chciała unieść pokrywy i sprawdzić.

Obok sypialni znajdowały się zamknięte drzwi. Kiedy Viveca je otworzyła, zobaczyła strome schody prowadzące w dół, w ciemność. Viveca zeszała po nich ostrożnie do piwnicy. Tam na klepisku leżała sterta pożółkłych kości. Kości potwora. Ohyda. Szybko wróciła do swojego pokoju.

Mijały kolejne dni.

Viveca czekała. Czekwała i spała. Każdego ranka budziła się coraz bardziej rześka i pełna energii.

Czuła się silniejsza, a odbicie widziane w lustrze było coraz młodsze. Wskazówki zegara wciąż szły do tyłu, aż w końcu Viveca zaczęła się domyślać, co takiego działo się w kamiennym domu.

Czas się cofał!

Nagle Viveca zrozumiała, że będzie coraz młodsza, a jeśli poczeka wystarczająco długo, jej rodzice także się obudzą, i pies Blanker również. Już nie będzie sama.

To samo jednak wydarzy się oczywiście z kośćmi leżącymi w piwnicy. Cokolwiek to było, także ożyje.

Tik, tak, tik. Zegar szedł do tyłu.

Pewnego pięknego dnia Viveca obudziła się i zobaczyła, że jej dłonie są małe i gładkie. Pełna energii wyskoczyła z łóżka. Już, już, już! Znowu stała się małą dziewczynką! Usłyszała szczenie psa dochodzące z podłogi przy łóżku, a po chwili złoty collie doskoczył do niej i zaczął lizać ją po twarzy. Blanker się obudził.

Jej Blanker!

Viveca czuła się niezmiernie szczęśliwa. Nie była już sama w kamiennym domu. Ścisnęła Blankera z całych sił.

Po chwili uniosła głowę i zaczęła nasłuchiwać. Z niższego piętra dochodziły jakieś dźwięki. Trzask kości.

Blanker warknął. Podbiegł do drzwi i zaszczekał. Niedobrze! Viveca słyszała odgłosy czegoś dużego i ciężkiego, co zaczęło poruszać się na dole...

Nagle, gdy Jan dociera do tego miejsca w książce, słyszy dzwonek do drzwi, dźwięczący głośno i radośnie.

Wzdryga się, patrząc w kierunku przedpokoju. Kto to może być? Jan ma za sobą osiem godzin w towarzystwie przedszkolaków, chce mieć święty spokój.

Dzwonek wciąż dzwoni. Jan chowa szybko książeczki w jednej z kuchennych szuflad, po czym podchodzi do drzwi i je otwiera.

– Cześć, Janie!

Na klatce stoi jasnowłosy uśmiechnięty mężczyzna. To Lars Rettig z Baru u Billa, ubrany w swą skórzaną kurtkę.

– Przeszkadzam?

Jan czuje się, jakby go na czymś przyłapano, ale zaprzecza, kręcąc głową.

– Nie... wszystko w porządku.

– Mogę wejść?

– Oczywiście. Proszę.

Wieczorny chłód tkwiący wciąż w kurtce Rettiga rozprasza się po przedpokoju, kiedy mężczyzna zdejmuje buty i wchodzi do salonu. W dłoni trzyma reklamówkę.

– Przepraszam za moje bez pardonowe wejście... Nie chciałem stać jak skazaniec na klatce.

Rozgląda się wśród mebli i kartonów ustawionych wzdłuż ścian.

– Masz sporo gratów.

– To nie moje – odpowiada pośpiesznie Jan. – Wynajmuję to mieszkanie z drugiej ręki.

– Rozumiem. – Rettig siada na sofie, nie przestając się rozglądać. – Masz bębny... Grasz?

– Trochę.

– Świetnie. – Oczy Rettiga błyskają. Wpada na pomysł: – Możemy kiedyś razem porzępolić. Nasz bębniarz w Bohemos właśnie został tatusiem, więc nie zawsze może z nami grać.

– Okej – odpowiada Jan bez zastanowienia. Próbuje ukryć swoje zniecierpliwienie. – Może mógłbym wpaść i wam pomóc, jeśli chcecie... ale nie jestem zbyt dobry.

– Za to skromny. Ale przecież możemy spróbować, co nie? – Rettig śmieje się i wyjmuje coś z torby. To parujący gorący kebab, zawinięty w folię. Głodnym wzrokiem patrzy na posiłek, zanim spojrzy na Jana. – Może chcesz?

– Nie, nie trzeba... ale ty jedz.

Jan zamyka drzwi wejściowe i siada na progu pokoju.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

– Sprawdziłem w szpitalnym komputerze... Są tam adresy wszystkich zatrudnionych. – Rettig gryzie swój posiłek. – Jak ci jest w świetlicy?

– Dobrze... ale to jest przedszkole.

– No dobra, w przedszkolu.

Jan po chwili milczenia pyta:

– A więc naprawdę pracujesz w Świętej Patrycji?

– Tak. Cztery noce w tygodniu i dużo wolnego czasu pomiędzy. Wtedy właśnie grywam z Bohemos.

– Jesteś strażnikiem?

Rettig potrząsa głową.

– Wolimy słowo „opiekun”. Pracuję z pacjentami, a nie p r z e c i w k o nim. Większość z nich ma naprawdę dużo swobody.

– Często ich spotykasz?

– Codziennie – odpowiada, gryząc kolejny kęs. – Chociaż w regularnych odstępach czasu pojawiają się nowe twarze. Niektórych wypuszczają, innych zamykają.

– Ale znasz ich nazwiska... Tych, którzy są tam od dawna?

Rettig unosi dłoń.

– Po kolei... Możemy sobie gawędzić o naszych gościach, ale najpierw musisz powiedzieć, czy się zdecydowałeś.

– W jakiej sprawie?

– Czy chcesz im pomóc.

Jan robi kilka kroków po pokoju.

– Opowiedz coś więcej... W barze mówiłeś, że w szpitalu jest zbyt wiele zakazów.

Rettig potwierdza skinieniem.

– Właściwie o to chodzi. W szpitalu jest za dużo biurokracji i obostrzeń... zwłaszcza na oddziałach zamkniętych. Straż dzienna wszystkim tam steruje.

– Straż dzienna to twoi koledzy z dziennej zmiany?

– Tak. – Rettig wzdycha pośpiesznie na myśl o nich, wznosząc oczy ku górze. – Pacjentom nie wolno pisać listów do kogo chcą, a ich poczta jest sprawdzana. Sporadycznie tylko mogą oglądać telewizję czy słuchać radia, nieustannie się ich rewiduje...

Jan kiwa głową, przypominając sobie, jak musiał otwierać torbę, wchodząc do szpitala.

– Ludzie mają po prostu dość ciągłego nadzoru – stwierdza Rettig. – Z kilkoma osobami rozmawialiśmy trochę na ten temat i uważamy, że pacjenci zachowujący się normalnie powinni mieć więcej kontaktu ze światem.

– Tak?

– Na przykład poprzez listy – wyjaśnia Rettig. – Do pacjentów wysyłane są listy. Piszą rodzice, przyjaciele, rodzeństwo... Ale straż dzienna zatrzymuje korespondencję. Albo otwierają koperty i węszą... Dlatego chcemy spróbować szmuglować listy do szpitala.

Jan patrzy na niego podejrzliwie.

– Jak niby miałyby to przebiegać? Nikt z przedszkola nie może wchodzić do szpitala.

– Ależ może – przerywa szybko Rettig. – Ty możesz, Janie... I twoje dzieciaki też.

Jan się nie odzywa, więc Rettig kontynuuje:

– Możecie wchodzić do pokoju wizyt, i to nieobserwowani... Tam nie ma kamer, żadnej kontroli. A w nocy pokój jest zupełnie pusty. Każdy może tam wejść i schować plik listów... Listów, które później ja mogę zabrać i wnieść do szpitala.

Jan ogląda się szybko za siebie, jakby doktor Högsmed stał za jego plecami.

– A listy – podejmuje temat – skąd się biorą?

Rettig wzrusza ramionami.

– Od tych, którzy je piszą. Ludzie przysyłają do szpitala właściwie wszystko, ale większość nie dociera do adresatów. Zakolegowałem się więc z osobą, która pracuje przy sortowaniu poczty tutaj, w miasteczku... Odkłada wszystkie listy pisane odręcznie, zaadresowane do pacjentów Świętej Patrycji. Później oddaje je mnie.

Rettig wygląda na zadowolonego, lecz Jan nie odpowiada uśmiechem na jego słowa.

– A więc to nieznane listy? Nie wiecie, co w nich jest?

– Ależ wiemy – odpowiada Rettig. – Jest w nich papier, sporo papieru, i słowa... To zwykłe listy.

Jan patrzy na niego ze zważeniem w oczach.

– Nie będę szmuglował prochów.

– To nie żadne prochy – sprzeciwia się Rettig. – Nie ma w tym nic nielegalnego.

– A jednak łamiecie zasady.

– Zgadza się – przytakuje Rettig. – Ale robił to też Mahatma Gandhi. W słusznej sprawie.

Zapada milczenie. Jan odchrząkuje, przerywając ciszę.

– Możesz opowiedzieć trochę o pacjentach?

– O kimś konkretnym?

Jan nie chce wymieniać imienia Rami, jeszcze nie teraz.

– Widziałem tam kiedyś starszą kobietę – mówi. – Siwowłosa, ubraną w czarny płaszcz. Chodzi i zbiera liście przy ogrodzeniu... Zastanawiałem się, czy pracuje w Patrycji, czy też jest pacjentką.

Uśmiech zniknął już z twarzy Rettiga.

– To pacjentka – mówi cicho. – Została tu zamknięta, ma na imię Margit. Nie jest jednak tak stara, jak może się wydawać.

– Tak? Widziałem ją przy ogrodzeniu. Stoi tam czasami i obserwuje dzieci.

– Robi to, odkąd otwarto przedszkole – wyjaśnia Rettig. – Kiedy wypuszczają ją na podwó-

rze, zawsze podchodzi do plotu.

– Lubi dzieci?

Rettig ponownie milknie.

– Margit miała troje własnych dzieci – podejmuje po chwili. – Była żoną hodowcy ziemniaków w Blekinge... Wszystko wydarzyło się dwadzieścia pięć lat temu. Mąż zazwyczaj w piątki opuszczał gospodarstwo i jeździł do miasta, by spotkać się z klientami. Pewnego dnia Margit usłyszała od jednej sąsiadki, że mąż wynajmuje pokój w hotelu. Dla przyjaciółki... być może dla wielu. Podeszła więc do szafki, w której przechowywali broń, i wyjęła dubeltówkę.

Jan przygląda się swojemu rozmówcy.

– Pojechała do hotelu i zastrzeliła męża?

Rettig kręci przecząco głową.

– Wyprowadziła dzieci do obory i j e tam zastrzeliła. Najpierw dwoje starszych, każde jednym strzałem. Następnie przeładowała broń i zabiła najmłodsze... – Rettig wdycha. – Od tamtej pory siedzi zamknięta w szpitalu.

W pokoju zapada cisza. Rettig już zdążył zjeść. Wzdryga się, jakby chciał zapomnieć o wszystkim, co właśnie opowiedział, i mówi dalej:

– Margit trzymają z daleka od twoich przedszkolaków, nie musisz się martwić... Nie może się spotykać z żadnymi dziećmi.

Jan, zszokowany, dopiero po chwili jest w stanie się odezwać:

– Chyba nie chciałem tego wiedzieć.

– Ale teraz już wiesz – odpowiada cicho Rettig. – Wielu rzeczy wolimy nie wiedzieć o ludziach z naszego otoczenia... Ja sam wiem zdecydowanie zbyt wiele.

– O pacjentach?

– O wszystkich.

Jan kiwa głową. Myśli o książeczkach dla dzieci, które ukrył w kuchni. On także ma swoje tajemnice.

– A to, co trzeba wnieść – zmienia temat – to tylko listy. Nic innego?

– Żadnych narkotyków ani broni, tylko listy – zapewnia Rettig, po czym dodaje: – Janie, zastanów się. Przecież sam tam pracuję. Myślisz, że chcę, żeby w ręce ludzi takich jak Ivan Rössel dostały się narkotyki albo noże?

Jan patrzy na niego.

– Jest tam Ivan Rössel? – To nazwisko Jan zna z telewizji i gazet. Taksówkarz także je wymienił.

– Oczywiście.

– Morderca Rössel?

– Ivan Rössel, tak – odpowiada Rettig przytłumionym głosem. – Gościmy sporą grupę sław w naszym pensjonacie... Żebyś tylko wiedział...

Alice Rami, myśli Jan. Na głos zadaje jednak całkiem inne pytanie:

– Kiedy chcesz dostać odpowiedź w kwestii listów?

– Najlepiej od razu.

– Muszę się trochę zastanowić.

Rettig pochyła się do przodu.

– Jest jedno miejsce w porcie. Mamy tam takie pomieszczenie, gdzie ćwiczymy. Możemy się tam spotkać i poimprowizować trochę z Bohemos... A później pogadamy. Pasuje?

Jan zgadza się, choć bez przekonania.

– Przyjdź tam jutro, koło siódmej. Będzie groove, jak mówią.

Jan zaczyna żałować swej decyzji zaraz po wyjściu Rettiga. Dlaczego zgodził się grać z Bohemos? Słyszał ich, są dla niego za dobrzy.

Spoglądając na bębny, ma ochotę natychmiast usiąść i zacząć ćwiczyć, lecz jest już zbyt późno. Zamiast tego idzie do kuchni i wyciąga cztery schowane przez siebie książeczki.

Stwórczyni zwierząt, *Sto dłoni księżniczki*, *Choroba czarownicy*, *Viveca w kamiennym domu*. Wszystkie historie zna już niemal na pamięć. Wie, że księżniczka woła: „Nie jestem nieszczęśliwa, ja tylko lubię n i e s z c z ę ś c i a!”, kiedy pojawia się pierwszy raz w wiosce, i wie też, że pierwszym objawem choroby czarownic są topniejące niczym lód włosy.

Dlaczego więc wciąż czyta książki od początku, i znowu, i jeszcze raz? Być może szuka jakiejś ukrytej wiadomości. Jeśli napisała je Rami, musiała przecież mieć jakąś intencję, prosząc Josefine, żeby ukryła je w przedszkolu.

I być może w końcu odnajduje tę wiadomość, gdyż przeglądając *Stwórczynię zwierząt* chyba po raz pięćdziesiąty, zauważa nagle małą plamkę atramentu na dole pierwszej strony, obok tekstu. Nie ma w niej nic dziwnego, lecz podobna plamka znajduje się również na kolejnej kartce, tej samej wielkości i niemal w tym samym miejscu. I kolejna na następnej.

Jan przygląda się bliżej. Zbyt długo patrzył na strony z ilustracjami i nie zauważył wcześniej plamki na marginesie.

Przypomina małe zwierzę. Wiewiórkę?

Kartkuje książkę do przodu, a wówczas wiewiórka zaczyna się poruszać. To iluzja spowodowana przekładaniem kolejnych kartek. Wiewiórka przeskakuje przez wszystkie strony książki.

Raz za razem przegląda wszystkie książki, aby w końcu ustawić je w odpowiednim porządku. Plamki atramentu znajdujące się na niemal stu kartkach wszystkich książeczek tworzą krótki film animowany: Jan obserwuje, jak czarna wiewiórka pojawia się w dolnym rogu pierwszej strony *Stwórczyni zwierząt*, następnie dalej przeskakuje na ukos w górę przez kolejne strony *Stu dłoni księżniczki* i *Viveki w kamiennym domu*, by zniknąć w pustce wysoko, na ostatniej stronie *Choroby czarownicy*.

Jan gapi się na podróż wiewiórki.

Znak. Tak to odbiera – jako znak właśnie dla niego.

W lokalu, w którym chłopcy z The Bohemos mają próby, unosi się zapach potu i marzeń. Miejsce to położone jest niedaleko portu, kilka ulic od Baru u Billa. Salka jest niemal pusta, przypomina wyeksploatowaną świetlicę, gdzie młodzież spędza wolny czas. Wyróżniają ją tylko wytłoczki po jajkach. Do ścian przyklejono setki pustych kartoników, aby wytłumić pomieszczenie.

Jan, siedząc tego wieczoru za perkusją, zarówno prowadzi, jak i daje się ponieść rytmowi. The Bohemos rozpoczynają od klasyka, *Sweet Home Alabama*, charakteryzującego się równym rytmem na cztery, za którym Jan nadąża bez problemów. Po tej rozgrzewce grają stare rockowe piosenki niemal przez godzinę.

Od czasu do czasu Rettig odwraca się od mikrofonu i kiwa głową w stronę Jana. Wygląda na zadowolonego.

– Bardziej miękko na werblu!

Jan potakuje posłusznie. Po tych wszystkich latach, w ciągu których siedział sam w domu, akompaniując piosenkom puszczanym z płyt, gra z żywymi muzykami jest uczuciem niemal magicznym. Z początku uderza w bębny może trochę topornie, ale z czasem idzie mu coraz lepiej.

Perkusja, na której gra, to stara tama, w zasadzie trochę gorsza od jego własnej. Naciągi na bęben basowy i werbel są mocno wysłużone, ale to sprawia jedynie, że nie gra głośno.

– Dobrze – mówi Rettig. – Równo!

Dwaj pozostali członkowie zespołu także uczestniczą w próbie. Basista ma na imię Anders, a drugi gitarzysta – Rasmus. Obaj są w wieku Rettiga, a grają, właściwie się nie odzywając. Jan nie ma pojęcia, co sądzą o nim w roli perkusisty, który zastąpił Carla – przez cały wieczór nie zamienili z nim ani pół słowa, rzucając jedynie szybkie spojrzenia w kierunku bębnów.

Jan zastanawia się, czy Carl, Anders i Rasmus także są strażnikami w szpitalu.

Kwadrans po ósmej próba się kończy, a mężczyźni zaczynają pakować instrumenty. Dwaj pozostali członkowie kapeli szybko wychodzą, zabierając gitary w futerałach, podczas gdy Rettig nie śpieszy się do wyjścia. Jan także zostaje. Wie, że Rettig czeka na odpowiedź.

– Dobrze grasz – odzywa się Rettig. – Trochę w afrykańskim stylu.

– Dziękuję – odpowiada Jan, podnosząc się zza perkusji. – Było fajnie.

– Grałeś już kiedyś z jakimś zespołem, prawda?

– Jasne – kłamie Jan.

Między wytłoczkami po jajkach zapada cisza. Rettig idzie w stronę wejścia po swój czarny futerał. Spogląda na Jana.

– Podjąłeś decyzję? W sprawie, o której rozmawialiśmy wczoraj?

Jan lekko kiwa głową.

– Dzisiaj jest Dzień Dziecka, czwarty października – mówi. – Wiedziałeś o tym, Lars?

Rettig kręci przecząco głową, biorąc się do rozmontowywania mikrofonu.

– A to nie „dzień cynamonowej drożdżówki”?

– To też – potwierdza Jan.

Znowu na chwilę zapada milczenie.

– Masz dzieci, Lars?

– Że co?

– Człowiek staje się mądrzejszy, przebywając z dziećmi.

– Pewnie tak. Ale niestety nie mam dzieci – odpowiada Rettig. – Mam dziewczynę, ale nie mamy dzieci. A ty?

– Nie. Własnych nie mam.

– A więc do rzeczy... Zdecydowałeś się?

– Ostatnie pytanie – mówi Jan. – Co z tego macie?

Rettig zwleka chwilę z odpowiedzią.

– Nic bezpośrednio.

Jan spogląda na niego.

– A pośrednio?

Rettig wzrusza ramionami.

– Nie za wiele – odpowiada. – Pobieramy niewielką opłatę pocztową za dostarczenie. Czterdzieści koron za list. Nie bogacimy się na tym.

– I są to tylko listy?

Jan pytał o te same rzeczy już wielokrotnie, ale Rettig zachowuje cierpliwość.

– Oczywiście, tylko zwyczajne listy.

Jan kiwa głową.

– W porządku, zrobię to. Mogę spróbować.

– Super – cieszy się Rettig. Odwraca się ku niemu i dodaje: – Robimy tak, kolego: dostaniesz ode mnie paczkę, a następnym razem, kiedy będziesz miał nocny dyżur, wniesiesz ją przez łącznik do szpitala. W nocy, jak najbliżej północy. – Wyciąga z torby kartkę papieru. – Ale tylko w niektóre noce... Tu jest grafik, to są noce, kiedy pracuje ktoś z nas.

– Ktoś z was... Ty i kto jeszcze?

Rettig ścisza głos.

– Carl, nasz bębniarz. Też jest strażnikiem. No dobra, koło dziesiątej lub jedenastej wieczorem możesz wjechać windą do pokoju wizyt. Sprawdź, czy nikogo w nim nie ma, zanim otworzysz drzwi... Chociaż zapewne nikogo tam nie będzie. Wejść do pokoju i schowaj kopertę pod siedziskiem sofy. Później zjedź windą z powrotem do dzieci. O tej porze pewnie śpią?

Jan przytakuje, myśląc o elektronicznej niani, którą kupił.

– Chcesz o coś zapytać?

– Nie o paczki... Chciałbym jednak dowiedzieć się czegoś więcej o pacjentach.

Na ustach Rettiga pojawia się uśmiech. Mężczyzna wkłada gitarę do futerału.

– Opiekunowie nie mogą mówić o swoich podopiecznych, przecież wiesz.

– Co tam robią?

– Niewiele... Czekają, tak samo jak my. Wszyscy tylko czekają.

Jan milczy przez chwilę, by w końcu zapytać:

– Nurtuje mnie jedna rzecz... Czy przebywa tam Alice Rami?

Rettig kręci głową, jakby się nawet nie zastanawiał.

– Nie – odpowiada. – Jest Anna i Alide, ale nie ma żadnej Alice.

– A może Blanker?

Rettig potwierdza po chwili zastanowienia.

– Jest jedna Blanker... Maria Blanker.

Jan pochyla się do przodu.

– Ile ma lat?

– Nie jest stara.

– Trzydzieści? – dąży Jan.

– Być może, między trzydzieści a trzydzieści pięć... Wszystkiego się boi. Siedzi na jednym z oddziałów dla kobiet, bardzo zamknięta w sobie.

Na jednym z oddziałów, myśli Jan. Jest ich zatem więcej niż jeden.

– Ma dzieci w przedszkolu?

Rettig coraz dłużej zwleka z kolejnymi odpowiedziami.

– Może. Chyba czasami ktoś ją odwiedza.

– Dziecko?

Rettig potwierdza:

– Dziewczynka.

– Wiesz, jak się nazywa?

Rettig przecząco kręci głową, spoglądając jednocześnie na zegarek.

– Muszę lecieć do domu – mówi, kładąc swoją teczkę na stole. – Od razu załatwimy sprawę listów... Kiedy masz następny nocny dyżur?

– Jutro.

– Idealnie.

Rettig wkłada rękę do teczki i wyjmuje białą kopertę, dużą, kilkucentymetrowej grubości. Zapisano na niej dwie litery: Ś.P.

– Możesz to dostarczyć?

Jan bierze kopertę do ręki. Zauważa, że jest dokładnie zaklejona taśmą. Nie próbuje jej otwierać, tylko waży w dłoni.

Pakunek jest miękki. Plik listów – czy tylko to? Tak się wydaje. Jan nie może wyczuć żadnych twardych przedmiotów ani torebek z proszkiem.

– Jasne. – Kiwa głową w stronę Rettiga, próbując przekonać samego siebie, że to dobry pomysł.

Wieczorem, w dniu po próbie z The Bohemos dyżur w przedszkolu pełni Hanna Aronsson. Wkraczając do szatni, Jan widzi, że Hanna wychodzi właśnie z pokoju dzieci. Dziewczyna wygląda na wycieńczoną. Jak tylko go zauważa, szybko kładzie palec wskazujący na ustach.

– Ciiii...

Jan rozumie, że dzieci właśnie zasnęły, więc tylko kiwa ku niej głową i wchodzi do pokoju wychowawców, aby szybko włożyć plecak do szafki. Plecak i spoczywającą w nim kopertę – to jego tajemna misja listonosza.

Po chwili dołącza do Hanny, która stoi w kuchni, pochylona nad zmywarką.

– Śpią smacznie?

– Mam nadzieję. – Hanna wzdycha. – Były dzisiaj cholernie nieznośne. Kłóciły się.

– Naprawdę? Ile ich dzisiaj mamy?

– Troje... Leo, Matilda i Mira, jak zwykle.

Zapada milczenie, jak zawsze, kiedy Jan zostaje w pracy z Hanną sam na sam. Z innymi osobami w Polanie łatwo się rozmawia, ale Hanna nie odzywa się bez potrzeby. Choć oczywiście jest coś, o czym Jan chce z nią porozmawiać. W końcu więc bierze głęboki oddech i pyta:

– Hanno, pamiętasz to, co opowiadałem ci w ubiegłym tygodniu, kiedy byliśmy razem...

– Co takiego?

– Że pracowałem w świetlicy... i zgubiłem raz w lesie chłopca.

Hanna kiwa głową. Jan widzi, że pamięta.

– Czy... czy rozmawiałas z kimś na ten temat?

Twarz Hanny jak zwykle nic nie wyraża.

– Nie, z nikim.

– To dobrze – odpowiada Jan.

Hanna sprawia wrażenie, jakby chciała coś dodać lub o coś zapytać, ale w końcu zbiera tylko ostatnie naczynia i zamyka szafki.

– Kończę na dziś.

– Dobry pomysł. Jakies plany na wieczór?

– Nie wiem... Może pójde trochę poćwiczyć.

Jan mógł z łatwością odgadnąć, że Hanna chodzi na siłownię. Jest zgrabna, wygląda na wysportowaną. Nie jest chuda jak Rami.

Dziesięć minut później Hanna wychodzi, a Jan zamyka za nią drzwi. Jest już sam w przedszkolu. Nie ma telewizora ani sprzętu grającego – w głowie słyszy jedynie echo wszystkich rockowych kawałków zagranych z The Bohemos poprzedniego wieczoru. Było miło. Ciekawe, czy Lars Rettig jeszcze zaprosi go do zespołu.

Być może, o ile dzisiaj wieczorem sprawdzi się w roli kuriera.

Dzieci śpią głęboko, więc Jan nie ma nic do roboty. W oczekiwaniu na jedenastą czas mu się wlecze. Siedzi w kuchni z książką, ale często patrzy w ciemność, w stronę szpitala.

Kiedy zegar wreszcie wskazuje za kwadrans jedenastą, wychodzi z kuchni i wyjmując z szafki grubą kopertę i anioła.

Czuje się śmiesznie, ale jednak zakłada rękawiczki rowerowe i przeciera całą kopertę suchą ściereczką, aby nie zostawić odcisków palców czy włosów. Na wypadek gdyby doktor Högsmed znalazł przesyłkę.

Za pięć jedenasta wieszającego anielskiego strażnika w ciemnej sypialni dzieci, po czym otwiera drzwi do piwnicy za pomocą karty magnetycznej. Idąc piwnicznym korytarzem wzdłuż rysunków przedstawiających zwierzęta, niesie kopertę w lewej dłoni. Przy pasku ma odbiornik anioła.

Winda na niego czeka. Jan wchodzi do wnętrza i naciska guzik. Stalowa kabina drży, po czym rusza w górę. Jan nigdy dotąd nie jechał szpitalną windą bez kogoś z dzieci. Jest to tym bardziej niesamowite, że dzieje się w środku nocy.

Winda zatrzymuje się z lekkim szarpnięciem. Jan pochyla się ku okienku, aby przekonać się, że światło w pokoju odwiedzin jest zgaszone. W ciemności nikt się nie porusza.

Powoli i ostrożnie uchyla lekko drzwi.

Czeka, nasłuchuje. Żaden dźwięk nie zakłóca ciszy. W końcu wchodzi na wykładzinę. Jak zawsze, przebywając na terenie Świętej Patrycji, odczuwa ssącą ciekawość, uporczywą chęć, aby dowiedzieć się więcej.

Meble w pokoju są kanciastymi cieniami, chociaż trochę światła dociera do pomieszczenia od strony windy za jego plecami, a także przez szybę w drzwiach, przez które wpuszcza się do pokoju pacjentów szpitala. Jan zerka w tamtym kierunku i widzi długi korytarz po drugiej stronie drzwi. Jest pusty. A drzwi oczywiście są zamknięte – tędy dalej nie przejdzie.

Jedyne, co może zrobić, to podejść do kanapy i unieść siedzisko z lewej strony. Wtyka kopertę jak najgłębiej, po czym poprawia siedzenie sofy. O tak.

Rzuciwszy ostatecznie spojrzenie w kierunku kanapy, rusza do windy i zjeżdża z powrotem do piwnicy. Powoli wraca do przedszkola, po czym zaczyna słać łóżko w pokoju wychowawców, aby się położyć. Jak zwykle jednak ma trudności z zaśnięciem.

W coś się wmieszał. Pracuje w Patrycji niecałe trzy tygodnie, a już zdążył zostać członkiem swego rodzaju organizacji przemysłowej.

To wszystko przez Rami. Jeśli to ona jest mamą Josefine, nawet pod nowym nazwiskiem Maria Blanker.

Wciąż nie śpiąc, leży w ciemnościach i żałuje, że nie otworzył koperty od Rettiga. Czy któryś z listów adresowany był do niej?

Ryś

Zegar tykał. Jan, rzecz jasna, nie mógł go słyszeć, kiedy gnał przez las. Czuł jednak, jak sekundy przemykają – czas biegnął szybko. Musiał zdążyć z tyloma sprawami.

Skaliste ściany wąwozu wznosiły się wokół niego. Zobaczył drugą czerwoną strzałkę z materiału, którą zawiesił poprzedniego wieczoru. W poszyciu nie było wyraźnych śladów, że mały William tędy przechodził – choć właściwie nie mógł wybrać innej drogi.

Jan wszedł przez otwartą żelazną furtkę i zwolnił kroku. Był już poza parowem. Spojrzał przed siebie.

Ostatnią czerwoną strzałkę umieścił na ziemi, pod dwoma ciężkimi kamieniami, jakieś dwadzieścia metrów od wyjścia z wąwozu. Znak wskazywał kierunek w górę zbocza, w stronę otwartych blaszanych drzwi w betonowym bunkrze.

Nigdzie nie było widać małego Williama.

Wchodząc pod górę, Jan czuł, jak krew dudni mu w uszach niczym bęben basowy. Ostatnie dwa metry przed blaszanymi drzwiami pokonał jak kot, próbując zakraść się bezszelestnie.

Dotarł do wejścia bunkra, przechylił głowę i nasłuchiwał.

Tak, ktoś był w środku. Między betonowymi ścianami usłyszał, jak dziecko pociąga nosem. Jan miał nadzieję, że to nie płacz – pewnie mały chłopiec nabawił się kataru w zimnym lesie.

Po cichu wyciągnął przed siebie rękę i powoli zaczął przyciągać drzwi do siebie. Powoli, powoli... a kiedy były już całkiem zamknięte, zasunął oba rygle.

Poprzedniego wieczoru pod jednym z kamieni w pobliżu bunkra ukrył pilota, zabezpieczonego foliową torebką. W tej chwili wyjął go i uruchomił robota. Nie mógł go oczywiście zobaczyć, ale przez otwór okienny usłyszał swój własny stłumiony głos, odbijający się metalicznym echem wewnątrz schronu.

– Zaczekaj tu, Williamie – powiedział głosnik robota. – Wszystko będzie dobrze, zaczekaj tutaj.

Jan ukrył z powrotem pilota i zawrócił. Zszedł na równy teren, po czym pędem ruszył przez wąwóz, zrywając przy okazji czerwoną strzałkę, którą zwinął i wetknął do kieszeni. To samo zrobił z drugą strzałką. Jednym pociągnięciem zamknął żelazną furtkę, wyszedł z parowu, po czym zabrał ostatnią strzałkę.

Brakowało mu już tchu, ale nie zwolnił tempa. Pędził w górę zbocza. Bębny dudniły.

Po przybyciu na miejsce, gdzie zaczęła się zabawa w chowanego, spojrzął na zegarek. Za dwadzieścia pięć chwila. Miał wrażenie, że minęło o wiele więcej czasu, a jednak bawił się z chłopcami dopiero od dziesięciu minut.

Nagle dostrzegł między drzewami jasnozieloną kurtkę. Któryś chłopiec schylał się, próbując ukryć wśród gałęzi. Po chwili dostrzegł kolejnego chłopca i jeszcze jednego.

W tej chwili miał już kontrolę nad dziećmi, wiedział dokładnie, gdzie się schowały. William także był na swoim miejscu. Plan się sprawdzał, Jan mógł się odprężyć.

Uśmiechnął się. Ułożył dłonie wokół ust i zawołał:

– Halo! Widzę was!

Przed swoim nocnym piątkowym dyżurem Jan bierze pusty kubek i wychodzi z mieszkania. Tego wieczoru nigdzie się nie wybiera. Schodzi zaledwie dwa piętra do sąsiada, na którego drzwiach wisi tabliczka V. LEGÉN.

Przez drzwi z mieszkania Legéna nie dochodzą żadne dźwięki. Wcześniej Jan już dwukrotnie dzwonił, ale nikt nie otworzył. Teraz ponawia próbę.

Tym razem jest inaczej, słychać dźwięk otwieranego zamka. Legén uchyla lekko drzwi.

– Dzień dobry – mówi Jan, pokazując swój kubek.

Sąsiad nie odpowiada.

– Nazywam się Jan Hauger... Mieszkam na górze – ciągnie Jan. – Przyszedłem zapytać, czy nie ma pan przypadkiem trochę cukru. Na ciasto.

Legén wpatruje się w niego wzrokiem stieranego boksera, który spotyka swego największego wroga. Nie jest dzisiaj w najlepszym nastroju. Bierze jednak kubek i odwraca się w korytarzu. Jan ma szansę podejść bliżej i wetknąć głowę do mieszkania.

Panuje tu mrok, jest bałagan, a w powietrzu unosi się zapach tytoniu. Materiałowa torba, którą Jan niedawno widział w piwnicy, leży rzucona na podłogę obok półki z butami. Teraz napis widać wyraźnie: PRALNIA ŚWIĘTEJ PATRYCJI.

Miał rację.

Jan uśmiecha się zadowolony, kiedy Legén wraca z kubkiem napełnionym do połowy białym cukrem.

– Świetnie. Serdecznie dziękuję.

Już ma zagaić, wskazać torbę i powiedzieć, że on także pracuje dla szpitala Świętej Patrycji, jednak Legén kiwa tylko lekko głową i szybko zamyka drzwi. Słychać kliknięcie przekręcanego zamka.

Jan wraca na górę, po czym wysypuje cukier do kosza.

Koło dziewiątej wieczorem jedzie rowerem do przedszkola, przez całą drogę myśląc o koperce, którą dzień wcześniej zostawił w pokoju wizyt. Do tej pory Rettig powinien być ją zabrać, a jej zawartość pewnie oddziałuje już jakoś na pacjentów, nawet jeśli nie ma pewności jak.

Jednak absolutnie nic się nie zmieniło. Betonowy mur wciąż stoi twardo wokół szpitala, reflektory się świecą i wszystko jest dokładnie takie, jak zawsze. Tego wieczoru czeka na niego Lilian, która już położyła dzieci do łóżek.

– Cześć, Lilian!

– Cześć! – Lilian wygląda na zmęczoną, ale jej głos brzmi donośnie i dziarsko. Czasami wydaje się, że dzieci trochę się jej boją, mimo że zawsze chętnie się z nimi bawi. Jan uważa, że jest w niej jakieś napięcie i zarazem kruchość.

– Gotowa na weekend? – pyta.

– Tak.

– Planujesz gdzie wyjść i się rozerwać?

– Pewnie.

W głosie nie slychać jednak oczekiwania. Lilian szybko zakłada kurtkę, nie pytając, co Jan zamierza robić, ani nie życząc mu udanego weekendu. Rzuca mu szybkie spojrzenie i wychodzi.

Jan znowu zostaje sam. Przygotowuje się do nocy.

Zagląda do śpiących dzieciaków w sypialni. Wykonuje standardowe wieczorne czynności, przebiera się i kładzie już o jedenastej, lecz jak zwykle ciężko mu zasnąć. W przedszkolu jest ciepło i duszno, sofa jest wąska i niewygodna, a w kuchni leży karta magnetyczna, która za nim tęskni. On sam tęskni jeszcze bardziej.

Jan wzdycha w ciemności. Musi zostać w łóżku. Nie zejdzie do piwnicy. I tak nie uda się wejść do szpitala, teraz to wie.

Drzwi prowadzące z pokoju odwiedzin do kliniki są zamknięte. Rettig jednak musi mieć klucz, skoro może tam wejść, aby zabrać kopertę, którą Jan schował.

Ciekawe, czy pacjenci dostali już swoje listy. Prawdopodobnie tak. Być może Lars Rettig właśnie skrada się korytarzami i je rozdziela.

Jan odwraca się na bok i dalej rozmyśla, jak znaleźć tajemne wejście do szpitala.

A może schron w piwnicy? Są tam dwa wyjścia, a przecież nie wie, dokąd prowadzi to drugie. Nie wie także, czy można je otworzyć. Drzwi mogą równie dobrze prowadzić do szpitala, jak i wprost na zamurowaną ścianę – ale jeśli nie zejdzie i nie spróbuje, nigdy się nie dowie, co za nimi jest.

Za piętnaście dwunasta. Dzieci śpią, a karta magnetyczna umożliwiająca zejście do piwnicy na niego czeka...

Święty Psychol jest na zewnątrz, jak wielka góra kusząca samą swoją obecnością. Jak Mount Everest. Wielu wspinaczy zginęło na Evereście...

Nie, lepiej jest myśleć o szpitalu jak o jaskini do zbadania. Jan nigdy nie słyzył, żeby ktoś stracił życie w grocie, choć oczywiście do czegoś takiego mogło dojść.

Podjeżdża do schronu. Podnosi kódrę i siada w ciemności na sofie.

Tylko szybkie spojrzenie do schronu, później może pójść spać.

Dziesięć minut później jest już na dole, w podziemnym przejściu. Przy pasku ma włączonego anioła. Zapalił światło i zszedł po schodach. Okienko windy jest ciemne – kabina musi być na górze. Jan nie wciska guzika, aby ją sprowadzić. Idzie dalej korytarzem, mijając zakręt, po czym dociera do stalowych drzwi.

Są zamknięte. W dalszym ciągu oczywiście wisi na nich ta sama tabliczka **TE DRZWI MUSZĄ BYĆ ZAMKNIĘTE!**, ale Jan chwytając za wielką klamkę i je otwiera. Pamięta już, gdzie znajduje się włącznik, i zapala górne światło.

Schron wygląda tak jak ostatnim razem, kiedy Jan tu był. Wykładzina, kilka poduszek i mebli. Nikogo tu nie było. Na pewno? Materac leży na podłodze – czy poprzednim razem nie stał oparty o ścianę? Jan nie może sobie przypomnieć.

W każdym razie panuje tu cisza. Jan ostrożnie wchodzi do pomieszczenia. Stalowe drzwi zostawia otwarte i przechodzi na drugi koniec pokoju. Tu jest wyjście, które może prowadzić do kliniki – jeszcze jedno zamknięte stalowe drzwi z długą klamką. Jan chwytając ją – klamka

daje się nacisnąć bez problemów, jednak w niższym położeniu stawia opór. Jan staje na palcach, napina mięśnie ramion i używając całej siły, próbuje otworzyć drzwi. Na próżno.

Szpital nie wpuszcza go do wnętrza.

Jan oddycha głęboko, zerka w bok – nasłuchuje.

Dźwięk. Słabe wibracje w podłodze.

W podziemiach słychać gwizd. Przenika przez betonowe ściany. Jan z początku nie wie, co to, lecz w końcu rozpoznaje dźwięk. To silnik.

Gwizdże i wyje. I wzmacnia się.

Jan pojmuje, że to odgłos silnika windy. Winda zjeżdża w dół z pokoju odwiedzin, jest w drodze do piwnicy.

Jan puszcza klamkę. Słucha.

Winda kliknięciem obwieszcza przybycie na poziom piwnic. Przez krótką chwilę panuje cisza, po czym Jan wyraźnie słyszy odgłos otwieranych drzwi windy. Ktoś wchodzi do podziemnego korytarza.

Jan dalej stoi między grubymi ścianami schronu. Nie rusza się.

Zdecyduj się, myśli.

Jedyną rzeczą, jaką robi, kiedy otwierają się drzwi do windy, jest wyciągnięcie ręki i zgaszenie światła w schronie, aby nie zdradzić swojej obecności. Później tkwi na kamiennej podłodze jak wmurowany.

Stoi zupełnie cicho i tylko nasłuchuje, nie mając pojęcia, co zrobić. Wszystkie dźwięki, które teraz słyszy, dochodzą z piwnicy – uderzają o ostre kanty i odbijają się echem między kamiennymi ścianami.

Słyszy wyraźnie, jak drzwi windy znów się zamykają. Jest przekonany, że słyszy też kroki na betonowej podłodze korytarza. Ciche, ostrożne i oddalające się kroki.

Ktoś spokojnie idzie przez piwniczny korytarz.

Ktoś idzie w stronę schodów prowadzących do Polany.

W stronę śpiących dzieci – Leo, Miry i Matildy.

M u s i się ruszyć. W końcu mu się to udaje. Odwraca się i stawia krok w kierunku korytarza. Jego cień porusza się na ścianie. Dwa kroki i jeszcze jeden.

W tej chwili nagle gaśnie światło przed nim. Cień znika, ciemność zalewa podziemny korytarz.

Jan wie, co się wydarzyło: osoba, która wyszła z windy, pokonała już całe schody i zgasiła światło. Drzwi prowadzące do przedszkola skrzypią przy otwieraniu, po czym trzaskają zamykane. Gość ze Świętej Patrycji musi mieć ze sobą kartę. Teraz jest już w przedszkolu. A Jan, mający sprawować opiekę nad dziećmi tam na górze, został zamknięty. Wciąż ma swoją kartę i może się wydostać, ale to nie wystarczy. Potrzebuje broni. Czogoś, czym mógłby bronić siebie i dzieci, czegokolwiek. Po omacku szuka jakiegoś przedmiotu w ciemnościach, aż w końcu natrafia ręką na pustą butelkę po winie. Swego rodzaju kij. Może chwycić butelkę za szyjkę i ucieść ją przed sobą.

W piwnicznym korytarzu panują niemal nieprzeniknione ciemności – rozjaśnia je zaledwie słabe żółte światło pochodzące z okienka windy. Jan ostrożnie przesuwa się wzdłuż ścian w stronę schodów.

Prawie zapomniał o aniele przypiętym do paska, ale nagle słyszy ciche niewyraźne dźwięki z głośniczka. Jakby drapanie, a następnie coś, co brzmi jak oddech. To odgłos kogoś, kto zakradł się do sypialni.

Ktoś obcy jest u dzieci.

Serce zaczyna walić Janowi jak młotem. Przyśpiesza kroku.

Większość pacjentów szpitala jest niegroźna – zapewniał go doktor Högsmed. Mimo to w tej chwili myśli tylko o tych niebezpiecznych. O mordercy Iwanie Rösselu. I o Margit, starszej kobiecie, i jej dymiącej dubeltówce...

C h o l e r a j a s n a. Jan porusza się korytarzem, stawiając szybkie krótkie kroki i cały czas trzymając się ściany. Beton pod palcami jest jak drobnoziarnisty papier ścierny.

Słysząc stukot – dłonią strącił jeden z dziecięcych rysunków, ale nie zatrzymuje się.

Nagle jego stopy natrafiają na coś twardego. Betonowe schody. Podnosi nogi, wspinając się ostrożnie na kolejne stopnie, krok za krokiem, aż w końcu rękami natrafia na drzwi. Są zamknięte.

Jan musi je otworzyć, ale nie może sobie przypomnieć kodu. W głowie ma zupełną pustkę. Urodziny Marie-Louise, ale jaki to dokładnie dzień?

Jaki dzień?

Podkręca elektroniczną nianię i słyszy odgłos kroków, słyszy, jak ktoś porusza się wśród śpiących dzieci. Gość ze Świętego Psychola.

Kod, jaki to był kod?

Musi się zastanowić. Odpręża się i powoli przywołuje kolejne cyfry. Jedna po drugiej pojawiają się w jego głowie. Trzy, jeden, zero, siedem. Po omacku naciska guziki, przeciąga kartę przez czytnik i słyszy charakterystyczne kliknięcie zamka. Otwiera ostrożnie drzwi, trzymając przed sobą butelkę.

W przedszkolnych pokojach panuje cisza.

Stawia dwa kroki w głąb szatni, odwraca się i widzi, że drzwi do sypialni są szeroko otwarte. Kiedy wychodził, były zamknięte.

Dłoń trzymająca butelkę jest zupełnie mokra od potu.

W środku śpi troje dzieci. Leo, Matilda i Mira. Zostawił je bez opieki. Wstrzymując oddech, tak cicho, jak to możliwe, idzie w stronę drzwi.

W pokoju jest ciemno.

Zagląda do środka, spodziewając się ujrzeć wielki czarny cień pochylający się nad łóżeczkami. Nic jednak nie widzi. W środku nic się nie porusza. Trójka dzieciaków leży pod swymi kołderkami, oddychając równo i spokojnie. Jan wchodzi po cichu i nasłuchuje, lecz pokój jest tak mały, że nikt nie mógłby się tu schować.

Nie ma nikogo. Dokąd zatem udał się gość ze szpitala?

Jan wychodzi z sypialni, zamyka drzwi i zaświeca górne światło w korytarzu. Następnie chodzi od pokoju do pokoju i sprawdza każdy kąt, ale nikogo nie znajduje.

W końcu wraca do holu. Drzwi wyjściowe są zamknięte, lecz kiedy naciska klamkę, okazuje się, że nie na klucz. Ktoś je otworzył i wyszedł.

Jan uchyla drzwi, aby wyjrzeć na podwórko. Nikogo nie widać.

– Halo?! – woła w ciemność, ale słyszy tylko swój własny głos.

Brak odpowiedzi. Podwórko jest puste, na ulicy także nie ma żywej duszy. Jan zamyka drzwi, przekręca zamek i oddycha głęboko. Spogląda na zegarek. Jest piętnaście po dwunastej.

Zanim się położy, musi jeszcze zrobić ostatnią rzecz: zejść z powrotem do piwnicy, powiesić na ścianie zrzucony dziecięcy rysunek i zgasić światło w schronie. I oczywiście odłożyć butelkę – trudno byłoby mu się wytłumaczyć przed Marie-Louise z pustej butelki po winie, jeśli znalazłaby ją w przedszkolu.

Na koniec wstawia krzesło pod klamkę drzwi do piwnicy, aby nikt nie mógł ich otworzyć od zewnątrz, nawet jeśli ma kartę magnetyczną.

O ósmej rano następnego dnia Jan wraca do domu. Reszta nocy minęła spokojnie. W końcu

udało mu się zasnąć. Serce dudniło mu, kiedy leżał w łóżku, ale bardziej niż przestraszony czuł się samotny.

„Nasza działalność jest bezpieczna – powiedział kiedyś doktor Högsmed. – Naszym priorytetem jest bezpieczeństwo wszystkich”.

Jan nie znalazł drogi do Rami, jeszcze nie. Wie teraz jedno: ktoś używa przedszkola jako łącznika. Jako drogi ze szpitala na zewnątrz.

Ma nadzieję, że to żaden z pacjentów.

Druga koperta od Rettiga zostaje dostarczona Janowi rano, kiedy leży z powrotem we własnym łóżku. Jego umysł zdążył się uspokoić, zagłębiając w ciepły sen o miłości, jednak niedługo następuje brutalne przebudzenie. Z początku Jan nie wie, co jest tego powodem, ale w końcu dociera do niego, że słyszał odgłos klapki zasłaniającej szczelinę do wrzucania listów znajdującą się w drzwiach wejściowych.

Nie pamięta już swego snu, musi wstać. Zagląda do przedpokoju i na podłodze widzi znajomo wyglądający pakunek. Jedyną różnicą jest kolor koperty – ta jest jasnożółta. Paczka jest równie gruba jak poprzednia, a na wierzchu znów widnieją litery Ś.P.

Tym razem Jan robi coś, na co nie odważył się za pierwszym razem – otwiera kopertę. Znosi przesyłkę do kuchni, kładzie na stole i zaczyna dokładnie sprawdzać, jak ją zapieczętowano. Zwykła przezroczysta taśma klejąca, jaką można kupić w każdym sklepie. Jan zaczyna odrywać ją delikatnie z tyłu koperty. Przez krótką chwilę się waha. Czy wolno otwierać list, którego zabroniono dostarczyć do adresata? Odsuwa od siebie to pytanie. Kiedy już udaje się mu odkleić taśmę, z łatwością wsuwa ostry nóż między sklejone fragmenty papieru i ostrożnie otwiera kopertę. Wkłada dłoń i wyjmuje zawartość.

Rettig go nie oszukał – to listy, tylko listy. Przelicza je – trzydzieści cztery sztuki w różnych kolorach i rozmiarach. Na wierzchu różnymi charakterami pisma, atramentem lub ołówkiem, zapisano nazwiska. Wszystkie miały trafić pod ten sam adres: SZPITAL ŚWIĘTEJ PATRYCJI.

Jan powoli przegląda nazwiska adresatów i zauważa, że jedno z nich pojawia się wiele razy: Ivan Rössel. Morderca Rössel otrzymał dziewięć listów. To jedyne nazwisko, które Jan rozpoznaje. Nie ma żadnych listów do Alice Rami ani do Marii Blanker.

Jan wpada na pewien pomysł. Skoro sam nie może dostać się do Rami, może mógłby napisać do niej list? Cóż ma do stracenia?

W jednej z szuflad w kuchni trzyma papeterię. Matka podarowała mu ją, kiedy wyprowadził się z domu. Ręcznie wykonane koperty, gruby papier listowy. Przez dziesięć lat ani razu jej nie użył.

Bierze pióro, przez chwilę gapi się w pustą kartkę, chcąc wypełnić ją potokiem słów. Ma tyle do powiedzenia.

W końcu jednak zapisuje jedno jedyne pytanie:

KOCHANA WIEWIÓRKO, CZY CHCESZ PRZEDOSTAĆ SIĘ POZA OGRODZENIE?

Podpisuje się własnym imieniem. Zastanawia się także nad dodaniem swojego adresu, ale dochodzi do wniosku, że Lars Rettig lub jakiś inny opiekun mogą zobaczyć kopertę z listem zwrotnym od Rami. O ile odpowie. W końcu podpisuje się jako Jan Larsson, dodając swój stary adres w Göteborgu.

Następnie adresuje kopertę na szpital, a jako adresata wpisuje Marię Blanker. Zaklejoną kopertę wkłada w środek pomiędzy inne listy.

Kiedy następnego dnia Jan wraca do Polany, w plecaku ma przesyłkę do pacjentów Patrycji.

W ten poniedziałek czeka go dyżur wieczorny. Przez trzy godziny będzie samotnym królem wśród dzieciaków. Będzie miał wystarczająco dużo czasu na krótką wycieczkę na górę, do Świętego Psychola, kiedy jego podopieczni zasną. Do pokoju odwiedzin, który ostatnio stał się też placówką pocztową.

W przedszkolu wszystko wydaje się spokojne, lecz wchodząc do pokoju wychowawców, Jan widzi Marie-Louise siedzącą przy stole z obcym mężczyzną.

Staje na progu jak zmrożony. Nagle przypomina sobie o wydarzeniach poprzedniej nocy. O nieznanym gościu, który wysiadł z windy i wyszedł w noc, przechodząc przez przedszkole. Po chwili poznaje jednak okulary mężczyzny i jego gęste brązowe włosy. I usta, na których rzadko gości uśmiech.

– Dzień dobry, Janie. Jak się czujesz?

To ordynator Högsmed przyszedł w odwiedzin. Jan niemal spodziewa się, że zobaczy leżący przed nim zbiór czapek, gotowych do testu wyboru. Ale na stole stoi tylko w połowie opróżniony kubek z kawą.

Szybko zmusza usta do delikatnego uśmiechu i podchodzi, aby podać rękę na powitanie.

– Wszystko w porządku, doktorze.

– Mam na imię Patrik, pamiętasz?

Jan szybko kiwa głową. Högsmed nigdy nie będzie dla niego nikim innym jak doktorem, ale może udawać.

Ordynator przygląda mu się uważnie.

– Wdrożyłeś się już w pracę?

Doktor oczekuje odpowiedzi.

– Ależ tak – zapewnia Jan. – Wszystko działa świetnie.

– Miło to słyszeć.

Uśmiech Jana staje się coraz bardziej rozpaczliwy. W głowie wiruje mu myśl o przesyłce w plecaku. Oczywiście jest zamknięty, ale może Högsmed coś podejrzewa? Czy zdemaskowano Larsa Rettiga?

W końcu lekarz odwraca wzrok ku szefowej Jana.

– Radzi sobie?

Högsmed wypowiada pytanie beztrąsko, ale Marie-Louise przytakuje żywiołowo.

– Och tak, jesteście bardzo zadowoleni! Poza tym Jan został prawdziwym ulubieńcem dzieci, najlepszym kompanem do zabaw.

Jan słucha pochwał, nie mogąc jednocześnie odetchnąć. Najchętniej uciekłby stąd, z tego pokoju i jak najdalej od doktora Högsmeda. Kiedy Marie-Louise proponuje mu kawę, od razu kręci głową.

– Dziękuję, ale już jedną wypilem... dosłownie chwilę temu. Zaczynam się trząść, kiedy wypiję za dużo – wyjaśnia i dodaje: – Kofeiny, oczywiście.

Po tych słowach odwraca się i rusza do bawialni. Za jego plecami Högsmed pochyla się do Marie-Louise i mówi coś po cichu. Dzieci krzyczą i śmieją się tak głośno, że Jan nie ma szans podsłuchać.

– Niech pan do nas przyjdzie!

– Proszę przyjść, będziemy budować!

Natalie i Matilda wciągają go do zabawy, lecz tego dnia z trudem zdobywa się na zwykłe rozmowy i żarty. Bez przerwy odwraca głowę w kierunku drzwi, wyczekując, kiedy wreszcie poczuje na ramieniu dłoń, a ostry głos poprosi go na krótką rozmowę. Na przesłuchanie przez dzienną straż ze szpitala.

Nic takiego nie następuje. Jakiś czas później zagląda do pokoju wychowawców, ale przy stole nie ma już nikogo. Högsmed sobie poszedł.

Jan może więc się odprężyć, a przynajmniej spróbować. Tego wieczoru nie powinien iść do szpitala, aby zostawić listy – a co jeśli doktor znowu zajrzy do przedszkola? Z drugiej strony nie ma też ochoty przetrzymywać ich w szafce.

Wskazówki zegara poruszają się wolno, ale w końcu nastaje wieczór. Opiekunowie przychodzą po dzieci, członkowie personelu idą do domów. Dzieciom, które zostają na noc, Jan podgrzewa mięso w sosie koperkowym i ziemniaki. Później czyta im tak długo, aż wszystkie zasypiają.

Jest za piętnaście dziewiąta. Rettig radził mu, żeby nie chodził do szpitala tak wcześnie, ale Jan jest niecierpliw. Ma ponad godzinę, zanim Andreas przyjdzie, żeby go zmienić. To mnóstwo czasu.

Odczekuje jeszcze chwilę, po raz ostatni zagląda do śpiących dzieci, po czym schodzi do piwnicy z aniołem przy pasku i kopertą ukrytą pod bluzą.

Szybko, listonosz musi działać szybko.

W piwnicy winda czeka na niego. Jan bierze głęboki oddech i jedzie do pokoju odwiedzin. Jest cicho i pusto, światła zgaszono. Prędko skrada się w kierunku sofy, podnosi poduszkę, ale powstrzymuje się – leży tu już jedna koperta.

Nie jest to jednak ta sama koperta, którą zostawił tu kilka dni wcześniej. Ta jest większa i grubsza, a na wierzchu dużymi literami zapisano dwa słowa:

OTWÓRZ I WYŚLIJ!

Odpowiedzi ze Świętego Psychola. Jan wpatruje się w kopertę, po czym zabiera ją, chowa pod swetrem, zostawiając w tym samym miejscu dużą żółtą przesyłkę.

Kiedy wraca do przedszkola, wszędzie nadal panuje niczym niezakłócona cisza.

Trzydzieści minut później otwierają się drzwi wejściowe. Jan wzdryga się, ale to tylko jego kolega Andreas, spokojny i zadowolony jak zwykle. Andreas zachowuje się tak, jakby w ogóle nie miał zmartwień.

– Cześć, Jan! Wszystko dobrze?

– Wszystko gra... Nasi mali przyjaciele śpią.

Jan uśmiecha się, zakładając kurtkę, po czym otwiera szafkę, by zabrać plecak, w którym ukrył kopertę. Już nie może się doczekać, czuje się niemal jak w wigilię Bożego Narodzenia.

– Powodzenia, Andreas... Do jutra.

Po powrocie do domu Jan nadal myśli o doktorze Högsmedzie. Zamyka za sobą drzwi i zaslania żaluzje w kuchni. Wyciąga z plecaka kopertę i ją otwiera.

Wypada z niej czterdzieści siedem listów z odpowiedziami ze szpitala – niemal jak układanka z małych i dużych kopert. Na wszystkie starannie naklejono znaczki i zaadresowano

je do różnych osób w Szwecji, z wyjątkiem dwóch. Jeden ma dotrzeć do Hamburga, a drugi jeszcze dalej, bo do Bahii w Brazylii. Nadawcy nigdzie się nie podpisali.

Jan rozkłada przed sobą listy w rzędach, jak swego rodzaju pasjans. Przekłada je w różne miejsca na stole, studiując wszystkie charaktery pisma, którymi zapisano adresy, rozchwyane i staranne. W końcu zbiera wszystko razem.

Ma teraz nad nimi władzę. Mógłby je wszystkie wyrzucić.

Kiedy godzinę później kładzie się do łóżka, rozmyśla, kto napisał te listy.

Może Ivan Rössel. Ostatnim razem dostał wiele przesyłek. Czy odpowiada tym, którzy do niego piszą?

A czy Rami napisała do kogoś? W pokoju odwiedzin leży list od niego do niej i czeka...

Jan zasypia i szybko przenosi się z powrotem w ciepły sen, w którym był poprzedniej nocy. Teraz widzi go wyraźnie: jest razem z Alice Rami. Mieszkają na wsi, w gospodarstwie pozabawionym płotów i innych ogrodzeń. Przechadzają się żwirową ścieżką, wolni i bez lęku, wszystkie błędy życiowe zostały poza nimi. Rami spaceruje, trzymając na smyczy dużego brązowego psa. To bernardyn albo rottweiler. Jest to groźny pies stróżujący, ale zachowuje się przyjaźnie. Rami ma nad nim całkowitą kontrolę.

Ryś

Przedszkolanka Sigrid weszła do Rysia dwadzieścia po czwartej. Jan widział ją kątem oka. Z lasu wrócili ponad pół godziny wcześniej. Niedługo zamykają przedszkole.

W drodze powrotnej wszystko poszło dobrze – z wyjątkiem tego, że w grupie było szesnascioro dzieci zamiast siedemnaściora. Jan nie wspominał o tym, a ani Sigrid, ani żadne z dzieci nie zauważyły nieobecności Williama.

On sam nie myślał o niczym innym.

Zrobił sobie krótką przerwę, z pozoru zwyczajną pauzę, do której miał pełne prawo w pracy – wyszedł z przedszkola zaledwie na dziesięciminutowy spacer, udając się do najbliższej skrzynki pocztowej. Znajdowała się ona o trzy kwartały od przedszkola. Po drodze zatrzymał się w ciemnej bramie i wyjął czapkę Williama.

Poprzedniego wieczoru przygotował kopertę ze znaczkiem. Teraz włożył do niej czapkę, zakleił i wrzucił do skrzynki. Następnie pośpiesznie wrócił do pracy.

Kiedy Sigrid weszła do przedszkola, Jan stał w szatni, rozmawiając z kobietą, której nazwiska wówczas nie pamiętał – była to mama Maxa Karlssona. Właśnie przysłała po synka.

Sigrid podeszła i przerwała im rozmowę cichym, niespokojnym głosem:

– Przepraszam, Janie... mogłabym z tobą chwilę porozmawiać?

– Jasne, o co chodzi?

Odciągnęła go na bok.

– Czy macie dzisiaj w Rysiu jakieś dodatkowe dziecko?

Spojrzał na nią, udając zdziwienie.

– Nie, została jeszcze czwórka, po resztę przyszli już rodzice... A co?

Sigrid rozejrzała się po szatni.

– Chodzi o naszego Williama, małego Williama Halewiego... Jego tato stoi i czeka w Niedźwiadku, ma zabrać Williama... tylko że jego nigdzie nie ma.

– Nie ma?

Potrząsnęła głową.

– Mogę się rozejrzeć tutaj, w innych pokojach?

– Oczywiście. – Jan skinął głową, a Sigrid zniknęła w pomieszczeniach Rysia. Tymczasem Jan otworzył drzwi Maxowi oraz jego mamie i im pomachał. Trzy minuty później Sigrid wróciła do szatni, kręcąc głową. Wyglądała na jeszcze bardziej zdenerwowaną.

– Nie wiem, gdzie on może być... – Przeczesła dłonią włosy. – Nie pamiętam, czy William był z nami, kiedy wracaliśmy z lasu... Przecież szedł tam z nami, to pamiętam, ale nie mogę sobie przypomnieć... Nie wiem, czy był w grupie w drodze powrotnej. A ty pamiętasz?

Jan pokręcił głową. Przed oczami miał obraz Williama biegnącego w głąb wąwozu, ale odpowiedział cicho:

– Niestety... Nie znam dzieci z Niedźwiadka aż tak dobrze.

Zapadła cisza. Patrzyli na siebie. Sigrid potrząsała głową, jakby chciała się obudzić.

– Muszę wrócić do jego ojca. Chyba powinniśmy zadzwonić na policję, prawda?

– Oczywiście.

Czuł, jak gdzieś między płucami spada mu wielki sople lodu, który rozlał chłód aż do dolnej części brzucha.

Powinniśmy zadzwonić na policję.

Zaczęło się. W tym momencie Jan stracił kontrolę nad wszystkim.

Jak przestępca, jak szpieg albo tajny kurier... Jan nie chce podejmować zbędnego ryzyka. Następnego ranka jedzie do pracy bardzo okrężną drogą, a plik listów szybko wrzuca do skrzynki na opustoszałej ulicy. P o w o d z e n i a! Czterdzieści siedem listów od pacjentów rusza w świat.

Jan wsiada na rower i udaje się w dalszą drogę do przedszkola. Zaczynają się przymrozki, ulice są już śliskie. Niedługo będzie musiał zrezygnować z roweru, jeśli nie chce wpaść w poślizg. To może być śmiertelnie niebezpieczne.

Kiedy wchodzi do Polany, słyszy, jak po podłodze szatni zbliżają się do niego biegiem małe butki. To Matilda, oczy jej błyszczą.

– Policja tu jest!

Oczywiście żartuje.

– Czyżby? – odpowiada spokojnie Jan, rozpinając kurtkę. – A czego chcą? Przyszli napić się z nami soku?

Matilda wygląda na zmieszaną do chwili, kiedy Jan puszcza do niej oko. Przedszkolaki mogą powiedzieć cokolwiek – trudno jest im odróżnić prawdę od fałszu, rzeczywistość od fantazji.

Policja jednak rzeczywiście tam j e s t. Nie w przedszkolu, lecz na terenie szpitala. Kiedy piętnaście minut później Jan wygląda przez kuchenne okno, widzi radiowóz zaparkowany przed kliniką. Nagle pojawiają się też dwaj umundurowani policjanci, idący wzdłuż muru, po jego wewnętrznej stronie. Rozmawiają po cichu, wpatrując się nieprzerwanie w ziemię wilgotną od porannej rosy, jakby czegoś szukali. Dopiero wówczas Jan odczuwa mały niepokój, bębniący z tyłu głowy. Od czasów Rysia zawsze tak reaguje na policję.

Marie-Louise wchodzi do kuchni.

– Co tu robi policja? – pyta Jan.

– Nie wiem... Chyba coś się musiało stać w klinice. – Jej głos brzmi beztrzesko, lecz Jan patrzy na nią uważniej.

– Chodzi o ucieczkę?

– Nie wydaje mi się – odpowiada Marie-Louise. – Ale z pewnością dowiemy się, co się stało, kiedy jutro rano przyjdzie raport.

Ma na myśli tygodniowy raport doktora Högsmeda. Zazwyczaj przesyłany jest na przedszkolny komputer w każdą środę. Marie-Louise zawsze go drukuje, choć do tej pory była to bardzo nudna lektura.

Jan wyczekuje, lecz nikt nie puka do drzwi przedszkola. Kiedy po raz kolejny wygląda przez okno, policjantów już nie ma.

Czuje się niemal odprężony, jakby zapomniał o wizycie, aż do chwili, gdy zbliża się godzina dziesiąta, kiedy ma towarzyszyć małemu Felixowi w drodze do pokoju odwiedzin. Wówczas do bawialni wchodzi Marie-Louise i mówi cicho:

– Dzisiaj nie będzie odwiedzin, Janie... Zostały zawieszono.

– Naprawdę? – Jan także automatycznie ścisza głos. – Ale dlaczego?

– W szpitalu mieli zgon.

– Zgon?

Marie-Louise kiwa głową i mówi jeszcze ciszej:

– W nocy zmarł jeden z pacjentów.

– Ale jak?

– Nie wiem, ale najwyraźniej była to niespodziewana śmierć.

Jan nie pyta o nic więcej. Po rozmowie wraca do zabawy z dziećmi. Grają w berka i bawią się w chowanego. Jego myśli krążą jednak gdzieś indziej. Bez przerwy rozmyśla o listach, które zostawił wczoraj wieczorem. Listy miłosne, lecz może także z pogroźkami.

Gdzie mieszka Lars Rettig? Jaki ma numer telefonu? Jan nie znajduje go w książce telefonicznej. Zna tylko jeden sposób, aby go złapać, więc wieczorem po pracy idzie do miasta. Najpierw zagląda do Baru u Billa, ale w tym dniu The Bohemos nie grają.

Jan nie poddaje się, kieruje swe kroki do miejsca prób. Drzwi są zamknięte, ale słychać dochodzące ze środka dźwięki gitar. Jego uszu dobiega również huk bębnow, który sprawia, że Jan czuje się przez chwilę nieswojo, odrzucony jako perkusista.

Puka do drzwi, ale nic się nie dzieje.

Później wali już dłonią, jednak muzycy nie przerywają gry. W końcu pociąga za klamkę, uchyla drzwi i wtyka głowę do wnętrza.

Muzyka cichnie. Najpierw gitary, następnie bębny. Odwracają się ku niemu cztery głowy.

– Cześć, Janie! – po chwili ciszy pierwszy odzywa się Rettig.

– Cześć, Lars. Moglibyśmy chwilę porozmawiać?

– Jasne. Wejdz.

– Ale... w cztery oczy.

Wszyscy wpatrują się w Jana. Muzycy stojący za Rettigiem zastygli w swych pozach i gapią się na nowo przybyłego. Perkusista Carl jest dla Jana nową twarzą w tym towarzystwie, chociaż ma wrażenie, że już go kiedyś widział.

– Dobra – mówi Rettig. – Zaczekajcie chwilę, zaraz wracam.

Banda Czterech, myśli Jan. Może wszyscy członkowie The Bohemos pracują jako opiekunowie w Świętym Psycholu?

Ależ tak, teraz sobie przypomina Carla. Pies obronny z wielką szczęką. To on przejmował Josefine przed windą, miał przy pasku gaz łzawiący.

Carl patrzy ponurym wzrokiem w stronę drzwi. Strażnik z pewnością już zobaczył Jana, mimo że ten się wycofał. Rettig podchodzi do niego.

– Nie mam czasu na długą rozmowę, Janie, tylko kilka minut... Wyjdziemy.

Idą chodnikiem około dziesięciu metrów, aż Rettig staje.

– Okej, możemy pogadać.

Jan z trudem znosi konfrontacje, nie potrafi stawiać ludzi pod ścianą. W końcu jednak zbiera się w sobie:

– Kto zmarł dzisiaj w nocy?

Rettig patrzy na niego.

– Kto z m a r ł?

– Dzisiaj rano dowiedzieliśmy się, że ktoś zmarł w szpitalu.

Po chwili wahania Rettig przyznaje.

– To jeden z pacjentów.

– Kobieta czy mężczyzna? – pyta Jan.

– Mężczyzna.

– Ktoś, kto pisał listy?

Rettig rozgląda się wokół, po czym nachyla się do ucha Jana.

– Nie rozmawiamy o tym. – Uśmiecha się.

Jan zastanawia się, czy Rettig wie, że przemycił w kopercie dodatkowy list, pozdrowienia dla pacjentki, którą według niego jest Alice Rami. Nie można tego wykluczyć.

– Chcę tylko wiedzieć, po co te wszystkie listy – mówi. – Dlaczego tyle dla ciebie znaczą?

Możesz mi wyjaśnić?

Z początku Rettig nie odpowiada. Po chwili opuszcza wzrok.

– Mój brat siedzi – wyjaśnia. – Przyrodni brat Tomas.

– Tu, w szpitalu?

Rettig kręci głową.

– W marmrze. Tomas jest w Kumlabunkern, osiem lat za rozbój. A on chciałby dostawać listy, dużo listów... Tylko że większość korespondencji do niego nie dociera. A ja w ogóle nie mogę utrzymywać z nim kontaktu, bo szlag trafi moją robotę. – Wzdycha. – Dlatego w zamian robię coś dla tych biedaków z Patrycji.

Jan kiwa głową. Być może to prawda.

– A ten, który zmarł... Czy to ktoś spośród nadawców listów? – powtarza pytanie. – A może ktoś, kto tej nocy otrzymał list?

– Nie – odpowiada Rettig znużonym głosem. – To pedofil, umieszczony tu przymusowo. Nikt do niego nie pisał. Miał w życiu tylko jednego kolegę, a była nim głowa przyrośnięta do jego ramienia. On był cichy i miły, lecz jego dodatkowa głowa wręcz przeciwnie. Nikt poza nim oczywiście nie mógł jej zobaczyć... Facet twierdził, że to właśnie przez tę głowę chciał robić różne rzeczy z małymi dziewczynkami. Nie utrzymywał kontaktu z nikim spoza Patrycji... Nawet jego adwokat nie był w stanie go odwiedzać, więc popadał w coraz głębszą depresję.

– Co zrobił?

Rettig wzrusza ramionami.

– Rano wstąpiła w niego nowa energia... Udało mu się i jego obu głowom dostać do pokoju z oknem bez krat. I rzucili się z piątego piętra, spadając prosto na kamienną altanę.

– Rano?

Rettig potwierdza skinieniem, robiąc jednocześnie krok w stronę sali prób. Odwraca głowę w kierunku Jana.

– Znaleźliśmy go o wpół do siódmej, ale według lekarza wyskoczył około czwartej... To wtedy samotność jest najdotkliwsza, czyż nie?

Jan nie znajduje na to odpowiedzi – niedobrze mu na myśl o samobójstwie, jakby to była jego wina.

– Nie wiem – mówi. – Wtedy śpię.

Betonowy mur w pobliżu przedszkola napawa poczuciem beznadziei. Beznadziei i jakiejś brutalności. Uczucia te czasami ogarniają Jana, kiedy wpatruje się w mur, więc będąc z dziećmi na podwórku, często odwraca wzrok ku innym sąsiadom przedszkola. Patrzy na szeregowe domy w oddali.

Tam dzieje się codzienność – samochody przyjeżdżają i się oddalają, dzieci idą do szkoły, rano w sypialniach zapalają się światła, aby zgasnąć wieczorem. Tam także obowiązują codzienne rytuały, tak samo jak w przedszkolu.

Jest połowa października, nad wybrzeże ciągną ciemne chmury. Dzieci bawią się na zewnątrz, lecz nagle zaczyna padać lodowaty deszcz. Jan szybko zabiera podopiecznych do bawialni. I tak zbliża się czas kontroli stanu zdrowia przedszkolaków. Tego dnia jest u nich pielęgniarka z kliniki, aby sprawdzić, jak dzieci się czują.

– Zdrowe jak rybki – stwierdza po wszystkim. – Wygląda na to, że dobrze się odżywiają, wszystkie bez wyjątku.

Po badaniach zbierają się w sali, gdzie Marie-Louise prowadzi cotygodniowy koncert życzeń. Dzieci zawsze mają wiele propozycji.

– Ja chcę zwierzątko – mówi Mira.

– Ja też! – woła Josefina.

– A po co? – pyta Marie-Louise. – Przecież macie swoje pluszowe zwierzaki.

– Chcemy mieć p r a w d z i w e.

– Zwierzęta, które się ruszają!

Mira patrzy błagalnym wzrokiem na Marie-Louise i Jana.

– Proszę... Dlaczego nie możemy mieć jakiegoś zwierzątko?

– Ja chcę patyki! – woła Leo. – To znaczy patyczaki!

– Chomika – proponuje Hugo.

– Nie, ja chcę kota – włącza się Matilda.

Dzieci są rozochoczone, lecz Marie-Louise to życzenie nie przypada do gustu.

– Zwierzętami trzeba się zajmować – mówi.

– Ale my się zajmujemy!

– Trzeba się nimi zajmować cały czas. Co zrobimy, kiedy w Polanie nikogo nie będzie?

– Wtedy będą sobie tu mieszkały same, w kojcu – mówi z uśmiechem Matilda. – Zamknijmy je i zostawimy im dużo jedzenia i wody!

Marie-Louise pozostaje niewzruszona. Potrząsa tylko głową.

– Zwierząt nie zostawia się w zamknięciu.

Wieczorem Jan zostaje sam z dwojgiem dzieci. Oboje szybko zasypiają. Od tego tygodnia w przedszkolu nocują tylko Mira i Leo, gdyż Matilda trafiła do rodziny zastępczej. Codziennie koło piątej przychodzi po nią starsza kobieta lub starszy mężczyzna noszący szarą czapkę z daszkiem. Wyglądają na spokojnych i miłych.

Jan może jedynie mieć nadzieję, że tacy rzeczywiście są. Ale jak można być tego pew-

nym? Przypomina sobie słowa Rettiga o pacjencie, który odebrał sobie życie: „Był chich i miły, lecz jego dodatkowa głowa wręcz przeciwnie”.

Trzeba mieć odwagę ufać ludziom, czyż nie? Janowi na pewno można ufać – z wyjątkiem tych kilku minut wieczorem, kiedy zostawia śpiące dzieci same i jedzie windą do szpitala.

Tego wieczoru też to robi, a serce wali mu jak młotem. Wspomnienie osoby, która windą zjechała na dół i przechodząc przez przedszkole, wydostała się na zewnątrz, nie zniknęło. Na szczęście od tamtej nocy nic podobnego się nie wydarzyło, więc niemal udało mu się o tym wszystkim zapomnieć.

W pustym pokoju odwiedzin jego puls znowu przyśpiesza, ponieważ pod siedzeniem kanapy leży nowa duża koperta z zapisanym apelem OTWÓRZ I WYŚLIJ!

Ma ochotę otworzyć przesyłkę już w przedszkolnym pokoju wychowawców, ale nie chce ryzykować – jest za dwadzieścia dziesiąta. W każdej chwili może wejść Hanna, która zmienia go tym razem.

I wchodzi dziesięć minut przed dziesiątą, ciągnąc za sobą chłód z zewnątrz.

– Cisza i spokój?

Ma czerwone policzki widoczne między jasnymi kosmykami włosów, które wydostały się spod wełnianej czapki. Jan potwierdza skinieniem i zakłada kurtkę.

– Zasnęły o wpół do ósmej. Wieczory są spokojniejsze, odkąd jest ich tylko dwoje.

– Zgadza się – mówi Hanna.

Jan nie ma jej nic więcej do powiedzenia. Bierze plecak z kopertą. Nagle jednak zdaje sobie sprawę, że w tylnej kieszeni jego spodni wciąż znajduje się jedna z kart magnetycznych umożliwiających wejście do piwnicy. Po powrocie z pokoju odwiedzin zamknął drzwi, ale zapomniiał odłożyć kartę z powrotem do szuflady.

Idiota.

Zawraca do pokoju wychowawców.

– Chyba o czymś zapomniałem...

– O czym? – pyta Hanna.

Jan zdążył już jednak dojść w kuchni.

– Zapomniałeś o karcie? – Zadając to pytanie, Hanna stoi za nim wciąż ubrana w skórzany płaszcz i w czapce na głowie. Policzki ma już mniej czerwone.

– Właśnie. – Jan zamyka szufladę i prostuje się. – Po ostatnich popołudniowych odwiedzinach.

– Mnie też się to zdarzyło.

Jan nie wie, czy dziewczyna rzeczywiście mu wierzy, ale cóż może na to poradzić? Nic, pozostaje skinąć głową i wyjść. W każdym razie nie zapomniiał o kopercie, która leży w jego torbie.

Jak tylko dociera do domu, kieruje swe kroki do kuchni. Jego palce uwijają się przy otwieraniu koperty. Drżą, przekładając kolejne listy leżące na stole. To nie zdenerwowanie, lecz oczekiwanie. Nie śmie wierzyć, że mógł już dostać odpowiedź od Rami, lecz... Tak, jest list

bez nadawcy, adresowany do Jana na fałszywy adres. Rettig go przepuścił, o ile w ogóle go zauważył.

Jan bierze list i odkłada na bok. Pozostałe z dwudziestu trzech listów zbiera razem i wynosi do przedpokoju. Późną nocą pójdzie je wysłać. Najpierw jednak otworzy list adresowany do niego.

Wewnątrz jest pojedyncza biała kartka papieru, na której widnieją trzy zdania, zapisane mocno przyciskaniem do papieru ołówkiem, bez podpisu:

WIEWIÓRKA CHCE SIĘ WDRAPAĆ NA OGRODZENIE.

WIEWIÓRKA CHCE OPUŚCIĆ KOŁOWROTEK.

CZEGO TY CHCESZ?

Jan ostrożnie kładzie przed sobą list. Bierze białą kartkę i siada, aby zacząć zapisywać swoją odpowiedź. Ale jak ma się do niej zwrócić? Alice? Mario? A może Rami? Ostatecznie spisuje tylko kilka krótkich zdań, tak starannie i czytelnie, jak to tylko możliwe:

„Chcę być wolny, chcę być promieniem słońca, na którym wieszka się czyste prześcieradła. Jestem myszą ukrywającą się w lesie, jestem latarnikiem w kamiennym domu, jestem pasterką opiekującym się zbłąkanymi dziećmi.

Mam na imię Jan.

Przed piętnastoma laty byłem Twoim sąsiadem.

Pamiętasz mnie?”

W tej chwili nie pisze nic więcej. Nie może wysłać listu do Rami przed kolejną dostawą. Kobieta musi pamiętać, g d z i e byli sąsiadami i k i e d y to było. Na pewno pamięta czas spędzony w Kapedimie.

Od tamtej pory Jan zawsze nosi swetry i koszule z długimi rękawami. Podwija prawy rękaw i przygląda się cienkiej różowawej linii biegnącej wzdłuż żył. Jego własne piętno, jego wspomnienie z czasów szkolnych.

Równie dobrze mógł podwinąć lewy rękaw, gdyż żyłka zostawiła długie blizny wzdłuż obu przedramion.

Kapedim

Pierwszą rzeczą, którą Jan usłyszał po przebudzeniu, była melancholijna muzyka.

Wolne gitarowe akordy w tonacji molowej. Źródło dźwięku znajdowało się niedaleko. Muzyka dochodziła zza ściany i płynęła nieprzerwanie. Ktoś siedział tam i grał, powtarzając w kółko te same proste akordy.

On sam leżał w łóżku. Łóżko było stabilne, a prześcieradło szorstkie. Otworzył oczy i zobaczył szeroki metalowy koniec łóżka.

Szpitalnego łóżka.

Ściany nad łóżkiem były wysokie i białe.

To sala szpitalna.

Słuchał dźwięków gitary jak urzeczony, nie mogąc się ruszyć. Jego nogi i ręce były zupełnie pozbawione siły. W brzuchu i głowie dudniło. Jego gardło pamiętało gumowe węże – miękkie węże wijące się w dół, aby wyssać maź z jego wnętrzości. Smak żółci, zapach skisłego mleka.

Plukanie żołądka, tak to działa. Okropność. Bolał go pusty żołądek, który był jak balon i podchodził wysoko do gardła. Chciał wymiotować, ale nie dawał rady.

Usłyszał zbliżające się głosy, ale zamknął oczy i znowu odpłynął.

Kiedy obudził się następnym razem, gitary już nie było. Zamknął oczy, a gdy znów je otworzył, zobaczył nad sobą pochylonego wysokiego mężczyznę z długimi włosami i brązową brodą.

Wyglądał jak Jezus ubrany w podkoszulek z żółtą uśmiechniętą buzią.

– Jak się czujesz, Janie? – Jego głos odbijał się echem. – Mam na imię Jörgen. Słyszysz mnie?

– Jörgen – wyszeptał Jan.

– Właśnie, Jörgen. Pracuję tu jako pielęgniarz... Dobrze się czujesz?

Nie czuł się dobrze, ale kiwnął głową. Pielęgniarz, pomyślał. Pielęgniarz zwierząt czy jakiś inny?

Niemy rodzice pojechali do domu – oznajmił mężczyzna. – Ale wrócą... Pamiętasz, jak się nazywają?

Jan milczał, zastanawiał się. Dziwne. Pamiętał paplające głosy rodziców, ale żadnych imion.

– Nie? – kontynuował Jörgen. – A pamiętasz może, kim jesteś? Jak się nazywasz?

– Jan... Hauger.

– Dobrze, Janie. Chcesz wziąć prysznic?

Jan znieruchomiał w łóżku.

Tylko nie prysznic. Potrząsnął głową.

– W porządku... Prześpij się jeszcze.

Jörgen oddalił się od łóżka i wyszedł z drgającego pokoju.

Czas mijał. Jan usłyszał lekki trzask. Kiedy unosił głowę, zobaczył, że drzwi do jego sali są uchylone. Na zewnątrz zauważył jakiś ruch. Zwierzę? Nie. Do pokoju zaglądała jasna twarz – wysoka i szczupła dziewczyna w jego wieku, z białymi jak śnieg włosami i brązowymi oczami. Stała tam i patrzyła na niego. Ani przyjaźnie, ani złowrogo.

Jan chciał przelknąć, ale miał sucho w ustach. Próbuując podnieść głowę, zapytał:

– Gdzie jestem?

– W Kapedimie – odparła dziewczyna.

– Gdzie?

– To Kapedim.

Jan nie odpowiedział. Nie rozumiał tego słowa.

Dziewczyna także się nie odzywała, tylko wciąż mu się przyglądała, aż w końcu wyciągnęła ramiona i skierowała w jego stronę małą czarną skrzyneczkę. Usłyszał trzask, oślepił go błysk.

Zamrugał.

– Co robisz?

– Zaczekaj chwilę – powiedziała.

Wyciągnęła z aparatu kwadratowy kawałek papieru, zrobiła dwa kroki w głąb pokoju, po czym rzuciła kartkę obok poduszki na jego łóżku.

– Proszę.

Jan spojrział na arkusik, podniósł go, a wtedy nagle zaczął się pokazywać obraz. Było to zdjęcie z polaroidu, na którym ujrzał formujące się bladą twarz i chude ciało. To on, samotny i przestraszony w szpitalnym łóżku.

– Dziękuję – powiedział cicho.

Kiedy jednak znowu podniósł wzrok, dziewczyny już nie było.

Przez chwilę panowała cisza, a później znowu usłyszał gitarę.

Jan poczuł się nieco lepiej i usiadł na łóżku. Lampa wisząca u sufitu była zgaszona, a żaluzje zasłonięte, ale zdołał dostrzec, że łóżko stoi w niezwykle skromnie urządzonej sypialni – bardziej przypominającym celę. Oprócz łóżka stały tam biurko i krzesło, na którym leżały jego zwinięte dzinsy i koszulka. Buty stały na podłodze, ale ktoś wyciągnął z nich sznurówki.

Swędziały go ręce. Dotknął ich i poczuł bawełniane bandaże. Oplatały jego przedramiona jak u mumii.

Ktoś go uratował, obudził, mimo że Jan chciał dalej spać. Spać, spać, spać w Kapedimie.

Kapedim?

To był skrót. Dowiedział się tego kilka dni później. Pewnego dnia ktoś zaczął skracać długą nazwę, żeby zaoszczędzić czas – Klinika Psychiatrii Dzieci i Młodzieży – KaPeDiM.

Niezależnie, jak nazywano to miejsce, było ono domem dla osób z zaburzeniami, dla zbłąkanych dusz.

Ryś

Jan zaprowadził do lasu niewielką grupkę złożoną z policjantów i pracowników świetlicy. Po kilkuset metrach wędrowni skręcił, oddalając się coraz bardziej od miejsca, gdzie zaczęła się zabawa w chowanego.

Dowódca policjantów stanął na ścieżce, szeroko rozstawiając nogi. Janowi wydawało się, że jego wzrok jest surowy i karzący.

– Czy to tutaj zniknął?

Jan przytaknął.

– Jest pan tego zupełnie pewien?

– Tak.

Dowódca miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Ubrany był w czarne wysokie buty i granatowy kombinezon. Towarzyszyło mu pięciu funkcjonariuszy, którzy nadjechali w trzech radiowozach.

Tato Williama nie towarzyszył im w wyprawie do lasu, ponieważ pojechał po żonę. Jan przez moment napotkał jego wzrok przed przedszkolem – był zimny i przerażony.

Dowódca wciąż patrzył na Jana z góry.

– Miał więc pan tu d z i e w i ę c i o r o dzieci, kiedy zaczynał pan zabawę... a o ś m i o r o, kiedy ją kończył?

Jan skinął.

– Zgadza się. Na początku chłopców było dziewięciu.

– Nie zauważył pan, że jednego brakuje?

Jan spojrział w bok, unikając wzroku policjanta. Nie musiał odgrywać zdenerwowania – był zdenerwowany.

– Nie, niestety nie zauważyłem... Grupa była dość głośna i rozbrykana, zarówno kiedy zśliśmy do lasu, jak i w drodze powrotnej. A ten chłopiec, William, on nie był rysiem.

– Rysiem? Co ma pan na myśli?

– Tak nazywa się mój oddział przedszkola, Ryś.

– Ale odpowiadał pan za niego dzisiaj podczas wycieczki?

– Tak, to prawda. – Jan skinął głową z rezygnacją. – Ja i Sigrid.

Spojrzał na nią. Sigrid Jansson także była obecna w lesie, stała wśród drzew dziesięć metrów dalej, wystraszona i zapłakana. Kiedy w przedszkolu zjawiła się policja i zaczęła zadawać pytania, Sigrid się załamała, więc dowódca skupił się na Janie.

– A gdy William miał się schować... W którym kierunku poszedł?

– Tam.

Jan wskazał na południe. Nawet jeśli ptasiego jeziora nie było stąd widać, wiedział, że leżało właśnie w tamtym kierunku – czyli zupełnie przeciwnym do tego, w którym pobiegł William.

Policjant się wyprostował. Jednego człowieka wysłał z powrotem do przedszkola, aby przeszukał wszystkie pomieszczenia i teren wokół. Spojrzął na pozostałych i powiedział:

– Dobra, ruszamy!

Grupa się rozproszyła i zaczęła poszukiwania. Wszyscy wiedzieli, że czasu jest niewiele. Dochodziło dziesięć po piątej, a jesienne słońce zdążyło już zejść – między świerkami było szaro i mrocznie. Za pół godziny światło zniknie, a za godzinę zrobi się zupełnie ciemno.

Jan szedł między drzewami tak pewnie, jak to tylko było możliwe, i wyglądał, jakby szukał równie gorliwie co pozostali. Wołał Williama i rozglądał się wokoło, chociaż oczywiście wiedział, że szukają w niewłaściwym miejscu. Wołał, przez cały czas się zastanawiając, jak grube są potężne betonowe ściany bunkra.

Miją cztery dni, zanim Rettig dostarcza Janowi nową kopertę. Wcześniej jednak Jan spotyka w przedszkolu nocnego gościa.

Październikowe dni są słoneczne, a życie wygląda coraz lepiej – cienie z Kapedimu i Rysia powoli się rozpraszają. Jan uważa, że jest w pełni godny zaufania, zyskuje uznanie zarówno wśród dzieci, jak i współpracowników. Listy przemykane przez niego do Świętego Psychola nie mogą przecież zmienić faktu, że jest dobrym wychowawcą.

Lubi dzieci. Być może to poczucie winy lub strach przed wyjściem prawdy na jaw sprawiają, że tak sumiennie pracuje. Ma dbać o dobre samopoczucie dzieci, zapewnić im bezpieczeństwo i zbudować mocne fundamenty pod proces nauczania, który trwa całe życie. Powinien też wpoić dzieciom zasady moralności, by w przyszłości stały się odpowiedzialnymi obywatelami. Robi to z wszystkich tych powodów, o których uczył się na pedagogice.

Pozostali pracownicy czasami wymykają się z Polany, aby zaczerpnąć świeżego powietrza lub zapalić papierosa, lecz Jan przez cały czas przebywa z dziećmi. Żartuje z nimi, słucha, co mają do powiedzenia, uspokaja je, pociesza i wyjaśnia wszystkie drobne spory. Szczególnie dużo czasu poświęca małemu Leo, aby zyskać jego zaufanie.

Czasami w środku zabawy nie może dostrzec żadnej różnicy między dziećmi a sobą samym. Wiek gdzieś znika, on ma pięć lub sześć lat i może żyć w pełni teraźniejszością. Żadnych wymagań, niepokoju o przyszłość czy lęku wywołanego samotnością. Wokół tylko wesołe głosy i przyjemne uczucie zachwyty. Życie płynie, t u i t e r a z.

Zdarza się jednak, że dostrzeże kogoś za murem Patrycji, a wówczas zatrzymuje się w trakcie zabawy i myśli o Rami.

O Rami jako stwórczyni zwierząt, Rami jako zwierzęciu w klatce.

W zoo żyją drapieżniki, zamknięte z roślinożercami. Lecz trudno odróżnić zwierzęta niebezpieczne od tych łagodnych.

Rami napisała, że wiewiórka pragnie wolności. On sam chce się dostać na teren Świętego Psychola i z nią spotkać. Chce z nią rozmawiać, dokładnie tak samo jak dawniej.

– Proszę pana! – wołają dzieci. – Niech pan patrzy! – Wcześniej czy później któreś z dzieci pociąga go za rękę, sprowadzając tym samym z powrotem do przedszkola.

Nadchodzi popołudnie, a słońce znika za nagimi drzewami na zachodzie. Jesienne niebo szybko ciemnieje. Jana czeka ostatni wieczorny dyżur przed czterema dniami wolnego.

Kładzie dzieci do łóżek. O wpół do dziesiątej przychodzi jego zastępczyni. Kiedy chwilę wcześniej Jan przypadkiem spogląda za okno przed przedszkole, zauważa na ulicy idących obok siebie kobietę i mężczyznę.

Poznaje, że to Lilian. A kim jest mężczyzna? Idą tak blisko siebie, że wyglądają na parę. Lilian chyba jest rozwiedziona? Jan obserwuje, jak mężczyzna obejmuje ją, po czym odwraca się i znika w mroku. Mimo tych czułości Lilian nie wygląda na zadowoloną, kiedy wchodzi do środka. Przez czoło przebiega jej zmarszczka. Jan tym razem jest spokojny – cały wieczór poświęcił tylko dzieciom.

– Zimno? – pyta.

– Co? A... tak, jest dość zimno. W końcu niedługo zima.

– No tak, jak zwykle – stwierdza Jan. – Akurat mam teraz wolne. Wyjeżdżam.

– To dobrze.

Lilian nie pyta dokąd. Wygląda na zestresowaną. Zawiesza kurtkę w szatni, po czym zmęczonym wzrokiem spogląda na zegarek, a następnie na Jana.

– Jestem trochę za wcześnie – mówi. – Możesz już iść.

Jan przygląda się jej z uwagą.

– Mogę jeszcze chwilę zostać.

– Nie, idź – namawia go cicho. – Poradzę sobie.

Lilian szybko go mija, przechodząc do kuchni. Zmarszczka wciąż jest widoczna na jej czo-
le. Kobieta nie zadała ani jednego pytania o dzieci.

Jan patrzy za nią przez długi czas.

– No dobra – mówi do jej pleców. – W takim razie idę.

Zakłada kurtkę i buty, z szafki wyjmuje torbę, robiąc przy tym sporo hałasu, aby Lilian go słyszała. Odgrywa niemal teatralną scenkę.

– Idę... Cześć!

– Cześć – słyszy jej głos.

Jan zatrząskuje za sobą drzwi. Teraz, kiedy słońce już dawno zniknęło, na zewnątrz rzeczywiście jest zimno. Wychodząc poza zasięg zewnętrznego oświetlenia Polany, ma wrażenie, jakby wkraczał w głęboki staw. Na podwórku panują nieprzeniknione ciemności. Powoli jednak oczy się do nich przyzwyczajają. Wtedy dalej na ulicy zauważa postać ubraną w ciemną puchową kurtkę z kapturem, zbliżającą się od strony przystanku autobusowego.

Cień zmierza w kierunku przedszkola. W jego kierunku.

Jan instynktownie odchodzi na bok. Chowa się za składzikiem z przyrządami do zabawy. Czeka i nasłuchuje.

Słyszy szcęk furtki, a po chwili odgłos jej zamknięcia.

Drzwi wejściowe do przedszkola uchylają się i zaraz zamykają.

Jan wychodzi z kryjówki. Podwórko jest puste.

Na lewo od składziku widzi drewniany stelaż z trzema poruszającymi się na wieczornym wietrze huśtawkami. Podchodzi do nich i siada na największej z nich, zrobionej ze starej opony.

Wetknąwszy dłoń do kieszeni kurtki, czeka. Na co? Nie ma pojęcia, ale jest ciepło ubrany i może tu zostać jeszcze chwilę.

Siedząc nieruchomo na huśtawce, patrzy w stronę szpitala i oświetlonego ogrodu. Od czasu do czasu spogląda na jasne okna przedszkola. Raz dostrzega Lilian przemykającą szybko obok jednego z okien jadalni. Jest sama, nie widać żadnego gościa.

Piętnaście po dziesiątej. Nic się nie dzieje. W oddali, po drugiej stronie łąki, światła zaczynają gasnąć, kiedy zmęczone mamy i tatusiowie kładą się spać. Jana przeszywa dreszcz, wzdrzga się, ale nadal siedzi na huśtawce.

Dziesięć minut później robi mu się naprawdę zimno, zaczyna odczuwać zmęczenie. Właśnie ma wstać, kiedy otwierają się drzwi wejściowe do przedszkola. Siedzi nieruchomo. Wi-

dzi postać wychodzącą na schody.

To nie Lilian, to gość w puchowej kurtce i kapturze. Zwinna postać szybko oddała się od przedszkola. Postać, nie patrząc w stronę huśtawek, idzie prosto w dół chodnika i dalej przez furtkę. Jan słyszy odgłos twardych obcasów stukających o asfalt.

Wstaje ostrożnie i robi kilka kroków w kierunku bramki.

Osoba w puchowej kurtce dotarła już do pierwszej ulicznej latarni. Odwraca głowę, wpatrując się w szpital. W tej chwili rozbłyskuje zapalniczka, a w jej blasku Jan dostrzega, że to jego koleżanka Hanna.

Hanna Aronsson. Najmłodsza w gronie pracowników Polany i najcichsza. Od tamtego wieczoru, kiedy wracali razem z Baru u Billa, właściwie nie rozmawiała z Janem. A on unikał jej po tym, co w stanie upojenia zdarzyło mu się wówczas opowiedzieć o Rysiu i o Williamie.

Jan zostawia rower przy furtce, a sam rusza cicho za Hanną, trzymając się z dala od światła ulicznych latarni. Dziewczyna dochodzi do wiaty przystanku autobusowego, gdzie zatrzymuje się i zaciąga papierosem. Jan także staje, w odległości pięćdziesięciu metrów. Co ma zrobić? Musi się zdecydować, zanim zjawi się autobus – w końcu podchodzi na przystanek z wymuszonym uśmiechem na ustach.

– Cześć, Hanno!

Jej niebieskie oczy spoglądają w górę i zatrzymują się na nim. Nie odwzajemnia uśmiechu.

– Cześć.

Jan zatrzymuje się o kilka kroków od niej i oddycha głęboko.

– No i po robocie.

– Aha.

– A ty? – nie odpuszcza Jan. – Co robiłaś dzisiaj wieczorem?

Ciągle wpatruje się w niego, nie udzielając odpowiedzi, więc Jan podejmuje kolejną próbę:

– Dokąd się wybierasz?

Hanna upuszcza papierosa i go przydeptuje.

– Do domu.

– Byłaś z wizytą w szpitalu? – Jan ścisza głos, mimo że są na przystanku sami.

Teraz również nie otrzymuje odpowiedzi. Słychać zbliżający się warkot – nadjeżdża autobus udający się do centrum.

Pojazd się zatrzymuje, wsiadają. Hanna idzie na sam koniec i szybko spogląda przez ramię, jakby chciała się pozbyć towarzysza. Jan jednak idzie za nią i siada na fotelu obok.

Autobus jest niemal pusty. Jan pochyla się bliżej i pyta:

– Możemy najpierw trochę pogadać, Hanno? Zanim pojedziesz do domu?

– O czym pogadać?

– O tym, co tam robisz. – Kiwnięciem głową Jan wskazuje w stronę Świętej Patrycji.

Jan i Hanna łądają ostatecznie w Medina Palace – to ona proponuje, aby tam poszli. Nocny klub położony jest w podziemiach Tureborgu, jedyne luksusowe hotelu w Valli. Jest to wysoki budynek ze szkła i stali, zdający się tęsknić do bycia prawdziwym drapaczem chmur. Jako przedszkolni wychowawcy przychodzący prosto po pracy nie są odpowiednio ubrani jak na takie miejsce. Jan na dodatek ma na swetrze wyraźne plamy z mleka, powstałe, kiedy Matilda przy śniadaniu przewróciła szklankę, wylewając jej zawartość na Jana. Stojący przy wejściu mężczyzna w garniturze patrzy na nich z wahaniem, otwierając drzwi.

– Bywasz tu? – pyta Jan.

– Czasami.

Odkąd opuścili autobus, Hanna zdążyła wypalić dwa papierosy. Cicho odpowiada na jego pytania. Kiedy wchodzi do klubu, wpatruje się w podłogę.

Wkraczają na dużą salę.

Jan nigdy wcześniej nie był w prawdziwym nocnym klubie, nawet gdy mieszkał w Göteborgu – widząc wysokie czarne sufity z wijącymi się pod nimi rurami oraz ściany tworzące zimne metaliczne powierzchnie, już wie, że to nie miejsce dla niego. W ten czwartkowy wieczór gości jest jednak niewielu. Muzyka gra odpowiednio cicho, aby mogli porozmawiać, ale jednocześnie wystarczająco głośno, aby nikt ich nie usłyszał.

Jan wybiera szklany stolik w rogu – stojący na uboczu stolik tajemnic.

– Napijesz się czegoś?

– Drinka – odpowiada Hanna. – Z sokiem.

Jan idzie do baru. Oferta jest tu bardziej luksusowa niż w Barze u Billa – więcej drinków, szampan i koniaki. Kupuje dwie szklanki soku pomarańczowego, lecz kiedy wraca do stolika, Hanna próbuje napoju i się krzywi. Kiwa głową w stronę baru.

– Powiedziałam, że chcę d r i n k a... Możesz ich poprosić, żeby czegoś tu dolali?

– Czego?

– Na przykład czegoś na uspokojenie.

Jan patrzy na nią.

– Chodzi ci o alkohol?

– Byłoby miło.

Pięć minut później siedzą już oboje, każde ze swoim drinkiem, i milczą.

– A więc śledziłeś mnie dzisiaj wieczorem – odzywa się w końcu Hanna.

– Od razu śledziłem... – Jan wpatruje się w swoją szklankę. – Wydawało mi się, że Lilian była zdenerwowana, kiedy przyszła. Poczekałem więc na podwórku, próbując dowiedzieć się dlaczego.

Hanna patrzy w blat stołu.

– Wiedziałeś, że byłam w szpitalu?

– Nie – przyznaje Jan. – Ale wiem, że k t o ś tam był, a później wyszedł na zewnątrz przez przedszkole, więc zastanawiałem się kto... Byłaś tam więcej niż raz?

Hanna wypija duży łyk, jakby wódka z sokiem była napojem energetycznym, a ona wyszła

właśnie z sauny. Jan ledwo moczy usta.

– Kilka razy – mówi cicho. – Nie liczyłam.

– A jak długo to robisz?

– Od maja – odpowiada. – Wówczas pracowałam już w Polanie od czterech miesięcy.

– A Lilian wie, że tam chodzisz?

Hanna mruga swymi błękitnymi oczami. Zastanawia się, co może powiedzieć. W końcu mówi:

– Tak. Przecież jesteśmy koleżankami, więc ona mnie kryje... Chodzę tam tylko wtedy, kiedy ona pełni wieczorny dyżur.

– Nie tylko wtedy – oponuje Jan. – Byłaś tam raz, kiedy ja pracowałem. Słyszałem, jak zjeżdżałaś windą. Później wyszłaś przez przedszkole.

– Tak... tamtego wieczoru miałam opóźnienie.

– I byłaś w pokoju odwiedzin także dzisiaj?

Hanna przytakuje bez słowa.

– Co tam r o b i s z ?

Dziewczyna tym razem nie odpowiada.

– Spotykasz się z kimś, tak? Czy to strażnik?

Hanna wypija kilka łyków, po czym wpatruje się w na wpół opróżnioną szklanę. Po chwili zmienia temat:

– Czasami mam już dość dzieciaków. Czasem w pracy jest świetnie, ale kiedy przebywam z nimi za długo, zdarza się, że wpadam w panikę. W kółko chcę robić te same rzeczy. Bawić się w te same zabawy...

Jan właściwie nigdy nie widział, żeby Hanna b a w i ł a s i ę w przedszkolu z dziećmi, zazwyczaj tylko stoi i obserwuje je podczas zabawy. Kiwa jednak głową.

– Wszyscy tak czasami mają.

– Ja mam tak często. Nie radzę sobie z większym stadkiem. – Hanna wzdycha.

Oczami wyobraźni Jan widzi dzieci z Polany. Uśmiechnięte twarzyczki. Josefine, Leo i innych.

– Nie można traktować ich jak stada – mówi Jan. – One są indywidualnościami. To małe osobowości.

– Tak? W każdym razie wydają małpie odgłosy. W Polanie bez przerwy jest jeden wielki wrzask. Jak wracam do domu, ledwo słyszę...

Hanna opróżnia swą szklanę, zapada milczenie. Jan wstaje.

– Kupię jeszcze dwa.

Hanna nie protestuje, a on po paru minutach wraca z nowymi drinkami z wódką. Chce wrócić do wcześniejszego tematu rozmowy, więc przed zadaniem pytania rozgląda się uważnie wokół.

– Ale znasz kogoś tam w klinice, zgadza się?

Hanna się waha, ale w końcu potwierdza skinieniem.

– Kogo?

– Tego nie powiem... A ty z kim się tam spotykasz?

– Z nikim – odpowiada szybko Jan. – Z żadnym z pacjentów.

– Ale chcesz się do nich dostać, prawda? Przecież byłeś w piwnicy, kiedy wracałam przez łącznik tamtego wieczoru... Po co się tam kręcisz?

Teraz to Jan się nie odzywa.

– Z ciekawości – mówi w końcu.

– Jasne. – Hanna obdarza go znużonym uśmiechem. – Szukanie drogi wejściowej tam na dole nie ma sensu.

– Czyżby? Ty jakoś dostajesz się tam przez łącznik bez problemów?

Kobieta kiwa szybko głową. Wódka sprawiła, że udało jej się odprężyć.

– Mam tam kontakt – wyjaśnia. – W klinice... Kogoś, komu ufam.

– A więc to strażnik? – drąży Jan, myśląc od razu o Larsie Rettigu.

– Można tak powiedzieć.

– Kto to?

– Nie powiem.

Jan ma wrażenie, jakby rozgrywał partię szachów. Szachy w nocnym klubie.

Teraz muzyka jest głośniejsza, a duży lokal nie wydaje się już tak wielki. Przybywa gości, którzy zaczynają zajmować stoliki, inni siadają przy barze. To oczywiście normalne, Medina Palace jest klubem nocnym, z naciskiem na n o c n y – ludzie przychodzą tu późno. Są tu, by już zostać. Ludzie nocy.

Jan i Hanna w dalszym ciągu mogą w spokoju siedzieć przy swoim stoliku. Są tak blisko siebie, jakby byli przyjaciółmi z dzieciństwa.

– My także powinniśmy sobie ufać – mówi Jan.

– A to niby dlaczego? – Spojrzenie Hanny jest pełne nieufności.

– Ponieważ możemy sobie pomóc.

– Jak?

– No, na różne sposoby...

Jan milknie. Dociera do niego, że Hanna być może jest w stanie pomóc mu spotkać się z Rami, nie wie tylko jak.

Nikt nie przerywa ciszy. Szklanka Hanny jest pusta. Dziewczyna patrzy na zegarek.

– Muszę iść.

Zaczyna wstawać, nieco chwiejnie.

– Zaczekaj – odzywa się pośpiesznie Jan. – Zaczekaj chwilę. Kupię jeszcze... Lubisz likier?

Hanna siada.

– Może.

– Dobra.

Szybko dociera do baru, jest tak szybki jak wiewiórka Rami, by po chwili wrócić z czterema małymi kieliszkami na tacy. Podwójna kolejka likieru kawowego, żeby zaoszczędzić czas.

– Na zdrowie, Hanno.

– Zdrowie.

Piją. Likier jest słodki, a świat coraz bardziej tonie we mgle. Muzyka dudni coraz głośniej. Jan pochyla się do przodu.

– A co sądzisz o Marie-Louise?

Hanna uśmiecha się delikatnie.

– Pani Kontrola – mówi, chichocząc. – Dostałaby zawału, jakby to, o czym opowiadałeś, zdarzyło się u nas.

– Co?

– No to... chłopiec, który zniknął w lesie.

Jan kiwa lekko głową i wbija wzrok w blat stołu. Nie chce rozmawiać o Williamie, więc zmienia temat:

– Czy Lilian jest mężatką?

– Nie. Miała męża, ale nie wyszło... Mężowi się znudziło. Typowe.

Jan nie zadaje więcej pytań. Zastanawia się tylko, kim był mężczyzna, który odprowadził Lilian do przedszkola tego wieczoru. Może ma nowego faceta?

Znowu zapada milczenie, które Jan wykorzystuje, aby wypić trochę więcej. Próbuje zebrać się w sobie. Patrzy na Hannę znad kieliszka.

– Zagramy?

Hanna opróżnia własny kieliszek.

– W co?

– W zgadywanki.

– Co mamy zgadywać?

– Ja zgaduję, z kim ty spotykasz się w Świętym Psychołu... a ty domyślasz się, z kim ja chcę się spotkać.

– Święty... Nie wolno nam używać tej nazwy.

– Wiem. – Jan uśmiecha się konspiracyjnie. – No dobra, ja zaczynam... Czy to mężczyzna?

Hanna, już lekko wstawiona, patrzy na niego przez chwilę, by wreszcie potwierdzić skinieniem.

– A twoja osoba? – pyta. – Czy to kobieta?

Jan przytakuje i wychodzi z kontrą:

– Czy to ktoś z twojej przeszłości? Ktoś, kogo znałaś, zanim wylądował w Świętym Psy... w Świętej Patrycji?

Hanna kręci głową.

– A ty? Znałaś tę kobietę?

Jan kiwa głową i popija.

– Spotkałem ją kiedyś... Wiele lat temu.

– Czy jest znana? – pyta Hanna z uśmiechem.

– Znana?

– Tak. Czy mówiono o niej, wymieniano nazwisko, zamieszczano zdjęcia w gazetach? W związku z jakąś zbrodnią?

Jan potrząsa głową i nie kłamie. Rami nigdy nie była tak znana, nie jako przestępca. W ogóle nie była szczególnie popularna – z tego, co wie, ani razu nie pojawiła się w telewizji. Podnosi kieliszek.

– A twój znajomy – dopytuje. – Jest znany?

Uśmiech znika z jej twarzy, patrzy w bok.

– Być może – odpowiada cicho.

Jan nie przestaje się w nią wpatrywać. Nagle do głowy przychodzi mu nazwisko, bardzo znane nazwisko – to jednak tak głupie, że niemal wybucha śmiechem.

– A może to Rössel? Ivan Rössel?

Hanna zamiera w bezruchu – nagle sytuacja przestaje być zabawna.

Jan opuszcza kieliszek.

– To chyba nie z nim się tam spotykasz, Hanno... Nie z mordercą Rösselem?

Kobieta otwiera usta, waha się przez kilka sekund, aż wreszcie wstaje.

– Muszę już iść.

Tak też robi – wychodzi, nie dodając ani słowa. Jan odwraca głowę, odprowadzając wzrokiem jasnowłosą przedszkolankę, która szybko oddala się w kierunku wyjścia.

On sam siedzi dalej z kieliszkiem w dłoni. Szkoło jest puste, ale po drugiej stronie stoi ostatni, nieruszony kieliszek Hanny, więc Jan wyciąga rękę i opróżnia także ten. Likier smakuje okropnie, ale i tak go wypija.

Później patrzy przed siebie pustym wzrokiem, przypominając sobie nagle, co o Hannie Aronsson powiedziała Lilian. Że jest młoda i trochę szalona oraz że prowadzi interesujące życie prywatne.

Trochę szalona? Najwyraźniej tak, jeśli zakrada się do Świętego Psychola, żeby spędzać czas z Ivanem Rösselem.

Dzieciobójca.

Przypomina sobie, że jedna z gazet tak go nazwała, podczas gdy inna ochrzciła go Ivanem Groźnym.

Co Hanna robi z Rösselem?

Ivan Rössel uśmiecha się lekko do Jana, jakby byli dobrymi przyjaciółmi. Jest szeroki w barkach, a jego kręcone czarne włosy opadają mu na czoło. Przypomina gwiazdę rocka w średnim wieku. Spogląda spod grzywki zadowolonym wzrokiem mężczyzny, który lubi być fotografowany. Lub takiego, który sądzi, że jest bystrzejszy od fotografa.

Zdjęcie wykonał policjant. Jan widzi je na monitorze swojego komputera.

Kiedy schwytała go policja, Rössel nie był muzykiem rockowym ani wielką sławą – był nauczycielem chemii i fizyki w jednym z gimnazjów na zachodnim wybrzeżu. Kawaler, żądnych bliższych przyjaciół. Cieszył się popularnością wśród uczniów, jednak część współpracowników uważała, że jest arogancki i niezbyt skromny. W niektórych gazetach cytowano także jego starą matkę, według której jest cudownym chłopcem i ma dobre serce.

Większość artykułów o Rösselu, które Jan znajduje w sieci, dotyczy, rzecz jasna, morderstw popełnionych przez nauczyciela na młodych ludziach w różnych miejscach południowej Szwecji i Norwegii albo tych, o które przynajmniej go podejrzewano.

Nazywano go dzieciobójcą, chociaż podejrzewania dotyczyły zamordowanych nastolatków. Skazano go zaś tylko za serię podpaień. Rössel był piromanem – w każdym razie zadziwiająco często płonęły domy i sklepy w jego okolicy, a dwa razy skutkiem pożaru była czyjaś śmierć. Ktoś włamywał się nocą, kradł pieniądze i kosztowności, po czym podkładał ogień. Dopiero kiedy Rössel został schwytany i skazany na pobyt w zakładzie psychiatrycznym za podpalenia i kradzieże, policja zaczęła badać inną dziwną okoliczność – mianowicie fakt, że czasami w miejscach, gdzie akurat przebywał Rössel, ginęły nastolatki.

Duża część informacji z dochodzeń dotyczących morderstw jest tajna, lecz gazety na okrągło powtarzają kilka jawnych szczegółów. Ivan Rössel był nie tylko nauczycielem, lecz także entuzjastą długich wyjazdów na kemping. Miał dużą przyczepę ze ścianami wygłuszającymi dźwięki, którą na początku lata stawiał w odosobnionej części pola namiotowego gdzieś w Szwecji lub Norwegii. Mieszkał tam aż do początku roku szkolnego, zazwyczaj przebywał sam, ale często robił sobie wycieczki po okolicy. W tamtych rejonach znajdowano wówczas ciała nastolatków, a jeden młody mężczyzna zaginął bez śladu. Był to dziewiętnastoletni John Daniel Nilsson z Göteborga, który pewnego majowego wieczoru wyszedł ze szkolnej dyskoteki, żeby zacerpnąć świeżego powietrza, i nigdy już nie wrócił.

Jan nawet pamięta ten przypadek. Było to sześć lat temu. John Daniel zaginął, kiedy on mieszkał w Göteborgu.

Kiedy Rössel odsiadywał już karę za podpalenia, policja zaczęła badać związek między nim a zamordowanymi i zaginionym. Wtedy jednak przyczepa Rössela spłonęła, jego samochód zezłomowano, a dowody zniknęły. Sam Rössel do niczego się nie przyznał.

Napisano wiele artykułów o pochodzeniu Rössela i jego wakacjach na kempingach – właściwie setki artykułów – lecz Jan miał dość po przeczytaniu zaledwie kilku.

Rössel siedzi w zamknięciu, a szpital Świętej Patrycji zdaje się odpowiednim dla niego miejscem. Hanna Aronsson nie może przecież interesować się osobą z takimi zaburzeniami...

Jan wpisuje w przeglądarkę inną nazwę: Święta Patrycja. Nie znajduje jednak żadnych zdjęć ani szkiców, jedynie zdawkowe informacje i trochę statystyk o klinice na stronach Służby Więziennej. Jeden link dotyczący świętej Patrycji prowadzi go w zupełnie innym kierunku – na stronę, na której umieszczono informacje o różnych świętych. Dowiaduje się, że święta Patrycja była zakonnicą, działającą w XV wieku w klasztorze Świętej Klary w Sztokholmie. Patrycja pomagała osieroconym dzieciom, schorowanym starcom i najbiedniejszym z biednych, tułającym się po zaułkach miasta.

Kilka linijek, tyle zapisano o świętej.

Jan wyłącza komputer, wstaje i zaczyna się pakować. Wybiera się do swego rodzinnego miasta Nordbro, do starej matki, po raz pierwszy od pół roku.

Dom ciągle pachnie tak samo. Zapach matki, jej perfum i pachnących kulek wkładanych do szaf. Ojciec nie żyje od trzech lat, ale woń tytoniu i wody po goleniu nadal da się wyczuć w pokoju. Musiała utkwąć w ścianach.

Jan spaceruje wśród wspomnień.

Na telewizorze stoi zdjęcie jego i o trzy lata młodszego brata Magnusa. Mają na nim po osiem i pięć lat i uśmiechają się do obiektywu. Obok stoi aktualna fotografia Magnusa obejmującego dziewczynę przed Big Benem. Magnus studiuje medycynę w King's College, mieszka przy Russell Square w Londynie z narzeczoną z Kensington i ma przed sobą świetlaną przyszłość.

Jan rozgląda się po salonie. Szklane blaty stołów i drewnianą podłogę przykrywa warstwa kurzu.

– Powinnaś trochę częściej sprzątać, mamo.

– Nie umiem sprzątać... Tato zawsze to robił.

Matka Jana zawsze nazywała męża t a t a.

– Chyba mogłabyś kogoś nająć do sprzątanania?

– Nie mogłabym... Nie stać mnie.

Mama większość czasu spędza, siedząc przed telewizorem, zwinęta w wytartym skórzanym fotelu. Ma na sobie szlafrok i różowe kapcie. Czasami po prostu stoi nieruchomo w oknie. Jan chce ją jakoś pobudzić, skłonić do podejmowania samodzielnych decyzji, znalezienia przyjaciół. Zdecydowanie za bardzo żyła życiem swojego męża.

Być może dwa lata po przejściu na emeryturę znużył ją brak jakichkolwiek zajęć przez cały tydzień. Nie wygląda na szczególnie zadowoloną z odwiedzin Jana.

– Nie przywoziłeś żadnej dziewczyny? – pyta nagle.

– Nie – odpowiada cicho Jan. – Tym razem też nie.

Jan nie ma dziewczyny, którą mógłby pokazać w Nordbro. Nie ma także starych przyjaciół na osiedlu, z którymi mógłby się spotkać, więc późnym popołudniem postanawia iść na długi samotny spacer po mieście swego dzieciństwa.

Kierując się do centrum, przechodzi jak zwykle obok niskiego budynku, gdzie przebywa Christer Vilhelmsson wraz z innymi pacjentami cierpiącymi z powodu urazów mózgu. Dziś jednak jest wietrznie i Christer nie siedzi na zewnątrz.

Christer Vilhelmsson chodził do dziewiątej klasy, kiedy Jan był w ósmej, a skoro on ma dwadzieścia dziewięć lat, jego szkolny kolega skończył pewnie trzydziestkę. Czas mija, nawet jeśli Christer sam tego nie zauważa.

Jeden jedyny raz Christer przebywał na zewnątrz w altanie, kiedy Jan przechodził obok. Było to pewnego słonecznego dnia cztery lata temu. Christer siedział na leżaku, nie na wózku. Jan zastanawiał się wówczas, czy rzeczywiście mógł chodzić.

Nawet z ulicy, z odległości pięćdziesięciu metrów, Jan mógł dostrzec, że ten dwudziesto- sześćcioletni mężczyzna jest dorosły wyłącznie fizycznie. Od tamtej nocy w lesie czas dla Christera Vilhelmssona cofał się, a świadczyły o tym pusty wyraz twarzy i sposób, w jaki cały czas kiwał lekko przechyloną głową. Samochód, który wtedy go potarcił w ciemności, nie tylko rzucił go do rowu, ale także pchnął go z powrotem do dzieciństwa.

Jan zatrzymał się wtedy i patrzył przez chwilę na swego kolegę ze szkoły, którego raz w życiu śmiertelnie się bał. Następnie ruszył dalej, nie czując ani radości, ani smutku.

*

Przy rynku w Nordbro Jan wchodzi do sklepu z narzędziami U Fridmana, jak czynił to kilka razy w przeszłości. Sklep przejął syn jego założyciela Torgny Fridman. W tę sobotę ten szczipły trzydziestoletni mężczyzna o jasnorudych krótko ostrzyżonych włosach osobiście stoi za ladą. Jan wchodzi w głąb sklepu i ogląda siekiery. Nie ma drewna do rąbania, ale podnosi różne narzędzia, waży je w dłoniach i ostrożnie wywija w powietrzu.

Jednocześnie zerka w stronę kasy. Torgny Fridman dorobił się brody w kolorze ciemny blond. Stoi za ladą, rozmawiając z klientami, rodziną z dzieckiem. Nie patrzy w kierunku Jana. Minęło piętnaście lat, Torgny chyba o nim zapomniał. Zresztą dla czegoż miałby pamiętać? Tylko Jan pamięta.

Ściąga ze stojaka największą, niemal metrowej długości siekiere.

Nad drzwiami sklepu rozbrzmiewa dzwonek.

– Tatuś!

Do środka wchodzi właśnie mały chłopiec w białym sweterku i za dużych spodniach dżin-sowych. Pędem rusza w kierunku lady. Za nim idzie uśmiechnięta kobieta w wieku około trzydziestu lat. Torgny wita chłopca z otwartymi ramionami, podnosi go. Przez krótką chwilę jest tylko radosnym tatą, a nie sprzedawcą.

Jan przygląda im się przez kilka sekund. Siekiera jest ciężka, ciężka i dobrze wyważona. Podnieś ją nad głowę, wysoko, wysoko... Odkłada ją i wychodzi bez słowa. Nigdy nie byli z Torgnym przyjaciółmi i nigdy nimi nie zostaną.

Ostatnim przystankiem jest Ryś.

Świetlica, w której pracował jako dwudziestolatek, leży kilka kilometrów od centrum. Zastanawia się, czy rzeczywiście chce tam iść, ale w końcu podejmuje decyzję.

Pomieszczenia są zamknięte. Nic dziwnego, jest sobota. Zatrzymuje się przed wejściem i patrzy na ten drewniany barak. Niewiele się tu zmieniło. Nadal pomalowany jest brązową farbą olejną, ale wydaje się mniejszy niż wtedy, gdy Jan był tu po raz ostatni. Zniknął wizerunek rysia namalowany obok drzwi. Może oddział zmienił nazwę na coś miłszego, jak Pier-

wiosnek albo Zajączek. A może Polana.

Tutaj pracował zaraz po skończeniu szkoły. Pod wieloma względami wciąż był zbłąkanym dzieciakiem, kiedy znalazł się w Rysiu, nawet jeśli wówczas tego nie rozumiał. Zastanawia się, czy ktoś z tamtych czasów wciąż tu pracuje. Kierowniczką Nina? W każdym razie na pewno nie ma Sigrid Jansson – odeszła mniej więcej w tym samym czasie co on.

Była zupełnie załamana. W ostatnich dniach pracy w świetlicy nawzajem się unikali. Za każdym razem, kiedy Sigrid na niego patrzyła, atmosfera stawała się dziwna. Mógł to być po prostu nieukoiony smutek z powodu tego, co się wydarzyło, on jednak odbierał jej milczenie jako wyraz chłodu, nieprzychylności, a może nawet podejrzliwości. Często się zastanawiał, czy Sigrid czegoś się domyślała, czy zauważyła przygotowania Jana w dniu, kiedy zniknął William.

Na krótko przed powrotem do domu kieruje swoje kroki nad staw Nordbro. Położony jest w pobliżu jego domu rodzinnego. Przypomina niemal idealnie okrągły garnek. Jan dobrze zna tę czarną wodę. Nocą wygląda jak ciemna krew.

Piętnaście lat temu był w drodze na dno stawu, wśród wirujących bąbelków zmierzał w objęcia wielkiego chłodu. W ostatnim momencie sąsiad rzucił się mu na ratunek i wyciągnął go na powierzchnię.

Kapedim

Kiedy rodzice Jana przyszedli do niego w odwiedzin, przy łóżku niczym czarna chmura między nimi unosiły się dwa słowa: p r ó b a s a m o b ó j c z a. Ani razu jednak nie zostały wypowiedziane.

W ogóle ledwo mogli rozmawiać. Jan leżał pod kołdrą, patrząc w milczeniu na rodziców. Nagle się zorientował, że nie było z nimi młodszego brata.

– Gdzie jest Magnus?

– U kolegi – odpowiedziała mama, szybko dodając: – On... on nic nie wie.

– N i k t o tym nie wie – wtrącił się ojciec.

Jan skinął. Znowu zaległa cisza. W końcu cichym głosem odezwała się mama:

– Rozmawialiśmy z twoim lekarzem.

Ojciec pokręcił głową.

– On nie jest lekarzem, tylko p s y c h o l o g i e m.

Tato nie przepadał za psychologami. Kiedyś przy obiedzie opowiadał o koledze z biura, który chodził na terapię i określał to doświadczenie jako „straszne”.

Mama potwierdziła skinieniem.

– Oczywiście, to psycholog. W każdym razie powiedział, że zostaniesz tu przez kilka tygodni. Może cztery... a może trochę dłużej. Będzie dobrze, prawda, synku?

– Pewnie.

I znowu zamilkli. Nagle Jan zobaczył łzy płynące po policzkach matki. Szybko je otarła. Tato zapytał:

– Rozmawiali już z tobą ci psychologowie?

Jan pokręcił głową.

– Nie musisz tego robić – ciągnął ojciec. – Nie musisz odpowiadać na żadne pytania ani niczego im opowiadać.

– Wiem – odparł Jan.

Kiedy ostatnio widział, jak mama płacze? Chyba rok temu, na pogrzebie babci. Nastrój w szpitalnym pokoju był mniej więcej taki jak wtedy w kaplicy. Wszyscy siedzieli w ławkach, wpatrując się w trumnę.

– Poznałeś tutaj kogoś? – Mama pociągnęła nosem, próbując się uśmiechnąć.

Jan znowu potrząsnął głową. Nie miał ochoty nikogo poznać. Chciał, żeby wszyscy zostawili go w spokoju.

Mama nie mówiła już zbyt wiele. Nie płakała, ale kilka razy westchnęła smutno. Ojciec zaś nie wypowiedział ani słowa. Siedział w swym szarym garniturze, kiwając się w przód i w tył na taborecie, jakby już chciał wstać. Od czasu do czasu zerkał na zegarek. Jan wiedział, że ojciec ma dużo pracy i chce wracać do domu. Kiedy patrzył na syna, w jego spojrzeniu widać było irytację i zniecierpliwienie. Jana denerwowało to spojrzenie, sprawiało, że chciał wstać z łóżka, zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło, pojechać do domu i być n o r m a l n y m.

Matka nagle uniosła głowę.

– A kto to gra?

Jan także słuchał – z pokoju obok dochodziła spokojna muzyka gitarowa. Wiedział, kto gra.

– To moja sąsiadka... Jakaś dziewczyna.

– Dziewczynki też tu są?

– Wydaje mi się, że są tu głównie dziewczyny – odparł Jan.

Ojciec znowu spojrzął na zegarek i wstał.

– Jedziemy do domu?

– Jedźcie... Dam sobie radę. – Jan kiwnął w stronę ojca, po czym popatrzył na mamę. Ona także wstała. Wyciągnęła dłoń w stronę jego policzka, ale go nie dotknęła.

– Tak, chyba musimy iść – powiedziała. – Niedługo minie nam opłacony czas na parkingu.

Zapadło milczenie. Matka odwróciła się dopiero w drzwiach i powiedziała:

– A właśnie... Ktoś do ciebie wczoraj dzwonił. Jakiś przyjaciel.

– Przyjaciel?

Mama kiwnęła.

– Chciał się dowiedzieć, jak się czujesz... Dałam mu numer do szpitala.

Jan tylko skinął. Przyjaciel? Do głowy nie przychodził mu ani jeden przyjaciel, który mógłby zadzwonić. Może ktoś z klasy? Tak zakładał.

Po wyjściu rodziców poczuł się, jakby znowu mógł oddychać. Podniósł się i powoli opuścił łóżko.

Usiadł przy biurku i spojrzął za okno. Na zewnątrz zobaczył szeroki trawnik, po zimie nieco błotnisty, a za nim wysokie ogrodzenie, z drutem kolczastym biegnącym ponad murem. Patrzył długo w tamtym kierunku.

Zrozumiał, że Kapedim nie był zwykłym szpitalem.

Siedział w zamknięciu.

Jan jest z powrotem w Valli i sprząta mieszkanie. Hanna ma przyjść do niego w odwiedzin.

To jego pomysł, aby spotkali się tego wieczoru. Kiedy po kilku dniach wolnego wrócił do pracy, znowu miał dzienną zmianę. Hanna także pracowała w ciągu dnia. Kiedy w pokoju wychowawców nie było nikogo, wetknął do kieszeni jej kurtki karteczkę ze swoim adresem i pytaniem:

KOLACJA U MNIE JUTRO O ÓSMEJ WIECZOREM?

JAN H.

Nie doczekał się odpowiedzi przed jej wyjściem z pracy, mimo to w drodze powrotnej do domu kupił chleb. Musi przyjść – mają przecież wspólne interesy. Wspólne tajemnice.

Hanna dzwoni do jego drzwi dość punktualnie, pięć po ósmej. Nie mówi wiele, wchodząc do przedpokoju. Jan jednak jest zadowolony.

– Dobrze, że przyszedłaś.

– Jasne.

Jan próbuje się odprężyć. Prowadzi ją do kuchni, robi herbatę i częstuje kanapkami. Później opowiada trochę o pracy, ale w końcu docierają do tematu, o którym Jan tak naprawdę chce rozmawiać: do Świętej Patrycji.

– Czy kobiety tam w szpitalu... każda siedzi oddzielnie?

Hanna patrzy na niego, a jej twarz jest blada jak zwykle. Nagle powietrze w kuchni staje się cięższe i bardziej gęste, ale i tak lepiej zapytać o szpital Hannę niż Larsa Rettiga.

– Tak – odpowiada wreszcie – są dwa oddziały kobiece... Zamknięty i otwarty.

– Są położone blisko siebie?

– Nie ściana w ścianę, ale wydaje mi się, że oba znajdują się na tym samym piętrze.

– Na którym?

– Chyba na trzecim. Albo czwartym... Nigdy tam nie byłam.

Jan zastanawia się nad kolejnymi pytaniami, ale Hanna go uprzedza:

– Powiedz, kto to, Janie.

– Kto?

– Ta kobieta w szpitalu, w której jesteś zakochany... Jak się nazywa?

Hanna nie spuszcza z niego wzroku. Jan unika jej spojrzenia.

– To co innego – mówi.

– Niż co?

– Niż ty i Ivan Rössel.

Hanna szybko odstawia filiżankę z herbatą. Patrzy na niego zimnymi błękitnymi oczami.

– A skąd ty możesz wiedzieć, co jest między nami? – pyta. – Nic nie wiesz, a już na pewno nie to, dlaczego nawiązałam z nim kontakt... Jak możesz to oceniać?

Jan spuszcza wzrok. Atmosfera przy stole nagle staje się lodowata. Miał jednak rację – Hanna w pokoju odwiedzin spotyka się z Rösselem.

– Tylko zgaduję – odpowiada Jan. – Ale chyba go lubisz?

Hanna nie przestaje się w niego wpatrywać.

– Poza zbrodnią trzeba zobaczyć człowieka – odpowiada w końcu. – Większość ludzi tego nie potrafi.

– Skoro wkradasz się, żeby się spotkać z Ivanem Rösselem, chyba musisz go lubić? – Jan się nie poddaje. – Mimo że robił... złe rzeczy?

Dziewczyna zwleka z odpowiedzią.

– Nie spotykam się z nim – wyrzuca z siebie wreszcie. – Kontaktujemy się przez jednego opiekuna. Ivan zajmuje się pewnym projektem, aby czas szybciej mu mijał tam w zamknięciu... A ja mu pomagam.

– Ale w czym? Co on tam robi?

– To projekt literacki – odpowiada. – Pracuje nad pewnym tekstem.

– Nad książką?

– Coś w tym stylu – potwierdza Hanna.

– Pamiętniki mordercy?

Hanna wykrzywia usta.

– Jest tylko podejrzanym. Nigdy się nie przyznał. – Wzdycha. – Twierdzi, że książka wszystko wyjaśni... Ludzie rozumieją, że nic nie zrobił.

– Wierzy w to?

– Tak, wierzy. – Głos Hanny brzmi coraz bardziej nerwowo. – Ivan czuje się s t r a s z n i e z powodu całej sytuacji. Ryzyko, że odbierze życie sobie, jest o wiele większe niż to, że odbierze życie komuś. W tej chwili tylko moje listy dodają mu sił... – Hanna milknie, a Jan nie wie, co ma powiedzieć. Spojrzenie kobiety wywołuje w nim niepokój – właściwie nie chce już więcej rozmawiać o Rösselu. Zdaje się, że Hanna czuje to samo. – Zaraz muszę iść. – Spogląda na zegarek, a następnie na Jana. – Teraz mi powiesz?

– Co takiego?

– Jak ona się nazywa... Ta, z którą spotykasz się w szpitalu.

Jan spuszcza wzrok.

– Jeszcze jej nie spotkałem.

– A jak się nazywa? – ciągnie Hanna.

Jan się waha. Ma do wyboru dwa nazwiska – Rami albo Blanker – wybiera to mniej znane.

– Posiedź jeszcze – prosi. – Coś przyniosę.

Wychodzi do pokoju, po czym wraca, niosąc książeczki z obrazkami. *Sto dłoni księżniczki*, *Stwórczynię zwierząt*, *Chorobę czarownicy* i *Wivecę w kamiennym domu*. Kładzie je przed Hanną.

– Widziałaś je kiedykolwiek wcześniej?

Hanna kręci głową.

– Leżały w przedszkolu. – Jan prezentuje książki. – Wykonano je ręcznie, więc to pewnie jedyne egzemplarze. Ktoś musiał włożyć je do skrzyni z bajkami.

– Książki najczęściej dokłada Marie-Louise – stwierdza Hanna.

– Nie te... Myślę, że któreś z dzieci otrzymało je od swojego rodzica w pokoju odwiedzin.

Hanna kartkuje książeczki, a po chwili podnosi wzrok na Jana.

– Kto je napisał?

– Nazywa siebie Marią Blanker – mówi Jan. – To mama Josefine... Jestem tego niemal pewny.

– Blanker – powtarza za nią Hanna. – A więc to z nią chcesz się spotkać w szpitalu?

– Tak... Wiesz, kim ona jest?

– Trochę o niej słyszałam – mówi cicho Hanna.

– Od Rössela?

Zaprzecza, kręcąc głową.

– Od Carla... Mojego kontaktu tam na górze.

Jan oczywiście pamięta imię. To perkusista Bohemos. Hanna odrywa wzrok od książek.

– Mogę je pożyczyć?

Jan się waha.

– Dobrze – zgadza się w końcu. – Na kilka dni.

Hanna zbiera książki i wstaje. Pora iść do domu. Jan ma jednak ostatnie pytanie:

– Maria Blanker jest na oddziale otwartym czy zamkniętym?

– Tego nie wiem. W życiu nie byłam na oddziałach – mówi Hanna, po czym dodaje: – Ale powinna chyba być na zamkniętym.

– Dlaczego?

– Bo Blanker cierpi na psychozę. Jest kompletnie nieobecna... W każdym razie tak słyszałam.

– Co zrobiła? – pyta Jan. – Wiesz?

– Stanowiła zagrożenie.

– Dla siebie? – ciągnie Jan. – Czy dla innych?

Hanna kręci głową.

– Nie wiem – odpowiada. – Ale możesz przecież do niej pójść... i zapytać.

– Jasne. – Jan uśmiecha się lekko, słysząc żart, lecz Hanna nie odwzajemnia uśmiechu.

– Mówię poważnie... Zawsze jest jakaś droga, jeśli tylko się chce.

– Tylko że te prowadzące do Patrycji są zamknięte – mówi Jan.

– Jedna z nich jest otwarta.

– A ty znasz tę drogę?

Przytakuje.

– Wiem, gdzie jest, ale nie tak łatwo nią przejść... Masz klaustrofobię?

Ryś

Przebywanie w zamknięciu nie było chyba takie złe – o ile miało się wystarczająco dużo jedzenia i picia i jeśli było ciepło. I jeszcze towarzystwo mówiącego robota.

Jan wmawiał to sobie za każdym razem, kiedy myślał o małym Williamie siedzącym w bunkrze.

Wręcz przeciwnie – być zamkniętym za grubymi betonowymi ścianami mogło dawać poczucie prawdziwego bezpieczeństwa.

Na zegarku było wpół do dziewiątej wieczorem, a poszukiwania Williama prowadzone przez policję zakończyły się pół godziny wcześniej. Kiedy zapadła ciemność, kontynuowali je przy świetle latarek, lecz według Jana byli źle zorganizowani. Akcja nie dała żadnych rezultatów. William zniknął bez śladu, jakby przedostał się poza skraj świata.

Albo przynajmniej opuścił stały ląd. W ostatniej godzinie dowódca policjantów skupił poszukiwania na terenie położonym wzdłuż plaż ptasiego jeziora. Jan domyślił się, że policja obawia się, iż pięciolatek wpadł do wody.

Ryś stał się punktem zbornym ekipy poszukiwawczej. O tej porze wszyscy byli już jednak zmęczeni, a wiele osób, które szukały chłopca, udało się do domów. Policja zamierzała wznowić akcję nazajutrz, wraz z nastaniem dnia, tym razem na większą skalę.

Jan wrócił do Rysia w towarzystwie starszego policjanta, który stękając, przedzierał się przez las.

– Cholera, to obrzydliwe, cała ta sytuacja. Miejmy nadzieję, że malec przetrwa noc, chociaż chyba nie ma zbyt dużych szans.

– Jest jeszcze dość ciepło – powiedział Jan. – Na pewno nic mu nie jest.

Policjant jednak wydawał się nie słuchać.

– Cholera – zaklął znowu. – Kiedyś znaleziono martwego faceta przy leśnej drodze... Ktoś go potrącił samochodem, a później ukrył zwłoki w lesie, jak worek ze śmieciami. – Patrzyła na Jana zmęczonym wzrokiem. – Takich rzeczy się nie zapomina.

Po powrocie do pokoju wychowawców Jan usłyszał nagle głuchy warkot w oddali. Dźwięk szybko się zbliżał i rósł w siłę, a po chwili przetoczył się nad przedszkolem jak wielki grzmot. Jan spojrział na kierowniczkę Rysia Ninę Gundotter. Siedziała przy telefonie i czekała, jakby wierząc, że prędzej czy później William zadzwoni i poinformuje, gdzie jest.

– Czy to helikopter? – zapytał Jan.

Nina przytaknęła.

– Policja go wezwała – wyjaśniła cicho. – Nie dostali psów do poszukiwań, ale będą teraz latać nad lasem z kamerą termowizyjną.

Jan skinął. Podszedł do okna spojrzeć na termometr – pokazywał tego wieczoru dziewięć stopni. Jesienna temperatura. Nie było mrozu, lecz o ciepłe też nie można było mówić. Najgorsze, że zaczęło wiać, chociaż Jan dobrze wiedział, że Williamowi wiatr nie mógł zagrozić.

Słyszał, kiedy Nina podeszła do jednego z policjantów i cicho zapytała o ich taktykę, otrzymała jednak zaledwie kilka wymijających odpowiedzi.

– Oczywiście będziemy przeszukiwać jezioro, ale dopiero jutro rano, jak tylko się rozwidni – powiedział policjant jeszcze ciszej.

Tego wieczoru cały personel, oprócz dwóch osób, wrócił do świetlicy. Wyjęto białe świece i zapalone poustawiano na stołach i w oknach. Dzięki temu przedszkole zaczęło przypominać kościół. Po jakichś piętnastu czy dwudziestu minutach odgłos helikoptera ucichł. Jan odwrócił się i spojrzał na szefową.

– Chyba powinienem iść do domu... Spróbuję trochę się przespać. Wrócę wcześniej rano. Mam wolne, ale przyjdę.

Nina kiwnęła głową.

– Ja też niedługo pójdę – powiedziała. – Nic już dzisiaj nie zrobimy.

Od chwili kiedy Nina pojawiła się w przedszkolu, nie wypowiedziała ani jednego oskarżycielskiego słowa skierowanego przeciwko Janowi. Wręcz przeciwnie, wspierała go, całą winą obciążając Sigrid, która w Niedźwiadku miała swoją kierowniczkę.

– Powinna była lepiej pilnować dzieci.

Jan potrząsnął głową. Kiedy ostatni raz widział Sigrid, leżała na sofie w jednym z pokoi Niedźwiadka. Gdy wrócili z lasu, dostała jakiś środek uspokajający.

– Oboje powinniśmy byli lepiej je pilnować – powiedział, zakładając kurtkę. – Panował tam niezły rozgardiasz... Wzięliśmy za dużo dzieci.

Nina westchnęła. Popatrzyła w ciemne okno, a następnie na telefon.

– Myślę, że ktoś go znalazł w lesie – rzekła cicho. – Zabrał go ze sobą do domu... Pewnie William śpi sobie smacznie w ciepłym łóżku, a jutro rano ten ktoś zadzwoni na policję.

– Na pewno – odparł Jan, zapinając kurtkę. – Do zobaczenia.

Rzucił ostatnie spojrzenie Ninie i opuścił świetlicę.

Kiedy wyszedł w ciemność, miał wrażenie, że jest zimniej, niż pokazywał termometr, ale to pewnie tylko złudzenie. Do zimy jeszcze daleko. Ciepło ubrana osoba nie mogłaby zamrznąć, nawet jeśli leżałaby pod gołym niebem. Chroniona przed wiatrem, na przykład za betonową ścianą, poradziłaby sobie przez wiele dni.

Jan ruszył przed siebie.

Gdy przechodził obok rozświetlonych okien Niedźwiadka, w środku mignęli mu czuwający pracownicy przedszkola. Rodzice Williama także tam byli. Jan zobaczył mamę chłopca, która siedziała skulona. Stał przed nią kubek z kawą. Na jej twarzy widać było skrajne wyczerpanie.

Jan chciał się zatrzymać i przez chwilę popatrzeć, jednak szedł dalej. Na skraju lasu stanął i wytężył słuch. Jedyным dźwiękiem, który słyszał, był szum wiatru w koronach drzew. Odgłos helikoptera już dawno zupełnie ucichł. Śmigłowiec mógł jeszcze wrócić ze swym sprzętem termowizyjnym, ale trzeba było zaryzykować.

Po raz ostatni rozejrzał się dookoła, po czym przekroczył niewielki rów przy drodze i wszedł między drzewa.

Będąc już na ścieżce, przyspieszył kroku.

Od ponad czterech godzin William siedział samotnie zamknięty w bunkrze. Ale miał ciepłe koce, picie, jedzenie i zabawki. Nic mu nie groziło. Jan niedługo do niego przyjdzie.

Zdaniem Jana z każdym kolejnym jesiennym wieczorem szara fasada Świętej Patrycji staje się coraz ciemniejsza i chłodniejsza. Kiedy tego wieczoru przejeżdża rowerem wzdłuż muru, wyłaniający się ponad nim szpital przypomina wielką czarną górę. W wielu oknach widać blade migoczące światło, które jednak nie przyciąga wzroku. W pokojach spacerują cienie tęskniące do światła na zewnątrz.

Czy któreś z okien jest uchylone?

Czy w nocnym powietrzu słychać dźwięki gitary?

Nie, to tylko złudzenie.

Jan szybko przejeżdża obok terenu szpitala i oddalając się od muru, kieruje w stronę przedszkola. Jest niedziela, do Bożego Narodzenia zostały tylko dwa miesiące. W ten weekend co prawda ma wolne, ale postanowił przyjść, ponieważ kiedy żegnali się z Hanną przed czterema dniami, złożyli sobie swego rodzaju obietnicę wzajemnej pomocy. A przynajmniej deklarację, że jedno nie wyda drugiego.

– Nie wejdiesz do szpitala przez łącznik – powiedziała wówczas Hanna w jego kuchni. – Nikt tamtędy nie wchodzi... Mnie nigdy nie wpuszczono dalej niż do pokoju odwiedzin.

– Więc twój przyjaciel Carl... On pozwala ci się spotykać z Rösselem? – zapytał Jan.

– Nie, Ivan zostaje w swoim pokoju. Zostawiam dla niego listy.

Kolejne tajemne listy, pomyślał Jan, ale głośno zapytał tylko:

– No to jak można wejść?

– Przez piwnicę – oznajmiła Hanna. – Mogę pokazać ci wejście, jeśli chcesz.

Chciał. Pamiętał, że Högsmed wspominał o drodze prowadzącej ze szpitala do przedszkola właśnie przez piwnicę.

„Ta trasa jest zagmatwana i nieprzyjemna” – powiedział doktor.

Co to może znaczyć? Że w piwnicy są szczury? A może ludzie?

Dociera do przedszkola i ostrożnie uchyla drzwi wejściowe, wiedząc, że tego wieczoru nie powinno go tu być.

– Halo? – odzywa się cicho. – Hanna?

Przez chwilę nikt nie odpowiada, ale po chwili słyszy jej głos dochodzący z kuchni:

– Wejdz... wszystko gra.

Przechodzi przez próg i zamyka drzwi.

– Cisza i spokój?

– Pewnie. Zasnęły... Chociaż zachowywały się dzisiaj jak małe potwory. Biegały w kółko, wrzeszcząc, jakby chciały mnie wykończyć.

Jan nie odpowiada. Wie, że Hanna nie jest wielbicieleką dzieci.

Jest prawie wpół do dziesiątej. Jan zdejmuje kurtkę, ale butów już nie. Robi parę kroków w kierunku kuchni i szafki z kluczami, ale Hanna podnosi dłoń.

– Masz.

Już wcześniej wyjęła kartę magnetyczną, którą teraz mu podaje.

– Dziękuję.

– Nie rozmyśliłeś się?

Jan potrząsa głową, idąc w stronę drzwi do piwnicy. Czuje się nieswojo, wstukując kod i otwierając drzwi tak późno wieczorem, kiedy ktoś patrzy. Odwraca się.

– Do zobaczenia niedługo.

– Nie – odpowiada. – Idę z tobą na dół.

Nie zdąża zaprotestować, a Hanna już jest przed nim na schodach. Zapala światło i zaczyna schodzić. Jan idzie w jej ślady.

Każdego dnia Jan przemierza ten korytarz, odprowadzając i przyprowadzając dzieci, jest już więc zmęczony oglądaniem rysunków na ścianie. Szczury uśmiechają się, jakby z niego kąpiły.

Tego wieczoru nie będzie żadnych przejazdów windą. Hanna prowadzi go obok szybu i dalej w stronę schronu. Tutaj Jan nie był od ponad dwóch tygodni. Od chwili, kiedy będąc tam, usłyszał, jak ktoś – Hanna, jak się później okazało – zjeżdża windą w środku nocy.

– Więc to tutaj znajduje się tajemne przejście? – odzywa się Jan za plecami Hanny.

– Tajemne... W każdym razie ukryte.

Podnosi sztabę i pociąga stalowe drzwi. Odwraca się i rzuca Janowi szybkie spojrzenie.

– Odważysz się? – pyta.

Jan potwierdza skinieniem.

– No to chodź.

Hanna zapala światło, Jan wkracza do schronu i nagle w jego głowie pojawia się obraz przerażonego pięcioletniego chłopczyka siedzącego na materacu. Serce bije mu mocniej, jednak świetlówka oświetla zupełnie puste pomieszczenie.

Niezmiennie leżą tu materac i koce. Sosnowa szafka także stoi tam, gdzie ją zapamiętał. A stalowe drzwi po przeciwnej stronie pokoju nadal są zamknięte.

Hanna podchodzi do nich.

– To tutaj.

– Drzwi są zamknięte na klucz – mówi Jan. – Już próbowałem.

– Mam na myśli podłogę. – Wskazuje palcem pod nogi.

– Podłogę?

Jan także podchodzi we wskazane miejsce. Pod butami wyczuwa nierówność. Spogląda w dół. Pod stopami ma niebieską wykładzinę, ale wyczuwa pod nią coś małego i wąskiego.

Wykładzina pokrywa całą podłogę, lecz nie jest do niej przyklejona. Da się ją podnieść. Hanna podchodzi do jednego z rogów wykładziny i unosi go. Wspólnie odciągają materiał aż do połowy pomieszczenia. Pod wykładziną Jan widzi szary beton.

– No dalej – odzywa się Hanna. – Jeszcze kawałek.

Jest zdenerwowana, popędza go. Odciągają wykładzinę jeszcze dalej. Jan nagle zauważa otwór w podłodze, jest szeroki na pół metra, a przykryty blachą falistą.

– Oto i twoje wejście – oznajmia Hanna.

Jan spogląda to na otwór, to na nią.

– Prowadzi do szpitala?

Hanna kiwa głową.

– Biegnie prosto pod ścianą.

– A gdzie się kończy?

– Nie mam pojęcia.

Jan odciąga wykładzinę na tyle, aby odsłonić cały otwór, i zauważa w blasze żelazny uchwyt.

– Jak to znalazłaś?

– Działałam tutaj tak samo jak ty – mówi Hanna. – Szukałam i sprawdzałam... Miałam więcej czasu.

– Rössel ci w tym pomógł? – pyta Jan.

Hanna potrząsa głową.

Jan schyla się, chwytając palcami uchwyt i podnosi pokrywę.

Odchyła ją na bok, po czym zagląda w głąb czworokątnej dziury. Nie jest to kanał ściekowy – raczej kanał elektryczny, w którym pod podłogą piwnicy biegną grube kable. Nie jest głęboki, może na metr, lecz dalej biegnie pod betonem jako wąskie przejście w kierunku stalowych drzwi. W środku panuje ciemność.

– Schodzisz na dół? – pyta Hanna.

– Może.

Jan waha się. Klęka, aby zajrzeć do korytarza. Jest tak ciemny, że nie sposób dojrzeć, jak daleko biegnie. W dole obok kabli znajduje się też kilka starych rur i wijące się kłęby kurzu. Jan czuje także słaby zapach pleśni, a może i błota, chociaż beton w tunelu wygląda na suchy.

Suchy i wystarczająco szeroki. Powinno być na tyle dużo miejsca, aby móc wejść do środka i przeczłochać się pod podłogą.

Czy są tam gniazda szczurów? Może. Nadstawia uszu, ale wszędzie panuje cisza.

– Halo? – mówi szeptem.

Nie nadchodzi żadna odpowiedź, nawet echo się nie odzywa.

Jan wstaje. Ostrożnie nakłada z powrotem pokrywę, ale zostawia wykładzinę, po czym spogląda na Hannę.

– Muszę wrócić do przedszkola... Potrzebuję więcej światła.

– A skąd je weźmiesz? – pyta Hanna.

– Od anioła.

Hanna przygląda się urządzeniu wyjmowanemu przez Jana z szafki.

– Co to takiego? – pyta.

– Elektroniczna niania – wyjaśnia. – Nigdy takich nie widziałaś?

– Nie. – Dziewczyna kręci głową na widok plastikowego urządzenia. – Do czego służy?

Jan spogląda na nią.

– Od razu widać, że nie masz własnych dzieci... Dzięki niani wiesz, czy u dziecka wszystko w porządku, kiedy śpi.

– To chyba można sprawdzać samemu?

– Nie wszyscy mają czas... A może chodzi raczej o poczucie bezpieczeństwa. Bezpieczne dzieci to spokojni rodzice. – Na wspomnienie o Williamie Halevim dodaje: – Niespokojni rodzice bywają nieszczęśliwi.

Hanna bierze do ręki anioła, ale nie wygląda na przekonaną.

– A co teraz z tym zrobisz?

– Chcę zabrać nadajnik do piwnicy jako latarkę – wyjaśnia. – Dzięki odbiornikowi będziesz mnie słyszała.

– A ty poczujesz się wtedy bezpieczniej? – Spogląda na niego.

– Trochę.

Ważąc anioła w dłoni, Hanna mówi:

– Będę słuchać, ale nie mogę zrobić nic więcej. Chodzi mi o to, że jeśli będziesz potrzebował pomocy tam na dole, nie będę mogła...

– Wystarczy, jeśli będziesz mnie słyszeć – przerywa jej Jan.

Urządzenie będzie swoistą liną bezpieczeństwa. Trochę tak, jakby człowiek wchodził do jaskini z liną oplecioną wokół kostki.

– Boisz się? – pyta Hanna.

– Nie. Strach zostawiłem w drugich spodniach. – Jan się uśmiecha, lecz nie udaje mu się odprężyć. Nie wie, co może się wydarzyć, nie ma pojęcia, czy może napotkać jakiś patrol strażników. A jeśli nawet na kogoś trafi, pozostaje mu mieć nadzieję, że będzie to Lars Rettig lub ktoś z jego kumpli. O ile można im ufać.

Pięć minut później stoi już przy otworze w podłodze. Dochodzi jedenasta, choć tu na dole ma się poczucie, jakby czas nie istniał. W podziemiu zawsze panuje noc.

Jan podnosi anioła i włącza lampkę.

– Okej – mówi do mikrofonu. – Schodzę na dół. – Jego głos odbija się echem w schronie, lecz Jan nie ma pojęcia, czy Hanna go słyszy.

Opierając się na dłoniach, opuszcza nogi na dno kanału, niecały metr poniżej poziomu podłogi. Niżej łatwiej jest się zgiąć i skierować światło latarki w głąb przejścia. Kiedy udaje mu się to zrobić, widzi, że korytarz biegnie na wprost, w ciemność.

Schodzi na kolanach, wdychając suche powietrze pełne kurzu.

– Jestem w tunelu, ruszam dalej – mówi.

Tak też robi. Starając się zmieścić w wąskim i niskim tunelu, schyla głowę i wchodzi skulony pod betonową podłogę, opierając się na dłoniach i kolanach. Czuje się, jakby wpełzł do krypty, mając obok siebie niewzruszone kamienne bloki i gruby sufit naciskający mu plecy.

Klaustrofobia? Musi pozbyć się strachu, nie myśleć o trumnach i zatrzaśniętych drzwiach sauny. Może oddychać, może się poruszać. Korytarz jest wystarczająco szeroki, aby bez problemu mógł przejść do końca – nie może jedynie zawrócić. Jeśli coś się wydarzy, będzie musiał się cofać.

Co jednak mogłoby się stać?

Dostaje ataku kaszlu. Chce mu się pić. W tunelu jest pełno kurzu, ale Jan nie przerywa swej wyprawy. W świetle lampki jego cień tańczy nerwowo na betonie.

Kiedy kieruje strumień światła nieco wyżej, ma wrażenie, że w odległości około dziesięciu metrów widzi zakończenie przejścia w postaci szarej betonowej ściany – a może korytarz tylko zakręca?

Znowu podnosi anioła.

– Myślę, że... Chyba jestem właśnie pod drzwiami schronu.

Mówienie do samego siebie jest dość śmieszne. Jaką może mieć pewność, że strażnicy w szpitalu nie mają odpowiedniego sprzętu, by usłyszeć wszystko, co on teraz mówi? Zupełnie pewny być nie może.

Opuszcza anioła, zaciska zęby i brnie naprzód. Wyteża słuch, aby usłyszeć ewentualne szelesty i ciche popiskiwanie, ale na razie nie spotyka szcurków. Na podłodze leżą małe czarne grudki, które mogą być zostawionym przez nie śladem, o ile to nie zdechłe muchy. Nie chce się dokładnie przyglądać.

Najpierw jedna noga, następnie druga. Ruszaj się, pełnij.

Jan zauważa nagle coś w suficie przed sobą, w odległości jakichś pięciu metrów. Znowu unosi lampkę, aby zobaczyć, że to inna żelazna kłapa. Pokrywa identyczna z tą, przez którą tu wszedł. Ten widok sprawia, że przyśpiesza o tyle, o ile to możliwe. Co jakiś czas opiera ramiona i głowę o beton, żeby odciążyć nieco odrętwiałe dłonie i kolana – w końcu jednak dociera do celu. Kładzie przed sobą anioła i wyciąga ramiona w górę, będąc niemal pewnym, że pokrywa jest zamknięta na zasuwę lub przykręcona.

A jednak nie jest. Jan kładzie dłonie na żelaznym uchwycie i pcha kłapę do góry. Słychać zgrzyt. Powoli i ostrożnie może odsunąć ją na bok. Metal zgrzyta po kamiennej podłodze. Ten dźwięk niemal go ogłusza, ale Jan się nie zatrzymuje. Przed jego oczami otwiera się czarna szczelina, nie wpada przez nią żadne światło. W pomieszczeniu powyżej jest zupełnie ciemno, a kiedy już udaje mu się całkiem odsunąć pokrywę, robi się też zupełnie cicho.

Jan wstaje powoli, trzymając w dłoni anioła. Stoi wyprostowany w czworokątnym otworze w betonowej podłodze, będącym kopią tego, przez który się tu dostał. Za sobą widzi zamknięte drzwi do schronu.

Podciąga się na rękach i mozolnie wydostaje z dziury.

– Nieźle poszło – mówi szeptem do anioła. – Przeszedłem, jestem w... jakiejś piwnicy.

Po tych słowach wyłącza urządzenie – nie czuje się pewnie, przerywając swymi słowami zalegającą tu ciszę. Nawet jeśli szepcze. Podnosi latarkę i przymocowuje ją do paska niczym szablę. Anielski strażnik nie jest jednak bronią, więc Jan czuje się jak bezbronna czterolalka

pozostawiony sam w wielkim ciemnym domu. W powietrzu, tu po drugiej stronie stalowych drzwi czuć stęchliznę.

Na podłodze nie leżą też miękkie dywany, a na ścianach nie ma wesołych rysunków. Powinien czuć się lepiej po wyjściu z ciasnego tunelu, ale wcale nie doznał ulgi. Stoi w pustym korytarzu, który na końcu zakręca i znika w ciemności. Jan podchodzi kawalek, by spojrzeć za róg. W ścianie po lewej stronie, w odległości około siedmiu–ośmiu metrów od niego znajduje się czarny jak smoła otwór – wejście do innego pomieszczenia. Waha się, lecz cicho i ostrożnie rusza w tamtym kierunku.

Znajduje się w całkiem obcym świecie i jest zupełnie sam. Mrugając w ciemności, przywołuje twarz Alice Rami – nie taką, jaką miała, kiedy się spotkali, będąc nastolatkami, lecz tę, którą wymyślił podczas tych wszystkich samotnych wieczorów. Tak według niego wygląda jako dorosła kobieta. Piękna, inteligentna, z bagażem doświadczeń. Może trochę zmęczona i naznaczona przeszłością, ale silna i uśmiechnięta.

Rami – jego pierwsza miłość, jego jedyna dziewczyna.

Szuka w korytarzu włącznika światła, ale bezskutecznie. Bez światła aniola byłoby tu kompletnie ciemno, choć nie świeci on już tak jasno jak wcześniej, a Jan nie ma zapasowych baterii.

Przy końcu korytarza unosi lampkę przed siebie i ostrożnie zagląda do pokoju. Jest to olbrzymie piwniczne pomieszczenie, wydające się nie mieć końca. Posadzka i ściany pokryte są białymi płytkami. Podłoga zszarzała z brudu i kurzu, a na wszystkich jasnych powierzchniach widoczne są ślady czarnej pleśni.

Czy to łazienka? Nie. Wzdłuż ścian stoją połamane regały i puste metalowe stoły. Jeszcze dalej widać kilka foliowych zasłonek, zaciągniętych do połowy wokół zardzewiałych łóżek i niskich umywalk.

To pokój badań, który najwyraźniej zamknięto i porzucono wiele lat temu. Jan obejmuje wzrokiem wykafelkowane ściany. Serce zaczyna mu bić mocniej.

Właśnie dostał się do Świętego Psychola.

Rytuály

Madness is a sad, grim business. Loss of control is hardly romantic.
Instead of bringing a release from reality, it becomes a more complex trap.

Julian Palacios, *Lost in the Woods*

Szaleństwo to smutna i ponura sprawa. Utrata kontroli daleka jest od romantyzmu.
Zamiast być ucieczką od rzeczywistości, staje się bardziej skomplikowaną pułapką.

Ryś

W ciemności Jan nie widział w lesie zbyt wiele, ale zewsząd otaczały go dźwięki dziczy. Jego buty uderzały rytmicznie o kamienie i żwir, nocny wiatr szumiał w gałęziach świerków, gdzieś nad jeziorem huczała sowa. Dudniły też bębny, ale tylko w jego głowie.

Było dwadzieścia pięć po dziewiątej, kiedy wychodził z wąskiego jaru. Wzniesienie znajdujące się po lewej stronie było czarną bezkształtną bryłą, ale Jan bez problemu znajdował drogę w jego cieniu. Kilka minut później stał już na ścieżce biegnącej poniżej bunkra. Spojrzał w górę. Nie słyszał wołania ani płaczu.

Wchodził na szczyt zbocza jak kot, cicho i ostrożnie, aż pod zamknięte metalowe drzwi. Doszedłszy na miejsce, odsunął gałęzie, pochylił głowę ku wejściu i znowu wyteżył słuch. Nic nie usłyszał.

Powoli odsunął rygle, otworzył drzwi i wetknął głowę do środka. Nic nie słyszał, niczego nie czuł. W bunkrze nie było ani ciepło, ani zimno.

Nie wyczuwał też zapachu strachu.

Wstrzymał oddech. Nic się nie poruszało. W tym bezruchu panującym między betonowymi ścianami usłyszał słaby oddech. Wślizgnął się do środka. Powoli i ostrożnie wyjął telefon komórkowy i włączył go, oświetlając schron słabym białym światłem.

Na środku podłogi stał włączony robot z błyskającymi żaróweczkami. W rogu leżały dwa opróżnione kartoniki po napojach, tuż obok otwartych torebek ze słodyczami i zwiniętego papierka po kanapce. Dobrze, William jadł i pił w ciągu dnia. Na wypadek, gdyby chciał zrobić siusiu, na końcu pomieszczenia Jan zostawił wiaderko.

Na materacu leżało małe ciałko: to William. Delikatnie poruszał się we śnie. W końcu wieczorem chłopiec musiał się poczuć zmęczony i położył się przy betonowej ścianie. Teraz spał spokojnie pod grubą warstwą koców.

Jan wszedł w głąb pomieszczenia, zabrał wiadro i opróżnił je w ciemności, mniej więcej dziesięć metrów od bunkra. Następnie wrócił i położył się na plecach, żeby słuchać, jak William oddycha. W tej dokładnie chwili całe ciało Jana ogarnął fantastyczny spokój. Był pewny zwycięstwa, czuł się niemal szczęśliwy na myśl, że tego dnia wszystko tak doskonale się ułożyło. Udało się zwać Williamem i zamknąć, a jednocześnie chłopiec nie doznał przy tym najmniejszej szkody.

Zniesie to bez problemu. Czterdzieści sześć godzin minie szybko.

Najgorzej mieli rodzice Williama, Jan wiedział, że to oni cierpieli w tej chwili najbardziej. Niepokój stał się lękiem, po czym przerodził się w przerażenie. Tej nocy nie zasną nawet na minutę.

Jan zamknął oczy. W lesie było tak dobrze. Poleży sobie tu chwilę, będzie czuwał nad Williamem, mimo że nie jest tego nikomu winien – żaden dorosły nie czuwał nad Janem, kiedy on przebywał w zamknięciu.

Jan idzie przez piwnice Patrycji, stawiając krótkie kroki i zatrzymując się często, jak speleolog w nieznanym świecie jaskini. Brnie powoli naprzód przez kręte korytarze i ciemne sale, a jego jedynym wsparciem w tej wędrówce jest maleńka żarówka. Anioł trzymany w prawej dłoni jeszcze nie zgasł, ale jego światło słabnie z każdą minutą.

Szpitalna sala, do której trafia na samym początku, nie ma innych wyjść, więc Jan zawraca, by ruszyć dalej korytarzem. Ten po kilku metrach skręca w prawo, następnie jeszcze raz w prawo, a później w lewo, prowadząc do kolejnej dużej sali, w której ściany i podłoga także wyłożone zostały płytkami. Coś chrzęści mu pod butami – to leżące na ziemi rozbite szkło.

Przedszkole zdaje się w tej chwili tak odległe. Jan bezustannie ma ochotę zawrócić w stronę bezpiecznego schronu. A jednak wciąż idzie dalej.

W otaczającej go ciemności nadal panuje cisza. Ten stan go uspokaja.

Z dużej sali prowadzi cztery wyjścia. Jan podchodzi do nich po kolei, kierując w ich stronę strumień światła. Za każdym z otworów znajduje się zakurzony piwniczny korytarz, kończący się zardzewiałymi metalowymi drzwiami. Przy trzech wyjściach Jan zawraca, lecz w czwartym korytarzu na podłodze jest mniej kurzu, jakby ktoś tędy niedawno przechodził. Drzwi także wyglądają na mniej zardzewiałe, więc podchodzi i je otwiera.

Za drzwiami jest następny korytarz, a po obu jego stronach rzędy kolejnych drzwi. Jan zostawia stalowe drzwi szeroko otwarte i wchodzi. Zagląda przez pierwszy otwór – jest to mały pokój, w którym stoi tylko stare żelazne łóżko bez materaca. Kiedy przekroczy próg, oświetla betonowe ściany, widzi przypięte do nich pinezkami wyblakłe pocztówki oraz nieczytelne bazgroły. Pomieszczenie było pewnie niegdyś salą dla chorych lub celą.

Jan przypomina sobie Norę w piwnicy Kapedimu i szybko wycofuje się z pokoju.

Przechodzi od drzwi do drzwi, zaglądając szybko do każdej celi, ale jedyne, co widzi, to nagie ściany i stare metalowe łóżka. Kroki Jana stają się coraz szybsze. Nigdy szczególnie nie bał się ciemności, ale tu na dole samotność staje się z każdą chwilą bardziej nieznośna. Otwory w ścianie przypominają otwarte czarne usta, gotowe w każdej chwili go połknąć. Czy są puste? W końcu włącza znowu anioła i unosi do ust.

– Wszedłem w głąb piwnicznych korytarzy – mówi – ale nie sędzę, żeby ktoś jeszcze używał tych pomieszczeń... Lampy tu nie działają.

Anioł w jego dłoni milczy, ale Jan ma nadzieję, że Hanna go słucha.

– No dobra, chyba mogę już zawracać...

Milknie. Odzywianie się w tym miejscu nie jest chyba do końca bezpieczne. Z każdym wypowiedzianym słowem wżmaga się w nim odczucie, że ktoś stoi i słucha. Czujne uszy osoby czającej się gdzieś w ciemności.

– Do zobaczenia wkrótce – szepcze do mikrofonu w nadziei, że Hanna go słyszy, po czym wyłącza urządzenie.

Korytarz ostro zakręca, a Jan podąża nim dalej. Przejście prowadzi go do kolejnej sali szpitalnej, gdzie stoją stalowe stelaże i wiszą białe kotary. Jan wchodzi do wewnątrz. Czy to nowa sala, czy już był tu wcześniej?

I d ź d a l e j. Jeden krok, później drugi, trzeci i czwarty...

Kiedy wchodził pod podłogę, trochę obawiał się szczurów, teraz jednak dociera do niego, że to on jest tu szczurem. To on nie ma odwagi pisnąć i skrada się ostrożnie, uważnie nasłuchując.

W sali cienie zaczynają zbierać się wokół niego. Zaczyna go opanowywać lęk przed ciemnością, skręca więc w prawo, próbując trzymać się blisko ściany. Z początku wydaje się, że sale stały opuszczone przez dziesięciolecia, lecz po chwili Jan dostrzega świeższe ślady wizyt. Na drewnianej półce, obok kilku starych ciemnobrązowych stoików leży zwinięty program z lokalnego meczu piłkarskiego. Kiedy Jan przygląda mu się z bliska, okazuje się, że pochodzi z ubiegłego sezonu. Nieco dalej na kafelkach widać jakieś napisy wykonane tuszem. W jednym miejscu pod sufitem widnieje napis: JEZU, ZBAW MNIE W SWOJEJ KRWI, wymalowany rozstrzelonymi literami. Na innej ścianie, nieco bliżej podłogi odczytuje słowa: CHCĘ CIEPŁEJ KOBIETY! Wygląda na to, że oba zdania zapisała ta sama osoba.

W podziemiach jest zimno, ale mimo to Jan się poci. Odsuwa na bok jedną rozdartą plastikową zasłonkę, za którą odkrywa stare biurko z szufladami. Podchodzi i pociąga za uchwyty, lecz szuflady zamknięto na klucz. Daje za wygraną i w zamyśleniu spogląda na sufit. Gdzieś ponad nim jest teraz Rami. Hanna twierdzi, że kobiety przebywają w szpitalu na dwóch odrębnych oddziałach. Jak można się tam dostać?

I gdzie jest Ivan Rössel? Tu w ciemnościach jego obecność jest niemal namacalna. Jan nie może zapomnieć jego uśmiechu widzianego na ekranie komputera. Ma nadzieję, że Rössel i inni niebezpieczni pacjenci są odizolowani od świata.

Nagle Jan słyszy w oddali jakiś huk. Tuż po nim następuje przeciągłe wołanie, jak echo. Jan nie wie dokładnie, z której strony dochodzą dźwięki. Może są jedynie złudzeniem, ale sprawiają, że staje nieruchomo i nasłuchuje. Nie słyszy niczego więcej, mimo to w końcu postanawia zawrócić. To te dźwięki, to ciemność i samotność tu w dole. Godzina już późna, a światło anioła – coraz słabsze.

Odwraca się, robi kilka kroków w głąb pokoju, oświetlając sobie drogę i kolejne wejścia – ale przez które drzwi właściwie tu wszedł? Nie pamięta.

Podchodzi i wybiera jedne z nich, te po prawej stronie. Za nimi rozciąga się długi korytarz. Nagle Jan dostrzega światło. Idzie więc przed siebie, skręca za rogiem i wchodzi do większej hali, gdzie świecą się przytłumione nocne lampy. Po drugiej stronie pomieszczenia dostrzega szerokie szklane drzwi oznaczone zieloną tabliczką z napisem: WYJŚCIE. Za nimi widać oświetlone kamienne schody.

Jan pojmuje, że znalazł schody prowadzące na szpitalne oddziały. Pewnie rusza do przodu, lecz nagle staje jak wryty. Ponad szklanymi drzwiami umieszczono metalową skrzynkę z czarną soczewką.

Kamera.

Jeśli podejdziesz bliżej, kamera go zarejestruje. Zawraca więc do szpitalnej sali, by wybrać drzwi po lewej stronie. Tym razem korytarz ma zaledwie trzy metry długości, a kończy się metalowymi drzwiami.

Jan zablądził.

W tej chwili ogarnia go panika, lecz udaje mu się ją przezwyciężyć. Odwraca się i powoli

idzie z powrotem, stąpając po wyłożonej płytkami podłodze. Wszystko będzie dobrze, odnajdzie właściwą drogę, jeśli tylko weźmie się w garść i sprawdzi wszystkie drzwi. Gasnącym światłem anioła omiata ściany i na chybił trafił wybiera jedno z wyjść. Za nim znajduje się długi korytarz, który zdaje się zarówno stary, jak i nieznamy. Jan rusza nim jednak, mija dwoje zamkniętych drzwi, by na końcu dotrzeć do trzecich. Te drzwi są zwyczajne, drewniane.

Opuściła anioła i je otwiera. W tej chwili oślepia go ostre światło. Pod niskim sufitem wiszą zapalone świetlóówki. Uderza go ciepłe powietrze pachnące chlorem. Na dużych białych blaszanych skrzyniach widzi regulatory i migające lampki. Szumią i huczą wielkie wentylatory i silniki elektryczne, a dalej u sufitu znajduje się szyna, na której wiszą kosze wypełnione pościelą i ubraniami.

Jan rozumie, że trafił do pralni – do szpitalnej pralni Świętej Patrycji.

Nie jest tu sam. W odległości zaledwie pięciu czy sześciu metrów stoi wysoki szczupły mężczyzna w szarym kombinezonie, odwrócony plecami do Jana i składający prześcieradło. Przy pasku ma mały odtwarzacz muzyki, a w uszach – słuchawki. Do tej pory nie zauważył intruza. Ale jeśli się odwróci...

Jan nie czeka na ten moment. Szybko i bezszelestnie zamyka drzwi pralni, by ruszyć korytarzem z powrotem do szpitalnej sali. Doszedłszy do niej, podchodzi do kolejnych drzwi. Choć właśnie o mało go nie zauważono, czuje się spokojniejszy, idąc przez salę. Tu na dole w piwnicy są ludzie – zwyczajni ludzie wykonujący swoją pracę...

W tym momencie jego uszu dobiegają kolejne dźwięki, tym razem z bliższej odległości. Z jednego z otworów słychać czyjś głos. Ktoś śpiewa cicho i monotonnie. Po chwili Jan słyszy więcej głosów w chórze. Pieśń brzmi jak stary psalm, chociaż trudno Janowi rozróżnić słowa, odbijające się echem między ścianami.

Pracownicy czy pacjenci?

Jan nie chce wiedzieć, kto śpiewa o tak późnej porze. Ostrożnie idzie naprzód, blisko ściany. Gotowy do ucieczki. W końcu odnajduje właściwe drzwi. Wchodzi w korytarz z przylegającymi do niego małymi celami, a stąd rusza przez pierwszą salę i dalej do schronu. Tu czuje się niemal bezpiecznie. Tym razem nie musi pełznąć pod podłogą – od tej strony da się otworzyć stalowe drzwi i dostać do Polany przez schron.

Tu znowu jest ciepło i jasno, więc Jan wyłącza anioła.

Dochodzi północ, ale Hanna wciąż czuwa, kiedy Jan wreszcie dociera do przedszkola. Wpatruje się w niego intensywnie i niemal wesoło. Na krótką chwilę Jan zapomina o Rami.

– Słyszałam cię – mówi, wyciągając przed siebie anioła. – Głośno i wyraźnie.

– To dobrze – odpowiada Jan.

– Widziałeś tam coś?

– Niezbyt wiele. – Bierze głęboki oddech i wyciera czoło. – Podziemia są jak labirynt. Pełno tam korytarzy i starych sal szpitalnych. Wydaje mi się, że słyszałem czyjeś głosy...

– Znalazłeś jakieś wejście na oddziały? Albo windę?

Jan potrząsa głową.

– Dotarłem tylko do pralni... I nie byłem tam sam.

– Kogo spotkałeś? Kobiety, mężczyzn?

– Jednego mężczyznę. Pewnie to ktoś z pracowników... ale mnie nie widział.

Hanna kiwa głową, lecz sprawia wrażenie, jakby jej to nie interesowało.

– A więc wyprawa poszła na marne.

– Nie – sprzeciwia się Jan. – Teraz wiem, jak się tam poruszać.

Kapedim

Za każdym razem, kiedy Jan siedział przy biurku w swoim pokoju, widział ogrodzenie i drut kolczasty. Nie sposób było uniknąć tego widoku. Mur był przynajmniej dwa razy wyższy od niego. Pod oknem Jana znajdował się trawnik, dalej wznosiło się ogrodzenie, a dopiero za nim był chodnik biegnący w stronę miasta.

Jan zdawał sobie sprawę, że mur nie tylko zagradza mu drogę wyjścia z Kapedimu, lecz stanowi także ochronę przed resztą świata.

Co takiego zrobił, że musiał się tu znaleźć?

Spojrzał na bandaż na przedramionach. Wiedział, co zrobił.

Poprosił Jörgena o papier i ołówki, żeby trochę porysować. Właśnie naszkicował na kartce prostokąt, by rozpocząć nowy komiks. Łekliwy, jego własny superbohater, walczył z Bandą Czterech na dnie ciemnego wąwozu. Lekliwego nie można było zranić niczym poza ostrym światłem, dlatego banda próbowała nakierować na niego lampy laserowe.

Nagle usłyszał pukanie do drzwi. Sekundę później drzwi otworzyły się, zanim jeszcze Jan zdążył odpowiedzieć. Do środka zajązwał mężczyzna w szarym wełnianym swetrze. Miał brodę, ale był zupełnie łysy.

– Cześć, Janie – przywitał się. – Dobrze, że jesteś na nogach.

Jan nie odezwał się ani słowem.

– Mam na imię Tony... Jestem tu psychologiem. Sprawdzamy tylko, jak się czujesz.

P s y c h o l o g. Teraz zaczną grzebać w jego życiu.

Tony odsunął się na bok, przepuszczając młodego pielęgniarza, który podszedł do Jana ze stetoskopem. Mocno przycisnął go do klatki piersiowej Jana, słuchał, po czym odsunął bandaż i przyglądał się zaszytym ranom, biegnącym wzdłuż nadgarstków.

– Wygląda na zdrowego – powiedział pielęgniarz. – Prawie jak nowy.

– Fizycznie – odparł Tony.

– No tak... Duszą ty się zajmiesz.

Żaden z nich nie rozmawiał bezpośrednio z Janem, a pielęgniarz nie dostrzegł jego blizn po oparzeniu. Kiedy skończył badanie, wstał bez słowa.

– Czy niedługo mnie wypiszecie? – Jan skierował pytanie do ich pleców.

Odpowiedź nie padła. Tony już zdążył zamknąć drzwi.

Zaledwie po kilku kratkach komiksu Jan przerwał rysowanie. Wrócił do łóżka i leżąc, gapił się w sufit. Będzie musiał zostać w Kapedimie, aż ktoś w końcu go wypuści. Inni decydowali o jego losie, już zdążył się do tego przyzwyczaić.

Leżał dalej, nie chciał wychodzić.

Przez ścianę znowu usłyszał dźwięk gitary. Dziewczyna w pokoju obok wciąż wygrywała swoje akordy, w kółko te same, ale teraz wybijała je już szybciej. Zaczęła też do nich śpiewać. Jan odwrócił głowę do ściany i słuchał. Słowa były angielskie, ale większość rozumiał. Rami śpiewała o domu w Nowym Orleanie, który nazywano *The Rising Sun* i który zniszczył życie wielu młodych dziewczyn. Śpiewała ciągle te same wersy, zanim w końcu przyznała przed Bogiem, że była jedną z dziewczyn zniszczonych w tym domu.

Im dłużej Jan słuchał muzyki, tym bardziej chciał pójść do dziewczyny. Słuchanie już mu nie wystarczało, chciał też na nią patrzeć.

Nagle usiadł i przyciągnął do siebie stojące przy biurku krzesło. Drewniany mebel miał cienkie siedzisko. Jan zaczął w nie bębnić w rytm akordów wygrywanych na gitarze. Szło mu całkiem nieźle, nie gubił tempa – w szkolnej orkiestrze był perkusistą. Nikt w szkole nie poprosił go o to, żeby zagrał w jakiejś kapeli rockowej, ale przynajmniej przez dwa lata grał na bębnach szwedzkie i niemieckie marsze. Było to całkiem fajne.

Jan nie miał po co żyć, ale dobrze trzymał rytm. Bębnił w krzesło coraz głośniej. Tak bardzo czuwał się w czterotakt, że nie usłyszał, kiedy gitara w pokoju obok ucichła. Grał na krzesło do chwili, kiedy nagle otworzyły się drzwi jego pokoju. Stała w nich dziewczyna z gitarą.

– Co ty robisz? – Nie była zdenerwowana, raczej zainteresowana.

Dłonie Jana zawisły w bezruchu nad krzesłem.

– Bębnię.

– A potrafiisz?

– Trochę.

Dziewczyna wpatrywała się w niego w zamyśleniu. Była wysoka i chuda. Ładna, chociaż trudno było dostrzec jakieś krągłości na jej ciele.

– Chodź ze mną. – Odwróciła się, jakby oczywiste było to, że Jan ruszy za nią. Tak też zrobił.

Wyszli na pusty korytarz, po czym skręcili w lewo. Dziewczyna otworzyła drugie drzwi po lewej stronie, oznaczone napisem: MAGAZYNEK.

– Tutaj można pożyczać różne rzeczy – wyjaśniła.

Schówek nie był wielki, ale stało w nim sporo regałów. Na półkach zaś leżały różne rzeczy. Na niektórych książki, na innych rakiety tenisowe, sterty szachów i gier planszowych.

Jan dostrzegł także papier, długopisy i zeszyty. To stąd Jörgen musiał przynieść kartki na komiks.

– Piszesz? – zapytała dziewczyna.

– Czasami... I rysuję.

– Ja też – odrzekła, wyjmując gruby czarny zeszyt. – Weź ten... Będziesz mógł pisać pamiętnik.

– Dziękuję.

Jan nigdy nie pisał o sobie, ale przyjął notatnik.

Na dwóch półkach leżały instrumenty muzyczne. Dziewczyna ruszyła w ich stronę.

– To tutaj znalazłam yamahę.

– Yamahę?

– Moją gitarę.

Obok regałów stała perkusja. Była bardzo mała, składała się tylko z mocno zużytego werbla, bębna basowego i talerza. Dziewczyna podeszła do zestawu i coś podniosła.

– Możesz wziąć to.

Ona zabrała werbel, a Jan – talerz i pałeczki. Dziewczyna ruszyła z powrotem do swego pokoju.

– Wejź.

Jan się zawahał, ale przekroczył próg. Zdziwiony rozglądał się po pokoju. Jego pomalowany był na biało, ten był zupełnie czarny. Przypominał jakieś studio. Sąsiadka po prostu zasłoniła ściany wielkimi czarnymi płachtami materiału.

Usiadła na łóżku z gitarą.

– No to gramy. Dobrze?

– Okej.

– Ty zaczynasz.

Jan wziął pałeczki i zaczął uderzać w werbel. Rozpoczął od spokojnego tempa na cztery, trącając talerz przy pierwszym i trzecim takcie. Po chwili szło mu już całkiem nieźle.

Widział, że dziewczyna siedzi i kiwa głową w rytm muzyki. Słuchała – ktoś obdarzył go zaufaniem. Nie był do tego przyzwyczajony. Dziewczyna otworzyła usta i zaczęła śpiewać, tym samym lekko zachrypniętym głosem, którym mówiła:

Jest pewien dom w Nyåker,
zwany Wschodem Słońca.
Zniszczył już tyle istnień,
i ja tam kiedyś trafiłam...

Najwyraźniej był to jedyny fragment, jaki znała, gdyż zaśpiewała go dwukrotnie, po czym zamilkła. W tej samej chwili Jan przestał grać. Zapadła cisza. Spojrzeli na siebie.

– Dobrze – powiedziała. – Jedziemy jeszcze raz.

– Jak się nazywasz? – zapytał Jan.

– Rami.

– Rami?

– Teraz tylko Rami. Masz z tym jakiś problem?

Jan pokręcił głową. Po chwili bez zastanowienia zadał inne pytanie:

– Dlaczego tu jesteś?

Rami wystarczyło pół sekundy, żeby odpowiedzieć, jakby to wcale nie było tak istotne:

– Ponieważ ja i moja starsza siostra zrobiłyśmy coś... coś głupiego. Właściwie głównie to moja siostra. Uciekła do Sztokholmu i teraz się ukrywa. Ja nie mogłam z nią jechać i wylądowałam tutaj.

– Co zrobiłyście?

– Próbowaliśmy otruć ojczyma. On jest ohydny.

Zapadło milczenie. Jan nie wiedział, co ma powiedzieć. Ciszę po chwili przerwało jednak wołanie:

– Jan! Jan Hauger!

Po plecach przebiegł mu dreszcz, choć właściwie ucieszył się, że coś przerwało im rozmowę. Otworzył drzwi.

To opiekun, ten, który przypominał Jezusa, ale na imię miał Jörgen.

– Janie, telefon do ciebie.

– Kto dzwoni?

– Jakiś kolega.

– Kolega? – Jan spojrzął na Rami. Skinęła głową.

– Dokończymy później.

Świetlica znajdowała się po drugiej stronie Kapedimu. Jörgen wskazał Janowi drogę, po czym zamknął za chłopcem drzwi. W pomieszczeniu były tylko łóżko, stół i telefon. Słuchawka leżała obok aparatu. Podniósł ją.

– Słucham – powiedział Jan.

– Hauger? Ty idioto. Pierdolony frajerze...

Jan rozpoznał głos. Nie odezwał się, z jego płuc uszło całe powietrze. Głos w słuchawce miał go aż w nadmiarze:

– A więc żyjesz – kontynuował. – Powinieneś być zdechnąć... Myśleliśmy, że już po tobie. Nawet zabić się nie potrafisz.

Jan słuchał i pocił się, jakby był w saunie. Najgorzej było z dłońmi – były tak wilgotne, że słuchawka o mało mu nie wypadła.

– Wiesz, co powiedzieliśmy wszystkim w szkole, Hauger?

Jan nie odpowiadał.

– Że widzieliśmy, jak stoisz pod prysznicem i w a l i s z k o n i a. I jęcysz...

– To nieprawda.

– Nie, ale nikt ci nie uwierzy.

Jan nabrał powietrza.

– Nic nie powiedziałem. Nie o was.

– Wiemy... Jeśli to zrobisz, zabijemy cię.

– I tak to zrobicie – odparł Jan.

W odpowiedzi usłyszał gromadny śmiech. Brzmiało to, jakby wokół telefonu stało kilku śmiejących się chłopaków. Następnie coś w słuchawce lekko trzasnęło. Spojrzął na swoje spodnie. Poniżej rozporka były mokre i ciepłe. Zsikał się.

Do domu Jan wraca po północy. Czuje się zmęczony – nie fizycznie, lecz psychicznie. Wizyta w piwnicy Świętego Psychola odebrała mu całą energię. Mimo to spokojnie przespia resztę nocy w swym łóżku. Budzi się wpół do ósmej. Godzinę później wyjeżdża na rowerze do przedszkola. Czeka go dzienna zmiana.

Na podwórku wszystko wygląda jak zwykle. Huśtawki są puste, a w piaskownicy leży kilka czekających na dzieci plastikowych łopatek. Kiedy jednak Jan otwiera drzwi wejściowe, zauważa, że coś musiało się stać. W szatni z kilkorgiem dzieci stoją Hanna i Andreas, choć Hanny nie powinno już tu być. Godzinę temu miała pójść do domu.

– Cześć, Janie! – wita go Andreas.

Jan uśmiecha się do kolegów, lecz żadne z nich nie odwzajemnia uśmiechu. Pyta więc:

– Wszystko w porządku?

Andreas kiwa głową.

– Tak, chyba... ale niedługo mamy spotkanie.

– Spotkanie personelu – dodaje Hanna.

– Czy to spotkanie motywacyjne? – pyta Jan.

– Nie wiem... Nie wydaje mi się.

Andreas nie wygląda na zaintrygowanego. Jan próbuje przybrać równie niewzruszony wyraz twarzy, ale kiedy zdejmuje kurtkę, na moment zatrzymuje wzrok na twarzy Hanny. Jej niebieskie oczy są jednak jak zawsze błyszczące, a spojrzenie – trudne do rozszyfrowania. Kobieta szybko odwraca wzrok.

*

Kwadrans później wszyscy siedzą w pokoju wychowawców. Wszyscy poza Marie-Louise, która stoi wyprostowana przed swoimi podwładnymi. Poprawia bluzkę, odchrząkuje, ściskając dłoń.

– Musimy o czymś porozmawiać – zaczyna. – O czymś poważnym. Jak wszyscy wiemy, zasady bezpieczeństwa w Polanie to sprawa najwyższej wagi, a niestety nie są przestrzegane... – Robi pauzę, po czym kontynuuje: – Kiedy dzisiaj o siódmej rano przyszłam do przedszkola, drzwi do piwnicy były otwarte. Niemal na oścież.

Patrzy na swoich pracowników, lecz nikt się nie odzywa. Jan z całych sił stara się nie unikać jej wzroku.

– Hanno, przed przyjściem pozostałych rozmawialiśmy na ten temat – ciągnie Marie-Louise – i powiedziałaś, że nie wiesz, jak to się mogło stać.

Hanna potwierdza skinieniem. Patrzy na szefową, nie okazując żadnych emocji. Jan jest pod wrażeniem jej spokoju.

– To naprawdę bardzo dziwne – mówi Hanna. – Mam wrażenie, że były zamknięte, kiedy kładłam się spać.

Marie-Louise wpatruje się w nią uważnie.

– Jesteś całkowicie p e w n a?

Hanna na mgnienie oka odwraca wzrok.

– Prawie.

Marie-Louise wdycha na dźwięk tego słowa.

– Drzwi muszą zawsze być zamknięte. Z a w s z e.

Atmosfera jest przygnębiająca. Jan siedzi obok Hanny, lecz milczy. Pustym wzrokiem patrzy na Marie-Louise, zastanawiając się, czy to on nie zamknął drzwi, kiedy wrócił z piwnicy.

Nagle słyszą jasny, radosny głosik:

– Dzień dobry, obywatelu!

Wszyscy odwracają głowy. To wołanie Miry, stojącej w drzwiach i uśmiechającej się szeroko do dorosłych swą dużą przerwą w górnym rzędzie zębów. Jan wie, że nauczyła się słowa „obywatel” przed kilkoma dniami i teraz używa go tak często, jak tylko może.

– Dzień dobry, Miro – odpowiada szybko Marie-Louise. – Niedługo do was wrócimy. Musimy jednak jeszcze chwilę porozmawiać...

– Ale Ville i Valle muszą się już położyć! Musimy im posłać łóżka!

– Janie – zwraca się do niego cicho Marie-Louise – mógłbyś pójść i ułożyć do snu lalki Miry?

– Oczywiście.

Jan cieszy się, że może opuścić pokój. Nie jest to miłe spotkanie – wyczuwa tę cienką nić tajnego porozumienia między sobą a Hanną i boi się, że ktoś z pozostałych ją zauważy.

– Dzień dobry, obywatelu!

– Cześć, Miro.

Dziewczynka wygląda na zadowoloną, że to właśnie Jan wchodzi do sypialni, żeby jej pomóc. Siadają obok jej łóżka, a Jan bierze obie lalki i kładzie je pod kołdrą.

Tutaj Jan się odpręża. Wszystkiego dopilnowuje, sprawdza, czy Ville i Valle leżą obok siebie i czy ich szmaciane głowy wystają spod kołdry. Dłońmi wygładza poszwę, likwidując wszystkie zagięcia materiału, ale mimo to do głowy wdzierają mu się inne myśli.

Zastanawia się oczywiście nad otwartymi drzwiami. J e ś l i to on zapomniał je zamknąć tej nocy, musi się bardziej pilnować. W przeciwnym razie prędzej czy później w przedszkolu także zainstalują kamerę.

– Gotowe – mówi. – Czy tak może być, Miro?

Dziewczynka kiwa głową i pochyla się nad łóżkiem. Lekko głaska każdą z lalek po głowie, po czym odsuwa się od łóżka. Dłubiąc w nosie, podnosi oczy na Jana.

– Czego chciał wujek? – pyta. – Chciał zabrać Villego i Vallego?

Jan spogląda na nią z niedowierzaniem.

– Jaki wujek?

Mira wyjmuje palec z nosa.

– No wujek... Ten, który tu był.

– Nie było tu żadnego wujka.

– Był – mówi Mira zdecydowanym głosem. – Widziałam go, jak było ciemno!

– Dzisiaj w nocy?

Kiwa głową na potwierdzenie.

– Stał t a m.

Mira pokazuje miejsce u nóg swojego łóżka. Jan spogląda w tamtym kierunku, ale milczy. Nie wie, co ma powiedzieć.

– Śniło ci się – mówi w końcu. – Tylko ci się śniło, że był tu jakiś wujek.

– Wcale nie!

– Ależ tak, Miro. Przecież śniesz czasami. Śnią ci się różne rzeczy, które tak naprawdę nie istnieją, na przykład że jesteś na zewnątrz i się bawisz, chociaż ciągle leżysz w łóżku. Prawda?

Mira zastanawia się przez chwilę i przytakuje. Udało mu się ją przekonać, mimo że sam nie jest przekonany. Mężczyzna w dziecięcym pokoju?

– Wszystko jest w porządku – zapewnia. – Ville i Valle mogą już spać.

Wychodzą z pokoju. Mira wyprzedza go biegiem i pierwsza przekracza próg. Wygląda, jakby już zapomniała, co przed chwilą mówiła.

Jan nie zapomina. Wraca do pokoju wychowawców, ale przy stole nie ma już nikogo. W pomieszczeniu jest tylko Andreas, który myje swój kubek. Jan podchodzi, by nalać sobie świeżej kawy, i pyta mimochodem:

– Już po spotkaniu?

– Tak.

– No i jakie wnioski?

– Nic szczególnego – odpowiada Andreas. – Drzwi muszą być zamknięte. Mamy je zawsze za sobą zamykać i sprawdzać, czy inni to robią.

– Brzmi rozsądnie – stwierdza Jan.

Nagle słyszy za sobą trzaśnięcie drzwi wyjściowych.

Hanna właśnie opuściła przedszkole – wraca do domu po nocnym dyżurze. Jan wkłada szybko buty i wybiega za nią. Dogania ją przy furtce i cicho woła:

– Hanno?

Kobieta zatrzymuje się i odwraca, ale patrzy na niego, jakby w ogóle się nie znali.

– Idę do domu – mówi. – O co chodzi?

Jan rozgląda się – na podwórku przed przedszkolem nie ma nikogo, ani dzieci, ani personelu. Nie odważa się jednak powiedzieć wszystkiego.

– Mira miała koszmary.

– Tak?

Głos Hanny jest chłodny i brzmi neutralnie. Jan mówi ciszej:

– Śnił jej się jakiś wujek.

– Naprawdę? Miewała już takie sny, to...

– On stał tej nocy w sypialni, przy jej łóżku.

Hanna patrzy na niego pustym wzrokiem, a Jan jeszcze bardziej ścisza głos, wydobywając z siebie stłumiony szepot:

– Hanno, czy ty wpuszczasz nocą kogoś przez łącznik? Pacjenta, który może wejść do dzieci?

Dziewczyna odwraca wzrok.

– Nie bój się. To przyjaciel.

– Przyjaciół? Twój?

Hanna nie odpowiada, tylko zerka na zegarek i rusza w stronę przystanku.

– Za chwilę mam autobus.

Jan wzdycha i idzie za nią.

– Hanno, musimy...

Hanna przerywa, nie patrząc mu w oczy:

– Nie mogę więcej o tym mówić. Musisz mi zaufać... Wszystko jest w porządku. Wiemy, co robimy.

– My? To znaczy kto, Hanno?

Dziewczyna się nie zatrzymuje, otwiera furtkę i zamyka ją za sobą. Jan zostaje na miejscu, patrząc za nią, jak przechodzi przez ulicę. Przypomina mu się stary dowcip, który właściwie nie jest zbyt śmieszny:

„Kim była dama, z którą cię wczoraj widziałem?”

„To nie dama, to moja żona”.

Kiedy wraca do przedszkola, w głowie słyszy tylko pytanie Miry:

Proszę pana, kim był wujek, którego widziałam przy łóżku dzisiaj w nocy?

I słyszy też własną odpowiedź:

To nie wujek. To Ivan Rössel.

W drodze powrotnej do domu Jan składa przed samym sobą cichą obietnicę: koniec z tajemnymi wizytami w Świątym Psycholu. Nie będzie chodził ani do piwnicy, ani do pokoju odwiedzin. Po reprimendzie ze strony Marie-Louise te wycieczki muszą się skończyć.

To raczej nie on zapomniał zamknąć drzwi do piwnicy. Bardziej prawdopodobne, że to Hanna – chociaż właściwie nie ma to żadnego znaczenia. Hanna także powinna skończyć z nocnymi wizytami w klinice.

Nie powinna – m u s i.

Wchodząc do mieszkania, widzi, że dostał pocztę. Na wykładzinie w przedpokoju leży gruba koperta – oczywiście nie jest adresowana do niego, na kopercie zapisano litery „Ś.P.". On znowu ma tylko odegrać rolę kuriera.

Jan wzdycha, stawiając długi krok nad przesyłką. Wchodzi do holu, nie chcąc jej dotykać. Listy nie mogą jednak tu zostać, więc ostatecznie je podnosi. Teraz, kiedy już ma je w dłoni, równie dobrze może je otworzyć.

Trzydzieści sześć małych i dużych listów – oto zawartość koperty. Jan przegląda je powoli przy kuchennym stole. Żaden nie jest zaadresowany do Marii Blanker, ale aż jedenaście ma trafić do jednej i tej samej osoby: do Ivana Rössela. Najwyraźniej ma wielu korespondencyjnych przyjaciół.

Ale czego mogą od niego chcieć?

Jan myśli przez chwilę o Hannie i o otwartych drzwiach do piwnicy. Następnie szybkim ruchem wyciąga z paczki jeden z listów do Rössela. Zwyczajna biała koperta, bez nadawcy, zaklejona dość niedbale. Bierze nóż i na rogu koperty próbuje podważyć pasek z klejem. Zamknięcie szybko się poddaje. List jest otwarty.

Jan nie jest dumny z czytania cudzej korespondencji. Wkłada jednak dwa palce do koperty i ostrożnie wyjmuje jej zawartość. Składa się na nią kilka cienkich kartek papieru, zapisanych starannym pismem:

Najdroższy mój Ivanie!

Ivanie, to znowu Carin. Carin z Hedemory, o ile mnie pamiętasz. Zorientowałam się, że w poprzednim liście zapomniałam opowiedzieć o swoich dwóch psach. Jeden z nich to jamnik, a drugi terier. Wabią się Sammy i Willy i wspaniale się razem bawią, a mnie jest z nimi bardzo dobrze. Cudownie jest chodzić wspólnie na spacer.

Myśl, żeby dać się ponieść marzeniom, jest bardzo kusząca, zwłaszcza że tak często jestem zestrewowana z powodu natłoku obowiązków. Tyle odpowiedzialności! Wciąż te niezaplaczone rachunki, no i oczywiście moja praca, na którą muszę dbać. Nie mogę opuścić już żadnego dnia. Trzeba też oczywiście wyjść z Sammym i Willym, nakarmić ich, pielęgnować. I to codziennie.

Cały czas myślę jednak o Tobie, Ivanie. Przesyłam Ci całą swoją miłość. Ciepło mojej duszy wznosi się w górę jak płomień, biegnie po niebie, by opaść do Twojego pokoju i wlać się do Twojego serca. Mam dla Ciebie tyle Miłości i Czulości, wszystko o Tobie przeczytałam.

Wiem, że my wszyscy, żyjący poza więziennym murem, możemy być tak samo uwięzieni przez

życie jak wy tam zamknęci. Wiele myślałam, w jaki sposób można przedostać się przez wszystkie mury, które nas otaczają. Ty jednak sprawiasz, że czuję się wolna i tęsknię, i marzę, abyśmy mogli się spotkać...

List zajmuje jeszcze trzy strony, na których zapisane zostały długie wyznania miłosne do Ivana Rössela i marzenia o wspólnym życiu. Załączono także zdjęcie uśmiechniętej kobiety, siedzącej w otoczeniu dwóch psów.

Jan składa razem kartki i ostrożnie wsuwa je do koperty. Przynosi klej i zakleja na nowo kopertę. Kolejnych nie otwiera.

List miłosny do Ivana Rössela. Tak przynajmniej wygląda. Jan czytał kiedyś, że brutalni przestępcy, którzy trafiają do więzienia, często otrzymują listy pełne podziwu – sterty korespondencji od osób, których nigdy nie spotkali. Listy od kobiet, które chcą pomóc im zostać lepszymi ludźmi. Czy wszyscy piszący do Rössela chcą ofiarować mu wsparcie?

Myśli też o Rami i o liście, który zaczął do niej pisać. Jego miłość jest inna. Zupełnie inna. „Wiewiórka chce się wdrapać na ogrodzenie – napisała. – Wiewiórka chce opuścić kołowrotek”.

To było niemal dwa tygodnie temu. Od tamtej chwili nie wracał do listu. Obiecał też sobie, że nie będzie już przemycał korespondencji.

Mimo to wyciąga arkusz papieru. Jeśli Rami przebywa w klinice pod nazwiskiem Blanker i jeśli Jan ma do niej napisać list, jak powinien to zrobić? Nie chce wyjść na jakiegoś chorego z miłości nieznanego, jak Carin z Hedemory.

Jan chce opowiedzieć, kim jest. Bierze więc pióro i pisze:

Cześć, mam na imię Jan! Myślę, że spotkaliśmy się dawno temu w innym mieście, w domu nazywanym Kapedimem. Pamiętam, że nazywałaś się wtedy Alice, ale miałaś dość tego imienia. Grałaś na gitarze, a ja na bębnach, wiele rozmawialiśmy. Lubiałem z Tobą rozmawiać.

A teraz jesteś w szpitalu Świętej Patrycji. Nie wiem dlaczego, ale to nie jest dla mnie ważne. Ważne jest tylko to, że chcę Ci pomóc.

Coś już zrobiłem, a mianowicie pokolorowałem ilustracje do książek, które chyba zostawiłaś w przedszkolu. Chcę jednak zrobić więcej. O wiele więcej.

Chcę znaleźć drogę w życiu dla nas obojga i Ci pomóc...

Jan podnosi pióro, przygląda się zapisanym linijkom. „Uciec” – chyba to chce napisać? Powstrzymuje się jednak. Jeśli Rami sama nie pragnie ucieczki, on nie może jej tego proponować.

W Kapedimie średnio raz dziennie mówiła, że chce zwać. Chciała uciec z kliniki dla młodzieży, chciała spotkać się ze starszą siostrą, chciała wyjechać do Sztokholmu – miała zaledwie czternaście lat i wielkie plany.

Jan nie miał takich planów. Chciał tylko być z Rami.

Prawdziwa miłość nie umiera śmiercią naturalną. Mordują ją ci, którzy nami rządzą. Właśnie to powinien był napisać. Nie udał mu się ten list. Zgniatą papier w kulkę i zaczyna od początku:

Mario, nazywam się Jan Hauger i pracuję w Świętej Patrycji, ale nie w samym szpitalu. Jestem wychowawcą w przedszkolu, chociaż czasami wydaje mi się, że jestem rysiem. Ty masz nowe imię i przestrzegasz siebie jako wiewiórkę, ale kiedy się znaliśmy, nazywałaś się Alice Rami, prawda?

Jestem niemal pewny, że tak właśnie jest i że to Ciebie spotkałem w innym mieście, w miejscu zwanym Kapedimem. Że miałem pokój tuż obok Twojego. Graliśmy razem i zwierzałyśmy się sobie z największych tajemnic – obiecaliśmy zrobić dla siebie wszystko, gdy już stamtąd wyjdziemy. Zawarliśmy pakt.

Bardzo chciałbym znowu się z Tobą spotkać i porozmawiać o naszym układzie, ponieważ ja wypełniłem swoją część. Myślę, że Ty swoją również...

Kapedim

– Spójrz!

Krzyk Rami sprawił, że Jan aż podskoczył. Siedział na podłodze, akompaniując spokojnie na perkusji jej gitarowym akordom, i niemal uspił go rytm, lecz ona nagle przestała grać. Wstała z łóżka i podeszła do biurka pod oknem. Pokazywała coś palcem.

– Widziałeś moje obronne zwierzę?

Jan przestał bębnić.

– Co takiego?

– Tam jest, na trawniku.

Jan nie miał pojęcia, o czym mówiła, więc wstał i wyjrzał przez okno – po trawniku poruszały się małe brązowe stworzonko, tam i z powrotem. Po każdym wykonanym skoku zatrzymywało się w bezruchu i rozglądało dokoła, po czym skakało dalej.

– To wiewiórka – stwierdził Jan.

– Wiewiórki przynoszą szczęście, tak przynajmniej mówi moja babcia Karin – powiedziała Rami w stronę szyby. – To ja ją wymyśliłam... Mogę też wysłać ją na wolność.

I niemal w tej samej chwili wiewiórka skręciła w stronę ogrodu. Skoczyła w górę na stalowe oka siatki, chwyciła się łapkami i wdrapała wyżej. Prześlizgnąwszy się pod drutem kolczastym, wykonała szaleńczy skok w stronę gałęzi drzewa rosnącego za ogrodzeniem. Udało jej się chwycić koniec gałęzi, wskoczyła na nią zwinnie i zniknęła.

– I już, na wolność... – Dziewczyna spojrzała na Jana. – To moje myśli uciekły właśnie za ogrodzenie. Teraz są już wolne!

Jan znowu spojrzał na Rami, aby sprawdzić, czy nie żartuje. Wyglądało na to, że nie. W każdym razie minę miała poważną.

Nagle dostrzegł, że pochyla się do przodu i stoi dość blisko niej. Czuł jej zapach, mieszaninę trawy i żywicy. Sytuacja zaczynała się robić niezręczna. Musiał coś powiedzieć.

– A więc... nazywasz się Rami i to wszystko?

Skinęła.

– Wcześniej miałam na imię Alice, ale Rami wystarczy. – Podeszła z powrotem do łóżka i wzięła do ręki gitarę, zagrała dwa akordy i spojrzała na Jana. – Wiesz, co powinniśmy zrobić?

– Co takiego?

– Damy koncert – odpowiedziała. – Jeszcze trochę poćwiczymy, a później zagramy dla duchów.

– Jakich duchów?

– Wszystkich, które są więzione w Kapedimie.

Jan kiwnął głową, chociaż nie postrzegał siebie jako więźnia. Dla niego ogrodzenie było ochroną przed resztą świata.

Nagle otworzyły się drzwi. Czarnowłosa lekarka w błyszczących dużych okularach wtknęła głowę do pokoju Rami.

– Alice?

Na widok kobiety Rami zastygła w bezruchu.

– Co?

– Nie zapomnij o naszej dzisiejszej terapii. O trzeciej.

Rami nie odpowiedziała.

– Porozmawiamy tylko – ciągnęła kobieta. – Na pewno poczujesz się dobrze.

Drzwi się zamknęły.

– Psychopapla – syknęła Rami do Jana. – Nienawidzę jej.

Piąty poranek w Kapedimie Jan spędzał, siedząc w swoim pokoju i rysując komiks o Łękiwym i Bandzie Czterech. Na łóżku leżała jego pościel. Już wyschła. Kiedy się obudził, prześciera-dło było mokre.

Na biurku zostawił pamiętnik podarowany mu przez Rami. Okładkę ozdobił swoim zdjęciem z polaroidu, które przykleił taśmą. Później zaczął pisać. Opisał wszystko, co wydarzyło się w ostatnim tygodniu – to, co powiedziała Rami, i to, co on sam myślał. Zapisał wiele stron, linijka pod linijką. Dziwne.

Nagle usłyszał pukanie do drzwi. Zrobił tak, jak Rami miała w zwyczaju, czyli nie od-powiedział, ale drzwi oczywiście i tak się otworzyły.

Ujrzał w nich brodatą twarz psychologa. Tego o imieniu Tony.

– Cześć, Janie! Porozmawiamy sobie teraz.

Jan znieruchomiał.

– A o czym?

– Tak sobie myślę, że o chłopcu, który nazywa się Jan Hauger. – Na twarzy Tony’ego poja-wił się uśmiech. – Chodź, przejdziemy do mojego pokoju.

Jan wciąż siedział przy biurku z ołówkiem w dłoni i arkuszem papieru przed sobą – przy-pomniał sobie ostrzeżenie usłyszane przez telefon. Nie zamierzał nic powiedzieć.

Psycholog czekał jednak spokojnie i ostatecznie wygrał. Jan wstał i ruszył za nim. Przeszli przez stołówkę i dalej klatką schodową na wyższe piętro. Był tu korytarz z całym rzędem ga-binetów. Psycholog poprowadził Jana do jednego z nich.

– Usiądź.

Sam także siadł za biurkiem i przez chwilę czytał zawartość teczki. Jan milczał i patrzył za okno. Niebo było błękitne, słońce oświetlało kałuże z roztopionego śniegu na szpitalnym par-kingu.

Nagle psycholog podniósł na niego wzrok.

– Skąd wzięłeś tabletki nasenne?

To zaskoczyło Jana, odpowiedział automatycznie:

– Od mamy.

– A żyletka... należała do taty?

Jan przytaknął.

– Czy należy zinterpretować to symbolicznie?

– Co zinterpretować?

Jan nie rozumiał. Psycholog pochylił się do przodu.

– No wiesz... Połknąłeś tabletki mamy i pociąłeś ręce żyletką ojca... Może był to rodzaj

protestu? Protestu skierowanego przeciw rodzicom?

Jan wcześniej się nad tym nie zastanawiał. Teraz też tego nie zrobił – potrząsnął tylko głową i rzekł cicho:

– Wiedziałem, gdzie były... Gdzie je trzymali.

– Dobrze... Podsumujmy, co wydarzyło się przed trzema dniami: połknąłeś piętnaście tabletek, podciąłeś sobie żyły i wskoczyłeś do jeziora w pobliżu waszego domu, tak?

Jan milczał. Tak, pewnie tak było. Tylko że wszystko, o czym mówił psycholog, wydawało się teraz tak mgliste jak sen. Jak komiks. *Lękliwy i staw*.

– Do stawu – odpowiedział w końcu.

– W porządku, jezioro było stawem – rzekł Tony. – Ale w stawie też można utonąć, prawda?

– Tak.

Jan nie chciał myśleć o uczuciu, kiedy brakowało mu tam powietrza. Patrzył na dywan leżący pod biurkiem. Był zielony.

– W każdym razie zostałeś wyciągnięty ze stawu przez dwie osoby, które akurat tamtędy przechodziły, po czym karetka odwiozła cię do szpitala... Następnie przeniesiono cię tutaj, na oddział psychiatryczny dla dzieci i młodzieży. A teraz siedzimy tu razem.

– Tak.

W pokoju zaległa cisza.

– Chciałeś umrzeć tam w stawie? – zapytał Tony. – Nadal tego chcesz?

Jan znowu spojrzał za okno. Za parkingiem stały wielkie szpitalne budynki ze stali i szkła, wysokie na kilkanaście pięter. Słońce odbijało się w szybach – kiedy wskakiwał do lodowatej wody, wydawało się, że jest zima. Teraz na zewnątrz nastąpiła wiosna.

Tu świat był bezpieczny. Jan siedział w zamknięciu, ale czuł się pewnie.

– Nie – odparł.

Był tego pewien. Tu, w Kapedimie, nie chciał umierać.

– Dobrze – pochwalił Tony. – To bardzo dobrze, Janie. – W notesie zapisał kilka zdań. – A jednak trzy dni temu było inaczej. Jak się wtedy czułeś?

– Żle – powiedział Jan.

– A dlaczego czułeś się źle?

Jan westchnął. O tym zamierzał mówić możliwie jak najmniej. Wiele mógłby opowiadać o Bandzie Czterech i całej reszcie – być może przez wiele godzin – tylko że ta paplanina nic by nie zmieniła.

– Brak kolegów – powiedział tylko.

– Nie masz kolegów? – podchwycił Tony. – Żadnych przyjaciół? Dlaczego?

– Nie wiem... Uważają, że jestem walnięty.

– A z jakiego powodu?

– Bo siedzę i rysuję komiksy.

– Rysujesz? – dopytał Tony. – A co jeszcze robisz w wolnym czasie?

– Czytam... i gram trochę na perkusji.

– W zespole?

– W szkolnej orkiestrze.

– I nie masz w tej orkiestrze żadnych przyjaciół?

Jan pokręcił głową.

– Więc czujesz się samotny... Najbardziej samotny na świecie?

Jan skinął.

– Uważasz, że to twoja wina, że jesteś samotny?

Jan wzruszył ramionami.

– Pewnie tak jest.

– Dlaczego?

Jan zastanowił się.

– Bo wszyscy inni mają kolegów.

– A mają?

Jan kiwnął głową.

– A skoro oni mogą, ja też powinienem – zauważył.

– N i g d y nie miałeś kolegów?

Jan spojrział za okno.

– Miałem jednego w klasie. Ale się wyprowadził.

– Jak miał na imię?

– Hans.

– Jak długo się przyjaźniliście?

– Odkąd pamiętam... Chyba od przedszkola.

– Ale to znaczy, że p o t r a f i s z nawiązać przyjaźń – stwierdził Tony. – A więc wszystko z tobą jest w porządku.

Jan wbił wzrok w biurko, chcąc powiedzieć: „W nocy sikam do łóżka, tylko to jest ze mną nie w porządku”. Ale się nie odezwał.

– Janie, wszystko z tobą w porządku – powtórzył Tony. Odchylił się do tyłu. – I będziemy kontynuowali nasze rozmowy o tym, jak poprawić twoje samopoczucie. Może być?

– Okej.

Jan mógł wyjść.

Idąc w stronę klatki schodowej, mijał drzwi innych pokoi i czytał tabliczki z nazwiskami i tytułami: Gunnar Toll, mgr psychologii; Ludmila Nilsson, lekarz; Emma Halevi, mgr psychologii, Peter Blink, kurator. Żadne z nazwisk nic mu nie mówiło.

Ryś

Jan obudził się, leżąc na plecach, na twardej podłodze. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest. Nie w domu. Położył się gdzieś w ubraniu, miał na sobie jesienną kurtkę, czapkę i szalik. Później zasnął. Ale gdzie?

Nad jego głową widział niski sufit – sufit ze zbrojonego betonu. Wówczas sobie przypomniał – był w bunkrze w lesie. Wszedł tam, miał tylko chwilę odpocząć, ale został.

To było głupie. Niebezpieczne.

Spojrzał ponad swoimi nogami i zobaczył, że metalowe drzwi były uchylone – jego buty niemal wystawały przez otwór. Na zewnątrz widział szarość świerkowego lasu poniżej równie szarego nieba. Słońce jeszcze nie wstało, ale za chwilę pewnie wyłoni się zza horyzontu.

Nagle wystraszył się na myśl, że William mógł wymknąć się w ciemność. Gdy jednak odwrócił głowę, pół metra dalej zobaczył stertę wełnianych koców. Wśród nich usłyszał cichy równy oddech. To mały William. Wciąż spał.

Powietrze w bunkrze było zimne, Jan również wymarznął. Nogi mu zdrętwiały, uniósł je więc i zaczął masować mięśnie, aby przywrócić w nich krążenie. Powoli usiadł. Nie czuł się wypoczęty, raczej zeszywniały i brudny.

Poprzedniego wieczoru upajał się uczuciem zwycięstwa. Jego plan działał, fantazja stała się rzeczywistością. Teraz, rano, wszystko było nie tak. Leżał w bunkrze obok dziecka, które uwięził. Co on wyprawia? William poruszył się pod kocami. Jan znieruchomiał. Obudził się? Nie, jeszcze nie.

Jan wyniósł na zewnątrz robota i nagrał trzy nowe wiadomości, że wszystko jest w porządku. Przełączył go na funkcję czuwania, tak aby głos Williama znowu aktywował zabawkę. Następnie ponownie wpełzł do środka i postawił ją na podłodze.

Usłyszał słaby kaszel. To William. Zakaszał znowu i wystawił spod koców swą małą dłoń. Macał nią na oślep po betonie.

Jan szybko się wycofał, wyszedł z pomieszczenia i zaryglował metalowe drzwi.

Czterdzieści sześć godzin, pomyślał i spojrzał na zegarek.

Była dopiero za dziesięć siódma, co oznaczało, że musi minąć jeszcze trzydzieści godzin, zanim wypuści Williama. To długo.

Kwadrans później Jan znalazł się w przedszkolu. Nikogo jeszcze nie było, ale jako wychowawca miał własny klucz i mógł wejść. Wszędzie panowała cisza. Po pokojach nie rozchodziły się dziecięce śmiechy.

Włączył ekspres do kawy, opadł na fotel i zamknął oczy. Wciąż widział rączkę Williama, szukającą kogoś, kogo można by złapać.

Tuż przed wpół do ósmej otworzyły się drzwi wejściowe. To Nina, jego szefowa. Kiedy weszła, spojrzeli tylko na siebie zmęczonym wzrokiem – oczy Niny były szare z niepokoju.

– Dzisiaj dzieci nie przyjdą – powiedziała cicho. – Umieściliśmy je w innych placówkach.

– Dobrze.

– Wiesz coś? – zapytała Nina. – Coś nowego?

Spojrzał na nią i otworzył usta. Nagle zapragnął powiedzieć wszystko swojej przełożonej. O tym, że William siedzi zamknięty w bunkrze ukrytym w głębi lasu, że na pewno trochę się boi, ale jest cały i zdrowy, ponieważ Jan to wszystko dokładnie zaplanował.

I najważniejsze: powiedziała, dlaczego to wszystko się wydarzyło. Nie chodziło przecież o Williama.

Chodziło o Alice Rami.

– Jest coś, o czym muszę powiedzieć... – zaczął, lecz nagle coś huknęło w holu: otworzyły się drzwi wejściowe.

Do Rysia wkroczył policjant w pełnym umundurowaniu. Był to ten sam mężczyzna, który poprzedniego wieczoru opowiedział Janowi o okropnym znalezisku przy leśnej drodze.

Jan zamarł i zamknął usta. Wyprostował się. Teraz znowu był godnym zaufania wychowawcą. Była to trudna rola, ale wciąż udawało mu się ją wiarygodnie odgrywać.

Telefon policjanta zaczął dzwonić. Funkcjonariusz przycisnął go do ucha i przeszedł do innego pokoju. Jan wstał i popatrzył na szefową.

– Pomyślałem, że zgłoszę się do grupy poszukiwawczej.

Nina skinęła bez słowa. Nigdy nie zapytała, co chciał jej powiedzieć.

Słońce powoli wznosiło się ponad dach Rysia. Białoniebieska policyjna furgonetka wtoczyła się na teren przedszkola, ustawiając się na chodniku. Ryś stał się swoistym centrum dowodzenia. Przychodzili kolejni policjanci, żołnierze i cywile, aby napić się kawy i znowu ruszać w las. Jan poszedł razem z nimi.

Grupa poszukiwawcza rozpoczęła działania kwadrans po dziewiątej. Ramię w ramię policjanci, żołnierze z wojsk obrony terytorialnej i ochotnicy. Po lunchu miały dołączyć do nich dwa specjalnie wyszkolone psy.

Jan stał mniej więcej w środku szeregu, słuchając policjanta, który przedstawiał plan działań.

– Zrobimy to spokojnie i metodycznie.

Urwiska, gęste zarośla i zbiorniki wodne – wszystko należało przeszukać. Poszukiwania mieli zacząć, idąc w szeregu wzdłuż jeziora. Kiedy mieli przejść na drugą stronę grani, gdzie leżał bunkier?

Gdy szli powoli przez las, atmosfera była bardzo napięta. O wpół do dwunastej rozległ się nagle gwizdek. Najwyraźniej przerwali poszukiwania. W lesie od razu wzmógł się szmer. Czy chłopak się znalazł? Martwy czy żywy?

Nikt nie wiedział. Utworzony przez poszukujących szereg zaczął się przerywać, ludzie zbierali się w mniejsze grupki. Jan stał samotnie wśród drzew do chwili, gdy usłyszał wołanie jakiejś kobiety.

– Hauger! Czy jest tu Jan Hauger?

– Tak!?! – zawołał.

Była to policjantka. Szybko zbliżyła się do Jana.

– W przedszkolu odbywa się spotkanie – wyjaśniła. – Ma pan tam iść.

To był rozkaz. Jan zamarł. Znaleźli go, pomyślał.

– A dlaczego?

– Nie wiem... Mam pana odprowadzić?

– Nie – odparł szybko. – Trafie.

Kiedy wrócił do Rysia, w pokoju wychowawców siedziało troje opiekunów, Nina i Sigrid. Byli tam także dwaj funkcjonariusze i ubrany po cywilnemu mężczyzna, ale Jan od razu poznał, że i on jest z policji. Jan rozpiął kurtkę i usiadł obok Niny.

– Grupa poszukiwawcza ma przerwę – powiedział.

Nina skinęła, bo wiedziała o tym.

– Coś się wydarzyło... Będą z nami rozmawiać, z każdym z osobna.

– Dlaczego?

Nina ściszyła głos.

– Rodzice dostali dzisiaj przesyłkę zawierającą czapkę Williama... Policja uważa, że ktoś go porwał.

Jan w przedszkolu kocha jedno – coś, co widuje tam każdego dnia: jasne dziecięce twarze. Ich szczerze spojrzenia. Dzieci niczego nie ukrywają, nie wiedzą, jak to się robi. Jeszcze się nie nauczyły kłamać tak przekonująco, jak dorośli.

Kiedy Jan przychodzi do pracy na nocny dyżur, widzi, że Lilian z trudem próbuje ukryć swoje samopoczucie. Jej rude włosy są rozczochrane, bluzkę ma wygniecioną, a oczy – podkrążone. Nie wygląda dobrze.

– Wszystko w porządku? – pyta Jan.

– Cudownie – Lilian odpowiada cicho.

– Coś się stało?

Kręci głową.

– Nie... Chcę tylko iść do domu.

Bardziej prawdopodobne jest to, że chce wyjść, być może do Baru u Billa. Jan uważa, że jego koleżanka z każdym dniem wygląda coraz gorzej. Może to jesień? A może alkohol? Za dużo pije, to już Jan wie. Ale o takich sprawach się nie rozmawia.

Dziękuję, mam własne problemy, myśli.

Po wyjściu Lilian Jan idzie do bawialni. Mira i Leo, jedyne dzieci zostające na noc, siedzą tam wśród morza klocków. Jan uśmiecha się i siada z nimi.

– Jaka piękna budowla.

– Wiemy! – woła Mira.

Leo jak zwykle wygląda na mniej zadowolonego, ale dzisiaj jest spokojny. Jan bierze kilka klocków.

– Ja zbuduję szpital.

*

Trzy godziny i wiele zabaw później. Noc.

Mira i Leo leżą w swoich łóżkach. Wcześniej zjadły kolację i wysłuchały bajki. Teraz w sypialni jest już cicho. Dzieci śpią, a Jan siedzi w kuchni, wypełniając zamówienia na żywność. Dzięki pracy czas szybciej mija. W torbie leży trzydzieści siedem listów, które wkrótce zostaną w szpitalu.

Jeden z nich jest do Rami, od niego. Kiedy w końcu zaczął pisać, stworzył pięciostronicowy list. Opisał czas spędzony wspólnie w Kapedimie, sprawy, o których – jak pamiętał – wtedy rozmawiali. Napisał także o tym, co działo się z nim później, jak został wychowawcą przedszkolnym i wreszcie jak trafił do Polany. Co prawda obiecał sobie, że nie będzie już dostarczał korespondencji do szpitala, ale ta obietnica gdzieś wyparowała. Na końcu napisał, że nie może o Rami zapomnieć. N i g d y c i ę n i e z a p o m n ę. To nie było wyznanie miłosne, lecz prawda.

Podnosi głowę i widzi siebie. Ma przed sobą jedyne okno pokoju wychowawców i może w nim zobaczyć własne odbicie, zawieszona w ciemności. Lecz nagle dostrzega coś za szybą,

niewielkie cienie poruszające się na zewnątrz.

Zwierzęta czy ludzie?

Przybliża się do okna. Jeśli to ludzie, to poruszają się blisko ogrodzenia, pomiędzy dwiema latarniami, tam, gdzie jest najciemniej. Zastanawia się, czy nie wyjść na zewnątrz. Nie robi tego jednak. Wraca do zamówień.

Nagle rozlega się dzwonek do drzwi, dźwięcząc głośno i przeciągle. Jan patrzy w stronę drzwi, lecz nie rusza się z miejsca. Dzwonek milknie. Zapada cisza, ale po trzech minutach słyszysz dudnienie tuż przy nim, w kuchenne okno. Wzdryga się. Przez szybę wpatruje się w niego blada twarz. Na zewnątrz stoi wysoki kościsty mężczyzna z ogoloną na łyso głową. Stoi nieruchomo i patrzy. Ubrany jest w grubą czarną kurtkę, pod którą ma białe szpitalne ubranie. Jan go nie rozpoznaje.

– Otworzy pan?! – woła.

Jan się waha. Mężczyzna mówi dalej:

– Jest pan sam?

Jan kręci głową.

– Kto jeszcze tu jest? – pyta strażnik.

– Kim pan jest? – woła w odpowiedzi Jan.

– Jestem strażnikiem z nocnej zmiany... Otworzy pan?

Jan się nie porusza. Zastanawia się, czy mężczyzna zna Larsa Rettiga, ale mówi tylko:

– Ma pan jakiś identyfikator?

Strażnik wyciąga plastikową kartę i trzyma ją przez chwilę, aby Jan zdążył zobaczyć, że twarz na karcie przypomina twarz strażnika. Później chowa dokument z powrotem. Kiedy znowu krzyczy, jego głos jest zdecydowany i niecierpliwy.

– Niech pan otworzy!

Jan musi mu zaufać. Otwiera okno, wpuszczając do wnętrza chłód, i pyta:

– Co się stało?

– Brakuje jednej czterdziestki czwórki.

Jan nie ma pojęcia, co oznacza ten kod. Kręci głową.

– Niczego nie widziałem.

– Da pan znać, jeśli coś zauważy?

Strażnik nie czeka na odpowiedź, zwraca od okna i znika w ciemności.

Jan zamyka okno, w kuchni znowu jest cicho.

P r a w i e c i c h o, gdyż zegar wciąż tyka, odliczając czas do północy, kiedy to Jan ma zostawić paczkę w szpitalu. Powinien to przerwać, ale nie może.

Zagląda do dwójki dzieci, po czym wychodzi i siada w pokoju wychowawców. Czeką, aż coś się wydarzy.

Ucieczka. Czy to naprawdę ucieczka? Co ma zrobić?

Zostać tutaj. To tu powinien być, ze śpiącymi dziećmi. Ma jednak przed sobą ostatnią wizytę w Świętym Psycholu. Teraz, kiedy po terenie szpitala krąży wiele osób, trzeba zachować ostrożność, ale m u s i to zrobić. W liście do Rami napisał o zbyt ważnych sprawach.

Czeka jeszcze przez dwadzieścia minut. Nie dzieje się nic poza tym, że dopada go coraz większe zmęczenie – fizyczne i psychiczne. Jest wykończony tym czuwaniem w środku

nocy, tuż obok wielkiego muru. Tak nie powinno być... tak ciemno i samotnie. A jednak tak właśnie jest. Dziesięć minut przed północą wstaje, by jeszcze raz zajrzeć do dzieci. Następnie idzie do kuchni i bierze kartę magnetyczną.

Ostatnia dostawa. Wiesza w sypialni dzieci nadajnik anioła i rusza do drzwi prowadzących do piwnicy. Po reprimendzie Marie-Louise starannie pilnowano, aby drzwi zawsze były zamknięte. Teraz on je otwiera.

Wszędzie panują ciemność i cisza. Jan szybko przemyka przez podziemny korytarz. Akcja zostawiania listów idzie mu już bardzo sprawnie – tym razem wjechanie windą na górę do pokoju odwiedzin i powrót do piwnicy zajmują mu zaledwie cztery minuty. Serce wali mu jak młotem przez cały czas, ale nikt nie zakłóca wykonania zadania. Anioł przy pasku milczy. Pięć minut po północy Jan jest z powrotem w przedszkolu, jakby nic się nie wydarzyło.

Pora spać. Ścieli sobie sofę, kładzie się i przez krótką chwilę myśli o liście do Rami. W końcu zasypia.

Budzi go jakiś chrzęst.

Otwiera oczy, ale dokoła jest ciemno. Spał? Tak, musiał zasnąć, gdyż zegarek obok łóżka pokazuje godzinę 00.56.

Za oknem znowu coś cicho chrzęści. Zgrzyta i klekocze.

To płot. Ktoś przełaził przez ogrodzenie.

Jan siada na sofie, próbując przyzwyczać oczy do ciemności. Wkłada bluzę i spodnie. Następnie podchodzi do okna i odchyła żaluzje, robiąc w nich wąską szczelinę. Spogląda na zewnątrz. Nic nie widzi.

Coś jest nie tak, lecz z początku Jan nie wie co. W końcu dociera do niego, że za oknem zawsze świeci się światło. Teraz najbliższa latarnia jest zgaszona.

Mrużąc oczy, patrzy na teren za oknem i w końcu dostrzega ruch. Wciąż słyhać chrzęst. Przesuwa się jeszcze bliżej szyby i wpatruje w ciemność. Dźwięk rzeczywiście dobiega od ogrodzenia. Po drugiej stronie Jan widzi cień wielkości człowieka. Ktoś próbuje wdrapać się na płot.

Drzwi zewnętrzne są zamknięte, tego jest pewny.

Nie powinienem wychodzić, myśli. Nie mogę zostawić dzieci.

A mimo to odchodzi od okna, aby się ubrać. Wkłada buty i kurtkę.

Na zewnątrz wzmaga się wiatr i chłód. Pochyliwszy głowę, Jan rusza szybko w stronę terenu szpitala, z której dochodzi zgrzyt. Kiedy jest już przy płocie otaczającym Polanę i spogląda na ogrodzenie, dźwięk cichnie. Ale cień nadal tam jest. Kiedy Jan patrzy na niego, ten próbuje sięgnąć górnej części ogrodzenia, jednak bezskutecznie. Przechyla się w tył i leci w dół, by po chwili wylądować z hukiem w ciemności.

Jan wychodzi za płot i zmierza w stronę szpitala. Jest prawie na miejscu przy ogrodzeniu, kiedy nagle rozbłyskuje białe światło, wprost w jego twarz. To duża latarka.

– Kto tam? – pyta głos.

– Jan Hauger... Pracuję w przedszkolu.

– W porządku – odpowiada głos. – Poznaję cię... Jesteś moim zastępcą w Bohemos.

Postać zbliża się o krok, a wówczas Jan poznaje ją i jej szerokie ramiona. To Carl, perkusi-

sta, z gazem łzawiącym i kajdankami przy pasku. Kolega Rettiga i kontakt Hanny w szpitalu. Jan chce o to zapytać, lecz Carl jest szybszy:

- Dostarczyłeś?
- Co dostarczyłem?
- Paczkę.

Carl skinieniem głowy wskazuje szpital i pokój odwiedzin. Jan rozumie. Zatem Carl wie, że Jan jest ogniwem przemytniczego łańcucha. Nie ma sensu zaprzeczać.

- Tak – przyznaje cicho. – Byłem na górze.
- Dobra, pójdę po nią – mówi Carl. – Kiedy wszystko się trochę uspokoi.
- Co się stało? – pyta Jan.
- Czterdziestka czwórka.
- Czy to... ucieczka?
- Tak – odpowiada Carl. – Ale ogrodzenie go zatrzymało... i w końcu go mamy.
- Co zrobicie?
- Zajmiemy się tym. Wracaj do środka. Idź się położyć.

Jan kiwa głową i już ma zawrócić, kiedy strażnik dodaje:

- Trzeba to niedługo zakończyć.

Wygląda, jakby mówił do siebie, ale Jan zatrzymuje się i pyta:

- Masz na myśli listy?

Carl potwierdza skinieniem.

- Wszystko... Wszystko zaczyna się sypać.
- O co chodzi? – pyta Jan.

Carl jednak nie odpowiada. Rusza wzdłuż ogrodzenia, by po chwili zniknąć w ciemności.

Jan budzi się około piątej, na długo przed dziećmi. Udało mu się przespać zaledwie kilka godzin, a do tego śnił, że pływa w jeziorze i że nogi grzęzną mu w mulistym dnie. Walczył, ale nie mógł się uwolnić.

Marie-Louise przychodzi do przedszkola o wpół do ósmej. Jan od razu opowiada jej o wydarzeniach ostatniej nocy, przekazując tę garstkę informacji, które ma.

– Ucieczka?

Szefowa wygląda na przerażoną tą wiadomością, więc Jan prostuje:

– W każdym razie próba.

Ta noc już zachodzi mgłą w jego pamięci.

– Dowiem się, co się stało – mówi Marie-Louise.

Później otwierają przedszkole jak zwykle i zaczynają się zabawy. Dzieci normalnie udają się na wizyty do szpitala, ale podczas ich poobiedniej drzemki Marie-Louise zwołuje spotkanie informacyjne.

Jan siada przy stole. Jest przygotowany na wszystko.

– Kierownictwo szpitala podjęło decyzję – zaczyna Marie-Louise. – Polana nie będzie już działać w nocy.

Wszyscy przyjmują wiadomość w milczeniu, Jan również. Jest jednak zdziwiony – on teraz pełni nocne dyżury, zostały mu jeszcze dwa.

– Będziemy zatem prowadzić tylko dzienną działalność? – pyta Lilian.

– Tak właśnie będzie. – Szefowa nie wydaje się niezadowolona z takiej decyzji, kiedy kontynuuje: – Nocna działalność Polany miała być tylko tymczasowa, wiedzieliśmy o tym. Dzieci powinny mieszkać w n o r m a l n y c h domach, a opieka społeczna chyba właśnie znalazła odpowiednie rodziny zarówno dla Miry, jak i dla Leo. Wszystko w końcu się ułoży.

Jan pochyla się do przodu i pyta:

– Kiedy to się stanie?

– Całkiem niedługo. Przechodzimy na wyłącznie dzienną działalność od połowy listopada. – Marie-Louise chyba zauważa niepokój w jego wzroku, gdyż ciągnie dalej: – Ale nie martw się, Janie. To nie wpłynie na twoje zastępstwo... Zresztą nie wpłynie na niczyje zatrudnienie. Trzeba będzie tylko przerobić grafik i stworzyć więcej dziennych dyżurów. – Pewnie uśmiecha się do swoich pracowników. – W Polanie będzie teraz więcej wspólnych zajęć, mniej zabaw indywidualnych.

Jan także wygląda na zadowolonego, lecz to tylko pozory. Przecież czeka na odpowiedź od Rami – w jaki sposób ją otrzyma? Poza tym jest pewny, że nocne zmiany likwidowane są ze względów bezpieczeństwa. Być może w związku z ucieczką albo ze względu na te niezamknięte drzwi. Być może Marie-Louise nie ufa już swoim pracownikom. Kiedy pozostali opuszczają pokój, Jan zwleka jeszcze chwilę.

– Powiedzieli coś o nocnych wydarzeniach?

Marie-Louise kiwa lekko głową, jakby najchętniej myślała o czymś innym.

– Tak. Jeden z pacjentów skazanych na leczenie w klinice wy dostał się z oddziału i dotarł

aż do ogrodzenia. To się czasami zdarza. Tam jednak go zatrzymali. Teraz zaostrożono środki bezpieczeństwa.

– To dobrze – stwierdza Jan, mimo że wzmoczona ochrona w szpitalu to druga tego dnia zła wiadomość dla niego.

Wieczorem dzwonek telefonu rozbrzmiewa gdzieś wśród mebli. Jan odczekuje kilka sygnałów, zanim wreszcie sięga po słuchawkę, ukrytą między rozrzuconymi w nieładzie rzeczami.

Spodziewa się, że to matka, lecz w słuchawce odzywa się głos młodej kobiety. Mija chwila, zanim poznaje Hannę Aronsson.

– Słyszałeś o nocnych zmianach?

Hanna dzisiaj miała wolny dzień.

– Tak – odpowiada. – Ty też już wiesz?

– Lilian do mnie dzwoniła.

– W takiej sytuacji koniec z naszą wieczorną robotą – stwierdza Jan.

Wie, że Hanna rozumie, o czym mówi. Przez chwilę w słuchawce panuje cisza, ale w końcu kobieta pyta:

– Możesz przyjść teraz do mnie na chwilę? Ulica Bellmana, numer pięć.

– Mogę, a po co?

– Chcę zwrócić ci twoje książki – wyjaśnia. – I trochę pogadać.

Jan odkłada słuchawkę. Przypominając sobie niebieskie oczy Hanny, zastanawia się, czy zyskał nową przyjaciółkę, jak Rami piętnaście lat temu.

Hanna mieszka w nowo wybudowanym domu z cegły, w pobliżu Stortorget. Drzwi szybko się otwierają i Jan wchodzi do jasnego czystego mieszkania, wytapetowanego na różowo-biało.

– Cześć, wejdz.

Nie obdarza Jana uśmiechem. Szybkim ruchem głowy zaprasza go do środka, a sama od razu odwraca się i idzie do kuchni. Jan podąża za nią, lecz zatrzymuje się na chwilę w salonie. Zazdrości jej tak dużego i jasnego pokoju. Hanna ma tam regał z książkami. Jan podchodzi bliżej i widzi, że dziewczyna czytuje literaturę fachową o przestępstwach. Widzi między innymi takie tytuły, jak *Najgorsze morderstwo w historii*, *Potwory wśród nas*, *Charles Manson własnymi słowami*, *Wyznania Teda Bundy'ego* i *Seryjni mordercy – studium psychologii morderstwa*. Książki o mordercach – cała półka. Jan nie dostrzega żadnych książek o Patrycji lub innych świętych, ale takich pewnie już się nie pisze.

– Idziesz? – woła Hanna.

– Oczywiście.

Hanna stoi i parzy dla nich herbatę. Kuchnia jest mała i równie czysta jak salon. Przy kuchence starannie zawieszono ręczniki. Na stole leżą cztery, dobrze znane Janowi, cienkie książeczki: *Sto dłoni księżniczki*, *Stwórczyni zwierząt*, *Choroba czarownicy* i *Viveca w kamiennym domu*. Hanna podaje je Janowi.

– Dzięki za pożyczkę.

– Przeczytałeś je?

– Tak – odpowiada. – Ale to dość brutalne historie. Na przykład jak księżniczka każe dło-

niom włóczęgów udusić tych zbrojów... Czegoś takiego raczej nie czyta się dzieciom, nie?

Jan jest tego samego zdania, ale odpowiada:

– Pewnie nie są gorsze od twoich książek.

– Jakich książek?

– Tych, które stoją u ciebie na regale... Tych o morderstwach.

Hanna opuszcza wzrok.

– Wszystkich nie przeczytałam – mówi. – Ale chciałam wiedzieć więcej... po tym, jak nawiązałam kontakt z Ivanem. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile jest książek na ten temat opartych na faktach.

– Zło kusi – stwierdza Jan. Milknie na chwilę, by znowu podjąć: – Nie tylko ty piszesz listy do Rössela, wiedziałas o tym?

– Nie. – Hanna spogląda na niego z zainteresowaniem. – Skąd wiesz?

– Widziałem kilka listów do niego.

– Od kobiet?

– Niektóre tak.

– Listy miłosne? – dąży Hanna.

– Może... nie czytałem.

Jan nie zamierza zdradzić, że otwiera i czyta cudze listy. Nikomu.

Na stole przed nimi leży sterta białych kartek, wydruk z komputera.

– Chciałam jeszcze pokazać ci to... Ivan zostawił maszynopis swojej książki.

– Gdy był wtedy w przedszkolu?

Hanna kręci głową.

– To nie był on... To nikt ze szpitala.

– Więc kto?

– Nie mogę powiedzieć.

Jan daje za wygraną. Patrzy na kartki leżące na stole i widzi tytuł: MOJA PRAWDA. Nie ma nazwiska autora, ale oczywiście wie, kto to napisał.

– Pamiętniki Rössela – mówi.

– To nie pamiętniki – oponuje Hanna. – Właśnie jestem w trakcie lektury, to jest coś w rodzaju hipotezy.

– Hipotezy? – dopytuje Jan. – O tym, jak doszło do morderstwa?

Hanna kiwa głową w milczeniu. Herbata jest gotowa, więc nalewa ją do dwóch kubków. Siadają przy stole, a Hanna wciąż wpatruje się w wydruk. Po chwili milczenia Jan zadaje pytanie:

– Zakochałaś się w Ivanie Rösselu?

Kobieta podnosi wzrok i szybko przecząco kręci głową.

– O co więc chodzi?

Hanna nie odpowiada. Wpatruje się w niego swymi jasnoniebieskimi oczami – długo, jakby studiowała rysy jego twarzy. Chce się całować, myśli Jan. Być może to taka chwila, kiedy ludzie się całują. Gdy myśli o pocałunkach, przypominają mu się usta Rami przyciśnięte do jego, wtedy w Kapedimie, i od razu wszystko jest nie tak. Musi myśleć o czymś innym. O przedszkolu. O dzieciach.

– Martwię się o Leo – mówi.

– O kogo?

– Leo Lundberga... Leo z Polany.

– Wiem, kto to.

– Tak, ale... Próbowałem z nim rozmawiać – ciągnie Jan. – Próbowałem się nim zająć, ale to nie takie proste. Jest mu źle... Nie wiem, jak mu pomóc.

– Pomóc w czym?

– W zapomnieniu tego, co widział.

– A co widział?

Jan kręci głową. Przygnębia go sama myśl o małym Leo, ale odpowiada w końcu:

– Myślę, że Leo widział, jak ojciec zabija jego matkę.

Hanna patrzy na niego pustym wzrokiem.

– Mówiłeś to Marie-Louise?

– Trochę, ale nie była zbyt zainteresowana.

– Ty też nic nie możesz zrobić – mówi Hanna. – Nie można usunąć czyichś ran. One zostają na zawsze.

Jan wdycha.

– Chcę tylko, żeby czuł się bezpiecznie, jak wszystkie inne dzieci... Żeby czuł, że na świecie jest mnóstwo miłości.

Milknie, zdając sobie sprawę, że to ostatnie brzmi naprawdę śmiesznie. M n ó s t w o m i ł o ś c i n a ś w i e c i e. Jak patetycznie.

– A może chcesz to zrobić dla tego drugiego chłopca? – pyta Hanna.

– Jakiego chłopca?

– Tego, którego zgubiłeś w lesie.

Jan wbija wzrok w stół, by po chwili podnieść oczy na Hannę. Wyznanie chce się przechnąć na zewnątrz, z całych sił.

– To nie było do końca tak – mówi w końcu cichym głosem. – Nie zgubiłem go.

– Nie?

– Nie... Ja go zostawiłem w lesie.

Hanna patrzy na niego, a on szybko dodaje:

– To nie trwało zbyt długo... i nie działa mu się krzywda.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Jan wdycha.

– Była to swego rodzaju zemsta... na jego rodzicach. Na jego mamie. Chciałem, żeby cierpiała. Wydawało mi się, że wiem, co robię, ale...

Milknie.

– Czuleś się po tym lepiej? – pyta Hanna.

– Nie wiem, raczej nie... Staram się nie myśleć o tym zbyt wiele.

– Zrobiłbyś to ponownie?

Jan, patrząc na Hannę, potrząsa głową, tak szczerze, jak to tylko możliwe.

– Nigdy nie skrzywdziłbym dziecka.

– Rozumiem – mówi Hanna. – Wierzę ci.

Niebieskie oczy znowu na niego patrzą. Właściwie nie wie, co myśleć o Hannie. Może powinien zostać, dłużej z nią porozmawiać i spróbować się dowiedzieć, co tak naprawdę o nim sądzi. I o Rösselu.

Nie. Wstaje.

– Dziękuję za herbatę, Hanno. Do zobaczenia w pracy.

Wychodzi w zimną noc, kierując się prosto do domu, z plecakiem wypełnionym książeczkami Rami.

Kapedim

Koncert zakończony pocałunkiem i bójką miał się odbyć w pokoju telewizyjnym w Kapedimie.

Zapowiedziano go na dziewiętnastą, ale o tej porze pojawiły się tylko trzy osoby. Pierwszą była ubrana na czarno kobieta, która wcześniej wetknęła głowę do pokoju Rami, aby przypomnieć jej o godzinie rozmowy – ta, którą Rami przezwala Psychopapłą. Opiekun Jörgen przyszedł w towarzystwie małej dziewczynki o płochliwych niebieskich oczach. Jan nigdy nie widział, aby z kimś rozmawiała. Była równie nieśmiała jak on sam.

Jan ustawił perkusję za mikrofonem Rami, tak żeby było go dobrze słychać, ale żeby nie był na widoku. Już żałował tego pomysłu.

Pięć po siódmej zaczęli się gromadzić kolejni słuchacze – duchy, jak nazywała ich Rami. Powłócząc nogami, wchodzili do pokoju i siadali po turecku na podłodze. Jan w większości nie znał ich imion, ale zaczynał rozpoznawać wiele z trzymanyh tu osób. Przebywało tu czternaścioro lub piętnaścioro młodszych nastolatków – w większości dziewczyn, ale było też kilku chłopaków – jedni rozczochrani, inni starannie uczesani. Kilkoro pacjentów siedziało nieruchomo, kilkoro innych przez cały czas się wierciło i rozglądało wkoło. Byli narkomanami? A może nękali innych lub sami byli nękami?

Jan nie miał bladego pojęcia, z jakiego powodu ci wszyscy młodzi ludzie znaleźli się w Kapedimie. Nie znał nikogo poza Rami. A kiedy zobaczył, jak chudy czternastolatek, patrząc na nią, pochylił się do swego kolegi i szepnął: „Kim ona jest?”, zrozumiał, że Rami trzyma się na uboczu jeszcze bardziej niż on sam. Rami zaś przez cały czas w milczeniu czekała przy mikrofonie, wyprostowana, mocno trzymając gitarę. Twarz miała białą jak kreda. W pewnej chwili stanął obok niej Jörgen, z rękami w kieszeniach spodni. Spojrzał na wszystkich przybyłych.

– No dobra, pora na trochę muzyki... To nasi przyjaciele, Alice i Jan, którzy zagrają kilka piosenek.

Prezentację skwitowano kilkoma niepewnymi chichotami i pełnym zawodu pytaniem:

– A co z telewizją? – zadał je wysoki chłopak w dżinsowej kurtce. Jan nie pamiętał jego imienia. – Dzisiaj wieczorem jest hokej... Nie możemy pooglądać telewizji?

– Ile tylko chcecie, po koncercie – odparł Jörgen. – A teraz cisza.

Duchy jednak nie były cicho, szturchały się, śmiały i szeptały.

Rami też miała tremę. Nie taką jak Jan, ale widział, że zamyka oczy, jakby próbowała zapomnieć, że ktoś jeszcze znajduje się w pokoju. Mimo to istniał wyraźny kontakt między nią a publicznością – kiedy tylko otworzyła usta, wszyscy siedzący na podłodze zamilkli. Patrzyli na nią.

– Okej – zaczęła Rami, cedząc słowa do mikrofonu – to będzie amerykańska piosenka, którą przetłumaczyłam...

Zaczęła od *Domu Wschodzącego Słońca*. Jan był zadowolony, ten akompaniament znał najlepiej. Później była jej wersja kawałka *Helpless* Neila Younga, którą nazwała *Bezradny*, i *Ceremony* Joy Division, nazwana przez nią *Rytualem*. Te piosenki Jan także miał wyćwiczone.

Śpiewając, Rami zaczynała się odprężać, jej twarz nabierała zdrowszych barw. Kiedy skończyli *Rytuał*, odwróciła się nagle, przeszła obok perkusji, podeszła do Jana i pocałowała go w usta. Przestał grać. Pocałunek trwał trzy sekundy, ale świat się zatrzymał. Rami oderwała swoje usta od jego i się uśmiechnęła. Następnie wróciła do mikrofonu.

– Ostatnią piosenkę zatytułowałam *Jan i ja* – powiedziała i dała Janowi znak, że ma grać w rytmie na cztery.

Nigdy wcześniej nie słyszał tego tytułu, po pocałunku nie mógł wrócić do równowagi, ale w końcu, po kilku znakach danych przez Rami, znalazł właściwy rytm. Rami zagrała akord w tonacji molowej i zaczęła śpiewać:

*Leżę w moim łóżku,
A Jan leży tam, niedaleko
I wiemy, gdzie jesteśmy
I dokąd ta podróż nas niesie.
A niesie nas w przestworza,
Gdzie panuje chłód,
Lecz ciemność jest tak piękna,
Że wszystko można zapomnieć.*

Zamknąwszy oczy, śpiewała dalej refren:

*Ja i Jan, Jan i ja
Każdej nocy, każdego dnia...*

Jana tak zaskoczyły słowa, że niemal pomylił rytm. Piosenka brzmiała, jakby on i Rami byli z e s o b ą, a przecież nie byli. Znał jej zapach, ale ona nigdy nawet go nie dotknęła.

Kiedy skończyła się piosenka, Rami od razu przeszła na inny akord w tym samym rytmie. Pochyliła się do mikrofonu i po raz pierwszy spozjrzała prosto na publiczność. Jan widział, jak się uśmiecha, mówiąc:

– A to piosenka o mojej psycholog.

Zagrała ostry riff na gitarze, skinęła na Jana, składając go do grania.

Rami wczuwała się w rytm, zamknęła znowu oczy i mocno akcentując słowa, zaczęła śpiewać:

*Z twoich ust wychodzi bat,
Twoje plecy powiły brzeszczot,
W głębokiej studni twojego umysłu
Zrodziły się małe pijawki.
I uderzyłaś mnie, kiedy byłam
nieposłuszna.*

Nabrała powietrza przed refrenem, którego słowa wyrzucała z siebie z jeszcze większą siłą:

Psycho, psycho, psychopapla!
Przestań gadać, przestań wreszcie!
Zostaw mnie w spokoju!

Refren wybrzmiewał znowu i jeszcze raz. Rami stała wyprostowana, wyrzucając z siebie słowa: „Przestań gadać, przestań wreszcie!”. Nie grała już na gitarze, ale Jan nadal wybijał mocny rytm do padających słów.

Widział wszystkich z Kapedimu – pacjentów i personel, którzy siedzieli jak zaczarowani. Nastolatki już wcześniej przestały szeptać. Wszyscy siedzieli i słuchali.

Psychopapla wstała. Nie miała zachwyconej miny, a z każdym słowem wykrzykiwanym przez Rami zbliżała się o krok do mikrofonu. W końcu znalazła się metr od Jana i pół metra od Rami. Dziewczyna jej nie widziała, śpiewała wciąż z zamkniętymi oczami. „Przestań gadać, przestań wreszcie!”

Psychopapla chwyciła Rami za rękę i dopiero wtedy dziewczyna otworzyła oczy. Nie zwracała jednak na nią uwagi, śpiewając nieprzerwanie. Teraz jej śpiew brzmiał bardziej jak okrzyk bojowy:

– Przestań! Przestań! Przestań!

Psychopapla złapała statyw i odsunęła mikrofon.

Jednak również wtedy nie zapadła cisza, gdyż Rami krzyczała bez mikrofonu. Z wnętrza wydobyła nieludzki wrzask, który sprawił, że publiczność na podłodze aż podskoczyła i odchyliła się w tył.

– Umieraj! Zdychaj! – krzyczała Rami, rzucając się na Psychopaplę jak drapieżnik.

Z hukiem wpadły między publiczność. Przetaczały się wokoło, jakby były do siebie przypięte. Dwie zapaśniczki. Jan gapił się na tę scenę, nie przestając uderzać w bębny. Słyszał krzyk Rami, widział, jak dziewczyna drapie paznokciami – lecz nie Psychopaplę, tylko samą siebie. Rozdrapała sobie przedramiona do krwi, a cienkie błyszczące czerwone strużki brudziły ją, podłogę i ubrania oraz twarz Psychopapli.

– Spokój, Alice!

Jan usłyszał szybkie kroki. Pojawili się Jörgen i jeszcze jeden pracownik, by odciągnąć Rami. Jej krzyk nie ustawał, rzucała się dziko dokoła.

– Przestań walić w te bębny! – wrzasnął Jörgen do Jana.

Od razu przerwał grę, ale nie zapanowała cisza. Rami wciąż krzyczała. Opiekunom udało się ją mocno chwycić, po czym zaczęli wyciągać ją z pokoju. Jan słyszał jej krzyk niknący gdzieś na korytarzu, później nastąpiła cisza.

Nagle wszystko się uspokoiło, słychać było tylko czyjś ciężki oddech. Psychopapla. Wstała powoli, poprawiając swoją zakrwawioną bluzkę. Jakiś współpracownik podał jej chusteczkę.

– Widzisz? – powiedziała Psychopapla. – Pamiętasz moją diagnozę?

Koncert się zakończył, lecz Jan się jeszcze nie podnosił. Dopiero po chwili wstał i zaczął zbierać perkusję. Ręce mu drżały. Chłopak w dżinsowej kurtce rozejrzał się z niepewnym uśmiechem, a następnie podszedł i włączył telewizor. Jan wyszedł sam. Zaniósł instrument z powrotem do składziku. Zamierzał wrócić do siebie i trochę porysować, ale kiedy zobaczył zamknięte drzwi do pokoju Rami, zatrzymał się, spojrzął na nie i zapukał. Nikt nie odpowie-

dział, więc ponowił próbę.

Cisza.

– Nie ma jej – odezwał się dźwięczny głos za jego plecami.

Jan odwrócił się i ujrzał na korytarzu dziewczynę. Jedną z duchów.

– Co?

– Zabrali ją na dół, do Nory.

– Do Nory... A co to takiego?

– Zamykają cię tam, kiedy na przykład się awanturujesz.

– Gdzie to jest?

– Na dole, w piwnicy – wyjaśnił duch. – Prowadzą tam drzwi zamknięte na mnóstwo zamków.

Nora?

Jan zakradł się do podziemi, w długie ciche korytarze. Znalazł właściwe drzwi i zapukał. Teraz także nie doczekał się odzewu – drzwi były stalowe i zapewne wygłuszały wszelkie dźwięki. Między drzwiami a podłogą Jan zauważył jednak wąską szczelinę.

Wrócił do swego pokoju po papier i długopisy. Nie wiedział, co ma Rami powiedzieć, ale musiał ją przecież podnieść na duchu, więc napisał:

ŚWIETNY KONCERT! / JAN

Wsunął kartkę pod drzwi i nawet udało mu się wcisnąć długopis. Minęło kilka minut. Z pomieszczenia nie dochodził żaden dźwięk. Po chwili kartka pojawiła się z powrotem. Było na niej napisane tylko jedno zdanie:

JESTEM WIEWIÓRKĄ

POZBAWIONĄ DRZEW I POWIETRZA.

Wpatrywał się w kartkę, po czym usiadł i zaczął rysować dziewczynę z gitarą, stojącą na wielkiej scenie przed olbrzymią publicznością, która słuchała jej piosenek z uniesionymi rękami. Starał się odwzorować twarz Rami jak najlepiej. Gotowy obrazek wsunął pod drzwi i szybko opuścił piwnicę.

Następnego ranka usłyszał jakiś rumor na korytarzu. Głośnie kroki i podniesione głosy, a po chwili zamykające się drzwi pokoju Rami. Kiedy zrobiło się zupełnie cicho, wyszedł i do niej zapukał.

– Kto tam? – zapytała zza drzwi bezdźwięcznym głosem, głosem nieprzejawiającym ciekawości.

– Jan.

Dopiero po chwili odpowiedziała:

– Wejdz.

Ostrożnie otworzył drzwi, jakby mogły się zepsuć. W pokoju było ciemno, ale już się do tego przyzwyczaił.

– Dziękuję za rysunek – rzekła tylko.

– Nie ma za co.

Leżąc na łóżku, Rami gapiała się w sufit, trzymając obok siebie gitarę niczym domowe zwie-

rzątko. Jan nie mógł dostrzec, czy była przywiązana. Nie bał się, mimo to zatrzymał się przy drzwiach.

– Dobrze nam wczoraj poszło – powiedział. – Całkiem nieźle.

Rami pokręciła głową.

– Muszę się wydostać z Kapedimu, oni mnie tu wykończą... Ty chyba też chciałbyś być jak najdalej stąd?

Podniosła głowę, by na niego spojrzeć. Jan skinął ostrożnie, mimo że wcale nie chciał stąd wychodzić. Właściwie chciał skończyć tu szkołę. Jeść, spać, grać w ping-ponga z Jörgenem i akompaniować Rami na perkusji.

Znowu skierowała wzrok na sufit.

– Ale najpierw się na niej zemścę.

– Na kim?

– Na Psychopapli. To ona mnie zamknęła.

– Wiem – powiedział Jan.

– Ale nie to jest najgorsze... – ciągnęła Rami, wskazując głową biurko. – Kiedy siedziałam tam na dole, weszła tu i zwinęła mój dziennik. Wiem, że teraz go czyta. Od początku do końca.

Jan spojrział na biurko. To mogła być prawda, gdyż leżący tam wcześniej tomik zniknął.

– Pożałuj tego – rzekła Rami. – Ona i jej rodzina.

Jan nie przypomina sobie, aby przez te wszystkie lata mieszkania w bloku kiedykolwiek rozmawiał z którymś sąsiadem. Kiedy spotykał kogoś na schodach, czasem mówił „dzień dobry”, ale nigdy się nie zatrzymywał. Klatka schodowa to dla niego nie miejsce spotkań, lecz próżnia, gdzie jedynym słyszalnym dźwiękiem jest głuchy odgłos zamykanych drzwi. Tutaj jednak, w Valli, jest pewien sąsiad, z którym zdarzyło mu się rozmawiać. I chciałby go spotkać raz jeszcze.

Wróciwszy do domu po wieczorne spędzonym u Hanny, kładzie na stole ilustrowane książki Rami, a później zapada w głęboki sen.

Po przebudzeniu wciąż czuje zmęczenie. Ma jednak kilka rzeczy do zrobienia. Po śniadaniu bierze z kuchni pustą filiżankę i trzymając ją w dłoni, schodzi dwa piętra niżej. Dzwoni do drzwi, na których znajduje się tabliczka z nazwiskiem V. LEGÉN.

Drzwi otwierają się niemal po minucie. Do nozdrzy Jana dociera zapach tytoniu fajkowego i alkoholu. Siwowłose sąsiad patrzy na niego pustym wzrokiem, podczas gdy on uśmiecha się szeroko.

– Witam ponownie – mówi. – To ja, ten, który lubi piec... Mieszkam dwa piętra wyżej... Czy ma pan może jeszcze trochę cukru?

Sąsiad wygląda, jakby go rozpoznał, ale bynajmniej nie cieszy się z ponownego spotkania.

– Znowu cukier kryształ?

– Obojętne jaki.

Legén bierze od niego filiżankę i odwraca się. Nie zaprasza go do ciemnego przedpokoju, ale Jan wchodzi mimo to. Tym razem nie widać nigdzie szmacianej torby ze Świętej Patrycji, która poprzednim razem leżała na podłodze, więc Jan wchodzi dalej i zagląda do kuchni. Wszędzie stoją sterty talerzy. Butelki i kanistry tworzą małe wysepki na podłodze, na oknie utworzyła się szara warstwa tłustego brudu.

– Pracuję w Świętej Patrycji... – mówi Jan do pleców Legéna.

Sąsiad nie reaguje, stojąc przy blacie i wsypując cukier.

– Pan też tam chyba pracował? – ciągnie Jan.

Tym razem także nie otrzymuje odpowiedzi, chociaż wydaje mu się, że dostrzegł niemrawe skinienie. Postanawia więc kontynuować:

– Pracował pan w pralni?

Tym razem Legén kiwa głową na pewno.

– Tak.

– Jak długo?

– Dwadzieścia osiem lat. I siedem miesięcy.

– Nieźle! Ale teraz jest już pan na emeryturze?

– Tak – odpowiada Legén. – Teraz robię już tylko wino.

Jan rozgląda się po kuchni. Zgadza się, butelki i kanisterki są wszędzie. A owocowy zapach alkoholu pochodzi z opakowań, a nie od Legéna.

– Ale może – zaczyna nieśmiało Jan – pamięta pan jeszcze, jak tam jest... w klinice?

– Tak, co nieco.

– Jakieś tajemne przejścia? – dodaje Jan z uśmiechem, aby pokazać, że to żart, chociaż wcale nie żartuje.

Legén kończy przesypywać cukier i spogląda na Jana. Ten więc kontynuuje:

– Ciekawi mnie historia tego miejsca. Może zechciałby pan mi coś opowiedzieć?

– A po co? – dziwi się Legén, podnosząc filiżankę z cukrem.

– Pracuję tam... Interesuje mnie moje miejsce pracy... Nigdy nie byłam na oddziałach szpitalnych.

– Naprawdę? – odpowiada Legén. – To gdzie pracujesz?

Janowi nie przychodzi do głowy żadne dobre kłamstwo, więc odpowiada:

– W przedszkolu.

– W przedszkolu? Tam nie ma żadnego przedszkola.

– Ależ jest, teraz jest – mówi Jan. – Chodzą do niego dzieci, których rodzice przebywają w szpitalu.

Legén z niedowierzaniem kręci głową. Po chwili zamyślenia w ręca Janowi filiżankę z cukrem.

– No dobra... W takim razie stówa.

– Jaka stówa?

– Sto koron, to opowiem. I dostaniesz jeszcze flaszkę.

Po krótkim zastanowieniu Jan się zgadza.

– Jeśli pan opowie, później przyniosę pieniądze – mówi.

Legén sadowi się powoli przy kuchennym stole. Przez chwilę milczy.

– Nie ma tam żadnych tajemnych przejść – zaczyna wreszcie opowieść. – Nigdy żadnego nie widziałem... Jest tam jednak coś innego.

Grzebie wśród gazet i rachunków zakrywających obrus, by po chwili znaleźć ołówek i pół kartki papieru. Zaczyna na niej rysować kwadraty i wąskie prostokąty.

– Co to jest? – pyta Jan.

– Pralnia. – Dorysowuje strzałkę. – Idziesz do suszarni. Takie duże szerokie drzwi. Nie wchodzisz tam jednak, tylko otwierasz drzwi po prawej stronie. Wchodzisz do magazynku... – Wokół jednego z kwadratów rysuje gruby okrąg. – A tu, za wszystkimi gratami, jest droga na górę.

– Schody?

– Nie – odpowiada Legén. – Stara winda. Jedzie prosto na oddziały... Wszystkie. Ale niezbyt wielu o tym wie.

Jan przygląda się niestarannemu szkicowi.

– W pralni zawsze są ludzie. I pełno strażników.

– Nie w niedziele – wyjaśnia Legén. – W dni świąteczne w pralni jest pusto, pusto i cicho. Wtedy można jeździć w górę i w dół do woli.

Po raz pierwszy mężczyzna patrzy Janowi w oczy, a ten zdaje sobie sprawę, że Legén opowiada o sobie. Nagle powstaje między nimi nic porozumienia. Dwadzieścia osiem lat w Świętym Psycholu, myśli Jan. W takim czasie można poznać każdy metr kwadratowy, każde drzwi i korytarz. Musiał spotkać wielu pacjentów, przebywających tam w tym czasie. Wi-

dzieć ich i zastanawiać się nad ich losem.

– A pan używał tej windy? – pyta Jan.

– Tak – przyznaje Legén. – Niekiedy.

– W niedziele?

– Zdarzało się.

– Spotykał się pan tam z kimś?

Legén kiwa głową. Wygląda, jakby przypominał sobie te spotkania.

– Z kobietą?

– Była piękna, naprawdę śliczna... ale miała w sobie piekło – Legén potwierdza z rozrzewnieniem.

Jan nie pyta o nic więcej.

Ryś

Pani inspektor policji miała jasnozielone oczy, którymi lustrowała rozmówcę. Nigdy nie uciekała przed czymś spojrzeniem. Siedząc w fotelu Niny w sekretariacie, wyglądała na zadowoloną, jakby została kierowniczką Rysia. Jan starał się wyglądać na równie spokojnego – był ostatnią osobą z personelu przedszkola, której jeszcze nie przesłuchano.

– Widział pan kogoś w lesie?

– Ma pani na myśli... kogoś dorosłego?

– Dziecko lub dorosłego – powiedziała policjantka. – Kogoś nienależącego do towarzyszącej panu grupy, kogoś poza pana koleżanką i dziećmi.

Jan spojrzał na kobietę, udając, że się zastanawia. Mógłby wymyślić jakiś cień między drzewami, kucającą męską sylwetkę, obserwującą chłopców pożądlivym wzrokiem. Wiedział jednak, że policja szuka teraz porywacza, i nie chciał łączyć się w jakikolwiek sposób z taką postacią. Pokręcił więc głową.

– Nikogo nie zauważyłem... ale słyszałem jakieś dźwięki.

– Dźwięki?

Jan nie słyszał oczywiście żadnych dźwięków, ale teraz musiał już brnąć dalej w tę opowieść:

– No... Trzeszczące gałęzie, jakby ktoś poruszał się między świerkami. Sądziłem, że to jakieś zwierzę.

– Jakie mogło to być zwierzę?

– Nie wiem. Może sarna. Albo łos.

– Innymi słowy, coś dużego.

– Właśnie, duże zwierzę... Ale nie drapieznik.

Policjantka przyjrzała mu się uważnie.

– Co ma pan na myśli, mówiąc „drapieznik”?

– No... takie też bywają w lasach – rzekł Jan. – Trudno je spotkać, bo są bardzo płochliwe, ale bywają tu niedźwiedzie, rysie i wilki... Chociaż wilki może nie, nie tak daleko na południu... – Jan czuł, że zaczyna pleść bez sensu. Zamknął usta i uśmiechnął się nieco wymuszenie. Policjantka nie zadała więcej pytań.

– Dziękuję panu – powiedziała tylko, zapisując coś w notatniku.

Jan wstał.

– Czy wyślecie jeszcze jakąś grupę poszukiwawczą?

– Teraz nie – odparła policjantka. – Będzie akcja z helikoptera, zorganizujemy działania punktowo.

– Chętnie pomogę – zadeklarował Jan. – W... w czymkolwiek.

– Dobrze, dziękuję.

Wychodząc z pokoju, Jan spojrzał na zegarek. Było dwadzieścia po drugiej. Wkrótce minie cała doba, odkąd William wkroczył do bunkra, a Jan zakradł się za nim i zatrzaskał drzwi.

Miał wrażenie, że minął rok.

Nina i pozostali koledzy z Rysia i Niedźwiadka siedzieli w pokoju wychowawców. Prawie

ze sobą nie rozmawiali, czekali. Panował nastrój jak na stypie. Sigrid Jansson nie było z nimi – po przesłuchaniu dostała zwolnienie lekarskie i udała się do domu.

Bo to, czym zajmowała się policja, chyba było przesłuchaniem? Tak to wyglądało. Pytania wykończyły Jana. Wiedział, że policja przeczytała list, który wysłał do rodziców Williama, i że teraz poszukiwani są porywacze chłopca. Jego chyba nie podejrzewali?

Nalał sobie kawy i usiadł wśród pozostałych wychowawców, próbując się odprężyć. Za oknem nie było już widać słońca. Na zmierzch było jeszcze za wcześnie, ale powoli się zbliżał. Dla Williama – drugi zmierzch w lesie, a później wieczór i noc.

– Jak się czujesz, Janie? – zapytała jedna z koleżanek cichym głosem.

Podniósł wzrok.

– Dobrze.

– To nie była twoja wina.

– Dziękuję.

N i e j e g o w i n a. Chwilami Jan sam wierzył, że tak właśnie było, że William po prostu zniknął. Zaraz jednak przypominał sobie, jaka jest prawda, i robiło mu się niedobrze. Był zmęczony, czuł się pokonany. Nie był wystarczająco silny.

Cisza panująca w przedszkolu opuszczonym przez dzieci była nie do zniesienia. Cisza i spokój. Działo się niewiele. Tylko umundurowani policjanci pojawiali się czasami na korytarzu. Nadal wyglądali na zmartwionych, co podpowiadało Janowi, że Williama jeszcze nie odnaleziono.

Opróżnił swój kubek i znowu wyjrzał przez okno. Las ponad przedszkolem ciemniał.

Przerwij to, mówić głos w jego głowie. Zrób to, co należy, i przerwij ten rytuał. Wypuść go.

Wstał.

– Muszę iść.

– Chcesz wrócić do domu? – zapytała Nina.

– Nie wiem... Może pójdę do lasu.

Bezradnie spojrział na Ninę, lecz odwróciła wzrok. Ze smutkiem w oczach spojrzała w stronę okna i dodała cicho:

– Uważają, że już go tam nie ma.

– W porządku... Ale może chociaż się tam przejdę, zanim wrócę do domu – rzekł Jan. – Muszę się czymś zająć.

Kilkoro współpracowników z Rysia obdarzyło go pocieszającym uśmiechem, lecz on go nie odwzajemnił.

Jan uważa, że z daleka Polana wygląda bardzo niepozornie. To właściwie tylko drewniany barak, zbudowany, żeby służyć na próbę przez kilka lat, a później zniknąć bez śladu. Nadchodzi zima. Wystarczyłyby jeden mocniejszy sztorm znad morza, aby zerwać dach z przedszkola, zwalić ściany i zniszczyć pomieszczenia. Święty Psychol to zupełnie co innego. Szary kamienny budynek stoi od ponad stu lat i zapewne postoi jeszcze drugie tyle.

Jest sobota, Jan ma nocny dyżur w przedszkolu. Otwierając drzwi, spodziewa się usłyszeć wesołe dziecięce głosiki, lecz wewnątrz jest cicho. Słysząc jedynie słaby szmer dochodzący z kuchni. Kiedy Jan wiesza kurtkę, z kuchni wygląda Hanna. W dłoni trzyma nóż, ale jest to zwykły nóż stołowy. Właśnie opróżnia zmywarke.

– Cześć – mówi.

– Cześć – odpowiada Jan. – Czy Lilian dzisiaj nie ma dyżuru?

– Jest chora.

– Gdzie dzieci? – Jan zagląda do wszystkich pomieszczeń.

– Są u nowej rodziny zastępczej Miry – wyjaśnia Hanna.

– Aha... A kiedy wracają?

– Mogą tu być w każdej chwili. – Hanna rozgląda się, mimo że nie ma nikogo poza nimi, i robi krok w jego kierunku.

– Wszystko, o czym rozmawialiśmy, Hanno – zaczyna Jan cicho. – Wszystkie tajemnice...

Zostaną wyłącznie między nami, prawda?

Czuje się idiotycznie, ale Hanna kręci tylko głową, patrząc na niego błyszczącymi oczami.

– Tajemnice trzymają nas razem.

– Zgadza się. – Jan kiwa głową. – Zawarliśmy pakt.

W tej chwili otwierają się drzwi wejściowe i do przedszkola wpadają dwie małe postacie ubrane w kombinezony przeciwdeszczowe. Mira i Leo. Mira krzyczy radośnie na widok swych wychowawców, a Hanna i Jan automatycznie odsuwają się od siebie o krok. Trzymaj fason przed dziećmi. Pięciolatek eskortuje mężczyzna w średnim wieku, ubrany w jasnobrązową kurtkę i niebieską czapkę z daszkiem. Na nogach ma porządne buty za kostkę. Sprawia wrażenie osoby spokojnej i pewnej. Uśmiecha się delikatnie, podając dłoń najpierw Janowi, a następnie Hannie. Przedstawia się jako dodatkowy tato Miry. Oboje uśmiechają się do nowego zastępczego ojca.

– Wszystko dzisiaj poszło dobrze – mówi. – To wspaniałe dzieci... Będzie świetnie.

– Bez wątplenia – zgadza się Jan.

Po powrocie dzieci nie może już rozmawiać z Hanną. Dziewczyna kończy pracę o siódmej i punktualnie o tej godzinie wychodzi do domu, zegnając się z podopiecznymi długimi uściskami, a z Janem krótkim skinieniem.

Kiedy Jan jest już sam z dziećmi, przygotowuje kolację, po czym siada razem z nimi przy stole.

– Fajnie dzisiaj było?

Mira kiwa głową.

– Będę mieszkać w gospodarstwie. Tam są konie!

– Ojej... – Jan wyraża zainteresowanie. – Pozwolili ci je pogłaskać?

Mira przytakuje, pełna nadziei związanych z zamieszkaniem na wsi. Widząc jej spojrzenie, Jan także czuje radość. Następnie przygląda się Leo. Wie, że chłopiec również zamieszka poza miastem, lecz w jego oczach nie ma śladu radosnego wyczekiwania.

– Najedzeni? – pyta Jan.

– Może... Są jakieś słodycze? – pyta Mira. Wie, że jest sobota.

Dzieci zjadają więc trochę słodkości, później przychodzi pora na czytanie dwóch książeczek z obrazkami, aż w końcu, po zwyczajnych protestach, kwadrans po ósmej Mira i Leo kładą się do łóżek.

Jan siada w kuchni i czeka. Piwniczny korytarz prowadzący do Świętego Psychola kusi, ale tego wieczoru nie zamierza tam iść. Dopiero jutro, w niedzielny wieczór, pralnia ma być pusta, a kontrola – słabsza. Dzisiaj czeka go tylko krótki wypad do pokoju odwiedzin. Musi podjąć to ryzyko.

O godzinie wpół do jedenastej jest w windzie w drodze na górę. Uchyła drzwi. Pokój jest pusty i ciemny. Nic się tu nie zmieniło, lecz kiedy podchodzi do sofy i podnosi jedną z poduszek, znajduje nową kopertę. Tym razem jest jasnoniebieska i nie tak gruba. Jest w niej osiemnaście listów. Stwierdza to, otwierając ją już w kuchni, ale właściwie obchodzi go tylko jeden z nich. Zaadresowano go do niego, do J a n a, więc od razu rozrywa kopertę, jakby otwierał bożonarodzeniowy prezent.

W środku jest tylko mała kartka papieru, a na niej zaledwie krótka wiadomość, zapisana małymi i cienkimi literami. Jan czyta ją jednak raz za razem:

Janie, wiewiórka pamięta Cię jak sen, jak wiersz lub błyszczącą chmurę na niebie.

Pamiętam Cię, pamiętam, pamiętam.

Wciąż czekam, aby móc wyjść z zoo.

Ale Ty możesz mnie tam zobaczyć, moja dziupla jest wspiana.

Wyjdź z lasu i poszukaj.

Odpowiedź. To odpowiedź od Rami. Nie może być inaczej. Jan opuszcza kartkę, palce mu drżą. Spogląda za okno i widzi światła szpitala. Przewycięża jednak pragnienie, aby odszukać pokój Rami jeszcze tej nocy.

– Spotkanie Keitha Moona z Topperem Headonem! – woła Rettig. – Tak to właśnie brzmi, kiedy grasz, Janie!

Jan, kiwając głową, kończy solówkę uderzeniami pałeczkami w werbel. Siedział za perkusją niemal przez godzinę. Dzięki muzyce zapomniał o listach ze szpitala. A teraz Rettig udzielił mu jeszcze swego rodzaju pochwały. Miło z jego strony. Tym bardziej Jan się waha, czy zapoznać go ze złymi wieściami z przedszkola. W końcu jednak postanawia to zrobić. Kiedy zostają w lokalu sami, mówi jakby mimochodem:

– Nocami przedszkole będzie zamknięte.

Rettig dalej zbiera instrumenty.

– Od kiedy? – pyta.

– Wkrótce, od przyszłego tygodnia. Wszystkie dzieci mają już rodziny zastępcze.

– Okej, dobrze wiedzieć.

– Rozumiesz, co to oznacza? – upewnia się Jan.

– Co takiego?

– Że nocami nie będzie tam nikogo z personelu... Wychodzi na to, że trzeba skończyć z kolportażem poczty.

Rettig jednak kręci głową.

– Zastanów się trochę.

– Nad czym?

– Nad tym, że jeśli coś jest w nocy nieczynne... Co to oznacza?

Jan wstaje ze stołka i odkłada pałeczki. Uderzał nimi mocno przez godzinę, na palcach zrobiły mu się pęcherze.

– Że nikt tam nie przychodzi – odpowiada. – Kiedy coś jest zamknięte, nie można otworzyć drzwi.

– No jasne – mówi Rettig. – Ale ty chyba masz klucze do Polany?

– Tak.

– Najważniejsze, że przedszkole jest p u s t e... Nikogo tam w nocy nie będzie, tak?

– Raczej tak – zgadza się Jan.

– A jeśli ktoś ma klucze do zamkniętego miejsca, wystarczy tylko wejść – ciągnie Rettig – i robić, cokolwiek się chce. Czyż nie?

– No tak – przyznaje Jan. – O ile to miejsce nie jest w jakiś sposób obserwowane.

– W nocy nie ma żadnego monitoringu. Przecież ja jestem głównym strażnikiem. – Zamykając futerał z gitarą, Rettig kontynuuje: – Możemy jednak zrobić sobie przerwę w dostarczaniu listów, jeśli chcesz. Za dwa tygodnie mamy w Patrycji wielką akcję sprawdzania bezpieczeństwa, takie ćwiczenia. Przed ich rozpoczęciem zazwyczaj pilnuje się wszystkiego, a później znowu wszystko wraca do normy.

Jan kiwa głową w milczeniu. Myśli o tym wszystkim, co spotkało go w ostatnich tygodniach. I o dziwnych odgłosach w podziemiach.

– A piwnica pod szpitalem... – zaczyna. – Czy wieczorami jest pusta?

– To znaczy?

Jan się waha. Nie chce się do niczego przyznać.

– Spacerując po szpitalu, doktor Högsmed mówił o podziemnych korytarzach – wyjaśnia wreszcie. – Mówił, że nie jest tam zbyt przyjemnie.

– Högsmed jest szefem. Nie ma o niczym pojęcia – rzuca Rettig. – Pewnie nawet nie wszedł w podziemia dalej niż na pięć metrów.

– A ktoś inny tam chodzi? – pyta Jan.

Rettig przytakuje.

– Nie wiem, czy chodzi – mówi. – Piwnica jest swoistym placem zabaw... Pacjenci z otwartych oddziałów mogą tam przebywać bez nadzoru. Mają tam basen, małą kaplicę i tor do gry w kręgle. Wszystkiego po trochu.

Jan patrzy na niego.

– Z oddziałów otwartych... Czy nie są niebezpieczni?

– Przeważnie nie – odpowiada Rettig. – Czasami oczywiście mają jakieś swoje pomysły...

Wtedy trzeba uważać.

Jan kiwa głową. Wie, że musi uważać przez cały czas. Rami jednak wydaje się teraz tak blisko. Chce zapytać Rettiga o ostatnią sprawę:

– A jeśli natknąłbyś się na mnie tam na dole, wszcząłbyś alarm?

Rettig nie jest zachwycony pytaniem.

– Nigdy nie dostaniesz się do środka... Poza tym, co tam po tobie? Chcesz wiedzieć, jak wygląda wariackowo?

– Nie – zaprzecza szybko Jan. – Zastanawiam się tylko, czybyś mnie wydał, jeśli wszedłbym do szpitala.

Rettig potrząsa głową.

– Jesteśmy kumplami. Na kumpli się nie donosi, więc nic bym nie zrobił... Zostawiłbym cię w spokoju. – Patrzy na Jana. – Nie mógłbym ci jednak pomóc, gdyby nakrył cię ktoś inny. Wówczas zaprzeczyłbym całej misji, dokładnie tak samo jak w tym amerykańskim serialu telewizyjnym.

Jan nie mógł liczyć na nic innego.

– W porządku. Będę improwizował.

– Wszyscy tam nocami improwizują – mówi Rettig.

– Nie rozumiem.

Strażnik wzrusza ramionami.

– Dni w Patrycji są bardzo uporządkowane, obowiązują ustalone procedury. Noce nie są już jednak tak spokojne. Wszystko może się wtedy zdarzyć. – Uśmiechając się do Jana, dodaje: – Zwłaszcza w czasie pełni.

Jan nie zadaje więcej pytań, odchodzi od perkusji. Nie grał dziś szczególnie dobrze, niezależnie od opinii Rettiga. Nie nadaje się do pracy w grupie. Tej nocy znowu śni o Alice Rami. Sen nie jest przyjemny. Idzie obok niej wiejską drogą. Powinno mu to sprawiać radość, lecz kiedy spogląda w dół, widzi niezwykłego psa biegnącego między nimi z wywieszonym językiem. Właściwie to w ogóle nie jest pies. To warcząca dzika bestia, żółto-brązowy mieszaniec

rysia ze smokiem.

– Za mną, Rösse! – woła Rami i zaczyna biec.

Zwierzę obdarza Jana szyderczym uśmiechem i rusza za nią. Jan zostaje sam w ciemności.

Ryś

Jan zrozumiał, że trzeba zakończyć to szaleństwo.

Wychodząc ze świetlicy, definitywnie podjął decyzję – uwolni Williama. Uwolni go teraz. Z zaplanowanych czterdziestu sześciu godzin w bunkrze zostaną tylko dwadzieścia cztery.

Zbacząc z chodnika, ruszył szybkim krokiem w las.

W ciągu ostatnich dwóch dni ścieżkę prowadzącą przez las wydeptały setki ciężkich butów, poszerzyła się więc i łatwiej było nią iść. Jan mógł przyspieszyć, a kiedy dotarł do lasu, zobaczył, jak bardzo zdeptano poszycie. Nie było jeszcze ciemno. Dochodziło dopiero piętnaście po trzeciej.

Nie widział jednak żadnych ludzi, nie słyszał helikoptera.

Szedł dalej wąwozem, minął szybko starą furtkę i zwolnił dopiero wtedy, gdy znalazł się niemal przy samym bunkrze. Tu musiał zachować większą ostrożność.

Małe metalowe drzwi wciąż pozostawały ukryte, a kiedy Jan odgarnął gałęzie, mógł się upewnić, że dalej są porządnie zamknięte. Odetchnął głęboko. Nadeszła pora na kolejną scenę. Miał zagrać rolę niewinnego opiekuna, który rusza do lasu i dokonuje tego, na co inni nawet nie śmiały żywić nadziei – odszukuje zaginione dziecko. Ot tak, przez przypadek.

– Halo! – zawołał w stronę blachy głośno i wyraźnie. – Czy ktoś tam jest?

Czekał, ale nie otrzymywał odpowiedzi. Mógł dalej krzyczeć, lecz po krótkiej chwili pociągnął drzwi.

– Halo! – powtórzył.

Teraz także nie doczekał się odpowiedzi.

Jeszcze się nie denerwował, zastanawiała go jednak ta sytuacja. Pochylił się przy wejściu i wetknął głowę do bunkra.

– Halo?

W środku panował nieporządek. Koce leżały przy ścianie jeden na drugim, a obok nich otwarte opakowania po kanapkach, kartoniki po napojach i torebki po słodyczach. Robot także leżał na podłodze, ale był zepsuty. Miał rozbitą głowę i brakowało mu prawej ręki. Lecz Williama nie było widać.

Jan wpełzł do środka.

– William?

Nie powinien był wołać go po imieniu, ale zaczynał się denerwować. Chłopca nie było w środku, a jednocześnie nie było też miejsca, w które mógł się udać.

W końcu zauważył czerwone plastikowe wiaderko. Wiadro mające służyć jako toaleta. Stało w głębi pomieszczenia, przy betonowej ścianie, ale było odwrócone do góry dnem. Dlaczego?

Jan podniósł wzrok na ścianę. Znajdował się tam jeden z wąskich otworów, przez które wpadało powietrze – teraz jednak był on nieco większy. Ktoś wydrapał ziemię, gałęzie i stare liście, dzięki czemu udało mu się powiększyć otwór do wysokości około dwudziestu, trzydziestu centymetrów. Za mały dla dorosłego, ale nie dla pięciolatka. William znalazł wyjście. Prawdopodobnie próbował zabrać ze sobą robota, ale upuścił go na podłogę.

Jan próbował zachować spokój. Zrozumiał, co musi zrobić, i zabrał się od razu do działania. Koce ułożył na podłodze jeden na drugim, po czym zebrał wszystko, co sam zgromadził w bunkrze – jedzenie i picie, zabawki oraz plastikowe wiadro. Zwinął koce w wielki tobolek i wyciągnął wszystko na zewnątrz. W bunkrze nie było już po nim śladów. Został stary materac, ale on nie pomoże go zidentyfikować.

Odszedł na odległość stu dwudziestu kroków od bunkra i ukrył wszystko pod gęstą gałęzią. Zabierze to później, kiedy już odnajdzie Williama.

Rozejrzał się dookoła. Zapadał zmierzch, las był nieruchomy.

Gdzie ma szukać?

W niedzielę Jan wybiera się do pracy wcześniej, aby dojść do szpitala, zanim zajdzie słońce. Tego popołudnia jest ono widoczne jako żółta kula na tle granatowego nieba. Jesienne powietrze bywa czasami przejrzyste i rześkie.

Słońce jest w tej sytuacji zbawienne, gdyż po odpowiedzi od Rami Jan chce zobaczyć fasadę szpitala w świetle dziennym.

„Moja dziupla jest wspaniała – napisała w liście. – Wyjdź z lasu i poszukaj”.

Na tyłach Świętej Patrycji jest las, więc Jan musi wybrać okrężną drogę. To ryzykowne przedsięwzięcie. Musi trzymać się poza zasięgiem kamer i alarmu. Zbocze opadające ku strumieniowi, który płynie wzdłuż ogrodzenia, porośnięte jest jednak gęstymi krzewami i świerkami, więc Jan może kryć się w ich cieniu.

Zatrzymuje się między dwoma drzewami, aby spojrzeć ponad ogrodzeniem w kierunku rzędów okien. Stojąc na skraju lasu, zauważa na kamiennej fasadzie coś nowego – coś tam powiewa na wietrze. Biała flaga. Wygląda, jakby zrobiono ją z podartego prześcieradła lub chusteczki do nosa. Fragment materiału zwisa pod jednym z okien.

Teraz Jan rozumie, co wiewiórka miała na myśli, pisząc, że oznaczyła pokój.

Jan liczy i zakreśla w myślach okno z flagą, jakby ściana szpitala była mapą: c z w a r t y r z ą d o d o ł u, s i ó d m e o k n o o d p r a w e j. Musi zapamiętać tę pozycję.

Za szybą nie widać nikogo, jest zupełnie ciemna, ale Rami pokazała dokładnie, gdzie mieszka. Pozostaje już tylko się tam dostać. Jedyna droga prowadzi przez podziemne korytarze.

*

Przed obiadem Leo i Mira bawią się w lekarzy. Ich pluszowe zwierzęta są chore, a dzieci mają je wyleczyć. Jan pomaga im w posłaniu łóżeczek w sypialni, po czym on także ma się położyć i zostać pacjentem.

Po jedzeniu, mimo chłodu, wychodzą na chwilę na podwórko. Leo i Mira siadają każde na swojej huśtawce, ale Jan właściwie nie uczestniczy w zabawie. Kiedy już porządnie rozhuśtał wychowanków, patrzy w stronę ogrodzenia. Zapada zmierzch, zapalono reflektory. Oświetlają mokre liście i ostre żelazne druty.

Minęło piętnaście lat, ale Jan ma nadzieję, że Rami wciąż istnieje. J e g o Rami. Ta, która przez krótki czas mieszkała w Kapedimie w sąsiednim pokoju, ta, która go do siebie wpuściła i była pierwszą i jedyną osobą, która zdawała się sądzić, że warto było z nim rozmawiać. Nie z d a w a ł a, ona naprawdę dobrze się czuła w towarzystwie Jana. A to, że go zostawiła i uciekła jak wiewiórka, zależało od czegoś zupełnie innego.

Dzieci zasypiają późno, tuż przed dziewiątą.

Leo miał trudności z zaśnięciem i wołał swego opiekuna wiele razy. Jan powinien się teraz odprężyć, ale to niemożliwe. Już teraz jest kłębkim nerwów, a tej nocy przed nim jeszcze

długa wędrówka. Długa i niepewna – nawet jeśli zna jej cel.

Czwarty rząd od dołu, siódme okno od prawej.

Kwadrans po jedenastej zagląda raz jeszcze do Miry i Leo, po czym z aniołem przy pasku schodzi do piwnicy. Urządzenie milczy, dzieci śpią spokojnie już od ponad dwóch godzin. Jan otwiera pierwsze drzwi schronu. Drugie nadal są niezamknięte. Popycha je w kierunku ciemności. Jest z powrotem w podziemiach szpitala, przygotowany lepiej niż poprzednim razem. Anioł ma nowe baterie, światło jego lampki wędruje po starych kafelkach na ścianach. Zna już te miejsca, ale i tak nie potrafi się rozluźnić. Kiedy tu ostatnio wchodził, czuwała nad nim Hanna, dzisiaj jest sam.

Rusza, trzymając w dłoni również prymitywną mapę podziemi, wykonaną przez Legéna – narysowane na niej strzałki mają go poprowadzić do celu. Na wypadek gdyby zabłądził, ma w kieszeni jeszcze coś: biały papier. Przed zejściem na dół siedział w kuchni, drąc na małe kawałki kartki papieru. Teraz wyciąga je po jednym i rzuca za siebie mniej więcej w dwumetrowych odstępach. Znakuje drogę odwrotu.

Wreszcie dociera do brudnych sal dla chorych. Latarkę wkłada pod bluzę, aby światło nie było zbyt wyraźnie widoczne, w razie gdyby któryś z pacjentów tędy spacerował. Powoli zbliża się do szpitalnej pralni. Nawet jeśli Legén twierdzi, że w niedzielę jest nieczynna, Jan nie ma zamiaru obwieszczać swojego przybycia.

Spogląda w stronę sufitu. U góry wiją się grube przewody elektryczne. Gdzieś powyżej znajdują się pokoje, a w nich – pacjenci. Setki, jak powiedział Högsmed. W jednym z tych pokoi, na czwartym piętrze, czeka Alice Rami, taką przynajmniej Jan ma nadzieję.

Dociera do pralni. Drzwi są zamknięte, ale czy na klucz? Wyciąga rękę w stronę klamki i ją naciska. Drzwi są ciężkie, ale udaje się je otworzyć. Poprzednim razem u sufitu paliło się światło, teraz jest zgaszone. Pomieszczenie przypomina czarną grootę i tylko pojedyncze czerwone lampki na liczniku prądu i na pralkach błyszczą w ciemności jak czerwone oczy zwierząt. W tle słychać stłumiony szum wiatraków, powietrze jest tu ciepłe i ciężkie.

Jan wchodzi do środka z mapą Legéna w dłoni. Szuka szerokich drzwi, ale nie chce włączać światła. Albo raczej chce je włączyć, ale nie ma odwagi tego zrobić. Idzie po ciemku, sprawdzając drogę wyciągniętymi rękami. Mija rzędy metalowych szafek zamkniętych na kłódki oraz stół zastawiony brudnymi kubkami po kawie. Następnie wchodzi do mniejszego pomieszczenia, zupełnie pozbawionego lamp, gdzie już musi znowu zapalić latarkę. Światło pada na olbrzymią pralkę o stalowej twarzy i otwartych okrągłych ustach pośrodku. Obok niej, wzdłuż ścian biegą długie półki, na których leżą sterty prania, a w górze pod sufitem zamocowana jest stalowa szyna, na której na haczykach wiszą w rzędzie koszule nocne, przypominające chude białe anioły.

Jan kontynuuje poszukiwania z latarką w dłoni, aż w końcu jej światło trafia wprost na szerokie czarne metalowe drzwi. Według mapy to wejście do suszarni. Kilka metrów na lewo od niego znajdują się węższe drewniane drzwi, zaopatrzone w okrągłą klamkę. To właśnie do nich Jan podchodzi i je otwiera. Kolejne pomieszczenia pralni były coraz mniejsze, ale to jest najmniejsze ze wszystkich. Ciemna komórka o kamiennych ścianach. Jan dostrzega przy drzwiach stary włącznik światła, więc naciska go, aby zaoszczędzić baterie anioła.

Zakurzona żarówka oświetla to pozbawione okien pomieszczenie pełne śmieci – są tu stare

drewniane skrzynki, puste opakowania po środkach do prania i zepsuta suszarka na bieliznę. Obok jednego z regałów znajduje się jednak to, co obiecał Legén – drzwi do windy z żelazną klamką. Małe drzwi, albo raczej spory otwór. Ma ledwo metr szerokości i jest niewiele wyższy, a kiedy Jan podchodzi i podciąga kłapę, widzi, że nie jest to winda osobowa. To drewniany dźwig, zbudowany kilkadziesiąt lat temu w celu transportowania koszy z bielizną między piętrami Świętego Psychola.

Wnętrze jest ciasne – oczywiście nie ma szans, żeby się wyprostować. Jan waha się, patrząc na otwór. Następnie zgina plecy i wsuwa do środka głowę i ramiona. To tak, jakby wpełznąć do autobusowego bagażnika. Albo do dużego kufra. Miejsce jest klaustrofobiczne, mimo to Jan wchodzi do wnętrza. Kłęby kurzu umykają mu spod dłoni i kolan, kiedy wsiada do windy. Nie da się wstać, ale przy odrobinie wysiłku udaje mu się przełożyć nogi i się odwrócić. Zanim Jan zamyka za sobą kłapę, spogląda na anioła. Co zrobi, jeśli któregoś z dzieci teraz się obudzi i zacznie go wołać? Nie może w tej chwili o tym myśleć, jest zbyt blisko Rami.

Czwarty rząd od dołu, siódme okno.

Włącza latarkę. Drewniane ścianki napierają na niego, a na suficie tańczy jego własny cień. W świetle lampki widzi przed sobą kilka czarnych punkcików. Siedem guzików. Są stare i spękane, być może zrobiono je z bakelitu. Przy jednym widnieje napis: PRZYCISK BEZPIECZEŃSTWA. Pozostałych sześciu nie ponumerowano, ale po zamknięciu za sobą kłapy Jan naciska czwarty guzik od prawej strony.

Słyszy jakiś huk ponad sobą w szybie windy, po czym kabina rusza. W górę. Ściana przed nim zaczyna z wolna znikać w dole, winda trzeszczy i się trzęsie. Jan przemyka przez piętra szpitala. Jego cel jest niepewny, ale Jan ma nadzieję, że będzie to czwarte piętro. Zamyka oczy. Nie chce myśleć o tym, że winda przypomina drewnianą trumnę.

Kapedim

Po ponad tygodniu spędzonym w Kapedimie Jan zaczął opowiadać, dlaczego wskoczył do stawu. Nie zwierzał się jednak żadnemu z psychologów, lecz Rami. Było to długie wyznanie za zamkniętymi drzwiami jej pokoju.

Tego wieczoru Rami nie mogła sobie znaleźć miejsca. Najpierw skakała po swoim niezasłanym łóżku, a po chwili położyła się, zakrywając twarz poduszką. Później wstała, chwyciła gitarę i stanęła z nią na krawędzi materaca, patrząc na czarne zasłony w swoim pokoju, jakby obserwowała przed sobą publiczność.

– Lubię c h a o s – powiedziała. – Chaos to w o l n o ś ć. Poprzez śpiewanie chcę słać niepewność... Taką, kiedy człowiek stoi na krawędzi sceny i czasami z niej spada.

Jan siedział na podłodze, nie odzywając się. Rami nie patrzyła na niego, ciągnęła dalej:

– Jeśli kiedykolwiek nagram płytę, będzie jak list samobójcy. Tylko bez samobójstwa.

Jan milczał jeszcze przez chwilę, by w końcu odezwać się ze wzrokiem utkwionym w podłogę:

– Ja to zrobiłem.

Rami zagrała akord na gitarze, mocno i mrocznie.

– Co takiego zrobiłeś? – zapytała.

– Próbowałem odebrać sobie życie – odparł Jan. – W ubiegłym tygodniu.

Rami zagrała kolejny akord.

– Ludzie powinni umierać dla muzyki – stwierdziła. – Piosenka powinna być tak dobra, żeby ludzie chcieli u m r z e ć, słysząc ją.

– Ja chciałem umrzeć, zanim tu trafiłem... I prawie się udało – powiedział Jan.

Rami zamilkła, jakby w końcu zaczęła słuchać. Zrobiła dwa kroki w tył i oparła się o ścianę.

– Więc chcesz u m r z e ć? Tak na serio?

Jan skinął ostrożnie głową.

– Chciałem... I tak bym zginął.

– Dlaczego?

– Zabiliby mnie.

– Ale kto?

Jan wstrzymał oddech i nie patrzył na Rami. Opowiadanie o tym, co się stało, sprawiało mu trudność, mimo że drzwi były zamknięte i chroniło go ogrodzenie. Miał wrażenie, że Torgny Fridman siedzi za ścianą i podsłuchuje.

– Jedna banda – wydusił z siebie w końcu. – Chłopaki z mojej szkoły... Chodzą do dziesiątej klasy i nazywają się Bandą Czterech, albo raczej wszyscy pozostali tak ich nazywają. W szkole są królami, a przynajmniej na korytarzach. Nauczyciele nic nie kumają. Nic nie robią... A wszyscy tylko im się podlizują.

– Wszyscy oprócz ciebie?

– Byłem głupi, nie przemyślałem tego. – Jan westchnął. – Pewnego razu Torgny Fridman kazał mi się przesunąć, kiedy staliśmy w kolejce do auli. Chciał stanąć przede mną, ale go nie przepuściłem... Stałem tam, aż w końcu przyszedł jakiś nauczyciel i kazał mu się ustawić na

samym końcu kolejki. Nigdy tego nie zapomniał. – Jan znowu westchnął. – Później zaczął się terror, to była wojna między mną a Torgnym. Za każdym razem kiedy mnie widział, musiał się poznać. Albo wyzywał mnie od bezwartościowych śmieci, albo po prostu popychał i przewracał. – Jan zamilkł na moment. – Trzymałem się więc z daleka od bandy. Liczyłem dni, wierząc, że jednak dam radę.

*

Piątkowe popołudnie, mroźny marcowy dzień. W tym dniu ostatnią lekcją Jana było wychowanie fizyczne, ale już się skończyło. Tydzień niemal dobiegł końca i można rzec, że był dość spokojny. Żadnych awantur.

W chłopięcej szatni został tylko on. Być może nie ma już nikogo poza nim w całej hali sportowej. Sala leży kilkadziesiąt metrów od pozostałych budynków szkolnych. Wszyscy już poszli do domów. Wszyscy chłopcy z klasy czekali na swoich kolegów, na Jana nie czekał nikt. Nic nadzwyczajnego, zawsze tak jest.

Bierze swój sprany ręcznik, owija się nim i idzie do łazienki, gdzie kąpiąca woda odbija się głośnie echem w czterech kabinach prysznicowych. Odwiesza ręcznik i wchodzi pod prysznic znajdujący się najbliżej sosnowych drzwi sauny.

Odkręca ciepłą wodę, namydla się i myje.

– Stałem pod prysznicem, bolały mnie nogi po lekcji WF-u, a w głowie miałem zupełną pustkę – opowiadał Rami. – Nie myślałem o niczym konkretnym... Czasami, biorąc gorący prysznic, człowiek jest jakby we śnie, no wiesz. Może myślałem o weekendzie, bo miałem zostać sam w domu. Tato z mamą mieli gdzieś jechać... Umyłem się i odwróciłem, by sięgnąć po ręcznik, wtedy jednak poczułem zapach dymu papierosowego. I zobaczyłem, że ktoś stoi przed kabiną. To był Torgny Fridman.

Torgny jest kompletnie ubrany, ma na sobie dżinsowe spodnie, kurtkę i wysokie buty. Stoi przy kabinie, blokując wyjście. Patrzy na Jana z uśmiechem.

Torgny nie jest szefem gangu, chce jedynie zaimponować Peterowi Malmowi. To Peter tam rządzi, chociaż nigdy nie czepiał się Jana. Torgny jednak jest niebezpieczny. Wygląda na zachwyconego faktem, że stoi przed nim nagi ósmoklasista.

Jan patrzy na chłopaka. Nie robi nic więcej. Może powinien wyprostować plecy i przepchnąć się obok Torgny'ego, ale musiałby być kimś innym, nie Janem Haugerem. Stoi więc dalej i zaczyna się uśmiechać. W groźnych sytuacjach zawsze się uśmiecha, mimo że wcale tego nie chce. Im bardziej się boi, tym szerzej się uśmiecha.

Torgny zresztą też się uśmiecha, jest to mina zwycięstwa. W szerokim uśmiechu pokazuje Janowi zęby. Następnie odwraca głowę na prawo i woła do kogoś. Z uśmiechem wywołuje kolejne imiona, a kiedy kończy, na chwilę zapada cisza. Wówczas otwierają się drzwi sauny i wychodzą z niej trzej jego towarzysze. Sfora, Banda Czterech. W dłoniach trzymają jarzące się papierosy.

Czy da się przecisnąć obok nich i uciec? Nie, jest już za późno.

– Siedzieli w saunie? – zapytała Rami. – Ale po co?

– Ukryli się przed nauczycielami – wyjaśnił Jan. – Siedzieli tam i palili papierosy, czekając na nadejście weekendu... Byli tam Torgny, Niklas, Christer i ich przywódca Peter Malm. Wszyscy wyszli z sauny. Kiedy ich zobaczyłem, cofnąłem się.

Dokąd jednak Jan może uciec? Stoi pod prysznicem, nagi w kałuży lodowatej wody. Nie może wycofać się przez ścianę. Torgny wypowiada jedno jedyne słowo:

– Hauger.

Nazwisko brzmi jak wyzwisko.

– Co tu robisz, Hauger? Szpiegujesz nas?

Jan nie odpowiada, w dalszym ciągu uśmiechając się do Torgny’ego, jakby pokazując, że jest zupełnie niegroźny. Bo przecież tak jest. Czterech piętnastolatków przeciwko jednemu czternastolatce. Dla bandy to odpowiedni przeciwnik.

To Torgny odkrył zdobycz i to on chce ją dobić. Z petem w kąciку ust chwytając Jana za ramię i kopie podeszwą buta w gołe nogi. Jan upada na płytki, do wody. Próbuje wstać, ale czuje na ciele dłonie. Trzymają go mocno. Wszyscy poza Peterem Malmem – on się nie wysiła. Trzy pary rąk dociskają Jana do posadzki. Tkwiąc tak, mimo przerażenia wie, że to Peter tu rządzi. On jest panem, a trzej pozostali jego dzikimi psami. Jan próbuje nawiązać z nim kontakt wzrokowy.

Nie spuszcza ich ze smyczy, myśli.

– Co z nim robimy? – pyta Torgny.

– Zróbcie coś fajnego – odpowiada Peter.

Torgny kiwa głową, ma pomysł:

– Zgasimy na nim pety!

Peter stoi z tyłu, paląc wciąż swego papierosa, podczas gdy jego poddani gaszą swoje. Po kolei, jeden po drugim na skórze Jana. Robią zawody, kto znajdzie bardziej wrażliwe na ból miejsce.

Christer gasi swojego papierosa Janowi na piersi, między sutkami.

Niklas wciska mu swojego w pachwinę.

– Słyszeliście? – woła Niklas. – Pet aż zasyczał! Słyszeliście?

Peter Malm kiwa głową, paląc dalej.

Torgny uśmiecha się, ma czas.

W końcu wybiera najcieńszą skórę, na szyi.

Jan zamyka oczy.

– Kiedy przypalają cię papierosami, ból nie jest najgorszy – powiedział do Rami Jan. – To oczywiście boli, trochę tak, jakby ktoś wbijał ci gwoździe... Ale ból mija.

– Co zatem jest najgorsze?

– Zapach. Ten nie znika. Czujesz smród palonego mięsa... i to własnego.

Teraz, opowiadając tę historię, znowu poczuł tamten zapach, jakby po tygodniu wciąż tkwił mu w nozdrzach. Czuł, że umrze tam pod prysznicem. Samotny w towarzystwie Bandy Czterech – nie było dla niego nadziei.

Papierosy zgaszone. Na skórze Jana widnieją brązowoczerwone punkty, jakby nowe znamiona. Trzymające go dłonie nieco zwalniają uścisk, palce zaczynają się męczyć.

Niedługo. Niedługo będzie koniec, myśli Jan. Zaraz uciekną. Wtedy jednak nadchodzi nowy rozkaz od Petera Malma:

– Wrzucić go do sauny!

– Ożeż ty! – odpowiada Torgny. – Zamkniemy go tam!

– Jak zamkniemy? – wtrąca się Niklas. – W saunie nie ma zamka.

W łaźni zapada milczenie pełne zawodu. Jan także się nie odzywa.

– I tak go wrzucicie – mówi Peter. Słysząc, że zaczyna go to nudzić. – Wrzucimy go, a później spadamy.

Uścisk na ramionach Jana jest znowu mocny. Oprawcy spodziewają się, że postawi opór, i tak właśnie się dzieje. To ostatnia walka, ale szybko ją przegrywa. Sześć rąk ciągnie go w stronę sauny, a Peter przytrzymuje drzwi. W trakcie walki Janowi udaje się kopnąć Torgny'ego mocno w krocze. Chłopak ma wzdół, jego penis jest twardy jak kamień.

Ramiona wrzucają Jana do sauny. Łąduje na podłodze, uderzając plecami o drewniane kratki. Drzwi się zamykają.

Cisza.

W saunie jest jasno. U sufitu świeci się żarówka. Wewnątrz wciąż unosi się słaby zapach papierosów, zostawiony przez ukrywających się palaczy. Przez drzwi słychać ich śmiech.

– Teraz trochę ci tam dogrzejemy, Hauger!

W tym momencie gaśnie światło. Banda je wyłączyła.

– Zabieramy twoje ciuchy! – krzyczy Torgny.

– Wrzucimy je do stawu, Hauger, żeby ludzie pomyśleli, żeś się utopił! – dodaje Niklas.

Jan nie odpowiada. Leży w ciemności jak mysz. Nie odzywa się i czeka. Wie, że czwórka trzyma drzwi, ale niedługo przecież pójdą. Prędzej czy później męczenie ósmoklasisty stanie się nudne i nużące, jak praca, wtedy odpuszczą. Czeka na tę chwilę.

Czarna stal agregatu zaczyna trzaskać. Dociera do niego, że naprawdę to zrobili – przekreślili regulator znajdujący się na zewnątrz sauny z pozycji WYŁĄCZONY na WŁĄCZONY. Jaką ustawili temperaturę? Pięćdziesiąt stopni? Sześćdziesiąt? Może dużo więcej? Nie ma to znaczenia. Wkrótce sobie pójdą.

W końcu zza drzwi nie dochodzą już żadne odgłosy. Jan jest w stanie się poruszyć. Wstaje. Sauna już jest cieplejsza. Jeszcze nie gorąca, ale ciepła. Nasłuchuje, po czym naciska klamkę.

– Nie mogłem jej już podnieść – mówi do Rami. – Klamka powinna była z powrotem odbić do góry, ale nie dało się jej ruszyć. Musieli ją jakoś zablokować. Siedziałem więc zamknięty w saunie, a w agregacie bezustannie coś trzaskało... Temperatura ciągle rosła.

Ryś

Jan zobaczył przed sobą połyskujące światła ulicy i zrozumiał, że zbliża się do skraju lasu.

Już od trzech kwadransów krążył w kółko. Był coraz bardziej przerażony. Szukał między świerkami, był nawet nad jeziorem, nie znalazł jednak żadnego śladu po Williamie. Pięciolatek pewnie nie zaszedł daleko, ale mógł się udać w każdym kierunku.

Jan stracił kontrolę. Był zmęczony, coraz bardziej zdesperowany i trochę zły. Kilka razy zdawało mu się, że chłopiec schował się przed nim i stoi za drzewem, chichocząc.

Dlaczego William wydostał się z bunkra? Czy nie rozumiał, że był tam bezpieczniejszy niż w lesie? Miał zapasy jedzenia i picia. Zamknięty byłby tylko przez niecałe dwie doby. Później Jan by go uwolnił, niezależnie od tego, co by się wydarzyło.

Jego plan. Jego przemyślany plan.

Jan się zatrzymał. Buty miał mokre, sam był zmęczony, w głowie miał pustkę.

Zamknięty w bunkrze – z robotem jako jedynym towarzyszem. Jan rozejrzał się po lesie i zrozumiał nagle, że to wszystko było błędem. Cała ta historia musi się teraz skończyć. Szczęśliwie. Stał dłuższą chwilę na skraju lasu, nie mogąc się zdecydować. Czuł się pewnie, przebywając w ukryciu, jednak w końcu musiał wyjść spomiędzy świerków. Ruszył w stronę świateł dochodzących z pobliskiej drogi. Znajdował się w okolicy, gdzie dominowały długie rzędy kamienic i duże wyasfaltowane podwórka, przygotowane już na nadejście zimy. W wielu oknach świeciły się światła, ale ulice były puste.

Jan dotarł do najbliższego chodnika i rozejrzał się wokół. Pod wpływem impulsu chciał zwołać Williama po imieniu, ale się powstrzymał.

Dokąd bym poszedł, zastanowił się, gdybym miał pięć lat i z lasu wywabiliby mnie światło ulicznych latarni? Do domu, to oczywiste. Ktoś, kto uciekł z więzienia, chce wrócić do domu. Właściwie sam także chciał już tylko wrócić do mieszkania i się położyć, ale to oznaczałoby, że zostawił Williama. Nie tylko zostawił, ale wręcz p o r z u c i ł. Wiedział, gdzie mieszka William, ale to było w zupełnie innej części Nordbro. Chłopiec pewnie by tam nie trafił.

Kilkaset metrów dalej przebiegała czteropasmowa jezdnia. Jan ruszył w tamtą stronę. Po drodze natrafił na przystanek autobusowy. Siedziało tam kilkoro nastolatków. Tą samą stroną drogi szła jakaś rodzina – starszy mężczyzna i dwoje dzieci spacerowało chodnikiem w kierunku centrum Nordbro.

Nie, to nie była rodzina. Kiedy Jan się zbliżył, dostrzegł, że mniejsze z dzieci tak naprawdę było psem, długowłosem pudlem na krótkiej smyczy. A drugie... drugim dzieckiem był jasnowłosy chłopiec.

Mężczyzna trzymający chłopca za rękę wyglądał na jego dziadka – emeryt w czapce z daszkiem na głowie, kołyszący się na boki po asfalcie między chłopcem a pudlem. Chłopiec nie miał na sobie czapki, ale ubrany był w granatową jesienną kurtkę z białymi odbłaskowymi paskami. Jan rozpoznał ten strój, puścił się więc biegiem w kierunku chłopca.

– William!

Usłyszawszy wołanie, chłopiec zatrzymał się i odwrócił. Mężczyzna pociągnął go, lecz

chłopiec zaparł się, by zobaczyć, kto krzyczał.

Jan dotarł do nich i dysząc ze zmęczenia, schylił się do malca.

– Pamiętasz mnie, Williamie?

Chłopiec patrzył na niego nieruchomo. Świat zatrzymał się w pół ruchu. Mężczyzna trzymający dziecko za rękę stał spokojnie, przyglądając się Janowi ze zdumieniem. Nawet pudel odwrócił się i zamarł w bezruchu.

William skinął głową.

– Ryś – powiedział zachrypniętym głosem.

– Właśnie, Williamie, pracuję w Rysiu. – Jan spojrział na emeryta, próbując wyglądać na godnego zaufania człowieka, panującego nad wszystkim. – Nazywam się Jan Hauger, pracuję w przedszkolu Williama. On zaginął... Szukaliśmy go.

– Ach tak... Nazywam się Olsson. – Mężczyzna jakby się rozluźnił. Puścił dłoń Williama i pokazał gdzieś za siebie. – Po prostu pojawił się tu przed chwilą, kiedy byliśmy na spacerze, ja i Charlie... Wyglądał, jakby zablądził, więc zaproponowałem, że możemy poszukać jego rodziców.

Jan spojrział na Williama, który utkwiał wzrok w asfalcie. Nie był w najlepszej formie, ale sprawiał wrażenie zdrowego i najedzonego. W lewej dłoni trzymał plastikową rękę robota.

– Rozumiem – powiedział Jan. – Tylko że oni mieszkają dość daleko stąd. Myślę, że musimy zadzwonić po pomoc.

– Pomoc? – zapytał Olsson.

– Chyba musimy wezwać policję. Szukają Williama.

– Policja? – Mężczyzna wyglądał na zaniepokojonego, ale Jan zdecydowanie potwierdził skinieniem, wyjmując jednocześnie telefon komórkowy. Wybrał numer alarmowy i czekał. Mężczyzna wraz ze swym pudlem zaczął się powoli wycofywać, ale Jan zatrzymał go ruchem ręki.

– Pan i Charlie powinniście zostać – rzekł najbardziej stanowczo, jak zdołał. – Myślę, że także z panem będą chcieli porozmawiać.

To oczywiste, że policja to zrobi. Jan nie miał żadnych podejrzeń w stosunku do starszego pana, ale wiedział, że policja będzie miała. W podziękowaniu za zaopiekowanie się Williamem Olsson prawdopodobnie zostanie przesłuchany jako podejrzany o porwanie dziecka.

Jan usłyszał kilka sygnałów, po czym w słuchawce odezwał się głos.

– Telefon alarmowy – powiedziała kobieta. – Czy coś się stało?

– Chodzi o zaginionego chłopca – wyjaśnił Jan. – Właśnie się znalazł.

Przełączono go na policję. Jan spojrział znowu na Williama. Uśmiechnął się do niego, próbując przybrać spokojny, godny zaufania wygląd. Chciał wyciągnąć rękę i poklepać chłopca po gołej głowie, ale się powstrzymał.

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy – powiedział. – Odtąd będziemy trzymać się z daleka od lasu.

Trzeszcząca podróż starą szpitalną windą trwa godzinę, takie przynajmniej Jan odnosi wrażenie. Udaje mu się pokonywać klaustrofobie, jeśli tylko ma zamknięte oczy, a w głowie obraz Rami. Przywołuje jej twarz, przypomina sobie jej oczy pod jasną grzywką. Była jedyną osobą, której zdołał opowiedzieć o Bandzie Czterech.

Podłoga i ściany trzęsą się jednak cały czas, nie dając mu zapomnieć, gdzie się znajduje. A co będzie, jeśli zepsuje się jedno z kół zębatach dźwigu i winda utknie między piętrami? Nie chce o tym myśleć. W głowie dudnią mu bębny.

Nagle winda gwałtownie się zatrzymuje. Wokół zapada cisza.

Jan gasi światelko anioła i wyciąga rękę przed siebie, w kierunku drzwiczek. Najpierw nie jest w stanie ich poruszyć. Ogarnia go przerażenie, ale ostatecznie kłapa daje za wygraną i się uchyla. Otwiera się tylko na szerokość czterdziestu, pięćdziesięciu centymetrów. Na drodze stoi jej coś ciężkiego. Jan wygląda na zewnątrz. Nie jest tu zupełnie ciemno, ale i tak nie widzi nic poza szarą blachą.

Odpycha drzwiczki jeszcze trochę, po czym gramoli się na zewnątrz. Czuje się, jakby obudził się w trumnie w wielkim domu, dokładnie tak samo jak Viveca w książeczce Rami.

Tułów jest już na zewnątrz. Teraz Jan widzi, że drzwiczki windy zablokowała stojąca na drodze blaszana szafka. Pomieszczenie wygląda jak magazyn – na półkach leżą bandaże i opakowania z lekarskami. Światło dociera do wnętrza przez wąską szybę w drzwiach pomieszczenia. Nic nie mąci panującej ciszy.

Jan ostrożnie stawia nogi na podłodze obok szafki. Następnie prostuje się i spogląda ku wyjściu. Robi trzy kroki i wyciąga przed siebie rękę. Drzwi są zamknięte, ale można otworzyć je od środka, przekręcając zwykły zamek. Uchyła je na trzy, cztery centymetry. Czuje świeże powietrze wpadające do środka. Nasłuchuje. Nadal cisza.

Święty Psychol śpi.

Jan otwiera drzwi szerzej. Widzi przed sobą długi, szeroki szpitalny korytarz z jasnożółtymi ścianami. U sufitu wiszą lampy, ale świecą słabym żółtym światłem, być może dlatego, że jest noc. Nie widać nikogo. W zasięgu wzroku nie ma również obiektywów kamer. W powietrzu unosi się świeży zapach środków czystości, a więc ktoś niedawno tu sprzątał.

Są tu oczywiście także pacjenci.

I strażnicy. Rettig, Carl i ich przyjaciele.

Jan zbiera siły i wychodzi z magazynku.

Korytarz ciągnie się w dwóch kierunkach, a po obu jego stronach widać rzędy zamkniętych drzwi. Nad drzwiami naprzeciwko, nieco po skosie, wisi duży okrągły zegar, którego czarne wskazówki pokazują za kwadrans dwunastą. Jan wyjmuje kilka kawałków papieru, które jeszcze mu zostały, i wtyka je między drzwi a framugę, aby zamek się nie zatrzasnął.

Następnie najciszej, jak potrafi, stawia dwa kroki. Nagle czuje się znowu jak czternastolatek na korytarzach Kapedimu. Ta sama cisza, takie same nagie ściany i zamknięte drzwi. Ku własnemu zaskoczeniu uspokaja się. Pobyt tutaj, w korytarzu pełnym zamkniętych pokoi jest niemal jak powrót do domu.

Spogląda w prawo i liczy nieoznakowane drzwi. Siódme z nich wyglądają jak pozostałe, chociaż w oczach Jana wydają się nieco bielsze od innych. Czekają na niego w odległości siedmiu, ośmiu metrów. Z wolna rusza w tamtym kierunku, mijając inne drzwi. Wszystkie mają stalowe klamki, a na ścianie obok nich znajduje się niewielka metalowa klapka.

Jan jest już niemal przy drzwiach numer siedem – są zamknięte, tak samo jak pozostałe.

Ma zapukać do drzwi Rami czy powinien spróbować je otworzyć? Podejmuje decyzję – zapuka.

– Halo? Kim pan jest?

Jan niemal podskakuje, słysząc ten głos. Nakryto go. Wpatruje się w niego ktoś z personelu, kto wyszedł z drzwi w głębi korytarza. Nie jest to jednak ani Rettig, ani Carl – to starsza kobieta. Podchodzi nieco bliżej.

– Skąd się pan tu wziął?

Szukając odpowiedzi, Jan mruga nerwowo.

– Z pralni.

– Nie wolno tu panu przebywać – mówi opiekunka. – Co pan tu robi?

– Zabłądziłem – odpowiada Jan.

Kobieta przygląda mu się jeszcze chwilę bez słowa, po czym nagle zawraca i szybko znika za drzwiami. Chce ściągnąć pomoc?

Jan musi uciekać. Rzuca ostatnie spojrzenie ku drzwiom Rami. Jest tak blisko, lecz nic więcej nie może teraz zrobić. Nic nie może jej dać.

A może jednak.

W ścianie obok drzwi jest taka sama klapka, jak przy pozostałych. Jan otwiera ją i zagląda do środka – wewnątrz leży zaledwie kilka kartek papieru. Jadłospis i informacja o zbliżających się ćwiczeniach przeciwpożarowych. Szybko odpina od paska swego anioła i wkłada go do skrzynki, chowając pod leżącymi tam papierami. Zamyka drzwiczki.

Korytarz nadal jest pusty. Jan wraca szybko do magazynku. Zabiera strzępki papieru, które nie pozwoliły drzwiom się zatrzasnąć. Część z nich wciska w zamek, aby rygiel pozostał odsunięty. Gdy pociąga cicho drzwi za sobą, jego uszko dobiega odgłos kroków na korytarzu. Nadchodzą strażnicy.

Winda towarowa za szafką jest tak samo ciasna jak wcześniej, ale Jan wchodzi do niej bez wahania. Wciska ostatni guzik z prawej strony. Winda rusza z trzaskiem. Przez całą podróż w dół Jan nie otwiera oczu. Kiedy tylko winda staje, szybko otwiera drzwiczki. Niecierpliw się, zaniebując przy okazji kwestie bezpieczeństwa. Już dawno minęła północ, a on chce wydostać się ze szpitala jak najszybciej.

Idzie po omacku, znajduje wyjście przez pralnię, po czym przechodzi przez szpitalną salę. Nie ma już ze sobą anioła, który mógłby oświecić mu drogę, ale gdzieś w oddali wydaje się migotać światło.

I pieśń. Czy to znowu psalm odbija się echem?

Idzie dalej, wpatrując się w podłogę.

Gdzie podziały się kawałki papieru? W ciemności nie widzi żadnego.

Wchodzi w długie korytarze. Tu światło jest nieco mocniejsze. W końcu mija zakręt, by zobaczyć otwarte drzwi i palące się świece, umieszczone na ścianach w dwóch drewnia-

nych świecznikach. Stoi w wąskim pomieszczeniu, w którym ustawiono rząd drewnianych ławek. Dalej na podłodze leży kilka rzuconych szarych worków z materiału. To niewielka kaplica, a na jej drugim końcu wisi obraz. Jest to stary popękany wizerunek łagodnie uśmiechającej się kobiety.

Podchodzi nieco bliżej, przygląda się obrazowi, na którym odczytuje wypisane na ramie dużymi literami imię PATRYCJA.

Patrycja. Święta.

Odwraca się i nagle worki zaczynają się poruszać.

To pacjenci. Trzej mężczyźni o szarych twarzach, ubrani w sportowe dresy. Jeden starszy z obwisłymi policzkami i dwaj młodsi z ogolonymi głowami. Wpatrują się w Jana, ich spojrzenia są lśniące i puste. Może to przez leki. Najstarszy wskazuje palcem obraz. Jego głos brzmi mechanicznie:

– Patrycja chce mieć ciszę i spokój.

– My też – dodaje inny.

– I ja również – odpowiada cicho Jan.

– Mieszkasz tu? – pyta jeden z pacjentów.

– Tak – potwierdza Jan. – Tu na dole jest mój dom.

Starszy kiwa głową, a Jan w tym momencie robi krok i ich mija. Powoli i ostrożnie, zgodnie z ostrzeżeniami Rettiga. Pacjenci jednak siedzą zupełnie spokojnie, znowu się nie poruszają. Jan wraca na korytarz.

W końcu znajduje na podłodze jedną ze swoich karteczek. I kolejną. Wskazują mu drogę, a on pośpiesznie podąża białym śladem. Gdzieś za nim z kaplicy dochodzą głosy – mężczyźni znowu zaczęli śpiewać psalmy. Jan przyśpiesza kroku. Wchodzi w następny korytarz, mija kolejne zakręty w labiryncie – w końcu dociera do schronu. Zamyka za sobą metalowe drzwi, po czym idzie znowu dobrze znanym korytarzem, mijając rysunki ze zwierzętami, by na koniec wejść po schodach. Wędrownica zakończona.

Przed zamknięciem drzwi do piwnicy nasłuchuje jeszcze kroków w podziemiach, lecz nikt za nim nie szedł. Zatrzaszkuje drzwi i oddycha głęboko, ale odprężenie nie nadchodzi. Zagląda do dzieci i zamiera.

Z pościeli wystaje tylko jedna główka. To głowa Leo. Łóżko Miry jest puste.

Ogarnia go panika, nie może się poruszyć. Zawiodłeś. Znowu zaginęło dziecko. Nie ma go, nie ma... W tej chwili słyszy szum splukiwanej w toalecie wody.

Mira ma prawie sześć lat, nauczyła się już radzić sobie samodzielnie w ubikacji i nie musi wołać nikogo dorosłego. Wychodzi z łazienki i mija go wciąż pogrążona w półśnie. Nawet nie zauważyła, że go nie było.

– Dobranoc, Miro – mówi do jej pleców.

– Mhm – dziewczynka odpowiada mruknięciem, kładąc się z powrotem do łóżka.

Kilka minut później już śpi, a Jan może się rozluźnić. Wślizguje się znowu do sypialni dzieci, by zabrać drugiego anioła. Zamyka urządzenie w swojej szafce – jeśli zadziała, będzie jego łącznikiem ze szpitalem. Nadajnikiem tajemnych wiadomości.

– Dobrze się czujecie? – pyta Marie-Louise.

– Mhm...

Wszyscy odpowiadają cicho. Zbliża się zima. Szary, późnojesienny poniedziałkowy poranek w przedszkolu i wszechogarniający brak światła.

Jan się nie odzywa, lecz chyba nikt nie zauważa jego milczenia. Swój nocny dyżur zakończył co prawda godzinę temu, ale mimo zmęczenia postanowił zostać na poranne spotkanie. Chce się dowiedzieć, czy odkryto jego wycieczkę po szpitalu – czy nadszedł raport od doktora Högsmeda na temat w t a r g n i ę c i a. Opiekunka stała dość daleko, nie mogła wyraźnie zobaczyć jego twarzy, chociaż...

Marie-Louise nie wspomina o tym choćby słowem. Zachowuje się jak zwykle, choć wygląda na nieco przygnębioną. Może to przez jesienny mrok za oknem.

W najgorszej formie spośród osób przy stole zdaje się być Lilian. Siedzi z głową opuszczoną nad kubkiem z kawą, tak że rude włosy zakrywają jej twarz. Wygląda, jakby była pogrążona w półśnie. Nie patrzy na Marie-Louise, kiedy przełożona zwraca się do niej.

– Lilian – mówi ostrożnie Marie-Louise. – Co ty tam masz?

– Co? Gdzie?

Lilian podnosi głowę, a Jan zauważa, że kobieta wciąż ma węża na policzku. Weekendowy tatuaż.

– Na policzku... Coś tam namalowałaś?

– Ach, to. – Lilian pociera palcami twarz, aż opuszki stają się czarne. – Ojej, to z imprezy... Zapomniałam usunąć. Bardzo przepraszam. – Kaszle głośno, tłumiąc przy tym beknięcie. Ponad stołem rozchodzi się zapach alkoholu. Marie-Louise marszczy czoło.

– Lilian, mogłybyśmy porozmawiać na osobności?

Lilian zakrywa dłonią usta.

– A dlaczego?

– Ponieważ jesteś nietrzeźwa. – Głos Marie-Louise stracił właśnie swoją łagodność. Lilian patrzy na nią przez chwilę, po czym wstaje i odchodzi od stołu z mocno zaciśniętymi ustami. Wychodzi z pokoju. Odwraca głowę w stronę pozostałych.

– Nie jestem pijana – mruczy. – Mam kaca.

Marie-Louise szybko za nią podąża.

– Zaraz wracam.

Obie musiały wyjść do szatni, gdyż ich głosy stamtąd właśnie dobiegają. Rozmowa zaczyna się jak stonowana dyskusja, ale szybko przeradza się niemal w kłótnię. Głos Marie-Louise jest ściszony, lecz Lilian rzuca w odpowiedzi głośne pytania.

– Człowiek nie może już wyjść i wyluzować się po pracy? Zwolnić nieco tempo? A może musi poświęcić całe swoje życie dzieciom, jak ty?

– Uspokój się, Lilian, dzieci mogą cię usłyszeć...

– Jestem cholernie spokojna!

Przy stole panuje kompletna cisza. Hanna i Andreas siedzą, wbijając spojrzenia w stół,

a Janowi nie przychodzi do głowy nic, co można by powiedzieć. Krzyki zza drzwi się nie kończą:

– Jesteś chora! Powinnaś się leczyć!

Czy to wrzask Lilian, czy Marie-Louise? Jan nie jest w stanie rozróżnić, gdyż podniesione głosy brzmią bardzo podobnie.

– A ty jesteś taka i d e a l n a! Nie mam zamiaru dłużej upodabniać się do ciebie... Psychole niech sami pilnują swoich pierdolonych bachorów!

Jan wie już teraz, że ten krzyk musiał wyjść od Lilian. Odpowiedź Marie-Louise jest krótka i stanowcza:

– Lilian, nie histeryzuj.

Histeria nie jest już akceptowalną diagnozą, w głowie Jana odzywa się głos doktora Högsmeda.

Awantura za ścianą sprawiła, że Andreas wygląda, jakby było mu niedobrze. Wzdryga się i wstaje.

– Idę do dzieci. – Wychodzi do bawialni, gdzie szybko włącza odtwarzacz. Puszczą wesołe piosenki, aby stłumić wrzaski.

Jak większość kłótni i ta szybko się kończy. Po kilku minutach słychać mocne trzaśnięcie drzwiami. Następnie zalega cisza, po czym z szatni wraca Marie-Louise, znowu się uśmiechając.

– Lilian poszła do domu – mówi. – Musi trochę odpocząć.

Jan kiwa głową bez słowa, lecz Hanna, patrząc na szefową, pyta łagodnym tonem:

– Dostanie jakąś pomoc?

– Pomoc? – Uśmiech znika z twarzy Marie-Louise.

– Żeby mniej piła – wyjaśnia spokojnie Hanna.

Jan wyczuwa napięcie w powietrzu. Marie-Louise krzyżuje ręce na piersi.

– Lilian nie jest dzieckiem... Sama odpowiada za swoje czyny.

– Ale na pracodawcy też spoczywa odpowiedzialność – ciągnie Hanna. Mówi, jakby cytowała jakąś książkę prawniczą: – Jeśli ktoś z pracowników nadużywa alkoholu, należy opracować plan postępowania w celu rehabilitacji.

– W celu rehabilitacji – powtarza Marie-Louise. – Brzmi nieźle.

Hanna nie wygląda na rozbawioną.

– Czy mamy plan rehabilitacji dla Lilian?

Marie-Louise nie spuszcza z niej wzroku.

– Patrzy tu na nas wiele oczu – mówi w końcu. – Pomyśl o tym, Hanno. – Po tych słowach odwraca się i wychodzi z pokoju.

Zostają już tylko we dwoje. Hanna wywraca oczami, po czym spogląda na Jana, ale on kręci głową.

– No tak – mówi cicho. – Teraz stałaś się dla niej awanturnicą.

– Martwię się o Lilian – mówi. – Ty nie? – Hanna wzdycha.

– Ja też... To oczywiste.

– No to dlaczego tyle pije? Zastanawiałeś się?

Jan o tym nie myślał.

– Żeby się upić – odpowiada po chwili.

– Ale dlaczego tego chce?

Jan wzrusza ramionami.

– Może jest nieszczęśliwa – odzywa się po chwili. – Ale przecież nieszczęście jest wszędzie wokół nas. Nie sądzisz?

– Co ty wiesz... Niczego nie rozumiesz – odpowiada Hanna i wstaje.

Jan także się podnosi. Miło jest odejść od stołu, a jeszcze milej będzie za chwilę opuścić przedszkole. Nie był to zbyt przyjemny poniedziałkowy poranek – spotkanie mające zapewnić pracownikom dobre samopoczucie sprawiło, że poczuli się źle.

Jan chce już tylko pójść do domu i położyć się spać. Chce być normalny. Chce patrzeć w przyszłość, ułożyć sobie życie. Koniec z izolacją, myśli.

Nie ma z kim ułożyć sobie życia. To chyba najgorsze ze wszystkiego – nie to, że przeżyło się coś okropnego, lecz to, że nie ma się nikogo, kto wysłucha.

Kapedim

Rami zeszła z łóżka i usiadła na podłodze obok Jana. Jego opowieść o Bandzie Czterech ją wciągnęła.

– Zamknęli cię na klucz w saunie?

– Nie na klucz... drzwi nie dało się zamknąć – powiedział. – Ale zablokowali je czymś...

Nie wiedziałem, co to było, ale nie mogłem wyjść. Drzwi ani drgnęły.

– A więc siedziałeś uwięziony – podsumowała Rami.

Jan skinął.

– I jak się wydostałeś?

– Nie wydostałem się – odparł Jan. – Był piątek... Wszyscy już dawno poszli do domów.

W saunie wciąż słychać tylko ciszę. Nigdzie nie trzaskają żadne drzwi. Woźny nie wtyka głowy do łaźni, wołając „Halo?!“.

Drzwi są zablokowane, a w saunie jest coraz cieplej. Powietrze na zewnątrz bywa czasem bardziej gorące, ale i tu jest okropnie ciepło. Jak na pustyni. Czterdzieści, może pięćdziesiąt stopni.

Nie pozostaje mu nic innego, jak zbadać teren w ciemności. Po omacku dotyka sosnowych desek. Dłonią natrafia na plastikowe wiadro stojące na podłodze, słyszy chłopot wody.

W saunie drewno jest wszędzie. Surowe drewno na podłodze i ścianach oraz długie deski na dwóch podestach wzdłuż ścian. To tu siedzi się, korzystając z sauny lub popalając po kryjomu papierosy.

Jan siada na chwilę. Poci się.

Ktoś musi przyjść.

Nie myśli za wiele, w głowie ma pustkę. Skóra na pośladkach swędzi nieco, dotykając drewnianych desek, ale Jan jest już spokojniejszy. Banda Czterech sobie poszła.

Nikt inny nie nadchodzi. Za drzwiami panuje cisza. A gorąco się wzmaga.

Jan siedział na podłodze w pokoju Rami ze spuszczoną głową. Trzymała jego dłoń, a on czuł jej bliskość, jednak w głowie wciąż był sam. Wciąż znajdował się w saunie.

– Miałem pecha – powiedział. – Był piątek, a salę gimnastyczną mieli otworzyć nie wcześniej niż w poniedziałek.

– Jak to się skończyło? – zapytała Rami.

Jan popatrzył na nią.

– Nie wiem.

Nie pamiętał zbyt wiele, ale teraz starał się sobie przypomnieć. Co właściwie zrobił? Co można zrobić, żeby przeżyć kilka dni w parującej saunie?

Wal w drzwi. Wal i kop do chwili, aż zyskasz pewność, że nikt nie przyjdzie. Peter Malm i jego banda nie wrócą. Zablokowali drzwi i uciekli, zapominając o tobie.

Wtedy możesz pokrzyżać i tłuc w drzwi jeszcze trochę, zanim się poddasz. Dłonie bolą

i pieką. Szorstkie drewno drzwi zostawiło w nich drzazgi.

Rozpoznaj teren, a zobaczysz, że w ciemności można jednak coś dostrzec – przecież przez szczelinę pod drzwiami wpada wątła smuga światła, a pod sufitem w wentylatorze jest mały połyskujący punkcik. Nie jesteś więc zupełnie ślepy. Możesz ujrzeć swoje dłonie, które przypominają jasnoszare plamy.

Wyciągasz je przed siebie i wdrapujesz się wyżej. Pod sufitem jest jeszcze goręcej. Nagle natrafiasz na coś palcami, coś okrągłego i podłużnego o gładkiej aluminiowej powierzchni. Puszka po piwie. W ciemności nie sposób rozróżnić markę, ale kiedy podnosisz puszkę, słyszysz plusk. Czujesz, że jest w połowie pełna, ale gdy podnosisz ją do nosa, uderza cię kwaśny ohydny smród, wydostający się z małego otworu. Ktoś musiał ją zostawić na siedzeniu w saunie. Mogła stać tu zapomniana przez wiele dni, może tygodni.

Odstaw szybko puszkę. Usiądź na najwyższym podeście i myśl. Spróbuj myśleć. Jak się stąd wydostać?

Nie licz na to, że ktoś z Bandy Czterech wróci i otworzy. Oni tego nie zrobią.

Nie licz też na rodziców. Mieli przecież zabrać twojego młodszego brata i pojechać do jakiejś ciotki. Być może zadzwonią do ciebie, ale gdy nie odbierzesz, pomyślą, że zwyczajnie jesteś u kolegi – mimo że nie masz przyjaciela, którego mógłbyś odwiedzać. Oni żyją w wyimaginowanym świecie, w którym ich syn czuje się szczęśliwy, a ty nie chcesz sprowadzać ich na ziemię.

Nie. Musisz liczyć się z tym, że utknąłeś tu na dobre, być może aż do poniedziałku rano. Ciesz się, że na stołówce serwowano klopsiki z purée ziemniaczanym i że siedziałeś sam przy stoliku, dzięki czemu zjadłeś dziesięć sztuk. Przez kilka kolejnych dni nie będzie jedzenia.

Ciesz się jeszcze z jednego: że nie masz ubrań. Czułeś się okropnie, stojąc nagi w łaźni, byłeś sinym z zimna prosiakiem, gołym i otoczonym przez członków Bandy Czterech, ubranych w nowe bluzy i drogie dżinsy. Tu jednak ubrania nie są ci potrzebne. Przecież na drewnianej ławce jest ciepło, gorąco jak w piecu. Ciepło unosi się w górę, a ty coraz bardziej się pocisz.

Zejdź z ławki i usiądź na niższym podeście, stawiając stopy na podłodze. Tu jest nieco chłodniej. Siedź tam, pochyl głowę. Nie myśl, po prostu czekaj. Zamknij oczy.

Czekaj.

Podnieś głowę i zastanów się, czy powietrze może się skończyć. Ciężko się oddycha... Czy gorąco jest jedynym powodem? Czytałeś kiedyś historię osoby, którą pogrzebano żywcem w drewnianej trumnie i która umarła z braku tlenu. Sauna jest swego rodzaju drewnianą trumną.

Wciążasz powietrze, próbując poznać jego zapach – czy brzydko pachnie? Jeszcze nie. Przecież świeże powietrze dochodzi spod drzwi i z wentylatora pod sufitem. Nie jest go zbyt wiele, ale masz nadzieję, że wystarczy.

Położ się na wznak na ławce. Zamknij oczy. Nie myśl. Po prostu czekaj.

Czekaj...

Obudź się gwałtownie!

Spaleś?

Wciąż jest ciemno. Jak wiele minęło czasu, odkąd cię zamknęli? Nie masz pojęcia. Masz podświetlany zegarek, który dostałeś od babci na dziesiąte urodziny, ale został w kieszeni spodni w szatni.

O ile Banda Czterech rzeczywiście nie zabrała twoich butów i ubrań i nie wrzuciła wszystkiego do stawu, bo jeśli tak się stało, na dno poszedł i zegarek.

Sauna ciągle działa.

Czujesz, jak bardzo spociałeś się w tym ukropie? Poczuj, jak niewiarygodnie jesteś spragniony.

Zejdź na podłogę. Z powrotem do wiadra, którego korzystający z sauny używają, gdy trzeba połączyć agregat, aby wypełnić saunę parą. Na dnie zostało jeszcze trochę wody – ruszając wiadrem, słyszysz jej plusk.

Wahaj się długo. Tak samo jak w przypadku puszki z piwem nie masz pojęcia, jak długo woda tu stała. Każdy podróżnik wie, że długo stojąca woda może być trująca, w końcu jednak próbujesz łyk. Nie jest smaczna. Jest letnia i zatęchła, ale wypijasz kolejny łyk. I jeszcze jeden. Odstawiasz wiadro, gdyż musisz racjonować swoje zapasy.

Racjonować zapasy. To brzmi jak opis przygód jakiegoś bohatera, ale ty przecież nim nie jesteś. Jesteś kompletnie bezsilny, nie możesz oddychać. Kulisz się na podłodze i czekasz, czekasz, czekasz. Sala gimnastyczna jest nieco oddalona od szkoły, leży na skraju miasta – nikt tędy nie przechodzi, jeśli nie musi.

Nie słyszysz innych dźwięków poza szumem w uszach i słabymi odgłosami agregatu od czasu do czasu. Mimo to wstajesz i walisz w drzwi, krzyczysz i walisz, i znowu krzyczysz. Drzwi sauny są grube i solidne, nie uchylają się ani na milimetr.

Później znowu kładziesz się na podłodze. Deski i tutaj stają się coraz gorętsze. Pod podestami jest co prawda cementowa posadzka, która powinna być chłodniejsza, ale nie chcesz się tam wczolgać. Wiesz, jak tam jest obrzydliwie. Tysiące osób siedziało na ławkach przez tyle lat, a ich pot spływał na podłogę. Pluli w szczeliny między deskami, wrzucali tam zużyty tytoń, gubili włosy i łuszczącą się skórę.

A jednak musisz znaleźć się jak najdalej od agregatu, więc w końcu wciskasz się pod podest. Jesteś nagim prosięciem, wpełzającym w mokry brud pod ławkami. Rzeczywiście jest tam chłodniej. Brudno, ale możesz oddychać.

Czekasz na cementowej posadzce, marzysz o przyjacielu. O fajnym kumplu. O kimś, kto zorientuje się, że coś jest nie w porządku. Może mieliście się spotkać w restauracji w mieście – dlaczego się nie pojawiłeś? Nie znasz jego imienia, nie masz kartki papieru, aby móc go narysować, ale zaczynasz wywoływać w głowie obraz mężczyzny.

Nazywają go Łękliwym. Łękliwy woli się nie pokazywać, wtapia się w otoczenie. Jeśli przyjrzy się uważnie, będzie tam, ale w tłumie nie można go zobaczyć.

Teraz już wiesz, że Łękliwy ma dość czekania. Wstaje od stolika, płaci za swoją whisky i postanawia sprawdzić, co się z tobą stało. Przemienia się. Staje się Mścicielem o jarzących się oczach i pięściach twardych jak stal. Wiesz dokładnie, jak wygląda. Strzeż się go, Torgny!

Budzisz się zdrętwiały.

Już się tak nie pocisz, ale pragnienie jest równie nieznośne. Podpełzasz do wiadra i wypijasz jeszcze trochę wody. Chlupocze już na dnie, zostało może dziesięć, jedenaście łyków.

Wypijasz trzy, po czym z powrotem kładziesz się na cemencie.

Zamykasz oczy, śniesz w ciemności. Czas upływa. Czasami podnosisz głowę, myśląc, że Łękliwy naprawdę nadchodzi, że jakimś sposobem odnalazł Bandę Czterech, spuścił im łomot, by dowiedzieć się, co zrobili z jego najlepszym przyjacielem – dobrze jednak wiesz, że nikt cię nie uratuje.

Śpisz, a więc nie możesz już sterować snami. Później nie pamiętasz, czy były to radosne podróże poza ciało, czy koszmary. Tak czy inaczej nie mogły być gorsze niż przebudzenie w ciemnościach.

Znowu się budzisz i jesteś kompletnie odwodniony. Nie wiesz, czy już rano, twoje śniadanie składa się w każdym razie z odrobiny wody z wiadra. Ciecz na dnie jest zwirowata. Pływają w niej włosy, ale i tak pijesz. Każdą kroplę.

Jakiś hałas? Odstawiasz wiadro i nasłuchujesz. Nie, to nie Łękliwy, który otwiera drzwi. Być może to odgłos samochodu przejeżdżającego za salą gimnastyczną.

Umrzesh tu w saunie. Teraz to wiesz. Woda się skończyła. To trochę jakbyś leżał na ciemnej pustyni. Noc w tropikalnym upale. Wysychasz.

Czy można pić pot? Jakie to ma znaczenie, skoro jesteś tak suchy, że pot już z ciebie nie spływa – skórę pokrywa już tylko oleista warstwa.

Czy można pić mocz? Jesteś nagi i musisz się wysikać, więc bez trudu można sprawdzić, wystarczy nabrać trochę w dłoń. Ma gorzki smak, ale wypijasz łyk. Jeden łyk. Tyle było.

Pełniesz do drzwi. Szczelina pod nimi jest strasznie mała, ale przechylasz głowę i patrzysz na zewnątrz. Tam wciąż pali się światło. Łaźnia wygląda tak jak zawsze – świetlówki pod sufitem i błyszczące płytki na podłodze. Cały zewnętrzny świat udaje, że nic się nie stało, że Banda Czterech nie istnieje.

W końcu, tracąc niemal przytomność, wdrapujesz się powoli na drewniane podesty i sięgasz po puszkę – tę w połowie wypełnioną nieznaną cieczą. Ją również wypijasz. Jest ciepła, kwaśna i gęsta, ale pijesz i pijesz, do dna. Jesteś zbyt spragniony, aby przejmować się tym, co spływa po twoim gardle.

Kiedy już opróżniłeś puszkę, przelżykasz jeszcze raz ślinę, mocno.

Zaciśnij usta, nie wolno ci wymiotować. Musisz zatrzymać ciecz w żołądku, w przeciwnym razie umrzesz.

Chociaż przecież chcesz umrzeć. Dlaczego więc tak zawzięcie walczysz w ciemnościach, minuta po minucie?

Znowu kładziesz się na podłodze. Jest sobota czy niedziela? Podałeś się, leżysz.

– Być może tam umarłem – powiedział Jan. – A Kapedim jest niebem.

Jakimś sposobem położył się na podłodze, kładąc głowę na jej kolanach. Spojrzał na Rami, a ona kręciła głową.

– Nie umarłeś.

Pochyliła głowę i rozchyliła usta. Widząc koniuszek jej języka, Jan czekał na drugi w swym życiu pocałunek, ale Rami skierowała się ku jego oczom.

Zamknęła mu powieki językiem – najpierw prawą, następnie lewą.

A później, kiedy miał oczy zamknięte, wetknęła język w jego usta. Ten pocałunek był lep-

szy od pierwszego, jak minutowa podróż po nieboskłonach. Czuł jej ciało swym ciałem. Było miękkie, a nie twarde, jak się spodziewał.

Rami w końcu uwolniła jego usta, odetchnęła cicho i spojrzała na niego.

– Ale w końcu cię uratowano? Tak?

Jan skinął cicho. Chciał tak leżeć do końca życia, nie chciał myśleć o saunie.

*

W końcu słyszysz przez drzwi jakiś dźwięk. Stukot w szatni.

Otwierasz oczy. W saunie jest równie gorąco jak wcześniej, a mimo to marzniesz. Kolejne odgłosy. Stukot butów na kafelkach.

– Halo? – woła męski głos.

Próbujesz wstać, podnosisz się na kolana, ale więcej nie jesteś w stanie zrobić. Upadasz wprost na drzwi. Ramiona lądują na drewnianych deskach, czoło także. Trwasz w takiej pozycji, starając się uderzyć w drzwi.

W tej chwili się otwierają. Od razu tracisz równowagę. Upadasz do przodu, wprost na płytki.

Powietrze w łaźni jest lodowate. Szok jest tak wielki, że znowu odpływasz w ciemność, mimo że tego wcale nie chcesz. Trwa to zaledwie kilka sekund – kiedy się budzisz, mężczyzna wciąż tam stoi. Ten, który cię uwolnił.

Tenisista. Ma siwe włosy, siwe krzaczaste wąsy, ubrany jest w biały sportowy strój. W dłoni trzyma długą miotłę – z wolna dociera do ciebie, że Banda Czterech musiała zablokować drzwi właśnie kijem od miotły, zanim sobie poszli.

Mężczyzna patrzy na ciebie oślepiały, jakbyś wykonał jakąś czarodziejską sztuczkę, aby wyłonić się z sauny.

– Byłeś w środku? – pyta.

Kaszlesz, nabierasz powietrza, ale nie odpowiadasz. Masz za sucho w gardle. Człogasz się obok swego wybawcy, obok jego białych butów, i powoli wstajesz. Chyba żyjesz.

Człapiasz do umywalki przy wejściu i drżącą ręką odkręcasz zimną wodę. I pijesz, pijesz i pijesz. Pięć dużych łyków, sześć i siedem. Po chwili zaczyna boleć cię brzuch, woda jest za zimna.

– Ktoś cię tam zamknął? – Tenista nie poddaje się. Czeka na odpowiedź. Wyjaśnienia. Ty jednak kręcisz głową i wychodzisz z łaźni.

Wreszcie jesteś na zewnątrz. Jest ci tak zimno, że cały się trzęsiesz, ale nawet nie przychodzi ci na myśl, aby wejść do kabiny prysznicowej i odkręcić ciepłą wodę. Chcesz wyjść, by zobaczyć, czy są twoje ubrania.

Są. Dżinsy, bluza i kurtka wiszą wciąż w jednej z szafek – banda ich nie zabrała.

Ubierasz się. Najpierw wkładasz cienką bawełnianą koszulkę, a na nią wełniany sweter. Bierzesz spodnie. Zaraz je założysz i wyjdiesz na zimne powietrze, ale najpierw chcesz spojrzeć na zegarek.

Tenisista wszedł do szatni.

– Jak się nazywasz?

I tym razem nie odpowiadasz, ale spoglądasz na niego i pytasz zachrypłym głosem:

– Jaki jest dzisiaj dzień?

– Niedziela – odpowiada. – Mamy tu za chwilę zagrać mecz.

Podnosisz zegarek. Jest za dwadzieścia pięć druga.

Wpół do drugiej w niedzielne popołudnie.

Zamknij oczy i policz. Siedziałeś zamknięty w saunie przez niemal dwie doby – przez czterdzieści sześć godzin.

Ryś

Czy to już szczęśliwy koniec dla wszystkich zainteresowanych? Jan tak przypuszczał. William Halevi się odnalazł, a jego rodzice mogli odetchnąć po dwóch dniach tortur.

Personel świetlicy także poczuł się lepiej.

Wszyscy poza Sigrid, która przebywała na zwolnieniu lekarskim przez tydzień od zniknięcia Williama. Jan słyszał, że zaczęła też terapię.

A on sam ponownie został przesłuchany przez policję.

Nie powiedzieli tego wprost, ale coś podejrzewali. Dzień po odnalezieniu Williama do Jana przyszło dwóch policjantów w cywilnych ubraniach, aby rozejrzeć się w mieszkaniu. Nie utrudniał im tego. Nie mogli tu nic znaleźć. Poprzedniego wieczoru udał się do lasu, wysprzątał bunkier i wyrzucił lub spalił wszystko, co tam było.

Dwa dni później został wezwany na komisariat. Przesłuchanie prowadziła ta sama pani inspektor, która rozmawiała z nim wcześniej. Tego dnia wcale nie była weselsza.

– Jako ostatni widział pan Williama w lesie – powiedziała. – I pan także go znalazł.

– To nie do końca się zgadza – odparł cierpliwie Jan. – Znalazł go ten emeryt... Zapomniałem, jak się nazywa...

– Sven Axel Olsson – podpowiedziała.

– Tak... w każdym razie to on zajął się Williamem. A ja później ich znalazłem.

– A wcześniej?

– Wcześniej?

– Jak pan sądzi, gdzie przebywał William, zanim go pan znalazł?

– Nie wiem... Nie zastanawiałem się nad tym. Pewnie błądził po lesie.

Policjantka przyjrzała mu się.

– William twierdzi, że został uwięziony.

– Naprawdę? – zdziwił się Jan. – A co to było za pomieszczenie?

– Nie wspominałam o żadnym pomieszczeniu.

– Nie, ale chyba...

– Przychodzi panu do głowy, kto mógł go uwięzić?

Jan potrząsnął głową.

– Wierzycie mu?

Policjantka nie odpowiedziała.

W pokoju przesłuchań zapadła nieznośna cisza. Jan musiał bardzo się starać, aby jej nie przerwać i nie zacząć paplać i spekulować na temat przeróżnych teorii, które można by zinterpretować jako przyznanie się. W głowie kotłowały mu się różne myśli, musiał się odezwać, więc zapytał:

– Jak czuje się teraz Torgny?

– Kto? – zdziwiła się policjantka. – Kim jest Torgny?

Jan gapił się na nią. Pomylił imiona.

– William, miałem na myśli Williama... Jak on się czuje? Jest z rodzicami?

Pani inspektor przytaknęła.

– Wszystko z nim w porządku, biorąc pod uwagę okoliczności.

W końcu policjantka pozwoliła mu wyjść, nie siłąc się na jakiegokolwiek przeprosiny. Obdarzyła go tylko ostatnim długim spojrzeniem.

Nie przejmował się. William był cały i zdrowy, a on sam pozostał wolny. Mógł opuścić komisariat i udać się, dokądkolwiek zechciał, a jednak wyszedł na świeże powietrze z uczuciem rozczarowania.

Wszystko zdarzyło się tak szybko. Planował, że potrwa to dłużej – czterdzieści sześć godzin.

Legén popija żółtawe wino z pękniętego białego kubka. Nalewa też porządną porcję Janowi, siedzącemu w bałaganie przy jego kuchennym stole.

– Proszę.

– Dziękuję, dziękuję.

Jan jest spragniony, ale nie ma ochoty na ciepłe wino. Przyjmuje kubek, zastanawiając się, jak może go opróżnić, żeby sąsiad tego nie zauważył.

Mieszkanie Legéna jest brudne i zagracone, ale Jan właściwie lubi spędzać w nim czas. Po powrocie z pracy zadzwonił do drzwi sąsiada, żeby z kimś porozmawiać. Tylko jak dalece ufa Legénowi? Czy odważy się o wszystkim mu opowiedzieć?

– Chyba niedługo znacznie padać śnieg – mówi.

– Tak – odpowiada Legén, popijając swoje wino. – Najwyższa pora, żeby porąbać drewno, o ile się je ma. Jak byłem mały, mieliśmy szope, ale wstawialiśmy tam wszystko, co się dało, i na drewno nie zostawało już miejsca. No ale można było usiąść tam na chwilę w spokoju... – Wino rozwiązuje sąsiadowi język. W końcu jednak znowu zapada cisza, więc odzywa się Jan:

– W niedzielę zszedłem na dół do podziemi szpitala... Byli tam pacjenci.

– Zawsze się ich tam trochę kręciło – odpowiada Legén. Wypija duży łyk wina i kontynuuje: – Ale nigdy się ich nie bałem. Radziliśmy sobie w pralni sami, przez niemal trzydzieści lat – mówi. – Bielizna zjeżdżała do nas, a my ją później odsyłaliśmy z powrotem... Można było w niej znaleźć wszystko. Portfele, leki, cokolwiek.

– W podziemiach jest kaplica – mówi Jan. – Wiedział pan o tym?

– Tak, ale nigdy tam nie chodziliśmy – odpowiada Legén. – Robią tam, co chcą, kiedy wielcy panowie pójdą do domu.

Po powrocie do mieszkania Jan próbuje trochę porysować, aby skończyć pracę nad *Stoma dłońmi księżniczki*. To już ostatnia książeczka dla dzieci, w której nie ma jeszcze porządných ilustracji, czwarta książka Rami.

Dopracowuje cztery rysunki, trzy z nich koloruje, po czym daje za wygraną. W zamian bierze swój stary dziennik. Kartkuje go powoli, czytając własne myśli, zapisane, kiedy był nastolatkiem. Niemal pamięta, jak się wtedy czuł. Docierając do środka zeszytu, znajduje stare zdjęcie, które wyciął z lokalnej gazety.

Ten wycinek także pamięta. Trafił na niego sześć lat po wydarzeniach w Rysiu. Zdjęcie pochodzi ze stron sportowych. Odbywał się wówczas turniej piłkarski dla juniorów i po finale sfotografowano zwycięską drużynę. Dwunastu jedenastolatków zebrano przed aparatem. W środku stał bramkarz, trzymający piłkę pod pachą. Spod grzywki uśmiechał się do Jana.

To William Halevi. Nazwisko widniało pod zdjęciem, ale Jan rozpoznał twarz, jeszcze zanim przeczytał podpis.

Długo patrzy na fotografię. William jest zadowolony, rozluźniony, nie widać śladów pewnych nieprzyjemnych wydarzeń w lesie. Kiedy zrobiono zdjęcie, był już jedenastolatkiem,

grał w piłkę i zapewne miał wielu przyjaciół. Życie dobrze mu się ułożyło.

Jan nie wie tego na pewno, ale ma nadzieję.

Wstaje.

Na regale stoi anioł. Nadajnik. Odbiornik został w Świętym Psycholu. Kontrolka urzędnika miga jasno i wyraźnie – Jan dopiero wymienił baterie. Kilka razy zastanawiał się, czy nie włączyć nadajnika, ale wie, że odległość do odbiornika jest zbyt duża. Będzie musiał podejść o wiele bliżej.

Spogląda na anioła, zastanawiając się jeszcze przez chwilę. Następnie wstaje i idzie po plecak i ubrania. Ciemne ubrania.

Tego wieczoru nie jedzie rowerem ani autobusem. Idzie pieszo. Wybrał tę samą drogę do szpitala, którą szedł w niedzielę – długą okrężną trasę przez las i strumień przepływający obok terenu szpitala i dalej aż do zbocza wznoszącego się na tyłach kliniki w odległości około dwustu metrów od ogrodzenia.

Chmury pędzą po niebie.

Jan jest już blisko. Panuje mrok, listopadowy mrok, który sprawia, że Jan nie musi się kryć między drzewami. Może wejść na szczyt wzniesienia, ponad strumień. Przekraść się jak ryś.

Mur otaczający Świętą Patrycję jest oświetlony przez reflektory niczym scena teatralna, ale w głębi ogrodu Jan dostrzega szerokie zacienione połączenie. W wielu z wąskich okien świeci się blade światło, ale na większości z nich zasunięto żaluzje. Pacjenci się ukrywają.

Jan czuje się, jakby był obserwowany, ale nie przez czyjeś oczy. Przez sam szpital. Nieruchoma fasada Świętego Psychola wpatruje się w niego zimno. Całe ciało Jana dygocze. Chce się wycofać z powrotem do lasu, a jednak kontynuuje marsz po grzbiecie wzniesienia, aż do skalnego bloku, pozostawionego na skraju lasu przez lodowiec. Znajduje się tu wydeptana ścieżka, co świadczy o tym, że ludzie chadzają tędy od wielu lat, być może zatrzymują się tu, by się zastanowić, jakie bestie trzymają w szpitalu.

„Nie przynieśliście bananów dla małp?”

Jan przypomina sobie, jak Rami wykrzykiwała te słowa w Kapedimie, kiedy grupa starszych mężczyzn w garniturach przybyła z jakąś oficjalną wizytą. Może byli to politycy. Popatrzyli na nią przerażonym wzrokiem, po czym śpiesznie ruszyli dalej korytarzem.

Anioły działają w promieniu trzystu metrów. Jan jest już bliżej szpitala – a przynajmniej ma taką nadzieję – ale wciąż poza zasięgiem reflektorów.

Z lewej strony budynku znajduje się przedszkole, lecz zasłaniają je ogrodzenie i drzewa. Jan spogląda na zegarek, jest piętnaście po dziewiątej. Czas wziąć się do roboty. Kładzie plecak w krzewinkach borówek i odsuwa zamek. Wyjmuje anioła i przestawia go ze stanu uspienia w nadawanie.

Opierając się o kamień, zastanawia się, co zrobić. Nie wie, co ma powiedzieć, i nie wie też, czy Rami słucha. Nie może też wypowiedzieć jej imienia, na wypadek jeśli anioł trafił do niewłaściwej osoby. W końcu jednak zbliża mikrofon do ust.

– Halo? – mówi cicho. – Halo, wiewiórko?

Nikt nie odpowiada. Nic się nie dzieje.

Patrzy na szpital i liczy w myślach rzędy okien. Czwarte piętro, siódme okno. Jest to jedno

z okien, gdzie się świeci, o ile dobrze policzył. Błada wisząca lampa. Żarówka osłonięta siatką, aby nikt jej nie zbił?

Nabiera powietrza i próbuje znowu.

– Jeśli mnie słyszysz – mówi – chciałbym, żebyś dała mi znak.

Patrzy na siódme okno, oczekując, że za kratą zobaczy jakąś postać. Nic takiego się nie dzieje. Staje się jednak coś innego – nagle w pokoju gaśnie lampa. Okno przez chwilę jest zupełnie ciemne, ale po chwili światło znowu się zapala.

Po plecach przebiega mu zimny dreszcz.

– Ty to zrobiłaś, wiewiórko?

Światło gaśnie raz jeszcze. Tym razem tylko na dwie sekundy, po czym znów się zapala. Jan podnosi anioła.

– Dobrze – mówi. – Jedno zgaszenie oznacza „tak”. Dwa oznaczają „nie”.

Ponownie robi się ciemno. Nawiązał kontakt.

– Wiesz, kim jestem?

Światło szybko gaśnie.

– Jan Hauger... To ja wysyłałem do ciebie listy. I to ja kiedyś siedziałem w dziecięcym psychiatryku. W Kapedimie.

Tym razem lampa nie gaśnie, ale to nic nie znaczy.

– A ty nazywasz się Maria Blanker?

Światło gaśnie.

– Czy dawniej nosiłaś inne imię? – pyta Jan.

Światło gaśnie. T a k.

– Alice Rami? Tak się nazywałaś?

W pokoju znowu robi się ciemno.

Nareszcie.

Jan opuszcza anioła. W końcu rozmawia z Rami. Nawiązali kontakt.

Co może jej powiedzieć? Ma wiele pytań, ale na żadne z nich nie da się odpowiedzieć „tak” lub „nie”. Mijają sekundy, dudnią bębny. Jan denerwuje się z powodu własnego niezdecydowania, wyrzuca z siebie pytanie:

– Rami, czy możemy się znowu spotkać? Tylko ty i ja?

Pytanie zadane pod sześciometrowym murem jest oczywiście absurdalne. A jednak światło pali się przez chwilę, by znowu mignąć.

– Dobrze... Do usłyszenia wkrótce. Dziękuję.

Za co dziękuje Rami? Patrzy w stronę szpitala, na wszystkie jasne okna. Czuje się zmarznięty, a jeszcze bardziej – z czegoś wykluczony. W tej chwili sam chciałby tam siedzieć, razem z Rami.

Rozpoczyna swą powrotną wędrówkę przez las. Do domu, gdzie postara się dokończyć ilustracje do książek, aby mógł je jej pokazać, gdy się spotkają.

Kim teraz jest Rami? Jest stwórczynią zwierząt. Stworzyła też Jana, aby znalazł drogę ponad murem i pomógł jej wyjść z kamiennego domu. Jak najdalej od opuszczonej wyspy stwórczyni zwierząt, od lasu, gdzie leży umierająca czarownica.

Kapedim

Jan siedział obok Rami, a ona trzymała go pod ramię, kładąc dłoń ponad bandażami na nadgarstkach. Byli ze sobą bardzo blisko. On opowiedział do końca historię o godzinach spędzonych w saunie i o skoku do stawu. Nie poczuł się dużo lepiej, ale zrobił to. A Rami słuchała, jakby opowiadanie miało jakieś znaczenie. Później zapytała ściszym głosem:

– Mówiłeś o tym komuś innemu?

Pokręcił głową.

– Ale o n i pewnie tak myślą – powiedział. – Jeden z nich... Torgny, on zadzwonił do mnie trzy dni temu. Bał się, słyszałem to w jego głosie. Chyba sądzą, że już sypnąłem, ale się mylą. – Jan wbił wzrok w podłogę i podjął znowu: – Wiem, że będą na mnie czekać, kiedy wrócę do szkoły... Zamierzają to kontynuować.

Zamilkł. Gdy tu siedział, przerażała go sama myśl o Bandzie Czterech. Skrył się za murem Kapedimu, wiedząc, że banda chodzi po ulicach, wolna i szczęśliwa. Mieli siebie nawzajem, mieli mnóstwo kolegów. On miał tylko Rami.

– I to byłoby okej – ciągnął dalej. – Czasami myślę, że byłoby cudownie, gdyby istniał taki guzik, który można nacisnąć i wszystko zakończyć. Kiedy wrzucali mnie do sauny, nie walczyłem tak bardzo... Uważałem, że na to właśnie zasługuję.

– Nie – przerwała Rami.

– Ależ tak.

Na chwilę w pokoju zapanowała cisza, po czym Rami nagle się odezwała:

– Zajmę się nimi.

– Niby jak?

– Jeszcze nie wiem... Kiedy już stąd wyjdę.

– A kiedy to się stanie?

– Wkrótce.

Jan spojrzął na nią. Rami nie twierdziła, że zostanie wypuszczona z Kapedimu – mówiła o ucieczce.

– Jak to zrobisz?

– Znam ludzi. – Rami gwałtownie wstała i podeszła do jednej z czarnych zasłon. – Znalazłam go w magazynku – powiedziała. Uniosła kotarę, a wówczas Jan zobaczył stojący na podłodze stary telefon.

– Działa? – zapytał.

Rami przytaknęła.

– Chcesz do kogoś zadzwonić?

Jan pokręcił głową. Nie miał do kogo zadzwonić.

– Dzwonię czasami do siostry w Sztokholmie – rzekła Rami. – Mogę zadzwonić do każdego.

Jan postrzegал ją jako niezwykle pewną siebie i ta pewność mu się udzielała.

– Mam szkolny album – powiedział. – Możesz dostać ich zdjęcia, nazwiska i adresy.

– W porządku.

Zapadła cisza. Jan spojrzął na nią, chcąc powiedzieć coś głębokiego i szczerego, ale Rami podjęła sama:

– Ty też możesz coś dla mnie zrobić.

– Co takiego?

Wstała.

– Pokażę ci... Chodź.

Wyprowadziła go na korytarz, rozejrzała się dookoła i ruszyła dalej w stronę pokoju pracowników. Było wpół do siódmej, personel z dziennej zmiany poszedł do domu, drzwi były zamknięte. Obok nich umieszczono cały rząd nazwisk i kolorowych fotografii opatrzone podpisem:

TO MY PRACUJEMY NA ODDZIALE 16

Rami wskazała palcem zdjęcie uśmiechniętej kobiety ze skośną grzywką i w wielkich okularach.

– To ona.

Jan rozpoznał kobietę. To ją Rami nazywała Psychopapłą i to z nią pobila się w sali telewizyjnej. Pod zdjęciem znajdowało się jej nazwisko: Emma Halevi, psycholog.

– To ona przerwała nasz koncert – powiedział Jan. – I zamknęła cię w Norze.

– Tak – potwierdziła Rami. – A później zabrała mój pamiętnik.

Jan skinął. Pamiętał.

– Przeczytała go – ciągnęła Rami. – Miałam taki sam egzemplarz, jaki podarowałam tobie... Zapiisałam w nim pięćdziesiąt stron, a ona go zabrała.

Jan spojrzął na fotografię. Usłyszał, jak Rami szepcze mu do ucha:

– Jutro ucieknę. Kiedy już mnie tu nie będzie, możesz coś zrobić Psychopapli... Zakraść się i nasikać jej na biurko albo nabazgrać coś na jej drzwiach, albo cokolwiek innego. Zrób coś, żeby się bała.

– Dobrze – odparł Jan.

– Zrobisz to?

Skinął z wolna, jakby zgodził się na wypełnienie tajnej misji. Sprawí, że Psychopapla będzie przerażona. Zrobi to dla Rami.

– Miałabym użalać się nad pacjentami? – mówi Lilian ze śmiechem, siedząc przy swoim piwie. – Oni sami robią to najlepiej, wszyscy. Siedzą tam, za swoim murem i użalają się nad sobą, twierdząc przy tym, że są niewinni.

– Naprawdę? – pyta Jan.

– Tak. Wszyscy pedofile i mordercy są zupełnie niewinni, wiesz przecież... Jeszcze nie było takiego, kto wziąłby na siebie za cokolwiek winę.

Jan nie zgadza się, ale postanawia się nie odzywać.

Poszedł do Baru u Billa następnego wieczoru po kłótni Lilian z szefową.

Oczywiście Lilian już tam była, siedziała przy stoliku w głębi lokalu. Jak zwykle stał przed nią duży kufel piwa, a sposób, w jaki huśtała nad nim głową, przypominający taniec węża przed zaklinaczem, wskazywał, że siedziała tu już dość długo.

Nie zauważyła Jana, kiedy wszedł do baru. Nie była sama, po przeciwnej stronie stołu siedziała Hanna. Przed nią stała jednak tylko szklanka wody. Obie kobiety wyglądały, jakby powierzały sobie tajemnice, szepcząc do siebie z pochylonymi głowami.

Tego wieczoru za barem stoi Allan. Nie są przyjaciółmi – Jan nie zdołał się w Valli z nikim zaprzyjaźnić, ale nauczył się imion barmanów. Zamawia u Allana piwo bezalkoholowe. Ze szklanką w ręce zastanawia się, czy nie przemknąć i nie usiąść jeszcze dalej, ale idąc tam, zapewne zostałby zauważony przez Hannę. Zresztą, dlaczego miałby się ukrywać? Idzie wprost do stolika koleżanek.

– Cześć – mówi.

– Jan!

Lilian wita go z uśmiechem, jakby ucieszyła ją przerwa w rozmowie. Błyszczące oczy Han-ny nie mówią niczego. Kiwa tylko lekko głową, po czym Jan przysiadł się do ich stolika.

– Co pijesz? – pyta Lilian.

– Piwo bezalkoholowe – odpowiada. – Jutro pracuję, więc nie mogę...

– Bezalkoholowe? – Lilian śmieje się zachrypnięta, podnosząc swoją szklankę. – To na pewno nie jest bezalkoholowe.

Jan nie wznosi toastu. Razem z Hanną patrzą w milczeniu, jak Lilian odchyła głowę i opróżnia połowę kufła. Jan widzi, że jej forma nie jest najlepsza tego wieczoru. Wpatrując się w szklankę, kontynuuje swój wykład o szpitalu, którego początek słyszał już, kiedy spotkali się w Barze u Billa po raz pierwszy, o luksusowym hotelu, jak nazywała klinikę.

– Kiedy tu przyjechałam, byłam ciekawa, co to za ludzie tu siedzą, ale nigdy nie było mi ich żal. Chodzi mi o to, że jeśli ktoś twierdzi, że jest niewinny, że nikogo nie zamordował, nikogo nie zgwałcił... W jaki sposób można taką osobę wyleczyć?

Nikt nie odpowiada. Lilian znowu wypija kolejny łyk. Jej oczy zaczynają Janowi przypominać zamglone przez leki oczy pacjentów w podziemiach Świętego Psychola. Lilian odstawia szklankę.

– Muszę do łazienki.

Ma trudności ze wstaniem – trzyma się kantu stołu, ale w końcu udaje jej się odejść chwiejnym krokiem. Jan i Hanna siedzą dalej w ciszy, patrząc za odchodzącą koleżanką.

– Ile wypła? – pyta w końcu Jan.

– Nie wiem. Była już w trakcie, kiedy przyszedłam, ale... Od tamtej pory trzy duże piwa.

Jan kiwa głową.

– Żal mi Lilian – ciągnie Hanna.

– Wielu osób można żałować – mówi Jan. – Na przykład Leo.

– Tak, mówiłeś to. – Hanna patrzy na niego. – Często myślisz o dzieciach, prawda?

– Zależy mi na nich. – Po tych słowach przypomina sobie, że opowiadał Hannie o zniknięciu Williama, i bojąc się, że potraktuje go jako podejznanego, dodaje: – Wszystkim powinno zależeć na dzieciach, Hanno.

– I tak jest.

– Czyżby? Tobie chyba bardziej zależy na Ivanie Rösselu?

Hanna potrząsa głową.

– Nie. To znaczy tak, zależy mi, ale... Janie, ty nie rozumiesz, o co tu chodzi.

– Rzeczywiście, nie rozumiem – odpowiada. – W każdym razie nie chodzi o mnie.

Jego kufel jest już pusty. Wstaje. Właściwie może należałoby już pójść do domu. Hanna jednak sprawia wrażenie, jakby podjęła jakąś decyzję. Pochylając się nad stolikiem, ścisza głos:

– Chodzi o Ivana Rössela... i o Lilian.

– O Lilian?

Hanna nie spuszcza z niego wzroku, jakby brała rozpęd, aby coś mu wyznać.

– Nawiązałam kontakt z Ivanem ze względu na Lilian.

Jan siada z powrotem.

– Przepraszam... Co powiedziałaś?

– Ivan dużo wie. A ja próbuję nakłonić go do mówienia.

– Mówienia o czym?

– Gotowe! – odzywa się trzeci głos. – Tęskniłyście za mną, dzieci?

To Lilian. Jest już z powrotem przy stoliku, trzymając w dłoni kolejne duże piwo. Zatacza się, uśmiecha się do nich szeroko.

– W kibelku siedziała jakaś panna i strasznie ryczała – bełkocze, siadając obok Jana. – Cholera, że też zawsze ktoś musi beczeć w damskiej toalecie... Prawda, Hanno? Czemu tak jest?

– Idziemy do domu. – Hanna rzuca szybkie spojrzenie Janowi.

– Już? – Lilian patrzy na nią zdziwiona.

Hanna kiwa głową.

– Pojedziemy razem i wysadzimy cię pod domem... Dzwonię po taksówkę.

– Ale... co z moim piwem?

– Pomożemy ci. – Hanna sięga po szklanekę, wypija kilka łyków, po czym wręcza ją Janowi. – Trzymaj!

Nie jest zachwycony, ale także wypija kwaśny łyk.

– No to idziemy, Lilian.

Kwadrans później pomagają koleżance wsiąść do taksówki. Razem z nią jadą do domu. Hanna doprowadza taksówkarza pod niewielki szeregowiec w dzielnicy na północ od centrum. W domu świeci się światło, dzięki czemu Jan zauważa postać okoliczterdziestoletniego mężczyzny, który obserwuje taksówkę z kuchennego okna. Poznaje go. To ten sam mężczyzna, który pewnego wieczoru odprowadził Lilian do przedszkola.

– Jesteście tacy dobrzy... Tacy mili... – Lilian wielokrotnie dziękuje za podwiezienie, ścisła Jana, całuje Hannę w oba policzki, po czy chwając się, idzie w stronę drzwi.

– W porządku – Hanna zwraca się do kierowcy. – Możemy wrócić do centrum... do Kasyna.

– Kasyna? – dziwi się Jan.

– To nie jest prawdziwe kasyno. Tylko taka nazwa.

Kasyno leży przy jednej z bocznych uliczek. Jest to bardziej odludne miejsce niż Bar u Billa. Mają tu męski wieczór. Jan domyśla się, że zawsze tak to wygląda. Kilku skulonych pięćdziesięcioletników siedzi przy barze przed ekranem wielkiego telewizora, oglądając mecz włoskiej ligi piłkarskiej. Ich kwaśne miny wskazują, że ich ulubiona drużyna przegrywa. Większość stolików w dalszej części lokalu jest pusta.

Hanna zamawia dwie szklanki soku i siada jak najdalej od baru, w zupełnie pustym kącie.

– Bar u Billa jest... Jak by to powiedzieć... Niezbyt bezpiecznym miejscem – mówi do Jana. – Widywałam tam ludzi ze Świętego Psychola.

– Tak? – Jan wydaje się zainteresowany jej słowami. – A po czym można ich poznać?

– Są czujni.

Na chwilę zapada cisza, którą przerywa Hanna:

– Ivan Rössel potrzebuje kontaktu z ludźmi... Czy to źle?

– Być może nie – odpowiada Jan. Nagle przypomina sobie słowa doktora Högsmeda na temat pacjentów i dodaje: – Ale jeśli ruszysz za kims, kto zablądził w lesie, sama także możesz zgubić drogę.

– Ja nie błądzę – mówi zdecydowanym głosem. – Wiem, co robię.

– Co więc robisz? – pyta Jan. – To znaczy z Ivanem?

– Próbuję skłonić go, by... by opowiedział. – Hanna odwraca wzrok.

– Ale co miałby opowiedzieć?

– Co wie o Johnie Danielu.

– O Johnie Danielu?

Jan skądś kojarzy to imię. Może z gazety?

– John Daniel Nilsson zniknął sześć lat temu – kontynuuje Hanna. – Rozpłynął się w powietrzu po szkolnej dyskoteci w Göteborgu, był w ostatniej klasie szkoły średniej. Od tamtej pory nikt go nie widział, ale Ivan... on dał do zrozumienia, że coś wie o Johnie Danielu.

Jan kiwa głową. Przypomniał sobie. Mieszkał wówczas w Göteborgu, zaledwie pięć czy sześć kwartałów od szkoły, w której zorganizowano tę zabawę. Rössela podejrzewano o związek ze zniknięciem chłopaka, ale on nigdy do niczego się nie przyznał.

– Ale co John Daniel ma wspólnego z tobą?

– Ze mną nic – mówi Hanna. – Z Lilian. Przecież mówiłam.

– Czy Lilian jest w to jakoś zamieszana? – Jan spogląda na koleżankę.

– John Daniel był jej młodszym bratem – wyjaśnia Hanna. – Zatrudniła się w przedszkolu, żeby spróbować nawiązać kontakt z Ivanem Rösselem... Ale to ją wykańcza.

Aby dowiedzieć się czegoś więcej, Jan do wpół do trzeciej w nocy przeszukuje internet. Dowiaduje się, że John Daniel miał dziewiętnaście lat, gdy zniknął ze szkolnej dyskoteki na obrzeżach Göteborga. Jeden z kolegów poczęstował go przemyconym alkoholem. Chłopak upił się i źle się poczuł. Wyszedł sam około wpół do dwunastej w nocy, aby nieco otrzeźwieć lub pójść do domu – nikt nie wiedział tego na pewno – i od tamtej pory nikt go nie widział. Szukała go rodzina, szukali policjanci i ochotnicy, lecz John Daniel zniknął bez śladu.

Sprawa pozostała niewyjaśnioną zagadką. Podejrzewano Rössela, ale ten milczał. Aż do chwili, kiedy to, według Hanny, zaczął sugerować, że był ostatnią osobą, która widziała chłopaka żywego.

Jan czyta dalej i dalej, aż oczy zaczynają go piec, a zamiast twarzy zaginionego dziewiętnastolatka zaczyna widzieć chłopcę buzię Williama Halewiego. Wtedy wyłącza komputer i kładzie się spać.

Następnego ranka idzie do pracy z ociężałą głową. Lilian już tam jest. Zmęczeni kiwają do siebie na powitanie.

– Wszystko w porządku, Lilian?

– Mhm – mruczy w odpowiedzi.

Wygląda na skacowaną i taka też na pewno jest, ale Jan patrzy na nią teraz zupełnie inaczej. Lilian jest siostrą zaginionego chłopca. Jest ofiarą. Jan chce ostrożnie zacząć z nią o tym rozmawiać, ale w tej chwili z kuchni dobiega wołanie:

– Janie, możesz pojechać na górę po Matildę?!

To Marie-Louise.

– Tak, oczywiście – odpowiada Jan. Zna reguły. Wszyscy muszą mieć zajęcia.

Zaprowadzanie i przyprowadzanie dzieci bardzo mu spowszedniało. Jeździ z nimi windą, nawet się nad tym nie zastanawiając. Kiedy jednak przychodzi czas na Leo, nie ma mowy o rutynie. Jadąc windą na górę, Jan dotyka lekko ramienia chłopca, który za chwilę ma spędzić godzinę ze swoim tatą.

– Co będziecie robić? – pyta Jan.

– Grać w karty – odpowiada Leo.

– Już o tym wiesz?

– Tato zawsze chce grać w karty. – Leo kiwa głową.

– Poproś go, żeby coś ci opowiedział – proponuje Jan.

Leo przytakuje, ale bez przekonania.

Po powrocie do przedszkola Jan nie czuje się pewnie. Tego dnia nie ma okazji, by porozmawiać z Lilian. Ona także się nie odzywa, nie patrzy na niego – przez cały czas jest z któryms z dzieci. Jednak nie bawi się z nimi, przez większość czasu siedzi i przygląda się im zmęczonymi oczami lub głaska ktoś po głowie osłabioną dłonią. Hanna także sprawia wrażenie, jakby unikała Jana. Przeważnie siedzi w kuchni. Tylko Marie-Louise chce z nim rozmawiać.

– Wspaniale, że to się już skończyło...
– Co takiego? – pyta Jan.
– Nocne dyżury. No i że dzieciom jakoś się ułożyło... Że znaleźliśmy im dobre domy. Tak się cieszę.

– Poradzą sobie? – pyta Jan.

– O tak. Jestem pewna.

– Martwię się trochę o Leo... Jest taki niespokojny.

– Leo także sobie poradzi – stwierdza Marie-Louise.

Jan spogląda na swą szefową. Czy rzeczywiście wszystkie dzieci sobie radzą? Większość z pewnością tak, ale nie wszystkie. Niektóre w życiu dorosłym mają problemy psychiczne, inne żyją w biedzie, a jeszcze inne stają się przestępcami. Tak wygląda statystyka i nic nie można na to poradzić.

Czy w takim razie ich praca w Polanie jest bezowocna?

Za kwadrans szósta Jan stoi w kuchni. Wszystkie dzieci już zostały odebrane, a on właśnie zakończył zmywanie naczyń. Koniec pracy na dziś. Kiedy Lilian zamyka swą szafkę w szatni, on pośpiesznie kończy sprzątać w kuchni. Gasi światło i wychodzi chwilę po tym, jak Lilian zatrasnęła drzwi. Zamyka przedszkole i szybko rusza za nią.

Na zewnątrz panuje listopadowa szaruga, jest wietrznie i mroźnie. Na ulicy widzi postać w ciemnej kurtce, idącą w stronę centrum. Przyśpiesza kroku i ją dogania.

– Lilian?

Kobieta odwraca się, nie zatrzymując, i znużona spogląda na niego.

– O co chodzi?

W pierwszej chwili chce jej zaproponować wspólne wyjście do Baru u Billa, ale się powstrzymuje. Nie ma ochoty tam chodzić.

– Możemy chwilę porozmawiać? – pyta.

– A o czym?

Jan rozgląda się wokół. W oddali przez stalowe drzwi w murze wychodzą dwie postaci. Nie może dostrzec ich twarzy, ale domyśla się, że to strażnicy z dziennej zmiany wracają do domu. Na przystanku autobusowym stoi jeszcze kilka osób. Patrzące oczy, słuchające uszy.

– Przejdźmy trochę dalej – proponuje.

Lilian nie wygląda na zadowoloną, ale jednak z nim idzie. Mijają ludzi czekających na przystanku, idą jeszcze kawałek dalej i dopiero wtedy Jan się odzywa:

– Możemy porozmawiać o przedszkolu... O tym, co możemy zrobić dla dzieci.

– Nie, dzięki. Chcę iść do domu. – Lilian wybucha zmęczonym śmiechem.

– To może porozmawiamy o Hannie?

Lilian nie przerywa marszu, więc Jan ciągnie dalej:

– Albo o Iwanie Rösselu?

– Znasz go? – Lilian zatrzymuje się natychmiast.

Jan zaprzecza ruchem głowy i mówi ściszym głosem:

– Hanna trochę mi opowiadała...

Lilian milczy, spoglądając na szpital.

– Nie mogę tu rozmawiać – mówi wreszcie. – Nie teraz.

– Może spotkamy się później?

Kobieta zastanawia się.

– Masz czas jutro wieczorem?

Jan kiwa głową.

– Przyjdź do mnie, koło ósmej.

– Będziemy mogli wtedy porozmawiać? – pyta Jan. – O wszystkim?

Lilian potwierdza skinieniem, po czym zerka na zegarek.

– Muszę wracać do domu, czeka na mnie mój starszy brat... Męża przecież nie mam. –

Rusza, ale po chwili odwraca głowę. – Chcesz wiedzieć, dlaczego się rozwiedliśmy?

Jan nie odpowiada, ale ona ciągnie dalej:

– Uważałam, że miałam obsesję na punkcie Ivana Rössela.

Pierwsze płatki śniegu tej zimy są duże i mokre. Wczesnym czwartkowym popołudniem ciężko opadają na ziemię wokół przedszkola, kładą się na piasku w piaskownicy i na oponach huštawek, tworząc białoszarą pierzynkę.

Obserwując płatki przez okno, Jan nie czuje żadnego podekscytowania. Inaczej niż kiedy był mały. Zimowa pogoda oznacza tylko dodatkowe warstwy ubrań, które trzeba założyć na dzieci. Podkoszulki, wełniane skarpety, zimowe spodnie na szelkach i czapki z ochraniaczami na uszy – wyprawienie dzieci na dwór trwa w nieskończoność. Jan uważa, że wyglądają jak małe beczułki, jak karłowate roboty z materiału drepczące po podwórku z wielkim wysiłkiem.

Pomaga im się ubrać, po czym wychodzą. Andreas i Marie-Louise nadal trzymają się razem, tworząc zgrany duet. Razem żartują i śmieją się, idąc za Janem. Hanna i Lilian są już na zewnątrz, na przerwie na papierosa. Nie śmieją się, pochylone ku sobie szepczą.

Marie-Louis i Andreas. Hanna i Lilian.

Jan nie należy do żadnej z grup, więc jak zawsze najbardziej poświęca się dzieciom.

– Niech pan patrzy na mnie! – wołają. – Niech pan patrzy!

Dzieci chcą pokazać, jakie są zdolne, kiedy huštają się i skaczą, i gdy budują niestabilne zamki z mieszanki piasku ze śniegiem. Jan im pomaga w tym zajęciu, zerkając jednak od czasu do czasu w stronę Lilian i Hanny. Chciałby usłyszeć, o czym rozmawiają.

Rozmowa cichnie, kiedy na schodach pojawia się Marie-Louise. Hanna i Lilian gaszą papierosy i pomagają zgromadzić dzieci. Jan zauważa jednak ich porozumiewawcze spojrzenia, które wymieniają, wracając do przedszkola. Jak konspiratorki.

Marie-Louise raczej niczego nie dostrzeża, stojąc wraz z Janem na schodach i uśmiechając się do dzieci maszerujących z powrotem do środka.

– Są takie grzeczne – mówi.

Po tych słowach spogląda w stronę muru okalającego szpital i uśmiech znika z jej twarzy. Zwraca się do Jana:

– Czy bałeś się czegoś, gdy byłeś mały?

Zaprzecza, kręcąc głową. Kiedy był mały – nie. Nigdy się nie bał, nawet bomby atomowej, aż do spotkania z Bandą Czterech.

– A ty? – pyta Jan.

Marie-Louise potrząsa głową.

– W dzieciństwie mieszkałam w małym miasteczku, gdzie nikt nie zamykał drzwi na klucz – mówi. – Nie było złodziei, w ogóle żadnych groźnych przestępców. W każdym razie nikt o nich nie mówił. W mieście znajdował się jednak szpital, w którym leczono szaleńców. Czasami mogli oni opuszczać mury kliniki... Mieli na sobie dziwaczne ubrania, więc od razu było wiadomo, skąd są. Wyglądali przyjaźnie. Lubiałam witać się z nimi w autobusie, ponieważ rozmowa sprawiała im radość... Wszyscy inni ludzie siedzieli sztywno, jakby połknęli kij od miotły, kiedy tylko jakiś stary wariat wsiadał do autobusu, a ja uważałam, że byli mili. – Spogląda na Jana i dodaje: – Mówiłam więc „dzień dobry”, a oni wesoło mi odpowiadali.

– Byłaś dla nich po prostu miła – odpowiada Jan.

Marie-Louise znowu patrzy na wysoki szpitalny mur i mówi dalej, jakby do siebie:

– A teraz wszystko jest takie okropne... Na świecie jest tylu niebezpiecznych ludzi.

– Być może to tylko my bardziej się boimy – stwierdza cicho Jan.

Jego szefowa nie słucha.

*

Tego samego wieczoru Jan podejmuje kolejną próbę nawiązania kontaktu z Rami. Po zamknięciu przedszkola udaje, że idzie do domu, a w rzeczywistości spaceruje po dzielnicy willowej, czekając, aż wokół szpitala zrobi się spokojniej. Następnie idzie okrężną drogą do bloku skalnego ponad potokiem. Plecak stawia na ziemi, wyjmuje anioła i włącza go, patrząc w stronę szpitala.

Czwarte piętro, siódme okno. Świeci się tam, ale za kratą nie da się zauważyć żadnej postaci. Mimo to Jan próbuje nawiązać kontakt:

– Wiewiórko? – odzywa się cicho.

Nic się nie dzieje. Światło w pokoju nadal jest zapalone.

Jan powtarza nawoływanie wielokrotnie, ale anioł milczy. Jeśli Rami tam nie ma albo śpi, dlaczego świeci się światło? Zawsze jest włączone?

W końcu wyłącza urządzenie i opuszcza las. W ten czwartkowy wieczór czuje się niešťęśliwy i odepchnięty przez wszystkich. Może niezupełnie przez wszystkich – dzieci wciąż go lubią, ale jeśli będzie się z nimi za dużo bawił, wyjdzie na dziwaka.

Jan nie chce być dziwny. Wówczas mógłby ściągnąć na siebie wzrok Marie-Louise, tak jak Lilian. Rozmyśla o jej cichych rozmowach z Hanną, prowadzonych w przedszkolu w ostatnim tygodniu. Szepty cichnące za każdym razem, kiedy wchodził do pokoju.

Opuściwszy las, wraca w stronę miasta. Ale nie do domu. Tego wieczoru ma się przecież spotkać z Lilian, żeby porozmawiać o Iwanie Rösselu.

Jan dzwoni do drzwi domu Lilian i czeka. Nasłuchuje. Z wewnątrz dochodzą głosy, ale brzmią raczej jak dźwięki z telewizora.

Nie otwiera mu Lilian, lecz jej starszy brat. Jan nigdy dotąd nie poznał jego imienia. Mężczyzna kiwa tylko głową na powitanie, po czym woła przez ramię:

– Minti?

Odgłos telewizora cichnie. Lilian odpowiada coś niewyraźnie, a jej brat kontynuuje:

– Przyszedł twój kolega z przedszkola.

Zawraca i wychodzi z przedpokoju, nie patrząc na Jana.

– Mówią na ciebie Minti? – pyta Jan Lilian.

– Czasami.

– Dlaczego tak?

Wzrusza ramionami.

– Jem miętowe pastylki. Żeby pachnieć świeżością.

Głos Lilian jest pozbawiony życia, ale kobieta przynajmniej nie jest pijana. Prowadzi gościa do kuchni. Otwiera lodówkę, w której Jan dostrzega zielone butelki, Lilian wyjmuje jednak tylko karton mleka.

– Napijesz się gorącej czekolady?

– Chętnie.

Stawia na kuchence rondel z mlekiem, po czym prowadzi Jana do stołu. Lilian imprezowiczka z Baru u Billa gdzieś zniknęła. Wygląda na zmęczoną bardziej niż kiedykolwiek, gdy siada przy stole z dwoma kubkami czekolady.

– A więc Hanna opowiadała o Ivanie Rösselu – zaczyna.

– Tak – odpowiada Jan.

– I że siedzi w Świętym Psychołu?

Jan kiwa głową.

– Sam też trochę czytałem.

– No tak, przecież jest gwiazdą. – Lilian wzdycha. – O ofiarach przestępstw nikt nie słucha... Nikt nie chce rozmawiać z kimś, kto tylko ryczy przez cały czas. To pewnie dlatego. Tak więc usuwamy się w cień, aby tam cierpieć, podczas gdy mordercy stają się idolami.

Jan nie odzywa się, więc Lilian ciągnie dalej:

– Rozmawiałeś o tym z Marie-Louise?

– Nie... Tylko z Hanną.

– Dobrze. – Lilian jakby odetchnęła z ulgą, podnosząc swój kubek. – To dobrze... Marie-Louise natychmiast zawiadomiłaby kierownictwo szpitala, gdyby dowiedziała się, co się dzieje.

W kuchni zalega cisza.

– A co się dzieje? – pyta wreszcie Jan.

Lilian zdaje się zastanawiać, co może powiedzieć.

– Spotkanie – odpowiada po chwili. – Planujemy spotkanie z Rösselem. Hanna je zorganizowała, wspólnie z jednym strażnikiem ze szpitala.

– Spotkanie w jakim celu?

– Chcemy otrzymać odpowiedzi – mówi Lilian. – Skłonić Rössela do mówienia.

– Do mówienia o czym?

– O Johnie Danielu.

– Twoim bracie – stwierdza cicho Jan.

– On zaginął. – Kobieta kiwa głową ze smutkiem.

– Wiem... O Johnie Danielu także czytałem.

Lilian wzdycha.

– Człowiek potrzebuje odpowiedzi na pytanie, dlaczego to się stało – mówi, wbijając wzrok w kuchenny stół. – Ale odpowiedzi brak. Wszystko jest... ciemnością. A człowiek ma wrażenie, że śni. Czułam się tak przez sześć lat od zaginięcia Johna Daniela. Później, kiedy uzmysłowiłam sobie, że to jawa, a jego nadal nie ma, wierzyłam, że jakoś sobie z tym poradzę, że to minie, ale to nie mijają, lecz dręczy i gryzie... Najgorzej znosi to mój tato. Ciągłe wierzy, że John Daniel żyje. Siedzi przy telefonie i czeka, codziennie.

Jan słucha, pozwalając jej mówić. Czuje się jak psycholog, jak Tony.

– Rössel jednak do niczego się nie przyznał – mówi cicho. – Prawda?

Lilian kręci głową.

– Rössel jest psychopatą. Nie jest zdolny do poczucia winy, więc do niczego też się nie przyznaje. Opowiada półprawdy, by po chwili się z nich wycofać. Zależy mu wyłącznie na uwadze... Bawi się.

– Nienawidzisz go?

Lilian spogląda na Jana tak, jakby odpowiedź była oczywista.

– Przecież John Daniel nie żyje, przeżył zaledwie dziewiętnaście lat. A Rössela nie spotkała żadna kara... Zaopiekowano się nim, dostaje darmowe jedzenie i dach nad głową. Nieźle sobie żyje w Patrycji.

Mysząc o długich pustych korytarzach, Jan pyta:

– Jest tam tak przyjemnie?

Lilian przytakuje zdecydowanie.

– Jasne, zwłaszcza dla takiej gwiazdy jak Rössel. Zajmują się nim, żyje sobie w ciszy i spokoju. Leki, terapie i wszelkiego rodzaju pomoc. Lekarze chcą się pokazać w blasku jego popularności. A John Daniel, on... – Lilian znowu patrzy w stół. – Zamordowany, leży gdzieś ukryty. A moje życie się kurczy... To właśnie robią z człowiekiem żal i nienawiść. Człowiek usycha.

Na końcu języka Jan ma pytanie: „Czy to dlatego tyle pijesz?“, ale się nie odzywa. Może tylko przypuszczać, przez co przeszła Lilian i co sądzi o Rösselu – on miał podobne odczucia w stosunku do Torigny’ego Fridmana i Bandy Czterech.

– Pracujesz w przedszkolu ze względu na Johna Daniela?

Lilian kiwa głową.

– Myślałam, że sama zdołam skontaktować się z Rösselem... ale nie dałam rady. W końcu poprosiłam Hannę, a jej poszło lepiej.

– Nie boisz się o nią?

– Dlatego, że chodzi do szpitala? – pyta Lilian. – Nie spotyka się bezpośrednio z Rösselem, wymieniają się tylko listami. To nie może być niebezpieczne.

Jan nie odpowiada, więc po chwili Lilian kontynuuje:

– Tylko Hanna wie, kim jestem... że jestem siostrą Johna Daniela. Kiedy to się stało, nie pojawiałam się w gazetach, rodzice wzięli to na siebie. Stawali przed fotoreporterami, trzymając w dłoniach szkolne zdjęcia i płacząc prosto w obiektyw. Prosilili i błagali, aby każdy, kto cokolwiek wie, zgłosił się na policję. Nikt się nie zgłosił. A teraz już o nas dawno zapomniano. – Znowu wzdycha.

Jan próbuje uporządkować wszystko, co opowiedziała mu Hanna. W końcu pyta:

– A czego chce Rössel? Wolności?

Lilian zaciska usta. Odzyskała nieco energii.

– Rössel nie będzie wolny. Może tak mu się wydaje, ale nic z tego. Ma tylko z nami porozmawiać.

– Kiedy? – pyta Jan.

– W następny piątek. Wieczorem, gdy w Świątej Patrycji będą ćwiczenia przeciwpożarowe.

Jan kiwa głową ze zrozumieniem.

– Planowana jest próbna ewakuacja – ciągnie Lilian. – Wszyscy pacjenci będą musieli opuścić pokoje. Na korytarzach zrobi się tłoczno.

Jan przypomina sobie widok starych pacjentów, spotkanych w podziemiach, ich puste oczy.

– A co stanie się wtedy z Rösselem?

– Strażnik, z którym Hanna się kontaktuje... Carl... on wypuści Rössela z oddziału szpitalnego do pokoju odwiedzin.

– Gdzie wy będziecie czekać?

– Tam się z nim spotkamy i porozmawiamy. A on powie, gdzie jest pogrzebany John Daniel.

– Wierzysz w to?

– Wiem to – stwierdza Lilian. – Obiecał to Hannie.

Jan chce coś powiedzieć, ale się waha.

– Coś może pójść nie tak – mówi cicho.

– Tak, ale nie będziemy ryzykować – wyjaśnia Lilian. – Będziemy tam we czwórkę, ja, mój brat i dwóch przyjaciół. Wszystko przeanalizowaliśmy. Parę razy wpuściłam brata do Polany na rekonesans.

– Wieczorami?

Lilian przytakuje.

– Czyli dzieci widziały twojego brata – mówi Jan.

– Naprawdę?

– Jednej nocy Mira widziała mężczyznę przy swoim łóżku... Nie jesteście tak ostrożni, jak myślicie.

– Jesteśmy wystarczająco ostrożni. – Lilian patrzy mu w oczy. – Teraz zatem wiesz... Jesteś z nami?

- Ja? – dziwi się Jan. – Do czego miałbym się przydać?
- Możemy potrzebować pomocy. Kogoś, kto będzie stał na straży.
- Może – odpowiada wreszcie. – Muszę się zastanowić.

W drodze powrotnej do domu rozmyśla o tym, co Lilian powiedziała o ćwiczeniach przeciwpożarowych. Pacjenci poza swoimi pokojami. Tłok na korytarzach. Rami także wypuszczają, tak jak pozostali.

Następnego dnia rano Jan ma zarezerwowany czas w pralni. Schodzi do piwnicy, nastawia białe i kolorowe pranie.

Idąc schodami z powrotem, zerka na tabliczkę z napisem LEGÉN i zatrzymuje się przy niej. Nie powinien więcej odwiedzać sąsiada, ale właśnie zrozumiał, że polubił Legéna. Legén jest sobą.

Dzwoni do drzwi, które otwierają się po chwili. Jan macha ręką na powitanie.

– Dzień dobry, to tylko ja, pański sąsiad... Co słychać?

– W porządku.

Legén stoi w drzwiach. Nie zamyka ich Janowi przed nosem, ale też nie zaprasza go do środka.

– Napije się pan kawy?

Pytanie zadaje Jan. Zdaje się, że już pora się odwzajemnić i zaprosić sąsiada do siebie. Legén jednak drapie się po głowie, intensywnie nad czymś rozmyślając.

– Masz mocno paloną?

– Tak... chyba tak – odpowiada Jan.

– Świetnie.

Podnosi z podłogi foliową torebkę i od razu wychodzi na klatkę schodową, jakby od dawna oczekiwał zaproszenia. Jan prowadzi go schodami w górę i dalej do mieszkania.

– Ciasno tu – stwierdza Legén, oglądając z zaciekawieniem wszystkie meble.

– Nie są moje. – Jan wzdycha.

Przechodzi do kuchni. Po dziesięciu minutach ekspres pracuje na pełnych obrotach. Tymczasem Legén usiadł przy stole, a Jan wyjął dwie filiżanki.

– Jak postępy z winem?

– Robi się mocne.

W głosie Legéna słychać zadowolenie. Wypijając łyk kawy, Jan zastanawia się, ile właściwie sąsiad ma lat. Może siedemdziesiąt. Odszedł z Patrycji na emeryturę przed czterema lub pięcioma laty, więc to by się zgadzało.

W milczeniu wypijają kawę. Jan spogląda na zegarek. Jest pięć po dziesiątej – zapomniał o praniu.

– Proszę zostać – mówi do Legéna.

Idzie do przedpokoju i otwiera drzwi. Na schodach dostrzega jakąś postać. To sąsiadka. Starsza kobieta, niska i szczupła. Niesie przepełniony kosz z bielizną i wygląda na bardzo niezadowoloną. Najwyraźniej ma przejąć pralnię po Janie.

– Przepraszam, zapomniałem...

Kobieta kiwa tylko głową. Jan nie zdążył nawet jeszcze zamknąć drzwi, kiedy usłyszał

niespodziewane pytanie:

– A więc jesteście przyjaciółmi, pan i on?

– On?

– Verner Legén.

– Przyjaciółmi? – pyta Jan cicho, aby Legén go nie słyszał. – No nie wiem... Po prostu trochę ze sobą rozmawiamy.

– I był pan u niego w mieszkaniu?

– Oczywiście, pożyczałem cukier – wyjaśnia Jan. Uśmiecha się, ale nie może liczyć w tej kwestii na wzajemność. Sąsiadka dokładnie mu się przygląda.

– Ma tam broń?

– Broń?

– Noże, strzelby... – kontynuuje kobieta. – Tego obawiają się sąsiedzi.

Jan nic nie rozumie, ale zaprzecza ruchem głowy.

– No tak, teraz pewnie jest spokojnie – mówi sąsiadka do siebie. – Ma już swoje lata.

Na klatce zapada milczenie. Kobieta zaczyna schodzić w kierunku pralni, ale Jan nie podąża jej śladem. Nie może się powstrzymać, więc odzywa się cicho:

– Wcześniej Legén miał broń?

Kobieta znowu się zatrzymuje.

– Tutaj nie. W każdym razie nikomu jej nie pokazywał.

– Ale gdzieś indziej?

Sąsiadka spogląda na niego z niedowierzaniem.

– Nie słyszał pan, co on zrobił w Göteborgu, ten cały Legén?

– O czym miałem słyszeć?

– Pozabijał mnóstwo ludzi. Odbiło mu. Wskoczył na ulicę i dźgał ludzi na śmierć, jednego po drugim.

Jan słucha w osłupieniu, nie mogąc wykonać żadnego ruchu.

– Legén? – wydusza z siebie. – Zabijał ludzi?

Sąsiadka kiwa głową.

– Westchnąwszy, dodaje: – Nikt nie chce, żeby tu mieszkał. Powinni go nadal trzymać w Świętym Psycholu... Tam, gdzie go kiedyś zamknęli.

Jan wpatruje się w swą rozmówczynię.

– Ale on tam chyba pracował? W pralni?

Kobieta znowu potwierdza skinieniem.

– W późniejszych latach tak. Z tego, co wiem, dawni pacjenci czasami tam pracują... Mają tam błogosławioną konstelację wariatów i lekarzy. – Westchnąwszy raz jeszcze, kobieta rusza schodami w dół.

Jan idzie za nią, by szybko zebrać swoje pranie. Następnie wraca na górę – dochodząc do swych drzwi, widzi, że są uchylone. Zapomniał je zamknąć.

Czy Legén słyszał całą rozmowę z sąsiadką?

Zatrzymuje się w progu, zastanawiając się, co powinien zrobić. W końcu wchodzi do środka. Legén wciąż siedzi przy stole. Zdążył już dolać sobie kawy. Patrzy na Jana.

– Nareszcie jesteś – mówi. Zapalił swą fajkę, ale nie wygląda na szczęśliwego. – Słyszałem

tę babę – zwraca się po chwili do Jana. – Słysząc ją było w całej klatce.

Jan bez słowa podchodzi do stołu. Nie ma pojęcia, co powiedzieć. Przez cały czas wpatruje się w dłoń Legéna, trzymającą filiżankę z kawą. Tę samą, która trzymała nóż, kiedy mężczyzna wypadł na ulicę.

Jan otwiera usta, by coś powiedzieć.

– Podobało się panu w szpitalu? – Legén zaciąga się fajką, więc Jan kontynuuje: – Chodzi mi o... Dość długo pan tam przebywał.

– Całe życie – odpowiada Legén. Wydmuchując dym z fajki, mówi dalej: – Ale nikogo nie zamordowałem. *No, nein, niet...* Byłem tam przez mamę.

Jan patrzy na niego uważnie.

– Mama była nieobyczajna, jak to określili... W latach trzydziestych miała dzieci z różnymi facetami i zbyt intensywnie balowała na ulicach. Na dodatek nie wstydziła się tego, więc ją zamknęli. W tamtych czasach Patrycja była nie tylko szpitalem psychiatrycznym, ale też placówką dla nieprzystosowanych. Byłem dzieckiem, dostałem się tam gratis. I zostałem.

– A więc nikogo pan nie zadźgał?

– To tylko plotki – wyjaśnia Legén. – Ludzie gadają, gadają bez końca.

Jan kiwa głową w milczeniu. Ufaj ludziom, mówi do siebie w myślach. Siada przy stole.

– Mam pytanie – mówi. – Kiedy w szpitalu rozlega się alarm przeciwpożarowy... co dzieje się wtedy w pralni?

– Ćwiczyliśmy to – odpowiada Legén, jakby nadal tam pracował. – Mamy swoje rozkazy... O ile nie zabił nas już dym, mamy wyłączyć maszyny i udać się do głównego wyjścia.

– Nie używacie więc wtedy windy?

– Nikt nie jedzie windą – mówi Legén. – Nie podczas pożaru.

Zapada cisza. Legén wyjmuje fajkę z ust i sięga po swoją siatkę. Wyciąga z niej litrową butelkę jasnoółtego wina i stawia ją przed Janem.

– Flaszka dla ciebie. Zdarzało mi się robić lepsze w życiu, ale i to da się wypić... Na koniec i tak wszystko się wysika.

– Dziękuję.

Znowu zapada milczenie.

– Zamierzasz kogoś wypuścić? – pyta Legén.

– Ależ skąd – Jan zaprzecza automatycznie. – Nie, chcę tylko...

– Jeśli to zrobisz – przerywa mu Legén – wybierz kogoś, kto na to zasługuje... Niektórzy z tamtych ludzi powinni zamienić się miejscami z szaleńcami tutaj.

Kapedim

Ucieczka Rami się nie powiodła – Jan zrozumiał to, gdy tylko usłyszał krzyk, wołanie i dźwięk tłuczonego szkła, dochodzące z korytarza.

Słuchał, ale nic nie zrobił. Siedział dalej w swym pokoju, kontynuując pracę nad komiksem o Lęklwym. Po wrzasku jeszcze dalej w korytarzu nastąpił brzęk, po czym Jana doszedł odgłos bieganiny. Podszedł do drzwi. Usłyszał trzaśnięcie innych drzwi gdzieś na zewnątrz, a następnie wiele podniesionych głosów. Cały chór. Później zaległa cisza.

Odczekał chwilę i dopiero wtedy wyjrzał ostrożnie na korytarz. Było spokojnie i pusto, ale gdy podszedł do drzwi Rami i zapukał, nie doczekał się odpowiedzi.

Tym razem wiedział już, dokąd ją zabrali, więc ruszył do piwnicy. Ku zamkniętym drzwiom Nory.

– Rami?! – zawołał.

– Jestem. – Jej głos ledwo było słychać zza drzwi.

– Co się stało?

– Zobaczyła mnie jedna z duchów i wyspała. Walnęłam ją za to.

Jan domyślał się, że miała na myśli jedną z błądych dziewczyn przebywających na oddziale.

– A więc strażnicy schwytali wiewiórkę – rzekł.

– Od razu mnie złapali – odparła. – Nie zdążyłam nawet wydostać się na podwórze... Gryzłam, ale było ich czterech. Tak samo jak w twojej bandzie.

Jan nie wiedział, co powiedzieć. Z nimi nie można wygrać, Rami. Tak właśnie myślał, przynajmniej zanim ją spotkał.

– Jak długo tu zostaniesz? – zapytał po chwili.

– Tego nie powiedzieli – odrzekła. – Może kilka lat... Ale to nie ma znaczenia, bo wiem, co zrobię, kiedy już mnie wypuszczą.

Jan nie pytał o nic więcej, gdyż wiedział, że Rami nigdy się nie podda. Siedział, podpierając drzwi, i czekał. Wreszcie odezwał się ponownie:

– Jeśli zrobisz to raz jeszcze, pójdę z tobą.

– Naprawdę?

– Tak.

Nie kłamał – nie chciał co prawda opuszczać bezpiecznych murów Kapedimu, ale z Rami mógł się udać dokądkolwiek.

– Wiesz, dokąd się wybieram?

– Dokąd?

– Do Sztokholmu. Muszę się tam dostać... Moja siostra tam mieszka.

– Rozumiem – odparł Jan.

– Założymy zespół – ciągnęła Rami. – Będziemy dawać koncerty na placu Sergela, a za zarobione pieniądze nagramy płytę i nigdy już tutaj nie wrócimy.

– No to jesteście umówieni? – zapytał Jan.

Rami przez chwilę milczała, zastanawiając się nad tym wszystkim.

– Swoją część później zorganizujesz. Ja zrobię, co do mnie należy, jeśli dasz mi swój adres.

– Dobrze – rzekł Jan, po czym dodał: – Muszę już iść, Rami... Mam rozmowę.

– Z twoim psychopapłą?

– Tak... Ale on jest okej. Słucha mnie.

– Ja także słucham – odparła Rami.

– Wiem.

– Przyjdziesz do mnie dzisiaj wieczorem? O ile mnie stąd wypuszczą?

Zarumienił się. Cieszył się, że nie mogła go teraz zobaczyć.

– Ja... – wyszeptał.

Nie mógł dokończyć. W ciszy pomyślał tylko trzy ostatnie słowa: K o c h a m c i ę,
R a m i.

– Dlaczego nas zamykacie? – zapytał Jan.

– Zamykamy? – zdziwił się Tony.

– Na dole, w piwnicy. W takim pokoju zamykanym na klucz.

– Robi się to, tylko kiedy pacjenci są agresywni – odpowiedział terapeuta. – Dla ich własnego dobra, żeby nie zrobili sobie krzywdy... Przebywają tam zaledwie chwilę, aż wszystko wróci do normy... Pobyt w szpitalu dla wszystkich jest chwilowy.

Zapadło milczenie, więc psycholog pochylił się do przodu:

– Jak się czujesz, Janie?

– Dobrze.

– Zaprzyjaźniłeś się tu z kimś?

– Może.

– Dobrze. A co z autodestrukcyjnymi myślami, które miałeś? Zniknęły?

– Tak sądzę – odparł.

– A więc może czas wrócić do domu?

Jan zrozumiał, że chcieli się go pozbyć. Wszystko było c h w i l o w e. Pewnie potrzebowali jego pokoju dla kogoś innego.

– Nie wiem – rzekł.

– Nie wiesz. Nie możesz tu przecież zostać...

Jan nie odpowiedział. Jeśli plan Rami dotyczący ucieczki by nie zadziałał, byłaby to kusząca opcja – zostać za murem do końca życia i nigdy nie musieć już wracać do świata na zewnątrz. Nigdy więcej nie spotkać Bandy Czterech.

– Dobrze ci robi powrót do domu – psycholog przerwał jego rozmyślenia. – Pojedziesz do rodziny, zaczniesz znowu chodzić do szkoły... Znajdziesz przyjaciół i wrócisz do normalnego życia. Pomyślisz, kim chciałbyś zostać.

– Kim chciałbym zostać?

– Tak... kim chciałbyś być z zawodu...

Jan zastanowił się chwilę. Wcześniej w ogóle się tą sprawą nie interesował, mimo to szybko odpowiedział:

– Może nauczycielem?

– A dlaczego?

– Bo chcę się zajmować dziećmi. Chronić je.

Po zakończonej rozmowie Jan snuł się po korytarzach. Zbliżało się południe. Z pokoju telewizyjnego dochodziły głosy. Ruszył dalej i wszedł do piwnicy, ale drzwi Nory zastał szeroko otwarte. Wypuścili Rami.

Kwadrans później weszła na stołówkę, jako ostatnia ze wszystkich. Jan już jadł, siedząc przy stoliku pod oknem. Rami jednak usiadła oddzielnie, przy stole w rogu. Właśnie tak to ostatnio wyglądało – im więcej czasu spędzali ze sobą, tym rzadziej razem jedli. Ten układ sprawiał wrażenie, jakby ich bliskość miała pozostać tajemnicą dla wszystkich w Kapedimie.

Czasami jednak spoglądała na niego ponad stolikami. Oboje wiedzieli, czego chcą.

Po jedzeniu Jan wrócił do swojego pokoju. Usiadł i gapił się w białą ścianę. Niedługo pojedzie do domu. Tylko że on nie chciał wracać do domu. W domu nie czekali na niego przyjaciele, lecz Banda Czterech.

Jakieś pół godziny później usłyszał, jak sąsiednie drzwi otwierają się i zamykają.

Czekał.

O dziewiątej przyciemniono oświetlenie na korytarzu. Kwadrans po dziewiątej wyszedł z pokoju, by przekraść się pod drzwi Rami.

Z jej pokoju dochodziło ciche mamrotanie. Rami rozmawiała przez ukradziony telefon. Jan zaczekał, aż zapadnie cisza, po czym zapukał. Uchyliła drzwi, by zobaczyć, kto to, i wpuściła go do środka.

– Z kim rozmawiałaś?

– Z siostrą. Powiedziała, że na mnie czeka. Potrzebuje mnie.

– A więc zwiejesz do Sztokholmu?

– Przecież wiesz.

– Kiedy?

– Jutro wcześniej rano... Idziesz ze mną?

Jan skinął, wyjmując kartkę papieru.

– To mój adres – wyjaśnił. – Mówią, że muszę wracać do domu, więc właściwie jest mi obojętne... Nie mogę zostać w Kapedimie.

Rami schowała kartkę do kieszeni spodni.

– A chcesz tu zostać? – zapytała.

– Czasami... Tu jest tak spokojnie. I ty tu jesteś.

– Chodź!

Wyciągnęła do niego ramiona, objęły się.

– Zajmiemy się Psychopapłą i Bandą Czterech – wyszeptła mu do ucha. – Obiecuję.

SZALEŃCZY CZYN NAD LEŚNYM JEZIOREM.

Siedząc w mieszkaniu, Jan czyta ten tytuł na wycinku z jednej z gazet – czyta go w kółko.

S z a l e Ń c z y c z y n. Zastanawia się nad tymi słowami. Oznaczają coś, czego dokonał jakiś szaleniec. Ktoś inny. Nie ja, który pisze te słowa, ani ty, który je czytasz.

Ktoś inny. Ale kto?

Jest piątkowy wieczór. Jan wrócił już do domu. Do ćwiczeń przeciwpożarowych został dokładnie tydzień. Plan Lilian, żeby przesłuchać Ivana Rössela w pokoju wizyt, został dokładnie przemyślany. Ona i Hanna szeptały teraz także do Jana, nie tylko między sobą. Teraz, kiedy już wie, co się dzieje, najwyraźniej chcą się upewnić, czy jest z nimi.

Jan obiecał tylko, że ich nie wyda. To wszystko.

Kiedy wracając na rowerze do domu, mijał szpital, zobaczył ordynatora, idącego wzdłuż betonowego muru. Högsmed rozpoznał go i podniósł rękę. Jan pomachał mu, uśmiechając się. Widział, jak lekarz znika za stalową bramą. Może szedł do gabinetu, żeby przeprowadzić na kimś test czapki?

Högsmed pewnie jest dobrym psychiatrą – myśli Jan – ale nie ma pojęcia, co nocami dzieje się w szpitalu. Nie zna podziemnej drogi prowadzącej do kliniki z przedszkola, nie wie nic o tajemnych listach ani o spotkaniach w pokoju odwiedzin. Högsmed sądzi, że w Świętej Patrycji wszystko przebiega według planu, który sporządził wraz z resztą kierownictwa placówki.

Według Jana łamanie zasad leży w naturze człowieka – zarówno dzieci, jak i dorośli bezustannie naginają wszelkie reguły.

*

Jeszcze tydzień. Czasu nie da się zatrzymać.

Jan denerwuje się, słysząc tykanie zegarka. Tak samo było w Rysiu.

Podchodzi do szuflad i znów wyciąga stary dziennik – ten, który dała mu Rami w magazynku w Kapedimie.

Spogląda na zdjęcie na okładce: fotografia z polaroidu, zrobiona przez Rami w dniu, kiedy zobaczyli się po raz pierwszy. Dziwi go jego własny młody i zdrowy wygląd, biorąc pod uwagę, jak bliski był śmierci na dobę przed zrobieniem tego zdjęcia. Najpierw niemal zasuszony w saunie, a później nafaszerowany tabletkami nasennymi, pocięty żyłką i prawie martwy na dnie stawu. A mimo to patrzy prosto w obiektyw z podniesioną głową.

W dzienniku znajdują się nie tylko jego własne wspomnienia i myśli. Jest tam także kilka zwiniętych wycinków z gazet. Może to właśnie przez wzgląd na nie zachował ten notatnik. Wyciąga go od czasu do czasu późnymi wieczorami i czyta.

Pierwszy z nich to okładka gazety z dużym czarno-białym zdjęciem, przedstawiającym skałę wystającą kilka metrów ponad poziom błyszczącej wody, oraz tytułem: SZALEŃCZY

CZYN NAD LEŚNYM JEZIOREM. Niżej podtytuł: DWAJ CHŁOPCY ZAMORDOWANI PODCZAS WYCIECZKI.

Jan przez ostatnie piętnaście lat czytał ten artykuł wielokrotnie, więc zna go już niemal na pamięć:

Wczoraj wieczorem dwaj chłopcy w wieku piętnastu i szesnastu lat zostali napadnięci i zamordowani przez nieznanego sprawcę. Kiedy ich zaatakowano, nocowali w namiocie rozbitym na skale ponad leśnym jeziorem, dwanaście kilometrów od Nordbro.

Według policji morderca ciął nożem przez materiał namiotu, raniąc obu chłopców wielokrotnie, po czym zwinął namiot i zepchnął go ze skały do wody. Ciężko ranni chłopcy nie mogli wydostać się z namiotu i utonęli.

Artykuł zajmował jeszcze kolejne dwie szpalty, zawierał wypowiedź komisarza policji i kilka spekulacji.

W dzienniku był też inny zwinięty wycinek, pochodzący z następnego dnia:

ODNALEZIONO TRZECIĄ OFIARĘ

Chłopak leżał przy lokalnej drodze z ciężkimi obrażeniami czaszki.

Wczesnym rankiem w środę w głębokim rowie w okolicach Nordbro odnaleziono szesnastoletniego chłopca. Prawdopodobnie został potrącony przez samochód osobowy, a kierowca zbiegł z miejsca wypadku. Chłopak był nieprzytomny, miał obrażenia czaszki i wiele złamań. Został przetransportowany na oddział ratunkowy szpitala Västersjukhuset, ale nie odzyskał przytomności.

Policja nie wyklucza związku między tym tragicznym zdarzeniem a morderstwem dwóch chłopców nad leśnym jeziorem w tej samej okolicy.

– Najwyraźniej wszyscy trzej byli na wspólnym wyjeździe nad jeziorem, kiedy ktoś zaatakował ich w nocy nożem – mówi komisarz Hans Torstensson.

Jednocześnie policja nie komentuje sprawy i nie spekuluje, czy to ta sama osoba zamordowała dwóch chłopców, po czym potrąciła trzeciego, który, być może próbując uciec, ruszył wzdłuż drogi.

– Śledztwo nie zostanie zakończone, dopóki nie rozwiejemy wszelkich wątpliwości.

Czy po piętnastu latach ktoś jeszcze pamiętał o tych wydarzeniach? Jan zastanawia się nad tym. Rodziny chłopców pewnie pamiętają, ale życie toczy się dalej. Jakos przetrwały czas smutku i żalu, o ile nie wpadły w rozpacz jak Lillian. Prowadzący śledztwo na pewno odpuścili sprawę, mimo obietnicy komisarza. Ostatnie informacje na temat tej zbrodni umieścili w jakimś segregatorze i wstawili go na półkę w archiwum.

Może już tylko Jan o nich rozmyśla.

Dwóch martwych, jeden ciężko ranny.

Kto to zrobił?

Przez wszystkie lata Jan nie przestał myśleć o sprawie, nawet na długo po tym, jak zniknęło w nim uczucie ulgi.

Od kilku tygodni nic nie napisał w dzienniku, więc otwiera go na czystej stronie i na wła-

sny użytek zaczyna spisywać sprawozdanie z obecnej sytuacji. Pisze o Polanie, o pracownikach, o swoich tajemnych wyprawach do szpitala. Na końcu zapisuje:

Przybyłem do Valli, żeby znowu nawiązać kontakt z Rami, ale nie tylko po to. Chciałem pracować z dziećmi, które są w szczególnej sytuacji. Chciałem sprawić, aby poczuły się lepiej.

Przybyłem tu także, aby wreszcie mieć prawdziwe życie, przyjaciół. Ale się nie udaje. Może to wina Rami. Może używałem jej jako ochrony przed resztą świata...

Są to rzeczy, których nigdy nie wyznałby Rami wprost. Chce jednak z nią porozmawiać, jak najszybciej.

Spogląda na zegarek. Jest piętnaście po dziewiątej. Jeszcze nie jest za późno na przejażdżkę rowerową. Lilian ma swoje przygotowania do ćwiczeń przeciwpożarowych, a Jan ma własne.

Na nocnym niebie gromadzą się czarne chmury, wiszą ponad szpitalem, zraszając las delikatnym deszczem. Jan wyciera z czoła lodowate krople i kuląc się w poszyciu, próbuje się schronić pod brzozą.

Kuca z aniołem w dłoni. Ponad nim wznosi się szpital, w którym przebywa jego przyjaciółka. W takiej sytuacji deszcz i chłód nie mają znaczenia.

– Jesteś tam, wiewiórko? – szepcze do mikrofonu, wbijając wzrok w nieruchomą fasadę kliniki. W okno na czwartym piętrze.

Światło gaśnie w oknie. Po chwili zapala się na nowo.

Jasny i wyraźny sygnał – Rami znowu jest w pokoju.

Jan powoli wypuszcza powietrze i pyta:

– Nadal chcesz się wydostać?

Mrugnięcie światła.

Tak.

– Wydostać się jak najszybciej?

Tak.

Oba mignięcia następują szybko, bez wahania. Tych odpowiedzi nie udziela zagubiona czy odurzona lekami kobieta. Jan ponownie unosi anioła.

– Ja także chcę cię spotkać i usłyszeć, co działo się po Kapedimie. Czekałem na twoją odpowiedź, ale nigdy nie nadeszła... Wiem tylko, że dotrzymałaś swojej części paktu. Powstrzymałaś Bandę Czterech. – Jan milknie, ale po chwili zbiera się w sobie i kontynuuje: – Ale ja k to zrobiłaś? Mówiłaś, że znasz ludzi, którzy mogą się tym zająć, więc przez wszystkie te lata zastanawiałem się, kto to był...

L ę k l i w y, przychodzi mu do głowy. Ale kim był Lękliwy?

Nie ma odpowiedzi. Światło w oknie wciąż się pali.

– W każdym razie nie byłem w stanie żałować Niklasa, Petera i Christera. Nie dało się... A teraz z Bandy Czterech został tylko jeden członek. Nazywa się Torgny, Torgny Fridman. Opowiadałem ci o nim przed piętnastoma laty... Jest właścicielem sklepu żelaznego w Nordbro, gdzie się wychowałem. Ma żonę, dziecko i szczęśliwe życie... Trudno mi jednak zapomnieć o tym, co zrobił.

Lampa w pokoju nie gaśnie, ale Jan odnosi wrażenie, że Rami słucha. Ciągnie więc swój monolog:

– Muszę opowiedzieć ci jeszcze coś... Jestem z wykształcenia wychowawcą przedszkolnym, pracuję w zawodzie od dziesięciu lat. W trakcie jednego z moich pierwszych zastępstw miałem pod opieką chłopca o imieniu William... Rozpoznałem jego mamę, jak tylko ją zobaczyłem. Była nią Psychopapla z Kapedimu, twoja psycholog. Pewnie ją pamiętasz? Prosiłaś, żebym coś z nią zrobił. Żebym ją ukarał.

Cisza. Jan dotarł do sedna swego wyznania. Kiedy wcześniej o nim myślał, chciał brzmieć jak zwycięzca, lecz teraz w głosie brakuje mu mocy i brzmi raczej przeprosząco:

– Więc... więc pewnego dnia, kiedy byliśmy w lesie, podstępem odciągnąłem Williama od

reszty grupy i zamknąłem go w starym bunkrze. Było mu tam tak dobrze, jak to tylko możliwe. Najgorsze przeżywali jego rodzice... Psychopapla. Zamartwiała się przez kilka dni. – Wyznanie zakończone, ale Jan ma do dodania jeszcze jedno: – Droga ucieczki, Rami. Teraz opowiem ci o niej. – Patrząc w okno, mówi dalej: – W następny piątek, kiedy wieczorem przeprowadzane będą ćwiczenia przeciwpożarowe, wypuszczą wszystkich pacjentów. Otworzą wszystkie drzwi. Wiesz o tym?

Mignięcie światła.

– Musisz odłączyć się od pozostałych – kontynuuje Jan. – Na twoim oddziale jest taki magazynek na leki. Prowadzące do niego drzwi powinny być otwarte... Wetknąłem papier w zamek. W tym magazynku, za szafą znajduje się stara winda towarowa. Zjeżdża bezpośrednio do piwnicy.

Światło miga, Rami rozumie.

– Będę czekał na ciebie na dole – mówi Jan. – Później razem wyjdziemy.

Czy naprawdę może to obiecać? Nie chce myśleć o tych wszystkich sprawach, które mogą się nie udać, czeka jedynie na odpowiedź.

Odpowiedź nadchodzi: światło gaśnie i zapala się po raz ostatni.

– Dobrze... Do zobaczenia wkrótce, Rami.

Wyłącza anioła.

Z radością opuszcza las, to samotne miejsce. Już niedługo nie będzie samotny.

Dwadzieścia minut później Jan dzwoni do drzwi Lilian. Kobieta otwiera. Jej brata nie widać w pobliżu. Lilian wpuszcza Jana do środka, ale tylko do przedpokoju. Jest spięta i nie ma ochoty na pogawędkę.

– Zdecydowałeś się?

Jan przytakuje, mając w pamięci obraz migoczącego okna Rami.

– Zrobię to.

– Jesteś z nami?

Jan znowu kiwa głową.

– Mogę pełnić wartę w przedszkolu – mówi. – Kiedy wy pójdziecie do Rössela, do pokoju odwiedzin, ja będę czekał na dole.

– Potrzebujemy też kierowcy – odpowiada Lilian. – Chyba masz samochód?

– Mam.

– Chętnie go pożyczymy – ciągnie Lilian – żeby dowieźć wszystkich za jednym razem, a później z powrotem do domu, kiedy skończymy. – Lilian jest skoncentrowana i trzeźwa. Na piętrze Jan słyszy odgłos kroków, ktoś tam jest.

– I tylko porozmawiacie z Rösselem na temat twojego brata? – upewnia się. – Nic więcej?

– Nic więcej. – Lilian patrzy mu w oczy. Jan przypomina sobie nagle słowa doktora Högsmeda o tym, jak ciężko jest wyleczyć psychopatów.

– Jak myślisz, dlaczego Rössel zgodził się z wami spotkać? – pyta. – Chce się przyznać, żeby lepiej się poczuć? Bo zmienił się w dobrego człowieka?

Lilian opuszcza głowę.

– Nie obchodzi mnie, w kogo zmienił się Rössel – odpowiada. – Niech tylko powie prawdę.

Na tradycyjnym zebraniu motywacyjnym dla pracowników Marie-Louise przypomina o piątkowych ćwiczeniach przeciwpożarowych.

– To będzie duże wydarzenie z udziałem policji i personelu ratunkowego – mówi. – Wszystko dzieje się wieczorem, więc nas nie dotyczy. Przedszkole będzie zamknięte jak zwykle.

Niezupełnie zamknięte, myśli Jan.

Lilian posyła mu ukradkowe spojrzenie z drugiej strony stołu. W ten poniedziałek na jej twarzy widać zmęczenie. Pachnie miętowymi pastylkami.

Dni mijają jeden po drugim, aż w końcu nadchodzi piątek.

Ostatnim dzieckiem, które Jan odbiera z pokoju odwiedzin, jest Leo.

Wjeżdżając windą na górę, dostrzega w przelocie ojca chłopca – niskiego mężczyznę, ubranego w białą szpitalną koszulę z grubymi rękawami, który rzuca szybkie spojrzenie w kierunku windy, wychodząc z powrotem przez drzwi prowadzące do szpitala. Na koniec unosi rękę w stronę syna. Leo także macha mu na pożegnanie.

W drodze powrotnej do przedszkola chłopiec jest spokojny i małomówny.

– Lubisz spotykać się z tatą? – pyta Jan, kiedy wysiadają z windy.

Leo kiwa głową. Kładąc dłoń na ramieniu chłopca, Jan ma nadzieję, że święta Patrycja będzie się nim opiekować, kiedy ten dorośnie. Święta, nie szpital.

Marie-Louise uśmiecha się do Jana, po tym jak przekazał już Leo rodzicom zastępczym.

– Tak dobrze dogadujesz się z dziećmi, Janie – stwierdza. – Nigdy się nie denerwujesz, nie to co dziewczyny.

– Jakie dziewczyny?

– Hanna i Lilian... Kiedy są w szpitalu, bardzo się denerwują. Właściwie to nie powinno nikogo dziwić. – Znowu się uśmiecha. – Człowiek nie jest do tego przyzwyczajony.

– Do tego... Masz na myśli pacjentów?

– Właśnie – mówi Marie-Louise. – Do tych osób trzymany w zamknięciu.

Jan przygląda się jej uśmiechowi, sam nie będąc w stanie go odwzajemnić.

– Dla mnie to nic nowego – mówi. – Znam ich.

– Co masz na myśli?

– Także siedziałem w zamknięciu, gdy byłem nastolatkiem.

Uśmiech znika z twarzy Marie-Louise. Zastępuje go mina wyrażająca niewypowiedziane pytanie. Jan więc kontynuuje:

– Siedziałem w dziecięcym wariatkowie. Nazywaliśmy je Kapedim, taki skrót od Kliniki Psychiatrii Dzieci i Młodzieży. To była zamknięta klinika, tak samo jak Święta Patrycja... Niebezpieczni i przerażeni siedzieli w Kapedimie razem.

Marie-Louise zamyka swe otwarte usta, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Za co? – pyta w końcu. – Dlaczego cię tam zamknięto?

– Byłem jednym z tych przerażonych – mówi Jan. – Bałem się świata zewnętrznego.

W kuchni zalega cisza.

– Nie wiedziałam – mówi wreszcie Marie-Louise. – Nigdy o tym nie wspomniałeś, Janie.

– Jakoś nie było okazji... ale nie wstydę się tego.

Marie-Louise kiwa głową ze zrozumieniem, ale zdaje się patrzeć na Jana zupełnie inaczej. Przez resztę dnia wielokrotnie zerka na niego czujnym wzrokiem. Wygląda na to, że Jan zburzył zaufanie – zawiódł szefową, pokazując pęknięcia na swojej duszy. To już jednak nie ma znaczenia. Przez pęknięcia wpada światło.

Na koniec dnia pracy wyjmuje z plecaka ilustrowane książeczki Rami i własny dziennik, po czym zamyka je w swej szafce. Nie ma w niej zbyt wiele miejsca, więc chwilę zajmuje mu upchnięcie kurtek, parasola i książek. Ostatecznie udaje się.

Kiedy w dzisiejszy wieczór Rami wyjdzie ze Świętego Psychola, Jan otworzy szafkę i pokaże jej wszystkie książki. I nowe kolorowe ilustracje.

Pomoże jej wydostać się z kliniki. Tym razem wszystko się powiedzie.

Kapedim

Istniała tylko jedna niezamknięta droga prowadząca z Kapedimu, a było nią okno ponad piecykiem w kuchni. Opiekunowie chcieli mieć możliwość wywietrzenia kuchennych zapachów. Kuchnia leżała na tyłach budynku, a prowadzące do niej drzwi nie były wyposażone w zamek. W dzień jednak niemal bez przerwy ktoś tam był, więc aby uciec, należało wstać bardzo wcześnie.

Jan obudził się koło szóstej. Wcześniej nastawił zegarek. Kiedy zaczął dzwonić, Jan otworzył oczy, czując obok siebie szczupłe ciało.

Rami leżała przy nim.

Jan szybko dotknął pościeli pod sobą. Prześcieradło było suche.

Rami podniosła głowę i pocałowała go w czoło.

– Sztokholm – powiedziała.

Jan chciał dalej tu leżeć, nie miał ochoty uciekać. Przytaknął jednak i oboje wstali.

Nie zapalali światła, ubrali się i wymknęli na korytarz jak dwa szare cienie. Jan miał ze sobą niewielką torbę z ubraniami i książkami oraz narzutę na łóżko pod pachą. Idąca za nim Rami nosła swoją torbę, a w dłoni trzymała coś wielkiego. Zorientował się, że to futerał na gitarę.

– Zabierasz ją ze sobą? – szepnęła.

Skinęła.

– Przecież mówiłam... Będziemy zarabiać, śpiewając i grając na ulicach Sztokholmu.

Jan nie potrafił śpiewać, ale się nie odezwał. Ruszył za nią.

Wszystkie pomieszczenia były pozamykane. Na końcu korytarza znajdowały się drzwi prowadzące do pokoju personelu. One również były zamknięte. Jan przyjrzał im się uważnie, kiedy je mijali. W kuchni drzwi nie było. Jan od razu widział, że wewnątrz jest pusto, a światła są zgaszone.

– Ja otworzę – zaproponowała Rami.

Postawiła futerał przy zlewozmywaku i pociągnęła okienne rygle. Okno otworzyło się szeroko, wpuszczając do środka mroźne poranne powietrze. Dziewczyna wciągnęła chłód w nozdrza.

– Sztokholm – rzekła znowu, jakby było to magiczne miejsce.

Wdrapała się szybko na kuchenną płytę i wyskoczyła przez okno. Na zewnątrz znajdowała się wyłożona kamieniem weranda, na której stało kilka drewnianych krzeseł i stół.

Jan widział, jak Rami bierze jedno z krzeseł i niesie je przez trawnik, w stronę ogrodzenia. W połowie drogi spojrzała przez ramię, a on skinął do niej porozumiewawczo, wciąż jednak stojąc przed oknem.

Cholera, pomyślał.

Szybko zawrócił i popędził korytarzem.

Skreślił w prawo, w stronę wszystkich sypialni, ale zatrzymał się przy zamkniętych drzwiach pokoju personelu. Uniósł pięść i uderzył trzykrotnie.

Nie wiedział, czy ktoś jest w środku, nie czekał też na odpowiedź. Zawrócił do kuchni.

Rami czekała na niego pod oknem.

– Co robiłeś?

– Byłem w toalecie – skłamał.

Następnie wspiął się na parapet i wyskoczył.

– Stół – powiedział.

Jan i Rami przygotowali dokładny plan ucieczki. Chwycili stół z dwóch stron i zanieśli go pod ogrodzenie. Następnie Rami postawiła na nim krzesło. Jan wdrapał się na górę i rzucił brązową narzutę w stronę szczytu ogrodzenia. Dwukrotnie spudłował, ale za trzecim razem zarzucił materiał na kolczasty drut tak, że się z niego nie zeslizgnął.

Przy ogrodzeniu było bardzo zimno, ale Jan aż się spocił. Rzucił szybkie spojrzenie w stronę Kapedimu i zobaczył, że wciąż we wszystkich oknach światło było zgaszone, poza jednym. W pokoju personelu zaświecono lampę.

Wewnątrz dało się dostrzec dwie postacie. Jedną z nich była młoda asystentka, której imienia nie znał, a drugą był Jörgen, który właśnie wkładał koszulę. Musieli spać razem, tak jak on i Rami.

Jan znowu na nią spojrzał.

– Ty pierwsza.

Była od niego lżejsza. Z krzesła przeskoczyła na ogrodzenie. Była teraz wiewiórką. Poprzez materiał dobrze chwyciła się oczek siatki. Przełożyła nogę ponad drutem kolczastym, potem resztę ciała i zeszła na dół po drugiej stronie.

Patrzyli na siebie przez ogrodzenie. Jan podniósł gitarę. Zdołał przełożyć ją i podać Rami. Skinęła do niego.

– Twoja kolej.

Jan skoczył. Nie był wiewiórką, ale utrzymywał się na siatce siłą woli. Stalowe kolce zaczęły przebijać się przez narzutę i ranić mu dłonie, ale jednak wspinał się ku szczytowi ogrodzenia i udało mu się przejść. W tej samej chwili usłyszał dudnienie w szybę gdzieś za sobą – zauważono ich.

Otworzyły się drzwi, ktoś do nich wołał.

Jan nerwowo przełknął ślinę, ale się nie odwrócił – idąc w ślad Rami, zgiął się nisko nad ziemią. Był poza ogrodzeniem, zbierali swoje rzeczy, by po chwili ruszyć biegiem w dół chodnika, ramię w ramię. Była za dziesięć siódma, nikogo nie widzieli, wschodziło słońce.

Nie mieli żadnych dalszych planów, chcieli się tylko wydostać. Jan nie miał zapasowych ubrań, a w portfelu – zaledwie pięćdziesiąt koron.

– Jesteśmy wolni – powiedziała Rami, po czym zawołała: – Sztokholm!

Tu, poza ogrodzeniem, Jan po raz pierwszy zobaczył Rami w dobrym humorze, była niemal zadowolona. Spojrzała na niego, miała zaczerwienione policzki. Uśmiechnął się do niej, pojmując nagle, co znaczy cieszyć się w towarzystwie wyjątkowej osoby.

Miał czternaście lat i był beznadziejnie zakochany.

Pracownicy Kapedimu dogonili ich zaledwie po dziesięciu minutach. Szpital otaczało pustkowię, więc ścigający Rami i Jana nie mieli problemu z ich odnalezieniem.

Poranną ciszę przerwał dźwięk silnika. Nadjeżdżał samochód – niewielki biały volkswa-

gen, który wyjechał zza budynku Kapedimu, skręcił i przyspieszył. Rami przestała się uśmiechać.

– To oni!

Wielki futerał na gitarę nieco ją spowalniał, więc Jan go od niej przejął. Puścili się biegiem. Ścieżka skręcała w lewo, prowadząc wzdłuż małego strumyka. Asphalt i woda wiły się obok siebie przez kilkaset metrów. Przed nimi znajdował się wąski drewniany mostek.

– Tam! – zawołała Rami.

Po drugiej stronie kończył się las, zza którego wyłaniało się centrum miasta.

Jan nie musiał nic mówić – oboje z Rami popędzili na mostek i dalej, na drugą jego stronę. Biegła szybko. Była już w połowie drogi do drzew, gdy po drugiej stronie wody zahamował volkswagen. Jan poruszał się wolniej, miał zbyt wiele do dzwigania. Odwrócił głowę i zobaczył, jak zza kierownicy szybko wysiada Jörgen. Z drugiej strony wysiadła ta młoda dziewczyna, która wyglądała na mniej zdecydowaną.

Lękliwy wysadziłby mostek, ale Jan nie miał dynamitu.

Jörgen był już w połowie mostku, stawiał dwukrotnie dłuższe kroki niż Jan.

Koniec, nie uda im się. Jan wiedział to zresztą przez cały czas.

– Rami!

Nie zatrzymała się, lecz zwolniła kroku i popatrzyła na niego. Szczupła postać w porannym świetle, wielka miłość jego życia.

W płucach czuł ból. Brakowało mu sił, ale zrobił jeszcze dziesięć czy dwanaście długich kroków w jej stronę.

– Masz! – wydyszał, wręczając jej futerał. Włożył dłoń do kieszeni spodni i wyjął banknot pięćdziesięciokoronowy. I to... Uciekaj!

Rami pośpiesznie pochyliła się i przyciskając swój policzek do jego, szepnęła:

– Nie zapomnij o pakcie.

Następnie popędziła przez trawę, znikając w lesie napełniona nową energią. Futerał z gitarą zdawał się nic nie ważyć w jej dłoni. Jan pobiegł za nią jeszcze parę kroków, ale jego determinacja już osłabła. Po chwili dwie ręce chwyciły go za ramiona.

– Poddaj się!

To Jörgen. Nawet on był zmęczony po tym sprinterskim biegu. Jan słyszał to w jego oddechu. Uchwyt miał jednak mocny, więc Jan się nie przeciwstawił. Ruszyli z powrotem przez strumień i dalej do Kapedimu.

– Zabierzecie mnie teraz do Nory?

– Do Nory?

– Do tej celi w piwnicy, w której zamykacie ludzi?

– Nie. Unikniesz jej – odparł Jörgen. – Tam lądują tylko te osoby, które drapią i gryzą...

A ty przecież nikogo nie bijesz, prawda, Janie?

Jan pokręcił głową.

– Czy to ty waliłeś do drzwi? – zapytał Jörgen.

Jan skinął.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

Jörgen przyjrzał mu się uważnie.

– Chciałeś zostać złapany?

Nie odpowiedział.

Szli do samochodu, ale przez całą drogę Jan odwracał się do tyłu. Koleżanka Jörgena zniknęła w lesie.

Jörgen posadził Jana na tylnym siedzeniu volkswagena, po czym znowu przeszedł przez most i zawołał asystentkę.

W samochodzie było cicho. Jan słyszał tylko swój własny oddech.

Chciałeś zostać złapany? pomyślał. Chcesz, żeby Rami też złapali?

Po chwili zobaczył asystentkę wychodzącą z lasu. Kręciła głową, patrząc na Jörgena. Stali przez kilka minut przy moście, rozmawiając. Jan widział, że Jörgen wyjmuje telefon i z kimś rozmawia. Później oboje wrócili do samochodu.

– Jedziemy – powiedział Jörgen.

I tak też zrobili. Wrócili do Kapedimu. Do bezpiecznego miejsca po wewnętrznej stronie ogrodzenia.

Jan znów przebywał w ukryciu. Cieszył się z tego. Wiedział, że Rami była równie szczęśliwa, przebywając na wolności.

Oczekiwanie w ciemności, piętnaście lat po ucieczce z Kapedimu.

Jan jest sam, ale to nie potrwa już długo. Stoi w szpitalnej piwnicy, czekając na Rami. Do stał się w najdalszy zakątek pralni, do małego składziku ze starą windą towarową.

Jest za dwadzieścia dziesiąta w piątkowy wieczór. Jan powinien nadal być na górze, w przedszkolu – co obiecał Lilian – lecz mimo to opuścił punkt wartowniczy, aby przez schron przejść do podziemi. Zna już drogę. W pralni nie ma żywego ducha, tak jak to zapowiedział Legén. Niecodziennie wyglądają jedynie małe żółte lampki migające na ścianie, być może sygnalizujące zbliżające się ćwiczenia przeciwpożarowe.

Jan wyczekuje odgłosów kroków gdzieś za sobą lub śpiewów dochodzących z kaplicy. W podziemiach jednak panuje zupełna cisza. Jest tu tylko on, wkrótce dołączy do niego Rami. Przynajmniej taką ma nadzieję, a zamykając oczy, słyszy jej śpiew: „Ja i Jan, Jan i ja, każdej nocy, każdego dnia...”.

Stojąc przy windzie, mruga oczami i szczypie się, aby zachować czujność.

Kiedy pół godziny wcześniej Jan wiózł do Polany Lilian i trzech mężczyzn, w jego głowie głucho dudniły bębny.

Jednym z pasażerów był milczący brat Lilian. Pozostali się nie przedstawili, ale wyglądali na kilka lat młodszych od Lilian. Jan przypuszczał, że mogli być przyjaciółmi jej zaginionego brata Johna Daniela.

Tego wieczoru Hanna im nie towarzyszyła, przez co Lilian zdawała się jeszcze bardziej spięta. Jan zauważył, że się umalowała, używając do tego czerwonej szminki i ciemnego cienia do powiek. Widok był absurdalny. Dla kogo właściwie się upiększyła? Dla strażnika Carla czy dla Ivana Rössela?

Jan zaparkował w cieniu wielkiego dębu, w pewnej odległości od przedszkola, poza zasięgiem wszystkich szpitalnych kamer. Kiedy wysiedli, nikt się nie odzywał. Lilian zapaliła na ulicy ostatniego papierosa, po czym otworzyła drzwi i weszła do przedszkola. Jan i pozostali mężczyźni podążyli za nią.

Wkroczyli w ciemność, ale nie zapalili światła. Lilian odwróciła się do Jana.

– Zostaniesz tutaj, dobrze?

Przytaknął.

– Od razu dzwoń, jeśli ktoś będzie się zbliżał.

Jan znowu skinął, a Lilian uśmiechnęła się wymuszonym uśmiechem. Następnie wzięła z kuchni kartę magnetyczną, odblokowała wejście do piwnicy i zniknęła na schodach.

Trzej małomówni mężczyźni zeszli za nią, a Jan zamknął za nimi drzwi.

W pokoju odwiedzin cztery osoby mają spotkać się z Ivanem Rösselem. Kiedy Carl przyprowdzi go z zamkniętego oddziału, Rössel będzie w mniejszości. Jan ma nadzieję, że Lilian i jej rodzinie uda się nawiązać z nim kontakt, skłonić go do mówienia. On sam w żaden sposób nie może im w tym pomóc.

Powinien myśleć tylko o własnym spotkaniu.

Po wyjściu Lilian i jej towarzyszy Jan odczekał kwadrans w szatni przy drzwiach do piwnicy. Nie wydarzyło się absolutnie nic. Zbliżył się do okna, aby przyjrzeć się szpitalowi. Na górze paliły się światła, ale nie było widać żadnych ludzi. W końcu wszedł do kuchni i zabrał zapasową kartę. Otworzył wejście do piwnicy. Nadal paliło się tam światło.

Nadszedł czas.

*

Jan stoi nieruchomo w pralni, zastanawiając się, co ma powiedzieć Rami, kiedy otworzą się drzwiczki windy.

Cześć, Alice. Witaj poza Norą.

A później? Że myślał o niej przez wszystkie lata? Czy ma jej opowiedzieć, jak się w niej zakochał już w pierwszych dniach pobytu w Kapedimie? Że mimo to tak bardzo bał się świata zewnętrznego, że tamtego ranka, kiedy uciekali, zdecydował się pomóc personelowi w ich zatrzymaniu?

Jana złapano, ale Rami zbiegła. Musiało się jej udać pojechać pociągiem do Sztokholmu do siostry, gdyż nie wróciła przez cały tydzień, który Jan jeszcze spędził w klinice. Nikt też o niej nie rozmawiał – przestała być problemem pracowników.

Tydzień po próbie ucieczki Jan został wypisany z oddziału. W tym czasie nie rozmawiał ze swoim psychologiem, mimo to Tony uznał go za zdrowego. Tak ni stąd, ni zowąd.

– Wracasz do domu – tylko tyle usłyszał od Jörgena, który otworzył drzwi do jego pokoju.

Pozostało się spakować. Zabrać ubrania i dziennik, który podarowała mu Rami, oraz rozpoczęty komiks o Lękliwym. Perkusję musiał oczywiście odstawić do magazynku, ale zabrał pałeczki. Z Kapedimu wyszedł ze swą małą walizką w dłoni. Odebrał go ojciec, który nawet się nie uśmiechnął.

– Rozebrali cię na czynniki pierwsze, co? – zapytał tylko.

Jan nie odpowiedział. Do domu wracali w milczeniu.

W następny poniedziałek wrócił do szkoły. W nocy prawie nie spał. Leżał i myślał o szkolnych korytarzach i Bandzie Czterech, a samego siebie widział jako małą myszkę biegnącą wzdłuż ścian.

Do szkoły poszedł sam, tak samo jak wcześniej. Wciąż nie miał przyjaciół. Nie miało to znaczenia. Koledzy z klasy gapili się na niego, ale nikt nie zapytał, jak się czuł ani gdzie się podziewał przez ostatnie tygodnie. Może wszyscy wiedzieli. To także nie miało znaczenia.

Prędzej czy później Jan spotka na korytarzu Bandę Czterech, doskonale zdawał sobie z tego sprawę. W jakiś sposób jednak jego strach zniknął. Była wiosna, koniec kwietnia i zaledwie kilka tygodni do zakończenia roku szkolnego. Jan żył z dnia na dzień. Wieczorami cicho i dla samego siebie wybijał rytm, uderzając pałeczkami o książkę telefoniczną, albo rysował komiks o Lękliwym.

Rami nie dawała znaku życia – żadnych telefonów ani pocztówek ze Sztokholmu.

Ostatni tydzień maja był tradycyjnie już tygodniem sportu. Dziewiąte klasy udawały się wówczas na wycieczki i rajdy. Kiedy w czwartek tego tygodnia Jan wszedł do szkoły, zobaczył w korytarzu tłoczących się w małych grupkach uczniów. Słyszał ich ściszone roz-

mowy o czymś okropnym, o s z a l e ń c z y m c z y n i e.

– To prawda? – pytali ludzie. – Czy to aby na pewno p r a w d a ?

Z Janem nikt nie rozmawiał, a jednak zrozumiał, że coś stało się w lesie za miastem. Ktoś zginął. Został zabity.

W końcu jeden z nauczycieli opowiedział klasie o morderstwie dokonanym na dwóch uczniach dziewiątej klasy. Później pojawiły się kolejne plotki i artykuły w gazetach o s z a l e ń c z y m c z y n i e. Temat roztrząsano aż do wakacji.

Jan przyjął wszystkie zdarzenia ze swego rodzaju mrocznym zdziwieniem. Zdziwieniem, że Banda Czterech została niemal unicestwiona, że została tylko Torgny Fridman.

P a k t. Rami jakoś wypełniła swoją część.

Jan jednak więcej już o niej nie słyszał. Aż w końcu pięć lat później zobaczył nazwisko RAMI na wystawie jedynego sklepu muzycznego w Nordbro. Był to jej debiutancki album, który właśnie nagrała. Jan wszedł do sklepu, aby kupić płytę. Na obwolucie zobaczył, że jedna z piosenek zatytułowana była *Jan i ja*.

Był to znak od Rami – nie mogło być inaczej.

Wtedy Jan zaczął też pracować w świetlicy Ryś, a jesienią, kiedy ujrzał panią psycholog Emmę Halevi idącą ze swym synkiem Williamem w kierunku przedszkola, pierwszą jego myślą był Kapedim i Psychopapla.

Zaraz potem pomyślał o pakcie.

Wspomnienia sprzed lat uświadamiają Janowi jedną rzecz: że przez całą jesień ani razu nie zastanowił się, dlaczego Rami została zamknięta w Świętym Psycholu.

Co takiego zrobiła, aby tu trafić, i to na oddział zamknięty? Nie wie tego i nie chce o tym teraz myśleć. Może tylko na nią czekać tu w piwnicy.

Ciszę przerywa wyjący dźwięk. Do szpitala zbliżają się odgłosy syren. Dochodzą z drogi, wzmagając się i przenikając przez grube ściany.

Wozy strażackie?

W tej chwili Jan zauważa, że na ścianie zapala się kolejna lampka: czerwony punkcik, migający w ciemności poniżej żółtych. Jakiś alarm?

Spogląda na zegarek. Za piętnaście dziesiąta. Wygląda na to, że ćwiczenia rozpoczęto za wcześnie.

Nagle w kieszeni zaczyna dzwonić mu telefon. Jan aż podskakuje, ale szybko odbiera.

– Halo? – odzywa się cicho, spodziewając się Lilian. Co ma jej powiedzieć?

Słyszy jednak inny kobiecy głos, brzmiący niespokojnie:

– Cześć, Janie... – mówi Marie-Louise.

– Witaj, Marie-Louise – odpowiada szefowej Jan, chwytając mocniej słuchawkę. – Wszystko w porządku?

– Niezupełnie... Coś się stało. Obdzwaniam wszystkich dzisiaj wieczorem, ale prawie nikt nie odbiera... Widziałeś może Leo? Leo Lundberga z naszego przedszkola?

– Nie... a dlaczego?

– Leo uciekł od swojej nowej rodziny – wyjaśnia Marie-Louise. – Bawił się na podwórku u swoich zastępczych rodziców... Kiedy po zmroku wyszli po niego na zewnątrz, nigdzie go

nie było.

Jan słucha, nie wiedząc, co powiedzieć. Ciężko mu w tej chwili myśleć o przedszkolakach, ale przecież musi się odezwać.

– Bardzo lubię Leo... – stwierdza.

Marie-Louise milczy, jakby nie rozumiała.

– Najważniejsze, żeby go znaleźć – odpowiada w końcu. – Gdzie jesteś, Janie? W domu?

Jan czuje się zdemaskowany. Jeszcze bardziej ścisza głos:

– Tak, jestem w domu.

– W porządku, ty więc już wiesz, co się stało. Policja także go szuka. Odezwij się do nich lub do mnie, jeśli... jeśli coś zobaczysz.

– Oczywiście. Odezwę się.

Jan kończy rozmowę. Nareszcie może się odprężyć. Myśli o tym, co przeżywa teraz Leo. Niedobrze, że uciekł, ale policja już działa, więc Jan nic nie może zrobić. Może tylko zostać tu, gdzie jest, ze względu na Rami.

Zaledwie kilka minut później jego uszu dobiega inny dźwięk: głuchy trzask w podziemiach, który staje się coraz głośniejszy. Dochodzi z szybu windy towarowej.

Puls mu przyśpiesza. Jan robi dwa kroki w kierunku szerokiego otworu w ścianie. Drzwiczki się nie poruszają, ale wokół robi się coraz głośniejsze. Winda jedzie na dół. Zatrzymuje się za włazem. W pomieszczeniu słychać cichy, głuchy odgłos, po którym zalega cisza – następnie drzwiczki zaczynają z wolna się podnosić. W windzie ktoś jest. Ktoś, kto chce się z niej wydostać.

Serce Jana wali teraz jak oszalałe, podchodzi jeszcze bliżej.

– Jesteś na miejscu – mówi Jan. – Witaj...

Widzi pojawiające się ramię, a później ubraną w dżinsy nogę. Nie poruszają się jednak. Ręka i noga zwisają nad podłogą, bez życia.

– Rami?

Jan robi ostatni krok w stronę windy i wyciąga dłoń – lecz nagle wszystko zaczyna działać bardzo szybko. Kłapa otwiera się z głośnym hukiem, a Jan nie zdąża się uchylić. Drzwiczki łądują mu na klatce piersiowej, wywołując piekielny ból. Jan się kuli.

Słychać syk, powietrze staje się białe. Nagle Jan traci oddech. Zamyka oczy, kaszle i leci w tył, nogi mu się uginają i uderza plecami o podłogę.

Gaz łąwający. Ktoś użył przeciwko niemu gazu łąwającego.

Z windy towarowej wypchnięte zostaje ciało, ciężkie i pozbawione życia, które łąduje obok niego jak worek ziemi. Jan mruga łąwającymi oczami, starając się coś dostrzec. Widzi obok siebie ciało i otwarte szeroko oczy.

Mężczyzna. Strażnik. Na jego szyi widać szeroką szczelinę – podcięto mu gardło.

Jan dotyka rany, ciepła krew ścieka mu na dłońce.

W tej chwili poznaje strażnika. To Carl – perkusista Bohemos i osoba towarzysząca Ivanowi Rösselowi. Umiera?

– Carl?

Albo już umarł. Nie daje znaku życia, a rana na jego szyi krwawi obficie. Krew spłynęła mu na koszulkę, tworząc ciemną plamę. Jan mruga, starając się osłabić działanie gazu łąwające-

go. Jak za mgłą widzi, że coś porusza się w otworze windy. Cień.

W windzie towarowej znajduje się jeszcze jedna osoba. Ktoś wcisnął się do jej wnętrza i zjechał na dół wraz z umierającym opiekunem.

Cień wślizguje się do pomieszczenia i staje wyprostowany. Wysoka postać ubrana w szpitalny strój – szarą bluzę i bawełniane spodnie oraz białe sportowe buty.

Pacjent.

Nie jest to jednak Alice Rami. Ta osoba jest za wysoka i za dobrze zbudowana, a włosy ma zbyt ciemne.

To mężczyzna.

Pochyla się nad Janem przygniecionym na podłodze, roztaczając wokół zapach dymu, gazu łzawiącego i czegoś jeszcze – rozpałki lub benzyny.

Nagle mężczyzna wykonuje szybki ruch w stronę Jana, wykręca mu rękę i pociąga je.

– Odupuść – mówi cicho.

Jan nie może poruszyć ramionami. Nadgarstki owinięto mu taśmą, unieruchamiając je.

Mężczyzna wkłada pojemnik z gazem do kieszeni i podnosi Jana z betonowej podłogi. Jan wciąż widzi jego twarz przez mgłę, ale dostrzega, że mężczyzna jest uzbrojony nie tylko w gaz. W prawej dłoni trzyma krótki nóż.

Nie, to nie nóż. To żyletka z zaplamionym ostrzem.

– Wiem, kim jesteś – mówi mężczyzna. – Słyszałem, jak do mnie mówiłeś. – Głos ma zachrypnięty, lecz wyraźny. Jego dłonie poruszają się szybko i niespokojnie, pociągając Jana. – Pomożesz mi się wydostać.

Jan nie przestaje mrugać.

– Kim jesteś?

Mężczyzna przysuwa lewą dłoń do swej brody. Słysząc ciche kliknięcie.

– Patrz!

W ciemności rozbłyskuje biała żaróweczka, oświetlając mu twarz – w tej chwili Jan go rozpoznaje. To Ivan Rössel, trzymający w dłoni anioła. Jest teraz o wiele starszy niż na zdjęciach w gazetach, jego podłużną twarz przecinają ciemne zmarszczki. Kręcone włosy sięgają mu do ramion i mają teraz ciemnoszarą barwę.

Jan kaszle i mruga.

– Rami... – mówi szeptem i spogląda na anioła. – Dałem to Alice Rami.

– Dałeś to mnie – odpowiada Rössel.

– Rami miała tu do mnie zjechać i...

– Dzisiaj wieczorem nikt więcej się tu nie zjawi – przerywa mu Rössel. – Jesteśmy tylko ty i ja. – Popycha Jana, zbliżając żyletkę do jego szyi. – Chodź, kolego. Idziemy stąd... A to ukryjemy w windzie. – Wskazuje ciało Carla. – Chwyć go za ramiona!

Po kolejnym pchnięciu Jan zaczyna się poruszać jak we śnie. Wyciąga przed siebie swe związane dłonie i łapie ciało martwego strażnika. Podnosi je, kieruje się z nim z powrotem do windy.

– Wepchnij go.

Jan pochyla się i walczy z ciężkim ciałem. Pozbawione życia ręce, zwisające nogi. Wszystko ma znaleźć się w środku. Widzi pasek Carla. Uchwyt na gaz łzawiący jest pusty, ale obok

znajdują się białe plastikowe paski. Smycze przygotowane do związania czyichś nadgarstków.

Jan wyciąga ręce i wpycha ciało do windy, odczepiając jednocześnie od paska strażnika dwie plastikowe tasiemki. Szybko chowa je pod swetrem. Następnie robi krok w tył, a Rössel zamyka klapę.

– Chodź – mówi Ivan.

Jan nic nie może zrobić, bo napastnik prowadzi go przed sobą. Opuszczają pralnię, przechodzą przez szpitalne sale. Nie może się zatrzymać, co chwilę czuje na plecach kolejne popchnięcia, a kiedy tylko Rössel ruszy prawą ręką, ostrze żyłki dotyka szyi Jana, który brnie pod przymusem przez podziemia jak lunatyk. Szczypią go oczy, dłonie ma we krwi.

Co się dzieje? Co właściwie się stało?

Ivan Rössel siedział w ciasnej windzie razem z Carlem. Carl nie żyje, Rössel poderzwał mu gardło.

A Rami? To ona miała zjawić się na dole, ale...

– Żebyś tylko nie zablądził – odzywa się Rössel, kiedy wchodzi w jedno z drzwi. – Jeśli nie znasz drogi, szukaj kawałków papieru.

Jan jednak zna drogę. Wędrują przez podziemne korytarze, nie spotykając nikogo. Później prosto przez schron i dalej do oświetlonego przez świetlówki łącznika, prowadzącego do przedszkola.

Jan zatrzymuje się przy drzwiach windy. Odwraca głowę.

– Czekają na ciebie tam na górze – mówi. – Pewnie wiesz? Rodzina... Chcą z tobą porozmawiać o swoim zaginionym bliskim. O Johnie Danielu...

Rössel potrząsa głową.

– Oni nie chcą rozmawiać – odpowiada. – Zabiliby mnie tam, taki mieli plan. Carl mnie im sprzedał.

– Nie, oni chcą tylko wiedzieć, gdzie...

– Chcą mnie zamordować, wiem to. – Rössel znowu go popycha, odpędzając od windy, w stronę schodów prowadzących do Polany. – Ufam teraz tylko tobie, kolego. Musimy stąd wyjść. – Głos Rössela wciąż brzmi spokojnie i wyraźnie. Głos nauczyciela, przystosowany do dawania wskazówek i wyjaśniania.

Ivan pcha Jana w górę schodów, pod drzwi Polany.

– Otwórz je.

Jan waha się, ale wyjmuje kartę i wykonuje polecenie.

Rössel popycha drzwi i prowadzi ich przez przedszkole – mijają szafki pracowników, gdzie leżą schowane ilustrowane książeczki Rami. I dziennik Jana. Tego wieczoru miał jej wszystko to pokazać, tak tęsknił do tej chwili.

Na haczyku wiszą ubrania pozostawione przez Andreasa, kurtka przeciwdeszczowa i czapka z daszkiem. Rössel ubiera się w nie. Następnie otwiera drzwi wyjściowe, wyprowadzając Jana na podwórko. Nocne powietrze jest zimne, zimniejsze, niż Jan je zapamiętał. Sprawia ono jednak, że oczy już go tak nie pieką. Mruga, tak że spod powiek wydostaje się kilka łez, i rozgląda się wokoło. W oddali na szpitalnym parkingu migają czerwone i niebieskie światła. Wozy policyjne, strażackie, karetki. Ćwiczenia przeciwpożarowe rozpoczęte – o ile to

wciąż tylko ćwiczenia. Przecież Rössel śmierdzi dymem.

Rössel nie zatrzymuje się, nawet nie spogląda w tamtym kierunku.

– Masz samochód? – pyta.

Jan potwierdza skinieniem. Auto stoi zaparkowane w zasięgu wzroku, niezamknięte.

– No to idziemy.

Dotarli do volvo, Rössel obmacuje spodnie Jana i wyjmuje telefon, który od razu znika w kieszeni kurtki przeciwdeszczowej. Następnie wykonuje jeszcze jeden ruch – cięcie żyłką. Jan może poruszać rękami.

– Do samochodu, kolego!

Rössel otwiera drzwi od strony kierowcy, wpycha Jana za kierownicę, a na siedzenie obok rzuca anioła, po czym zamyka drzwi. Następnie otwierają się tylne drzwi, Rössel siada za Janem. Smród unoszący się nad nim – mieszanina dymu, benzyny i gazu łzawiącego – wewnątrz auta staje się bardzo ostry.

– Jedź! – nakazuje.

Rami... myśli Jan, widząc swe dłonie na kierownicy. Otwiera usta.

– Nie mogę prowadzić. Nic nie widzę.

– Widzisz drogę – odpowiada Rössel. – Oddal się od szpitala. Wystarczy, że będziesz jechał prosto, aż się odezwę.

Jan podejmuje ostatnią próbę, aby zrozumieć, co zaszło.

– Gdzie jest Rami?

– Zapomnij o niej – mówi Rössel. – W szpitalu nie ma żadnej Rami... To ze mną rozmawiałeś. Cały czas.

– Ale Rami musiała...

Rössel przyciska żyłkę do jego krtani. Ostrze drży mu w dłoni.

– Jedź, no już! – krzyczy. – W przeciwnym razie skończysz jak Carl... Od ucha do ucha.

Jan nie mówi już ani słowa. Odpala silnik i wciska pedał gazu. Rössel trzyma żyłkę poniżej jego zuchwy. Pod wpływem groźby Jan oddala się od Świętej Patrycji, od muru i przedszkola. Od szansy, aby kiedykolwiek mógł jeszcze zobaczyć Rami.

Oddala się od świateł miasta, kierując się w ciemność.

Jan wiezie przez noc mordercę. Mordercę, który przykłada mu do szyi żyłkę, a jednocześnie troszczy się o niego. Rössel wyciąga rękę i podkreca ogrzewanie, po czym pyta:

– Nie za gorąco?

– Nie.

W samochodzie słychać szum dmuchawy, usypiający dźwięk. Na ulicach panuje zimowa aura, ale w aucie jest ciepło jak w lecie. Rössel wciąż trzyma ostrze.

– Skręć tutaj! – mówi na jednym ze skrzyżowań.

Jan zakręca w prawo. Oczy wciąż go boją, ale wzrok powoli się mu poprawia. Na ulicach nie ma wielu samochodów, mijają zaledwie parę taksówek.

– Jedź dalej prosto! – rozkazuje Rössel.

Oddalają się od centrum, jadąc przez wyludniony teren przemysłowy. Jan nie myśli, po prostu jedzie, aż w końcu docierają do autostrady prowadzącej do Göteborga. Tu także jest pusto.

– Przyśpiesz – mówi Rössel.

Mija ich z hukiem wielka ciężarówka, wyjeżdżająca z miasta. Po obu stronach drogi między drzewami przebliskują światła gospodarstw – lecz są to jedyne tego wieczoru ślady obecności ludzi. Jest piątek, ludzie są w domach. Autostrada jest pusta.

– No to jesteśmy poza miastem – odzywa się Rössel. – Na pustkowiu.

Jan nie odpowiada. Na autostradzie utrzymuje stałą prędkość, ale po dziesięciu minutach Rössel pochyla się do przodu z nowym poleceniem:

– Zjedź tam!

Zjazd prowadzi na parking, oświetlony dwiema lampami przy wjeździe i dwiema przy wyjeździe. Nie ma tu innych samochodów. Jan skręca i od razu hamuje – chce zatrzymać samochód jak najbliżej latarni, a Rössel nie protestuje.

– Zgaś silnik – mówi tylko.

Jan wykonuje polecenie, na parkingu zapada kompletna cisza. Słyszy, jak Rössel wdycha głęboko, po czym mówi:

– Zapach zniknął... Zapach szpitala.

Jan wciąż jednak czuje kwaśny smród gazu i benzyny, unoszący się z jego ubrań.

– Co się wydarzyło w szpitalu? – pyta.

Rössel wciąga powietrze.

– Wybuchł prawdziwy pożar – mówi. – Przemyciłem rozpuszczalnik, używany przy malowaniu, i zapalniczkę. Wylałem wszystko na korytarzu i podpaliłem.

Żyłka oddala się kilka centymetrów w chwili, kiedy Rössel odpowiada, więc Jan zadaje kolejne pytanie:

– I co było dalej?

– Oczywiście chaos. Już nie było mowy o ćwiczeniach. Kiedy coś idzie nie tak, jak powinno, zawsze powstaje chaos. Ja jednak zachowałem spokój i poszedłem do magazynku. Był otwarty, wystarczyło tylko wejść do środka... Ale w ostatniej chwili musiałem nieco zmienić

plany. – Wzdycha. – Ktoś spróbował mnie zatrzymać.

– Carl – wtrąca się Jan.

– Wiem – odpowiada Rössel. – Imię nie jest mu teraz potrzebne.

Jan milknie. Dociera do niego, że Rössel ani razu nie wymienił też jego imienia. Ivan znowu wzdycha, poruszając się na siedzeniu.

– Koniec z zapachem. W szpitalu czuć samotność... Długie korytarze samotności, jak w klasztorze. – Pochyla się do przodu. – A ty, kolego? Ty też jesteś samotny?

Jan spogląda na pusty parking. Powstrzymuje odruch, aby pokręcić głową – żyletka Rösse-la jest znowu zbyt blisko jego szyi.

– Czasami.

– Tylko czasami?

– Nie... Często. – Jan może odpowiedzieć cokolwiek, a jednak mówi prawdę.

Rössel zdaje się usatysfakcjonowany odpowiedzią.

– Tak myślałem... Czuć od ciebie samotność.

Jan ostrożnie odwraca głowę. Żadnych gwałtownych ruchów.

– Dzisiaj czekałem na kogoś – mówi. – Nazywa się Rami... Alice Rami.

– W klinice nie ma żadnej Rami.

– Bo tam nazywa siebie Blanker... Maria Blanker, czwarte piętro.

Rössel nerwowo porusza się na tylnym siedzeniu.

– Nic nie wiesz – mówi. – Maria Blanker to nie Rami. To jej siostra. Siedzi na trzecim piętrze.

– Siostra Rami?

– Wiem wszystko – mówi Rössel. Jego głos brzmi niezwykle pewnie. – Słucham, czytam listy, układam tę układankę... Wiem wszystko o wszystkich.

– Pisałem listy do Marii Blanker – mówi Jan. – A ona odpowiadała.

– Kto wie, gdzie lądują listy? – odpowiada Rössel. – Ty pisałeś listy, ale pisałeś je do mnie. Dawałem Carlowi trochę kasy, a on pozwalał mi je czytać, więc czytałem... A twój był inny, zaciekał mnie. To ja odpowiedziałem, informując, że mój pokój jest na czwartym piętrze. W mojej skrzynce zostawiłeś ten mały odbiornik i wzywałeś wiewiórkę. A ja udzielałem odpowiedzi za pomocą lampy... Pstryk, pstryk. Pamiętasz?

Pamięta. Słowa Rösse-la zaczynają do niego docierać. T o n i e R a m i. Tylko Rössel, przez cały czas. O czym pisał w listach? Co powiedział przez anioła?

W s z y s t k o. Myśląc, że rozmawia z Rami, opowiadał o wszystkim. Miał jej tak wiele do powiedzenia.

– No to koniec – mówi.

Jest zmęczony, czuje pustkę. Nie porusza się jednak – żyletka Rösse-la wciąż znajduje się blisko skóry pod prawym uchem.

– To wcale nie koniec – odpowiada Rössel. – Jest dalszy ciąg.

Nagle opuszcza lewą rękę. Żyletka znika Janowi z pola widzenia. Słyszy, jak Rössel wypuszcza powietrze, po czym odzywa się cicho, jakby sam do siebie:

– To uczucie w tej chwili, szeroka droga prowadząca w ciemność... Uczucie wolności. Przez pięć lat miałem wokół siebie ściany i mury. A teraz wszystko to zostawiłem.

Jan leciutko przekręca głowę.

– A co ze wszystkimi, którzy pisali do ciebie listy... Ich także zostawiłeś?

– Oczywiście.

– Hannę Aronsson również?

– Tak, Hanna... – mówi z zadowoleniem Rössel. – Nie ma jej tu, prawda? Jest dzisiaj zupełnie gdzie indziej.

Jan już rozumie. Rössel wszystkich oszukał. Jest psychopatą, pozbawionym wyrzutów sumienia, jak powiedziała kiedyś Lilian. Jego siłą napędową jest bycie w centrum uwagi.

Jan próbuje wyobrazić sobie Rössela w roli nauczyciela. Jego miękki głos musiał wzbudzać zaufanie w szkolnych salach. I nie tylko tam – wrażenie godnego zaufania z pewnością robił na wielu osobach napotkanych na ulicy, na drodze, na kempingu. Zupełnie niegroźnego.

Cześć, jestem Ivan. Jestem nauczycielem na wakacjach... Czy mógłbyś pomóc mi wnieść ten stół do przyczepy? Ten, który stoi o tam, nieco dalej. O właśnie, stolik kawowy, byłoby świetnie, jeśliśmy go wnieśli... Wiem, kolego, że jest późno, ale może skusisz się na filiżankę kawy, kiedy skończymy? No chyba że masz ochotę na coś mocniejszego? Mam piwo i wino... Pewnie, wchodź pierwszy. Uważaj, strasznie tam ciemno, ledwo coś widać. Dobrze, idź prosto...

Mimo ciepła panującego w aucie, Jana przechodzi dreszcz. Rössel porusza się na tylnym siedzeniu. Jan słyszy jego głos blisko swojego ucha:

– Niedługo ruszamy, teraz, kiedy droga jest tak szeroka... Pojedziemy we wspólną podróż.

Janowi przychodzi do głowy tylko jedna myśl, którą w końcu postanawia wypowiedzieć:

– Powinniśmy jechać z powrotem do szpitala.

– Niby dlaczego?

– Bo... bo ludzie tam będą się denerwować, że chodzisz po ulicach.

Rössel wydaje z siebie dźwięk, który jest kaszlem lub rechotem.

– Mają teraz na głowie inne sprawy. – Robi pauzę, po czym mówi dalej: – Ale to jest właśnie to, o czym mówię: wolność wyboru drogi. Mam tu coś do zrobienia. Chcę pisać książki, wyznać grzechy... Obiecałem pokazać, gdzie został ukryty pewien zaginiony chłopak, przecież wiesz? To chyba byłby dobry uczynek?

– Tak – odpowiada Jan. – To byłoby coś dobrego.

– Albo też... – kontynuuje Rössel – ...albo też możemy robić inne rzeczy. Rzeczy, o których nikt nie chce rozmawiać. Rzeczy, o których ty ciągle myślisz.

Janowi zaschło w ustach. Słuchając miękkiego głosu, czuje, jak słowa Rössela wpełzają do jego wnętrza. W końcu jednak odwraca głowę do tyłu.

– Nie znasz mnie.

– Mylisz się. Znam cię. Wszystko mi opowiedziałeś. I dobrze... Miło jest pozbyć się tajemnic.

– Ja nie...

– Musisz więc teraz wybrać – Rössel mu przerywa.

– Co wybrać?

– No, przecież chcesz coś zrobić, czyż nie?

– Ale co?

– Urzeczywistnić fantazje – odpowiada Rössel. Wskazując anioła leżącego na przednim siedzeniu, kontynuuje: – Słyszałem dzięki niemu o twoich marzeniach... Ktoś bardzo cię skrzywdził, kiedy byłeś mały. Od tamtej pory marzysz o zemście.

Wpatrując się w pustą drogę, Jan słyszy słowa Rössela wypowiedane mu do ucha:

– Jeśli musiałbyś wybrać między dobrem a złem... między uratowaniem rodziny a pomszczeniem zadanej ci rany, co byś wybrał?

Jan nie odpowiada. Czuje chłód i napierającą ciemność.

– To okazja popycha do zemsty – ciągnie Rössel. – Ale zanim nadarzy się okazja, muszą powstać fantazje... takie jak twoje.

– Nie.

– Ależ tak. Marzysz o zamknięciu kogoś. O zamknięciu małego chłopca.

Jan szybko potrząsa głową, ale nic nie odpowiada. Ciemność staje się kompletna, a droga i noc kuszą.

– Nie chłopca – mówi.

– Chłopca – upiera się Rössel. – To wyobrazenie rozgrywa się w głowie jak film, czyż nie? Mamy swoje ulubione fantazje.

Jan kiwa głową, on wie.

– Fantazje są jak narkotyki – kontynuuje Rössel cichym głosem. – Fantazje są narkotykiem. Im więcej człowiek sobie wyobraża, tym stają się one wyraźniejsze. Człowiek ma ochotę zrobić komuś krzywdę. Odprawić rytuał zła. I nie może pozbyć się tych myśli, dopóki czegoś z nimi nie zrobi. – Rössel znowu pochyla się do przodu. – Co byś wybrał? – pyta. – Czynienie zła czy dobra?

Wybrać? Jan opuszcza wzrok.

– Ja nie potrafię wybrać.

– Ale musisz – mówi Rössel. – Pojednanie czy zemsta? Spójrz na drogę, wkrótce dotrzesz na rozstaje... Musisz dokonać wyboru.

Jan mruga. Patrzy na ciemną drogę. Zamyka oczy.

Dokonaj wyboru, teraz, myśli.

Jan niemal nie musi naciskać pedału gazu ani trzymać kierownicy, gdyż volvo i tak porusza się posłusznie. Sunie naprzód, przemierzając grzbiet czarnej fali. Oddalają się od Świętego Psychola. Na wschód szerokimi drogami.

On i Łękliwy przejeżdżają obok szwedzkich miejscowości, których nazwy brzmią jak elementy dziecięcej wylczanki: Vara, Skara, Hova, Kumla i Arboga. Świerkowy las gęstnieje wzdłuż drogi.

W trakcie podróży Jan opowiada Łękliwemu o zemście na Bandzie Czterech. Wydaje mu się, że już wie, jak przebiegała:

– Było wczesne lato przed piętnastoma laty... Wyciągnąłeś swoją przyczepę kempingową i jeździłeś po lasach, kierując się w głąb kraju. Szukałeś odpowiedniego miejsca... Miejsca odosobnionego, jak zwykle. I nagle przybyłeś nad jezioro ukryte głęboko w lesie. Jedynym znakiem ludzkiej obecności był mały namiot po drugiej stronie jeziora. Rozstawiłeś przyczepę, wybrałeś się na przechadzkę, aby poznać okolicę, po czym wróciłeś do swej przyczepy. Być może trochę wypiełeś, zanim zapadł zmierzch. Później wypiełeś jeszcze trochę... i wreszcie zaciękało cię, kto właściwie mieszka w tamtym namiocie. Poszedłeś więc tam. Okazało się, że trzech chłopaków świętowało zakończenie szkoły. Próbując nawiązać z nimi kontakt, powiedziałeś, że sam jesteś nauczycielem. Śmiali się z ciebie, nazwali pedofilem. Poczłapałeś więc z powrotem do swojej przyczepy i wypiełeś jeszcze więcej. Leżąc na łóżku, myślałeś o chłopakach. Na zewnątrz zapadała ciemność. Po północy znów udałeś się na miejsce, gdzie mieli rozbity namiot, ale tym razem wzięłeś ze sobą nóż...

Łękliwy milczy. Słucha opowieści Jana o swoim ataku na dwóch chłopców, o tym, jak trzeci z nich próbował uciekać wzdłuż leśnej drogi, i o tym, jak Łękliwy wziął samochód i ostatecznie go dogonił.

– Nie pamiętam tego – mówi Łękliwy. – Być może rzeczywiście tak było.

– Tak. – Jan kiwa głową jakby sam do siebie. – Został jeszcze jeden.

– Został – odpowiada Łękliwy, unosząc żyletkę. – Na razie.

Jan jedzie wciąż dalej i dalej. Zatrzymują się dopiero pod Nordbro. Wówczas zjeżdża na parking i gasi silnik. Tam śpią w samochodzie przez kilka godzin. Nikt im nie przeszkadza.

Światło powoli wyłania się znad horyzontu. Wstaje świt, który zamienia się w poranek.

Jan otwiera oczy, siedząc za kierownicą. Budzi Łękliwego i zapala silnik.

O pół do dziesiątej docierają do rodzinnego miasta Jana. Ulice są zimne i puste. Jest sobota rano.

Samochód sunie w stronę centrum. W końcu Jan zwalnia i przy tablicy z napisem PÓL-NOC skręca w lewo. Wie, dokąd jechać. Kręci kierownicą, a samochód jedzie przez miasto jak po szynach. Nikt nie może ich teraz zatrzymać.

Dojeżdżają na miejsce. Na tabliczce widnieje napis: UWAGA! DZIECI! Jest to zwykła ulica willowa, przy której mieszka wróg Jana wraz z żoną i synkiem. Dom z cegły, numer siedem. Brązowa skrzynka, jak wszystkie pozostałe.

Jan skręca i zatrzymuje auto po drugiej stronie ulicy. Stąd przez kuchenne okno widać wnętrze domu numer siedem. W środku świeci się światło, ale jedyną osobą, którą można dostrzec, jest kobieta w szlafroku. Siedzi przy kuchennym stole z pochyloną głową.

Żona Torgny'ego Fridmana nie wie nic o fantazjach. Je swoje śniadanie, sama.

– Minęliśmy się z nim – mówi Lękliwy.

Jan znowu zapala silnik, by tym razem podążyć za tabliczkami kierującymi do centrum. W głowie słyszy dudnienie bębnow.

Parkują na ulicy będącej przecznicą do tej, przy której stoi sklep żelazny Fridmana. Jan robi wszystko, jak należy. Opłaca parking w automacie, poprawia kurtkę i włosy, aby schludnie wyglądać.

Lękliwy naciąga czapkę na czoło i wyciąga dłoni.

– Daj mi kluczyki... Na wypadek, gdybyśmy musieli szybko wiać.

Jan wręcza mu kluczyki do samochodu. Razem idą zatłoczoną ulicą, skręcając za róg i wchodzą do sklepu żelaznego. W tym momencie nad drzwiami odzywa się radosny dźwięk dzwonka, ale nikt nie odwraca się w ich stronę. Jest jeszcze wcześniej, a w sklepie znajduje się tylko jeden klient.

I jeden sprzedawca. Torgny Fridman stoi za ladą, pokazując klientowi różnego rodzaju grabie do liści. Wykonuje nimi śmieszne ruchy, demonstrując, jak ich używać.

Jan po cichu skręca w prawo, w stronę większych narzędzi ze stali i żelaza. Broń, wszystkie są bronią. Kątem oka zauważa, że Lękliwy zmierza dalej, kierując się ku nożom myśliwskim.

Na stojaku znajduje się jeszcze siedem wielkich siekier o trzonku długim na niemal metr. Jan wyciąga rękę i podnosi jedną z nich. Czuje ciężar stali.

Ostatnia bitwa przeciw Bandzie Czterech rozegrała się w jego głowie wiele razy, jednak to Lękliwy zawsze odgrywał główną rolę. Aż do teraz.

Jan podchodzi do lady z siekierą i czeka spokojnie, aż starszy klient zapłaci za swe grabie i wyjdzie. Trwa to krótka chwila. W końcu staje wreszcie przed Torgnym, trzymając w dłoni siekierę. Torgny uśmiecha się lekko jak do każdego innego klienta. Jan nie odwzajemnia uśmiechu. Zbyt często w swoim życiu płaszczyl się przed Torgnym.

– Wybrałem tę – mówi tylko, kładąc siekierę na ladzie.

Torgny kiwa głową.

– Dobry wybór – przyznaje. – Nadszedł czas na rąbanie drewna przed zimą? – Nie zdąża powiedzieć więcej, gdyż nagle za plecami Jana rozlega się tupot małych stópek. Dziecięcych bucików.

– Tatusiu! Skończyłem kotki, tatusiu!

Jan odwraca głowę i widzi małego chłopca, synka Torgny'ego, który pędzi, trzymając w dłoni książeczkę do kolorowania.

– Dobrze, Filipku – odpowiada Torgny. – Tatuś za chwilę przyjdzie! – Znowu kiwa głową do Jana, zadając zwyczajowe pytanie przy kasie: – To wszystko?

– Nie. – Jan kładzie rękę na siekierze. – Nie pamiętasz mnie?

Torgny wygląda niepewnie.

– Chyba nie... – zaczyna, lecz Jan mu przerywa:

– Jan Hauger.

Torgny kręci głową.

– To będzie trzysta dziewięćdziesiąt dziewięć koron.

Wyjmuje reklamówkę, aby zapakować siekiere, ale Jan trzyma ją wciąż na ladzie.

– Wołałbym umrzeć, niż znowu na was trafić.

W miarę jak Jan mówi, z twarzy Torgny’ego opada maska. Znika oblicze właściciela sklepu. Pozostały już tylko zmieszanie i niepokój. Jan chce przywołać piętnastoletniego Torgny’ego, dręczyciela, który wciąż musi być gdzieś w jego pamięci. Trzymając dłoń na siekierze, mówi dalej jak do dziecka:

– Ty i twoja banda przypalaliście mnie papierosami.

Torgny słucha bez słowa.

– Później zamknęliście mnie w szkolnej saunie i zwiększyliście temperaturę.

W końcu właściciel sklepu otwiera usta:

– Czy ja to zrobiłem?

– Ty i trzech innych.

– Ale dlaczego? – pyta Torgny.

Jan nie odpowiada. Bębny grają.

– Wiem, że mnie pamiętasz – mówi. – Byliście tam ty, Peter Malm, Niklas Svensson i Christer Vilhelmsson. – Widzi, że Torgny kiwa głową, więc kontynuuje: – Twój przyjaciele, którzy zginęli w lesie.

– Pamiętam – odpowiada Torgny. – Wiem, co się stało.

Jan zerka w bok. Przypuszcza, że Lękliwy stoi gdzieś za nim.

– Christer zadźgał Niklasa i Petera – ciągnie Torgny cicho. – W ich namiocie.

Jan spogląda na Torgny’ego, który zaczyna mówić nieco głośniej i szybciej:

– W ostatni tydzień szkoły pojechali na kemping. Nie byłem z nimi, więc nie wiem wszystkiego, ale doszło do jakiejś awantury. To Peter, on zawsze testował ludzi, próbował ich złać. Christer nie dawał sobie z tym rady... W końcu się załamał. Niklasa i Petera zadźgał, gdy spali, po czym uciekł przez las. Wybiegł z niego wprost na samochód.

Jan potrząsa głową.

– Christer Vilhelmsson tego nie zrobił. To...

– To b y ł Christer – przerywa Torgny. – Towarzyszył nam przez cały czas, ale zawsze był kozłem ofiarnym, który zbierał cięgi za wszystko. Był najniżej w hierarchii.

– J a byłem najniżej – odpowiada Jan.

– Nie. – Torgny kręci głową. – Ty byłeś dla nas nikim... Po prostu się napatoczyłeś.

Jan znowu otwiera usta, po czym szybko się odwraca. Lękliwy zniknął.

Torgny także rozgląda się po sklepie.

– Filip?! – woła. – Gdzie jest Filip?

Jan puszcza siekiere i wybiega ze sklepu. Wpada na jakiegoś innego klienta, ale się nie zatrzymuje. Ucieka. Na zewnątrz, w jesienny chłód. Na ulicach jest teraz więcej ludzi, obcych twarzy.

Jan dostrzega swoje volvo, które wyjeżdża z parkingu. Za kierownicą widzi Lękliwego,

a na siedzeniu obok wystającą główkę. Główkę pięcioletniego chłopca.

Jan przyśpiesza. Biegnie po asfalcie, wołając i wymachując rękami, lecz Lękliwy ani razu nie spogląda w jego kierunku. Samochód skręca w ulicę, włączając się w ruch i oddalając od Jana.

– Rössel!

Chłopiec na siedzeniu pasażera zdaje się słyszeć krzyk Jana, gdyż odwraca głowę i patrzy w tył, lecz auto się nie zatrzymuje. Jan zdaje sobie sprawę, dokąd jedzie Lękliwy: do bunkra nad ptasim jeziorem. Weźmie chłopca do pokoju o betonowych ścianach i zamknie go tam. Tym razem nie na dwie doby, lecz na dużo dłużej. Tygodnie, miesiące, być może na zawsze. O tym właśnie fantazjował Jan, czyż nie? Ostatnia zemsta na Bandzie Czterech – porwanie jednego z ich dzieci.

– Rössel! – woła. – Stój!

Głowy odwracają się w jego stronę, ale nie przejmuje się tym. Biegnie po chodniku najszybciej, jak potrafi. Widzi, jak Lękliwy zwalnia i zatrzymuje samochód, ale tylko ze względu na czerwone światło. Miga prawy kierunkowskaz, wkrótce jego volvo zakręci i zniknie na zawsze, wywożąc syna Torgny'ego. Bez śladu.

Jan nic nie może zrobić. Teraz żałuje wszystkiego, co sobie wyobrażał. Zamyka oczy, mając w głowie tylko jedną myśl:

To zły wybór.

Jan prowadzi samochód, patrząc przez przednią szybę na autostradę. Wyobrażał sobie jedną drogę, prowadzącą przez noc, lecz wybrał inną. Nie wróci do Nordbro z Rösselem, nie spotka się z Torgnym, nie porwie jego syna.

Była to fantazja, która musiała dobiec bez przeszkód do końca, ale cała chęć zemsty gdzieś uleciała. Jan wie, że każde wyobrażenie przemocy kończy się zawsze tak samo, kiedy przeobraża się w rzeczywistość – przerażeniem, żalem i samotnością.

Po godzinie jazdy autostradą docierają do przedmieść Göteborga. Poprowadził go tu Rössel. Po tym jak Jan wybrał właściwą drogę, Rössel przestaje straszyć go żyletką.

– Wiedziałem, że dokonasz dobrego wyboru – stwierdza. Wciąż siedzi rozparty na tylnym siedzeniu, od czasu do czasu pochylając się do przodu. – Jesteśmy na właściwej drodze. Razem udamy się do lasu... Znajdziemy tam grób. To obiecałem.

– Dobrze – odpowiada Jan. – A co później? Wrócisz do szpitala?

– Oczywiście.

– W Świętej Patrycji mają chyba psychologów? – mówi Jan. – Mogą ci pomóc.

Rössel wybucha śmiechem.

– Psychologowie – mówi z ironią w głosie. – Psychologowie chcą odpowiedzi, których nie otrzymują. Pytają o moje dzieciństwo, czy w rodzinie były przypadki chorób psychicznych... Chcą znaleźć dobry powód, dla którego jeździłem latem po kraju i wybierałem sobie nastolatków, ale taki powód nie istnieje. Świata nie da się pojąć... A ty wiesz, dlaczego to robiłem?

– Nie – odpowiada Jan. – I nie chcę...

– Porywałem ich, ponieważ byłem zły – ciągnie Rössel. – Bo jestem synem szatana i chcę być panem życia i śmierci... Albo tylko dlatego że ci, których wybierałem, byli brzydki i bezbronni, a ja byłem silny i wszechmocny. – Pochyla się do przodu. – A może jestem niewinny? Kto wie? Ten zobaczy, kto przeżyje.

Jan chce przerwać Rösselowi jego kpiarski wywód. Zerka w lusterko wsteczne.

– Byłeś kiedyś w lasach wokół Nordbro? – pyta. – Jeździłeś tam na kempingi?

– Nordbro? Nie... nigdy nie byłem tak daleko na północy.

Jan zastanawia się, czy Rössel kłamie. Prawdopodobnie nie. Być może proste odpowiedzi pochodzące z podświadomości Jana, a sformułowane przez wyobrażoną postać są zgodne z prawdą – być może jeden z członków Bandy Czterech zamordował dwóch innych.

Świat jest niezrozumiały, jest ciemny. Jan jedzie więc dalej, zaciskając dłonie mocno na kierownicy. Wskaźnik poziomu benzyny obniża się konsekwentnie, zbliżając się już do czerwonego pola – przed podróżą nie zatankował. Obok autostrady widzi stacji Statoil i wskazuje go swemu pasażerowi.

– Musimy nalać paliwa.

Z tylnego siedzenia nie nadchodzi odpowiedź. Jan spogląda w lusterko i widzi, że Rössel ma zamknięte oczy. Obok niego leży żyletka, a jego dłoń spoczywa na pojemniku z gazem.

Jan skręca na stację, przejeżdża powoli między dwiema ciężarówkami i zatrzymuje się przy dystrybutorze, pod jaskrawym światłem neonu.

Wyciąga z portfela kartę płatniczą i wychodzi w zimną noc.

Czuje na brzuchu dotknięcie plastikowej taśmy. Paski do wiązania rąk, które zabrał Carlovi i ukrył pod ubraniem – wciąż tam są. Czy użyłby ich przeciwko Rösselowi, jeśli nadarzyła się okazja?

A czy gdyby na stację wjechał teraz radiowóz, Jan zaalarmowałby policję? Rössel zostałby ujęty, a on byłby wolny. Ale wtedy brat Lilian nigdy nie zostałby odnaleziony, a to z tego powodu tu są.

Jan zdejmuje z uchwytu pistolet i zaczyna tankować, co chwilę spoglądając do wnętrza samochodu. Głowę i twarz Rössela zakrywa dach auta, widać jednak jego nogi w szarych spodniach. Są zupełnie nieruchome. Czy Rössel rzeczywiście zasnął?

Nalewając benzynę, Jan rozgląda się wokoło. Rzędy błyszczących dystrybutorów stoją na baczność w świetle neonów, a nieco dalej suną ciężarówki, wydając głuche odgłosy.

Rozlega się trzask pistoletu. Bak jest pełny, Jan odwiesza wąż. Jeszcze raz zerka do samochodu – i staje jak wryty. Tylna kanapa jest pusta. Rössel zniknął, wraz z zyletką i gazem łąwiącym.

Jan rozgląda się dookoła. Parking jest wyludniony. Nie widać żywej duszy, choć stoi tu pełno ciężarówek. Znajdują się w odległości dziesięciu, dwunastu metrów od Jana. Zaparkowane niezwykle blisko siebie, tworzą na asfalcie swoisty labirynt.

Czyżby Rössel zakradł się pomiędzy nie?

Jan, zostawiwszy samochód, idzie ostrożnie w kierunku tirów. Kuca, próbując zajrzeć pod samochody, ale po drugiej stronie nie dostrzega żadnych szarych spodni. Powoli wraca do auta, ogarnięty poczuciem beznadziei.

– Tutaj jestem! – odzywa się za nim Rössel.

Jan zatrzymuje się w pół kroku i odwraca w stronę głosu.

– Myślałeś, że zniknąłem?

Jan kręci głową. On i Rössel rozumieją się nawzajem. Obaj zdążają teraz do grobu, żaden z nich się z niego nie wydostanie. Co stanie się później, dopiero się okaże.

– Gdzie byłeś?

Rössel trzyma pod pachą dwie łopaty o spiczastych ostrzach, a w wolnej dłoni ma coś błyszczącego. To butelka.

– Robiłem interesy – mówi. – Byłem w sklepie i kupiłem łopaty, a później poszedłem na parking ciężarówek. Przyjeżdżają z całej Europy, a kierowcy czasami mają ze sobą alkohol. Kupiłem butelkę.

Kiedy ją unosi, Jan widzi, że to wódka.

– Czym zapłaciłeś?

– Zostawiłem w samochodzie. – Rössel podaje Janowi niewielki przedmiot. To jego własny portfel.

Jan przyjmuje go bez słowa.

– Nie potrzebuję alkoholu.

Rössel otwiera butelkę i wypija łyk. Nie uśmiecha się.

– Wręcz przeciwnie. Dziś wieczorem obaj potrzebujemy łopat i wódki.

Jadą dalej przez noc. Rössel jest lekko zamroczony alkoholem, ale nadal kieruje podróżą. Wyciąga dłoń i pokazuje:

– Skręć tutaj w lewo.

Rondo, później węższa droga. Göteborg jest duży, tej części miasta Jan nie zna. W oddali zauważa jednak łańcuch skał z zaostrzonymi szczytami, co podpowiada mu, że mogą znajdować się gdzieś na północny wschód od centrum, w pobliżu Utby.

– Skręć teraz w prawo – mówi Rössel, popijając wódkę. – A później znowu w prawo.

Jan posłusznie wykonuje polecenia. Wjeżdża na długą i prostą drogę, gdzie jest coraz mniej światła i domów. Przed sobą widzi połyskującą tablicę z napisem ULICA DROZDÓW.

Tablica jest ostatnim znakiem świadczącym o bliskości miasta. Za nią znikają wszystkie domy, zostaje tylko droga. Po chwili zamienia się ona w leśny trakt, wijący się między stromymi zboczami, pokrytymi ciemnymi krzewami i drzewami.

– Tutaj – mówi cicho Rössel. – Dalej nie pojedziemy... Zaparkuj tutaj.

Jan zatrzymuje samochód. Wyłącza silnik i zapala światelko pod sufitem.

W lusterku widzi Rössela, który otwiera butelkę i wypija sporą ilość alkoholu. Przełykając, zamyka oczy.

– Lekarstwo – mówi, po czym wręcza butelkę Janowi.

Jan wypija niewielki łyk, nie więcej. Spogląda na kieszonki w drzwiach samochodu, obok siedzenia kierowcy. Dostrzega długopisy i kilka kartek papieru. Do głowy przychodzi mu pewna myśl.

– Narysuj mapę – mówi.

– Mapę?

Jan kiwa głową.

– Jeśli zabłądzimy w lesie, mapa pozostanie. – Mając w pamięci, jak on sam zapamiętywał krajobraz przy ptasim jeziorze przed dziewięciu laty, dodaje: – Chyba pamiętasz drogę do grobu, prawda?

Po raz pierwszy o coś prosi Rössela. Czeka w milczeniu. Rössel jednak potrząsa głową.

– Nie umiem... Nie umiem rysować.

– Ale ja umiem – odpowiada Jan. Bierze papier, rysuje dwie równoległe linie, które opisuje jako ULICA DROZDÓW. – Tutaj teraz jesteśmy... A dokąd mamy pójść?

Rössel waha się.

– Narysuj ścieżkę prowadzącą w górę i na lewo – mówi po chwili.

Jan zaczyna rysować. Prowadzi na kartce kolejne linie, a Rössel instruuje go, gdzie powinien zaznaczyć różnice wysokości, strumienie i większe skały. Jan miał rację – Rössel zachował cały krajobraz w głowie. Wiele rozmyślał o tym miejscu.

– Tutaj, zrób tu krzyżyk na występie skalnym. – Rössel jest już bardziej ożywiony, pokazuje palcem miejsce na mapie. – I napisz, że... przypadkiem znalazłem chłopaka na parkowej ławce, że zabrałem go do lasu i pogrzebałem ciało wysoko wśród skał.

Wyznanie, myśli Jan. Pisemne wyznanie dla Lilian i jej rodziny. Nareszcie.

Jan kończy zapisywanie tekstu, po czym pokazuje mapę Rösselowi.

Ten zerka na kartkę i kiwa głową.

– Dobrze – mówi cicho Jan, kładąc mapę na siedzeniu.

– No to idziemy – decyduje Rössel.

Wysiadają z samochodu, Jan podąża za nim. Czekają ich nocna robota.

Łopaty również czekają. Jan obchodzi auto i wyjmując narzędzia z bagażnika. Zabiera ze sobą wszystko, łącznie z aniołem, który w ciemności będzie dla nich jedynym źródłem światła. Rössel prostuje plecy, wygląda teraz na bardziej zdecydowanego. Prowadzi ich przez rów, oddalając się od drogi, i dalej przez zarośla, między skałami i świerkami. Zostawiają za sobą ostatnie światła. Wkraczają w dzicz.

Pokonawszy może trzysta metrów między drzewami, wychodzą na miejsce pełne chaotycznych kanciastych cieni. Jan podnosi anioła, w którego światło widzi błyszczące granitowe bloki, pozostawione tu tysiące lat temu przez lodowiec i rzucone jak popadło poniżej pionowej ściany skalnej. Gdzieś w ciemności słychać dźwięk spadającej wody.

– Mamy się tędy wspinać?

– Nie da się. – Rössel kręci głową. – Musimy obejść dookoła... Tam jest mniej stromo.

Znajdują niewielką ścieżkę, okrążającą wszystkie głązy, po czym ruszają pod górę. Rössel prowadzi wzdłuż zbocza. Bez chwili zawahania porusza się zgodnie z mapą stworzoną w głowie. Jan podąża za nim w odległości kilku metrów. Przed oczyma wciąż pojawia mu się obraz martwego Carla. Woli mieć Rössela przed sobą, na wypadek gdyby ten wziął zyletkę. Po dwudziestu metrach wspinaczki Rössel zatrzymuje się, aby zaczerpnąć tchu.

– Niosłem tu ciało – mówi. – Ciężka robota.

– Czy John Daniel wtedy żył? – pyta Jan. – Zabiłeś go na górze?

– Nie zabiłem go. – Rössel odwraca się, a w jego głosie słychać znużenie. – Umarł w moim samochodzie od alkoholu, który wlał w siebie tamtego wieczoru. Wymiotował i udusił się, leżąc w bagażniku. Nie moja wina.

– Żyłby, jeśli go zostawił w spokoju. Tak samo inni.

– Mógł się nie upijać. – Rössel wzrusza ramionami. Nie mówi nic więcej. Kiedy jednak kontynuują swą wędrówkę w górę, Rössel nieustannie odwraca głowę na wszystkie strony, jakby wypatrywał swoich wrogów. Kilka metrów wyżej znajduje się półka skalna, za którą znika. Pochylając się do przodu, Jan przemierza ostatnie metry po zboczu.

Teren robi się tutaj płaski. Docierają na szeroki grzbiet, wznoszący się wysoko ponad lasem i będący częścią większego łańcucha skalnego.

Rössel stoi tam, czekając na Jana i trzymając w dłoni łopatę. Robi kilka kroków do przodu, spoglądając w stronę samotnie rosnącej sosny.

– To tutaj przyszedłem tamtej nocy – mówi. – Trochę w tych stronach wędrowałem... Znałem teren. Ostatni raz byłem tu po ostrym zimowym sztormie, kiedy zobaczyłem, że wysoko na skale wiatr powalił sosnę. Wyrwał ją z korzeniami, zostawiając poniżej wielki dół. To ten wykrot.

Jan unosi anioła i widzi, że występ skalny ma piętnaście lub dwadzieścia metrów szerokości. W dalszej części jego zakończenie stanowi ostra krawędź, za którą skała opada stromo w dół. Na dnie urwiska leżą granitowe bloki. Skałę porastają drobne krzewy. Pośrodku skalnej półki rośnie też sosna. Jej korzeniom udało się odnaleźć nieckę wypełnioną ziemią. Jan widzi jednak, że to nie wykrot. Sosna rośnie prosto w górę, nawet jeśli igły tworzące jej koronę nie wyglądają zdrowo.

– Gdzie on jest? – pyta Jan.

– Tutaj. – Rössel podchodzi do sosny, a jego głos brzmi teraz całkiem mechanicznie: – Przyniosłem ciało w to miejsce i wrzuciłem do dołu pod korzeniami... Później oparłem dłoń na pniu i wyprostowałem sosnę. W ten sposób ciało zniknęło.

Jan oświeca aniołem przestrzeń ponad sobą.

– Drzewo umiera – stwierdza.

– Teraz tak.

Jan nie mówi ani słowa więcej, patrząc tylko, jak Rössel oddala się o krok od sosny i odwijają koc.

– Kop tam... Bardzo blisko pnia.

Jan spogląda na nierówną ziemię. Rozmyśla o korzeniach, tajemnicach i różnych wyborach. Następnie unosi łopatę, wbija ją w ziemię i zaczyna kopać. Jego ciało napędza nowa siła. Jest mu potrzebna, gdyż podłoże jest bardzo twarde. Mało tu kamieni, ale łopata musi przebijać się przez gęsty system korzeniowy.

Rössel uniósł swoją łopatę, ale stoi tylko, wpatrując się w teren po drugiej stronie sosny. Jan kopie coraz głębiej, usypując sporą górę ziemi obok pnia drzewa. Zaczyna się przed nim otwierać szeroki dół. Od czasu do czasu wyjmuje anioła, aby poświecić, ale niczego nie widzi.

– Kop dalej! – rozkazuje Rössel, więc Jan nie przerywa pracy.

Niektóre z korzeni są tak grube, że nie jest w stanie ich przeciąć, więc odgarnia wokół nich ziemię i kopie pod nimi. Kiedy w końcu robi sobie przerwę i spogląda na zegarek, jest za piętnaście pierwsza. Bola go ramiona, ale unosi łopatę i kopie dalej.

Z ziemi wystaje kolejny cienki korzeń – tak przynajmniej wydaje się Janowi, lecz po chwili uświadamia sobie, że to coś innego.

Pożółkła kość.

Jan powstrzymuje kolejny ruch. Patrzy. Znowu podnosi anioła, a w jego świetle dostrzega kolejne kości. Kości i kawałki postrzępionego materiału. Rössel także zauważa znalezisko, kiwa głową.

– Dobrze... Kop dalej.

Jan waha się.

– Mogę go uszkodzić.

– T o uszkodzić – poprawia go Rössel. – To tylko ciało.

Jan nie odpowiada. Pochyla się i dalej kopie. Najostrożniej, jak tylko potrafi, odgarnia ziemię wokół kości, odkrywając kolejne białe fragmenty. Powoli zaczynają one formować szkielec. Korzenie sosny wrosły jednak w kości, łamiąc i niszcząc niektóre z nich. Po półgodzinie pracy od wilgotnej ziemi odpada duży szary kamień, staczając się na dno dołu.

Nie, to nie kamień, zauważa Jan – to czaszka. Nie chce przyglądać się jej z bliska, ale widzi, że wciąż pokrywają ją fragmenty skóry, przypominające strzępy starego papieru.

Nie odzywając się, Rössel wchodzi do dołu i zaczyna zbierać wszystkie luźne kości. Podaje je Janowi, jedną po drugiej, a on ostrożnie układa je na kocu. Czaszka także tam łąduje. Po chwili Rössel kończy zbieranie.

– To wszystko? – pyta Jan.

– Na to wygląda – odpowiada Rössel, wypijając z butelki kolejny łyk. – Jeszcze musimy to zakończyć.

Wychodzi z grobu, podpierając się na łopacie i uśmiechając do Jana.

– Zakończyć?

Nie pada odpowiedź na to pytanie, ale nagle za Janem słychać trzask łamanych gałązek. Czyjeś kroki.

Rössel kieruje wzrok w tamtą stronę.

– Cześć – mówi.

– Cześć, Ivan – odpowiada w ciemności stłumiony głos. Jest to głos kobiety. Zdaje się zmęczona, z trudem łapie oddech.

Jan odwraca głowę, podnosi anioła i dostrzega znajomą postać wychodzącą na półkę skalną.

– Cześć, Janie.

Hanna Aronsson porusza się powoli. Jan widzi, że kobieta coś niesie – w ramionach trzyma bezwładne małe ciało z opaską na oczach.

Śpiące dziecko. Lub uśpione.

Chłopiec.

Piętnaście sekund później Jan leży skulony na skale.

To Rössel powala go na ziemię, co nie zajmuje mu zbyt wiele czasu. Jeden jedyny wirujący ruch łopatą w ciemności w chwili, gdy Jan wciąż stoi, gapiąc się na Hannę Aronsson i próbując zrozumieć, dlaczego się tu znalazła. I kim jest chłopiec?

Rössel zbliżył się, mierząc w prawą nogę Jana. Ostrze łopaty trafia pod kolano, podcinając Jana, który upada na ziemię. Czuje ból, robi mu się niedobrze. Traci przytomność. Mijają sekundy, a może minuty.

– Na dole wszystko poszło dobrze? – słyszy pytanie Rössela.

– Tak. Ale musiałam chwilę odczekać, aż zostanie sam na dworze – odpowiada Hanna.

– Dobrze – z satysfakcją w głosie mówi Rössel.

Głosy i chłód sprawiają, że Jan powoli rozbudza się, a kiedy spogląda w górę, widzi słabe światło.

Przed nim leży włączony anioł. W jego świetle widzi Rössela i Hannę, dwa cienie oddalone od niego o kilka metrów.

– Nie widział cię? – pyta Rössel.

– Nie... Nikt mnie nie widział.

Rössel opuszcza łopatę, jakby się rozluźnił. Robi trzy kroki w stronę Hanny i całuje ją w policzek, dotyka jej jasnych włosów.

– Tęskniłem – mówi.

A jednak jego ruchy są sztywne. Dłonie zdają się nieprzyzwyczajone do bliskości.

Jan rozpoznaje teraz także chłopca, którego Hanna trzyma w ramionach. To Leo. Leo Lundberg z przedszkola. Zaginiony pięciolatek. Jan przypomina sobie wieczorną rozmowę z Marie-Louise, która poinformowała go, że chłopiec zniknął z podwórka.

Opaska zawiązana na jego głowie jest szeroka i czarna. Jan dostrzega, że chłopiec oddycha, ale raczej nie jest przytomny. Zwisa bezwładnie na rękach Hanny. Rössel bierze Leo od Hanny i kładzie go obok dołu przy sośnie.

– Tu będzie leżał – mówi Rössel. – Na dole.

Scena przypomina teatr cieni. Jan czuje się zamroczony, ma wrażenie, że znajduje się daleko od tego wszystkiego. Ból w nodze zaczyna jednak nieco słabnąć. Unosi lekko tułów. Rössel zauważa to i kręci głową.

– Nie ruszaj się!

Jan mimo wszystko siada. Próbuje skłonić Hannę, aby na niego spojrzała.

– Co wy robicie? – pyta. – Dlaczego sprowadziliście tu Leo?

– To nie my – odpowiada Rössel. – Ty go tu ściągnąłeś.

– Ja? – Jan patrzy na niego z niedowierzaniem.

– To miejsce zbrodni, wszystko się tu kończy – stwierdza Rössel. – Nawet narysowałeś mapę prowadzącą tutaj... Mapę z wyznaniem, co zrobiłeś. Leży w samochodzie i czeka na policję.

Jan słucha, nie patrząc na Rössela. Znowu spogląda na Hannę, próbuje nawiązać kontakt.

– Co ty tu robisz, Hanno?

W odpowiedzi otrzymuje zaledwie przelotne spojrzenie. Hanna patrzy w drugą stronę, w świetle anioła jej oczy są błyszczące i puste.

– Przykro mi – mówi, opuszczając wzrok. – Ale pasowałeś aż nazbyt dobrze... Możesz uratować Ivana, biorąc na siebie winę za zbrodnie, o które jest podejrzewany.

– Nie wezmę winy na siebie.

– Ależ tak... Już wcześniej porywałeś chłopców.

Jan już rozumie. Hanna go wybrała. Teraz jest mordercą. Policja odnajdzie jego ciało leżące obok dawnej i nowej ofiary, podczas gdy ona i jej Rössel znikną w ciemnościach. Rössel może wrócić do szpitala za godzinę, być może nikt nawet nie zauważył, że go nie było.

Folie à deux. Obłąd udzielony. Albo miłość ponad murem. Jan pamięta ostrzeżenie doktora Högsmeda o zbyttnim zbliżeniu się do psychopaty.

– Zabłądziłaś w lesie. – Patrzy na Hannę.

Kobieta kręci głową.

– Wiem, co robię – mówi. – Robię to, by uwolnić Ivana... Uczyniłbyś to samo dla swojej Rami.

Jan nie odpowiada. Leo, to jedyna myśl w jego głowie. Jak może uratować chłopca?

– Zrób to – zwraca się do Hanny Rössel, odwracając łopatę trzonkiem w jej kierunku. – Po-
każ, jak jesteś silna.

Hanna przez dłuższą chwilę patrzy na trzonek, po czym zamyka oczy.

– Nie mogę – mówi cicho.

– To tylko ciało – zachęca ją Rössel, wciąż trzymając przed nią łopatę. – Ono nic nie czuje.

– Nie mogę tego zrobić.

Tylko Jan patrzy w tej chwili na Leo. Chłopiec wciąż leży przy dole, ale w świetle anioła Jan dostrzega nagle, że się porusza. Przez opaskę nic nie może zobaczyć. Mimo że Hanna czymś go uspiła, chloroformem albo jakimś innym środkiem, chłopiec właśnie zaczyna się budzić. Dzieje się to jednak zbyt wolno. Jan musi mówić dalej:

– Nie wypuszczaj Rössela na wolność, Hanno – zaczyna. – W trakcie ucieczki zabił dzisiaj wieczorem strażnika... Podciął Carlowi gardło.

Hanna spogląda na Rössela.

– Czy to prawda?

– Zrobiłem to, co było konieczne – odpowiada Rössel. – A teraz twoja kolej.

Stojąc nieruchomo, Hanna przygląda się łopacie.

– Nie dam rady.

– Ależ dasz! – podnosi głos Rössel.

Jan zauważa, że Leo się porusza – jeszcze się całkiem nie obudził, ale za chwilę to nastąpi. W odległości około metra od nogi Jana leży anioł, jedyne światło na skale. A jeszcze bliżej, tuż obok siebie, widzi swoją łopatę.

Rössel wdycha, znowu wyciągając butelkę. Wypija łyk i kiwa głową.

– Ja się tym zajmę.

Jan wyciąga dłoń i zaciska na łopacie palce w chwili, gdy Hanna odzywa się, patrząc na Rössela.

– Ivan, nie musimy...

– Nie, zrobię to – przerywa jej ostro.

Czując nadchodzący koniec, Jan wreszcie się porusza. Szybko podnosi się na kolana, chwyta łopatę oburącz, jakby trzymał długi kij.

– Leo! – krzyczy do chłopca. – Uciekaj stąd! Biegnij!

Hanna obserwuje zajście, Rössel odwraca głowę. Jan już zdążył unieść łopatę. Leo zdołał wstać. Rusza się.

Jan uderza.

Ostrze łopaty opada z hukiem na skałę, roztrzaskując latarkę anioła. Światło gaśnie.

Skałę otula jesienna noc, zapada niemal zupełna ciemność. Jedyne widoczne światło pochodzi z domów leżących w oddali. Jan puszcza łopatę i woła znowu:

– Leo, biegnij w kierunku światła!

W głowie dudnią mu bębny, wiele uderzeń na sekundę. Nie ma już czasu. Widzi poruszającą się w ciemności małą postać, która oddala się od skały. Leo zdołał zdjąć z oczu opaskę.

– Biegnij!

Jan wstaje, podtrzymując się na trzonku łopaty.

– Nie ruszaj się! – wrzeszczy Rössel.

Stoi przed Janem jak czarny cień, unosząc swoją łopatę. W tej chwili uderza, mocno jak tenisista. Dwa ciężkie ciosy, wstrząsające łopatą Jana, przy trzecim nie jest w stanie już jej utrzymać. Puszcza trzonek, a łopata z łoskotem uderza o kamienie.

Łopata Rössela także nie nadaje się już do użytku – trzonek pękł i rozpadł się na dwie części. Odrzuca narzędzie, by wyjąć z kieszeni coś innego. Unosi przed sobą coś małego.

Jan widzi, że to nie gaz łzawiący, lecz żyłetka.

– Skacz! – mówi Rössel.

Jan cofa się z podniesionymi rękoma, lecz nogi wciąż go bolą i nie prowadzą, jak należy. Potyka się na kamieniu lub korzeniu, niebezpiecznie blisko urwiska. Chce udawać, że wszędzie wokół jest twarde podłoże, ale nie unika zawrotu głowy.

Rössel zbliża się z żyłetką w podniesionej ręce. Tnie szybko, Jan czuje ból w dłoni, która zaczyna krwawić. Ostrze przecięło kilka naczyń krwionośnych. Ivan podnosi żyłetkę jeszcze wyżej.

– Skacz! – powtarza. – Może ci się uda.

Jan nie cofa się już jednak. Patrząc na trzymającą żyłetkę dłoń Rössela, wkłada rękę pod sweter. Nie ma tam oczywiście żadnej broni, lecz zabrane Carlowi plastikowe taśmy. Cienkie, ale mocne pętelki, mogące chwycić i związać. Wyjmuje jedną z nich i wyciąga rękę w stronę żyłetki.

Rössel nie jest wystarczająco szybki. Jan chwyta jego dłoń i przywiązuje ją do własnej, zaciągając pętlę na obu. Wystarczy pociągnąć taśmę, a jego nadgarstek ściśle przylega do Rössela. Jan może teraz kontrolować żyłetkę, utrzymując ją z dala od siebie.

Rössel ciężko oddycha w ciemności, ciągnąc rękę i szarpiąc się. Próbuje przełożyć żyłetkę do lewej dłoni, aby się odciąć, ale Jan zdążył chwycić i tę rękę.

Trzymają się wzajemnie jak para tańcząca na skałe. Nie ma mowy o ucieczce – Jan jest uwięziony przez Rössela, a Rössel przez niego. Rössel walczy, lecz Jan nie opuszcza.

Zamyka oczy. Ma nadzieję, że Leo uciekł. Że słyszał wołanie Jana i popędził w dół zbocza, kierując się ku światłom.

– Podдай się, nim umrzesz! – krzyczy Rössel. Brakuje mu tchu, w jego głosie nie pozostał choćby ślad dawnej miękkości. Ujawnił się drapieżnik, ten, który wcześniej ukrywał się w ciele spokojnego nauczyciela.

Trudno poruszać się we dwójkę, a Rössel nie może puścić Jana. Jan otwiera oczy. Powoli kierują się w stronę urwiska. On i Rössel w mocnym uścisku. Dyszą ciężko, w tym samym rytmie.

– Teraz ty, kolego! – woła Rössel.

Jan przegrywa walkę, wypychany w pustkę. Nie ma się czego chwycić. Oprócz Ivana Rössela.

Odwraca się w poszukiwaniu pomocy na skale. Leo zniknął. Obok sosny widzi tylko jedną postać – Hannę, która stoi nieruchomo, patrząc na nich. Jest jak skamieniała, nic nie robi.

Ale Leo zbiegł. Uciekł przed drapieżnikiem, wydostał się z lasu. Jest silny, poradzi sobie.

Jana cieszy to zwycięstwo.

Czuje, że skała kończy się tuż za nim, ale się nie waha. Już tylko jeden mały krok w tył, w ciemność.

Robi go, pociągając za sobą Rössela.

– Wszystko dobrze? – pyta Marie-Louise.

Jej ciche pytanie nie doczeka się odpowiedzi.

Tego ranka Hanna siedzi nieruchomo i jest równie milcząca jak pozostałe osoby w pokoju wychowawców. Nie wie, co powiedzieć. Wróciła do pracy i stara się przybrać spokojny wyraz twarzy, mimo że ledwo jest w stanie oddychać. Tyle spraw poszło nie tak. Czuje się, jakby siedziała w środku burzy, nie mając pojęcia, kiedy wiatr ją pokona.

Jest środa. Polana była zamknięta od dnia chaotycznych ćwiczeń przeciwpożarowych, a w tym czasie powstawały kolejne plotki na temat Świętej Patrycji. Gazety i radio informowały o tym, co się wydarzyło, a telewizja pokazywała zdjęcia zamkniętej bramy szpitalnej. Marie-Louise nie pyta o nic więcej. Odwraca głowę.

– Jest z nami dzisiaj doktor Högsmed – mówi – aby udzielić nam rzetelnej informacji. Myślę, że wszyscy potrzebujemy swego rodzaju... – Milknie, nie może znaleźć właściwego słowa, więc mówi tylko: – Proszę, doktorze.

– Dziękuję, Marie-Louise.

Högsmed siedział przy stole z opuszczoną głową, jakby w ogóle nie spał przez ostatnie dni. Teraz jednak prostuje plecy i zaczyna mówić:

– Tak... Ostatni weekend zaczął się dramatycznie. Dramatycznie i tragicznie. Jak wiadomo, w piątkowy wieczór mieliśmy duże ćwiczenia przeciwpożarowe, jednak okazały się one bardziej skomplikowane, niż się spodziewaliśmy. Powodem był mianowicie prawdziwy pożar na czwartym piętrze, który pojawił się tuż przed rozpoczęciem samych ćwiczeń. – Doktor robi pauzę. Przy stole jest cicho jak makiem zasiał. Hanna patrzy przez okno na betonowy mur Świętego Psychola. – W wyniku pożaru – podejmuje Högsmed – powstało zamieszanie, gdyż trudno było odróżnić rzeczywiste zdarzenie od ćwiczeń. Dlatego też mocno osłabła nasza kontrola nad niektórymi oddziałami i część pacjentów mogła poruszać się zupełnie bez opieki. Być może z powodu powstałego zamieszania doszło do ataku na jednego ze strażników na czwartym piętrze, a następnie do ucieczki mężczyzny, który wzniecił pożar. Jednego z naszych najniebezpieczniejszych pacjentów.

Ivan, myśli Hanna. Czy był niebezpieczny? Tak, był. Lecz także kochający i czuły. Hanna siedzi przy stole wraz z Andreasem. Są jedynymi pracownikami przedszkola, którzy tego dnia przyszli do pracy. Krzesła po obu jej stronach stoją puste.

Na jednym z nich zazwyczaj siedzi Lilian, ale jest na zwolnieniu lekarskim.

Drugie krzesło należało do Jana Haugera.

Hanna widziała, jak Jan spada ze skały wysoko nad lasem, wraz z Ivanem – dwie ciemne postaci, splecione w mocnym uścisku. Żadna z nich nie zwolniła uchwytu.

Stała jak skamieniała z zamkniętymi oczami, czekając na głuchy odgłos uderzenia ciała o głazy poniżej. I ten odgłos wybrzmiał w oddali.

Potem w lesie zapadła cisza. Po chwili Hanna usłyszała coś w ciemności. Z dołu dochodziły pojękiwania.

– Ivan? – zawołała ponad krawędzią skalnego występu.

Nadal słyszała jęk, ale głos należał raczej do Jana. Później wszystko ucichło.

Hanna zawróciła i uciekła. Małego Leo już nie było. Popędził w ciemność, a ona go nie szukała. To Ivan wymyślił, żeby porwać chłopca i zrzucić winę na Jana. Cieszyła się, że Leo uszedł cało. Idąc w dół przez las, dotarła do swojego wynajętego samochodu. Po chwili dostała się na autostradę prowadzącą do Valli. Koło godziny trzeciej była w domu. Zamknęła za sobą drzwi. Rękawiczki, strzykawkę i ampułkę valium spuściła w toalecie – musiała pozbyć się wszystkiego, co wiązało ją z porwaniem Leo. Później położyła się do łóżka, recytując w głowie wyliczankę:

N i c. Nie wiedziała nic. Ani o pożarze, ani o Ivanie Rösselu, ani o Janie Haugerze, ani o jego tęsknocie za Alice Rami.

Co teraz będzie? Ta niepewność ją wykończy.

W sobotę rano zadzwoniła do Lilian, która w trakcie rozmowy zdawała się przygnębiona. Starając się zachowywać normalnie, Hanna zapytała, co wydarzyło się w piątkowy wieczór.

– Nic się nie wydarzyło – powiedziała Lilian. – Zupełnie nic. Rössel nie dotarł do pokoju odwiedzin. Nie przyszedł też nikt ze szpitala, więc pojechaliśmy do domu.

– Przykro mi – odparła Hanna.

Nie wiedziała, co więcej mogłaby powiedzieć. Właściwie w ogóle nie miała ochoty rozmawiać z Lilian, ale było coś, o co musiała zapytać:

– Dzwoniła do ciebie policja?

– Nie – odpowiedziała Lilian. – Dlaczego mieliby dzwonić? Podejrzewają coś?

– Nie sądzę – odrzekła szybko Hanna.

To jednak nie była prawda. Grób brata Lilian został otwarty. Kiedy policja znajdzie przy skale ciała Ivana i Jana, trafi także na Johna Daniela. Wówczas funkcjonariusze skontaktują się z jego rodziną, która wreszcie pozna prawdę. Hannie zależało jedynie na tym, aby nikt nie kojarzył jej z całym zajściem.

Nic, nic nie wiedziała.

Lilian zamilkła na moment, by następnie powiedzieć:

– Ale w piątek dzwoniła Marie-Louise. Do ciebie też?

– Tak – odparła Hanna. – Dzwoniła.

– Zatem wiesz, że zaginął Leo Lundberg?

– Tak.

Lilian milczała przez chwilę, po czym zapytała:

– A ty? Co o tym sądzisz?

– Nic – odpowiedziała Hanna.

Po tych słowach szybko odłożyła słuchawkę i odetchnęła głęboko.

Nic.

Leżała sama w łóżku w swym mieszkaniu, myśląc o Ivanie. Przez wiele miesięcy za nim tęskniła, marzyła, aby mu pomóc, aby za wszelką cenę wydostać go z kliniki. Było im dane odbyć zaledwie kilka krótkich rozmów w pokoju odwiedzin, pod okiem przekupnego strażnika Carla. Kochali się tylko jeden raz, na materacu w schronie.

Ivana już nie było. Tęskniła za nim.

Dotarło do niej jednak, że właściwie brakowało jej również Jana Haugera.

Högsmed przerywa swoje sprawozdanie. Bierze głęboki oddech, po czym kontynuuje:

– W jeden wieczór mieliśmy więc kilka incydentów. W końcu jednak uporaliliśmy się z sytuacją i odzyskaliśmy kontrolę nad wszystkimi pacjentami... Z wyjątkiem uciekiniera, którego odnaleziono martwego razem z... – Doktor patrzy w bok, na Marie-Louise – ...razem z osobą, którą podejrzewamy o pomoc w ucieczce. Mówię mianowicie o waszym koledze Janie Haugerze... Wciąż przebywa w szpitalu. Jest ciężko ranny, ale żyje.

Znowu zapada cisza. Wszyscy wstrzymują oddech – Hanna także.

Jan żyje.

Słyszy westchnienie doktora, który po chwili dodaje:

– Ja odpowiadam za przyjmowanie nowych pracowników i oczywiście biorę na siebie odpowiedzialność za zatrudnienie Jana Haugera.

Utkwiwszy wzrok w blacie stołu, Marie-Louise przerywa mu komentarzem:

– Niełatwo było się tego domyślić – mówi. – Jan sprawiał wrażenie osoby godnej zaufania, chociaż było też kilka... sygnałów ostrzegawczych. Niedawno opowiedział mi, że miał problemy psychiczne. Kiedy był nastolatkiem, przebywał w klinice psychiatrycznej.

Doktor Högsmed kontynuuje swój wywód. Opowiada o tym, jak w piątkowy wieczór Leo Lundberg zniknął bez śladu z podwórka swej rodziny zastępczej, jak szukała go policja i jak późno w nocy pojawił się w jakimś gospodarstwie na obrzeżach Göteborga. Wynika z tego, że nie uciekł, lecz został wywieziony samochodem.

Na koniec Högsmed opowiada o odnalezieniu nieprzytomnego Jana Haugera przez policję poniżej jednej ze skał, w tym samym rejonie, w którym pojawił się Leo. Pacjent, któremu Jan pomógł uciec, leżał pod nim, martwy. Swoją samochód zostawili na drodze, a w nim – spisane wyznanie.

– Zakładamy, że był to swoisty list samobójczy – mówi doktor. – Hauger i pacjent wykopali w lesie grób, ale chłopca wypuścili... po czym razem rzucili się ze skały.

Znowu cisza. Wszyscy wiedzą już wystarczająco dużo, a i tak są zszokowani. Andreas wygląda na zdruzgotanego, Hanna ma nadzieję, że jej oczy są równie smutne.

– Jak czuje się mały Leo? – pyta Marie-Louise.

– Nic mu się nie stało. Niewiele pamięta, może to i lepiej – odpowiada Högsmed. – Pamięta tylko, że ktoś przyszedł na podwórko, kiedy siedział na huśtawce, i od tyłu chwycił go za rękę. W zgięciu ręki lekarz znalazł ślad po igle, więc prawdopodobnie chłopiec dostał jakiś narkotyk... Ale, jak już mówiłem, czuje się całkiem dobrze, biorąc pod uwagę okoliczności.

Hanna pod stołem mocno zaciska pięści. Co Leo opowiedział policji? Co pamięta z wydarzeń na skale? Był pod wpływem leków i miał na oczach opaskę, więc jej chyba nie pamięta? Czy Jan będzie mógł mówić, gdy się obudzi? Czy ktoś mu uwierzy?

Musi coś powiedzieć, pochyla się do przodu:

– Coś mi się przypomniało.

Wszyscy kierują na nią swe spojrzenia, a ona kontynuuje:

– Coś, co Jan Hauger opowiedział mi pewnego razu. Nie wiem, czy ma to jakieś znaczenie... Powiedział, że kiedyś zabrał jakiegoś chłopca na wycieczkę do lasu i go tam zostawił.

– Naprawdę? – odzywa się szybko Högsmed. – Kiedy to było?

– Powiedział, że pracował wówczas w jakimś przedszkolu... Odniosłam wrażenie, że musiało się to wydarzyć wiele lat temu.

Marie-Louise patrzy na nią z niedowierzaniem.

– Powinnaś była mi o tym wcześniej powiedzieć, Hanno.

– Wiem. Ale myślałam, że... że był to jakiś dziwny żart. W końcu Jan sprawiał wrażenie takiego godnego zaufania, prawda? Dzieci go przecież uwielbiały.

Högsmed odchrząkuje, patrząc na nią.

– To właściwie tajna informacja – zaczyna – ale policja była w mieszkaniu Haugera w ten weekend. Przeszukali je i znaleźli trochę przedmiotów budzących wątpliwości. Okazało się, że rysował między innymi długi komiks ze sporą dawką ostrej przemocy i pełny fantazji o zemście... A jeden z sąsiadów Haugera, który pracował wcześniej w naszym szpitalu, przyznał, że Hauger pytał go o różne tajemne przejścia.

Zapada cisza, Hanna opuszcza głowę.

– Biedny Jan – mówi cicho.

Pozostali patrzą na nią. Napotyka ich wzrok.

– Chodzi mi o to, że... Ktoś powinien był mu pomóc. Powinniśmy byli być bardziej uważni.

– Niektóre zaburzenia bardzo trudno zauważyć – stwierdza Högsmed. – Nawet nam, za-wodowcom, nie zawsze udaje się postawić właściwą diagnozę.

Ostatnia dłuższa chwila ciszy. Doktor zerka w swoje dokumenty.

– Tak... to chyba wszystko, o czym miałem poinformować.

– Bardzo dziękuję, doktorze – mówi Marie-Louise. – Następnie składa dłonie, uśmiechając się do swoich pracowników, do Hanny i Andreeasa. – Z pewnością mamy wiele pytań, ale zajmujemy się nimi później. Musimy patrzeć w przyszłość... Za chwilę przyjdą dzieci.

Hanna szybko wstaje. Udaje, że to jeden ze zwyczajnych dni pracy.

I jest to zwykły dzień pracy, dzień na początku długiej zimy. Tylko że nie ma Jana i Iwana, a Lilian jest na zwolnieniu...

Wychodząc z pokoju, Hanna słyszy trzaśnięcie drzwi wejściowych.

Dzieci, myśląc, szykując się na dalsze odgrywanie swej roli dobrej pani przedszkolanki.

Do Polany weszła właśnie mała Josefine, ubrana w gruby ciemnozielony kombinezon. Podąża za nią ktoś dorosły. Josefine obdarza Hannę szerokim uśmiechem, pokazując, że straciła jeszcze jeden ząb w górnej szczękę.

– Pada śnieg! – woła.

– Naprawdę? – pyta z uśmiechem Hanna.

Spogląda przez okno. Rzeczywiście. W powietrzu unoszą się duże białe płatki. Być może tym razem śnieg poleży trochę dłużej.

– Świetnie – zwraca się do Josefine. – Kiedy przyjdą pozostałe dzieci, pójdziemy pobawić się na śniegu... Możemy zrobić orzełki. Ale na razie idź do bawialni.

Josefine ściąga kombinezon i znika wewnątrz przedszkola. Hanna powoli się rozluźnia.

– Przepraszam... – słyszy za sobą głos. – Widzieli państwo tutaj jakieś ręcznie robione książeczki?

Odwraca się.

– Słucham?

Do Hanny dociera, że pytanie zadała zastępcza mama Josefine. Albo też opiekunka. Około trzydziestoletnia kobieta stoi wciąż przy drzwiach. Na czoło naciągniętą ma szarą wełnianą czapkę. Nosi wąskie ciemne okulary.

Hanna przygląda jej się z zainteresowaniem. Widziała tę kobietę wcześniej może raz, gdyż Josefine zazwyczaj przyprowadza i odbiera starszy mężczyzna.

– W lecie zostawiłam tu kilka książek – mówi kobieta. – Cztery cienkie książeczki... Napisałam je dla mojej starszej siostry, ale nie mogła ich przyjąć.

Hanna wie, o czym mówi kobieta – ilustrowane książeczki Jana. Potrząsa jednak głową.

– Niestety. Chyba ich nie widziałam... Ale może pani poszukać.

– Mogę?

– Oczywiście. Proszę wejść.

Kobieta zdejmuje buty i rozpina kurtkę. Hanna patrzy na nią i pyta:

– Czy pani nazywa się Alice Rami?

Kobieta przytakuje, prostując plecy. Wygląda, jakby czegoś wyczekiwała. Chyba nie zwykła odwracać wzroku.

– Skąd pani wie? – pyta.

– Bo... słyszałam o pani.

– Czyżby?

Kobieta nie uśmiecha się, lecz Hanna kontynuuje:

– Tak... pani chyba była muzykiem?

Alice Rami kiwa głową.

– Przez krótki czas, wiele lat temu.

– Co się stało?

Rami wzdycha.

– Wydarzyło się wiele rzeczy... Moja siostra była coraz bardziej chora, a ja także nie czułam się najlepiej. W końcu przestałam grać.

Hanna rozumie, że mówi o swojej starszej siostrze, o Marii Blanker.

– Ale teraz ma opiekę? – pyta Hanna.

Alice Rami potwierdza skinieniem. Hanna ma ochotę zapytać, dlaczego siostrę zamknięto w klinice, ale to byłoby zbyt osobiste. Pyta więc:

– Sądzi pani, że niedługo stamtąd wyjdzie?

– Tak – odpowiada cicho Rami. – Taką mamy nadzieję. Także ze względu na Josefine.

– To dobrze – odpowiada Hanna. Ze zrozumieniem kiwa w stronę Rami. – Wiem, jak to jest, kiedy się na kogoś czeka.

– Pani też czeka? – pyta Rami.

– Kiedyś czekałam – mówi Hanna. – Czekałam na pewnego mężczyznę... Bardzo szczególnego mężczyznę.

Zalega cisza. Za plecami Hanny słychać nagle głosy. Odwraca głowę. Z kuchni wychodzą Marie-Louise i doktor Högsmed. Lekarz pyta o osobistą szafkę Jana.

– Tak, miał... Mamy zapasowe klucze... – odpowiada Marie-Louise.

Hanna znowu spogląda na Rami. Oto jest – kobieta, do której Jan Hauger chodził i na któ-

rą czekał przez całą jesień. Tylko w niewłaściwym miejscu. Co za ironia.

Janowi nie udało się skontaktować z Alice Rami. Nigdy nie otrzymał odpowiedzi na swoje pytania, ale może Hanna mogłaby spróbować? Skoro ona i Lilian nie są już przyjaciółkami, może zaprzyjaźni się z Rami? Czuje się teraz samotna. Opuszczona.

– Proszę wejść – zwraca się do kobiety. – Razem możemy poszukać książeczek, jeśli pani chce.

Hanna słyszy za sobą głuchy odgłos. Odwraca się. Szafka Jana została otwarta. Marie-Louise użyła zapasowego klucza. W szafce było wiele rzeczy, a część z nich wypadła na podłogę: kurtka przeciwdeszczowa, mała pompka do roweru i kilka książek. Hanna nie chce patrzeć na przedmioty należące do Jana. Z powrotem odwraca się do Alice Rami i kontynuuje:

– Możemy sprawdzić w skrzyniach z książkami w bawialni... Chce pani?

Lecz Rami zdaje się już jej nie słuchać. Wzrok utkwiała w jednym punkcie na prawo od Hanny.

– Ależ one są tutaj – mówi.

Hanna odwraca się. Rami patrzy na książeczki z obrazkami – leżą na podłodze pod szafką Jana. Kiedy Hanna przygląda im się bliżej, oczywiście je poznaje: *Stwórczyni zwierząt*, *Choroba czarownicy*, *Viveca w kamiennym domu* i *Sto dłoni księżniczki*.

Cztery baśnie o samotności.

Hanna wciąż stoi w holu, nie reagując, podczas gdy Rami idzie do pokoju wychowawców i podchodzi do szafki. Schyla się między Högsmedem a Marie-Louise i podnosi książeczki, jedną po drugiej. Przegląda je.

– Ktoś je zilustrował – mówi cicho. – Wiecie, kto to zrobił?

Rami podnosi wzrok, lecz Hanna nie może wykrztusić słowa. Kręci tylko głową, mimo że wyraźnie widzi przed sobą twarz Jana Haugera. Na podłodze leży jeszcze piąty tom. Znajdował się pod pozostałymi, więc Hanna wcześniej go nie zauważyła.

Podniszczony czarny notatnik ze zdjęciem na okładce: starą fotografią wykonaną polaroidem, którą przyklejono taśmą klejącą. Na zdjęciu jasnowłosy chłopiec wpatruje się w fotografa, siedząc na szpitalnym łóżku.

Rami bierze do ręki również tę książkę. Wstaje, po czym długo jej się przygląda.

– To także poznaję – odzywa się w końcu. – To ja zrobiłam tę fotografię... Bardzo dawno temu.

Otwiera notatnik i czyta nazwisko:

– Jan Hauger. – Podnosi wzrok. – On tu pracuje?

– Nie – odpowiada cicho. – Niestety już go tu nie ma... Znała go pani? – Marie-Louise wygląda na zakłopotaną.

*

Rami przytakuje bez słowa.

Hanna czuje, jak ogarnia ją panika. Chce coś powiedzieć, lecz nie potrafi przerwać Rami, która wciąż przegląda dziennik Jana, strony z rysunkami i te gęsto zapisane.

Nie odkładając notatnika, uśmiecha się spokojnie.

– Tak, znałam go. Byliśmy przyjaciółmi, Jan i ja.

-
- 1 Zwyczajny interes (ang.).
 - 2 Sterowany pilotem! Aktywowany głosem! Nagraj swoje własne wiadomości i obserwuj, jak ROBOMAN porusza się i mówi (ang.).
 - 3 Samotność to zatłoczony pokój (ang.).
 - 4 Autor użył nazwy leku na choroby prostaty.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.

www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kollątaja 14, III p., 38-300 Gorlice

tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75

e-mail: mateusz@czarne.com.pl,

tomasz@czarne.com.pl, dominik@czarne.com.pl,

honorata@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

tel. +48 18 351 00 70

e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Andersa 21/56, 00-159 Warszawa

tel./fax +48 22 621 10 48

e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, anna@czarne.com.pl,

dorota@czarne.com.pl, zofia@czarne.com.pl

Dział marketingu: katarzyna@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: irek.gradkowski@czarne.com.pl

tel. 504 564 092, 605 955 550

agnieszka.wilczak@czarne.com.pl

Skład: D2D.PL

ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków, tel. +48 12 432 08 52

e-mail: info@d2d.pl

Audiobooki i ebooki: Izabela Rególska, iza@czarne.com.pl

Wołowiec 2013

Wydanie I